

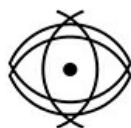
PRZEBUDZENI BOGOWIE



S Y L V A I N
N E U V E L

S Y L V A I N
N E U V E L

PRZEBUDZENI BOGOWIE



przełożył
Radosław Madejski



PRZEBUDZENI
BOGOWIE

*Barbarze i Hanowi Solo
Baro. jesteś moja opoką.
jesteś dla mnie wszystkim, ale Han nie żyje!
Nie masz nic przeciwko dzieleniu się, prawda?*

Tytuł oryginału:
Waking Gods

Projekt okładki:
Faceout Studio, Charles Brock

Redakcja:
Grażyna Muszyńska

Redakcja techniczna:
Karolina Bandykowska

ocr i opracowanie wersji elektronicznej:
lesiojot

Copyright © 2017 by Sylvain Neuvel.
By arrangement with the author.

Ilustracje na okładce
© Vilhelem Jozsef Hunor

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2018
© for the Polish translation by Radosław Madejski

ISBN 978-83-287-0863-1

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2018

PROLOG

DZIENNIK OSOBISTY EVA REYES

Melissa nabijała się dzisiaj ze mnie w szkole. Teraz trzyma z chłopakami. Enzo i jego kumple znów zaczęli na mnie wołać La Evita Loca, a ona do nich dołączyła. Powiedziała: „Patrzcie! Szalona Eva będzie płakać!”. Nienawidzę jej.

Była moją ostatnią dobrą przyjaciółką. Angie wyjeżdża właśnie do Baldwin i nie będę miała z nią kontaktu. Essie przeprowadziła się do Bayamón. Oprócz nich z nikim nie widywałam się po szkole. Mama wciąż mi powtarza, żebym częściej wychodziła z domu, ale nie mam z kim się bawić. Pamiętam, jak chodzyliśmy nad Rio Piedras szukać kamieni. Essie je uwielbia, zwłaszcza te niebieskie. Ten minerał chyba nazywa się cyjanit. Niedawno wybrałam się tam sama i znalazłam całe mnóstwo tych kamieni. Obiecałam jej, że zabiorę je ze sobą, kiedy pojedę do niej w odwiedzin, ale nie wiem, kiedy mama mnie puści. Mówi, że najpierw muszę wydobrzeć.

Dziś wieczorem znów byłam u tego psychiatry. Uważa mnie za wariatkę, jak wszyscy. Wszyscy zapewnniają, że senne koszmary to nic niezwykłego. Ale ja wiem, że to nie sny. Teraz widzę to na jawie. Dzisiaj w szkole znów to zobaczyłam i zaczęłam krzyczeć. Ten sam widok, który nawiedza mnie od miesięcy. Wszyscy nie żyją. Tysiące ludzi, martwych ludzi na ulicach, całe miasto pełne trupów. I moi rodzice w kałuży krwi na podłodze naszego domu. O tym im nie wspomniałam. Ale dzisiaj pojawiło się coś

nowego. Widziałam robota, coś jak Temidę, olbrzymią metalową kobietę, która zanurzała się w chmurach.

CZĘŚĆ PIERWSZA

KREWNI I PRZYJACIELE

DOKUMENT NR 1398

KOMUNIKAT PRASOWY JACOB LAWSON,
BBC LONDYN

Miejsce: Regent's Park, Londyn, Anglia

Dziś nad ranem w Regent's Park pojawiła się wysoka na dwadzieścia pięter metalowa postać. Pierwsi zauważyli ją około godziny czwartej dozorczy z londyńskiego zoo. Stojący na jednym z boisk piłkarskich w północnej części parku obiekt zarówno pod względem kształtu, jak i rozmiarów przypomina robota ONZ znanego obecnie jako Temida. Jednak ten nowy kolos wygląda na mężczyznę, a raczej przypomina mężczyznę. Ma masywniejszą sylwetkę niż tamta wysmukła gigantyczna kobieta, która odwiedziła Londyn niespełna rok temu, i prawdopodobnie jest też od niej wyższy. Różni się także kolorem - podobnie jak ona jest szary, ale jego powłoka ma jaśniejszy odcień i w przeciwieństwie do turkusowych żyłek Temidy jest pokryty świecącymi na żółto bruzdami.

Z relacji świadków wynika, że robot pojawił się

znikąd. „Nie było go, a chwilę później tam stał” - zrelacjonował jeden z dozorców. Na szczęście nikt nie przebywał wtedy na boiskach i nie odnotowano żadnych ofiar w ludziach. Oczywiście nie wiadomo, czy tak wczesna pora jego materializacji była celowa, jak również nie mamy pojęcia, skąd przybył i kto go przysłał. Jeżeli faktycznie jest to taki robot jak Temida, sterowany w taki sam sposób jak ona, na jego pokładzie może znajdować się załoga. A jeżeli naprawdę ktoś tam w środku siedzi, czy są to Rosjanie, Japończycy czy Chińczycy? A może pochodzą z zupełnie innego miejsca? W tej kwestii możemy jedynie snuć domysły. Równie dobrze we wnętrzu tej gigantycznej konstrukcji może nie być nikogo.

Olbrzym stoi w miejscu od czterech godzin i nie poruszył się ani o centymetr.

Wciąż czekamy na oficjalne stanowisko Korpusu Obrony Ziemi. Dotarliśmy do kierującej sekcją naukową doktor Rose Franklin, która obecnie przebywa w Genewie, gdzie jeszcze dziś przed południem ma wygłosić oświadczenie. Doktor Franklin odmówiła spekulacji na temat pochodzenia drugiego robota, jednak zapewniła nas, że nie jest on częścią systemu obrony kosmicznej ONZ. Oznaczałoby to, że albo na Ziemi znaleziono drugiego robota i utrzymywano ten fakt w tajemnicy, albo ten drugi robot nie pochodzi z naszej planety. O piętnastej czasu londyńskiego ma się odbyć w Nowym Jorku konferencja prasowa, którą zwołał KOZ.

Zadaniem Korpusu Obrony Ziemi, utworzonego przez ONZ dziewięć lat temu, kiedy Amerykanie znaleźli Temidę, jest badanie obcych artefaktów w celu pozyskania nowych technologii, które mogą przysłużyć się ludzkości i ochronić naszą planetę przed zagrożeniami z kosmosu. Tylko czas pokaże, czy obecnie stoimy w obliczu takiego zagrożenia.

Rząd Jego Królewskiej Mości na razie nie zajął stanowiska w tej sprawie, ale nasze źródła donoszą, że w ciągu godziny premier wygłosi orędzie do narodu. Brytyjczycy nie musieli za to długo czekać na głos z przeciwnej strony parlamentu. Opozycja zdążyła już wydać oświadczenie, w którym domaga się, aby premier w jakiś sposób uspokoił obywateli. Mniej więcej godzinę temu liderka opozycji Amanda Webb wystąpiła przed kamerami i powiedziała: „W środku Londynu znajduje się nieznany obiekt o potencjalnie niszczycielskiej sile, a jedynym posunięciem, jakie premier uznał za stosowne, jest zamknięcie jednego z parków miejskich. Czy premier może zapewnić trzynaście milionów ludzi, którzy zamieszkują region Wielkiego Londynu, że mogą czuć się bezpieczni? Jeżeli tak, powinien to jakoś uzasadnić, a jeżeli nie, to przynajmniej ja jestem ciekawa, dlaczego nie ogłoszono jeszcze ewakuacji”. Była minister spraw zagranicznych zasugerowała również, że w pierwszej kolejności należałoby ewakuować mieszkańców centralnych dzielnic, a według jej obliczeń przeprowadzenie takiej akcji w zorganizowany sposób nie powinno zająć więcej niż czterdzieści osiem godzin.

Tymczasem londyńczykom najwyraźniej nigdzie się nie spieszy. Kompletna nonszalancja, jaką przejawiają w tych okolicznościach, jest chyba równie zaskakująca jak samo pojawienie się robota. Olbrzymią sylwetkę widać z większości miejsc na terenie Londynu i choć można by się spodziewać zbiorowej paniki, większość ludzi zajęła się swoimi sprawami, a wielu z nich wybrało się nawet w okolice Regent's Park, żeby zobaczyć z bliska nowego kolosa. Policja zamknęła teren na południe od Prince Albert Road i na północ od Albany Street pomiędzy drogami A501 i A41, ale kilku osobom i tak udało się przedostać do parku.

Funkcjonariusze musieli nawet ewakuować rodzinę, która zamierzała urządzić sobie piknik zaledwie kilka kroków od gigantycznej metalowej stopy intruza.

Trudno się dziwić, że londyńczycy traktują tego kolosa jako przyjazną postać, ponieważ widzą w nim podobieństwo do Temidy. Jak wszystkim wiadomo, Temidę pozostawili na Ziemi przedstawiciele obcej cywilizacji, aby nas chroniła. Jej metalowa twarz i wyginające się do tyłu kolana od blisko dziesięciu lat pojawiają się prawie codziennie na ekranach telewizorów i pierwszych stronach wszystkich brukowców. W każdym sklepie można kupić koszulki z jej podobizną, a młode pokolenie Brytyjczyków dorastało, bawiąc się figurkami, dla których jej postać stanowi inspirację. Temida jest gwiazdą. Jej zeszłoroczna wizyta w jednym z londyńskich parków przypominała raczej koncert rockowy aniżeli pierwszy kontakt z istotą z obcego świata.

Jest to przełomowy moment w krótkiej historii KOZ. Przeciwnicy tej instytucji, która jest owocem bardzo kruchej koalicji, uważają jej działalność za chwyt medialny. Wielu sceptyków twierdzi, że jeden robot, nawet tak potężny, nie zdoła obronić naszej planety przed inwazją. Dodając kolejnego robota do swojego arsenału albo nawiązując sojusz z inną cywilizacją pozaziemską, KOZ mógłby zyskać solidny argument na odparcie tego rodzaju zarzutów.

DOKUMENT NR 1399

DZIENNIK OSOBISTY DOKTOR ROSE FRANKLIN, SZEF SEKCJI NAUKOWEJ, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miałam kiedyś kotkę. Z jakiegoś powodu nikt nie pamięta, że ją miałam. Czasem wyobrażam ją sobie, jak leży zwinięta w kłębek na kuchennej podłodze i umiera z głodu, czekając na mój powrót. Wciąż zapominam, że tamtej nocy Rose Franklin - ta druga ja - wróciła do domu i wszystko było jak dawniej. Cieszę się, że moja kotka uniknęła śmierci głodowej, choć z drugiej strony żałuję, że nie wita mnie teraz codziennie na progu. Brakuje mi jej. Moje mieszkanie wydaje się niesamowicie puste bez tej małej istoty.

A może już nie żyje. Chociaż nie była aż tak stara. Może oddałam ją komuś, kiedy w pracy przybyło mi obowiązków. Może uciekła, bo nie rozpoznała osoby, która tamtej nocy przyszła do domu, podając się za mnie. Tak byłoby najlepiej. Gdyby została, zapewne bałaby się tamtej mnie. Jeżeli istnieje jakaś „prawdziwa” Rose Franklin, prawdopodobnie to nie jestem ja.

Trzydzieści lat temu miałam wypadek w drodze do pracy. Jacyś ludzie wyciągnęli mnie z samochodu i obudziłam się na poboczu drogi w Irlandii cztery lata później. Nie postarzałam się ani o dzień.

Jak to możliwe? Czyżbym odbyła podróż w czasie? Czy byłam... zamrożona, zahibernowana przez cztery lata? Przypuszczalnie nigdy się tego nie dowiem. Ale

potrafię z tym żyć. Za to trudno mi jest poradzić sobie z faktem, że w zasadzie nie zniknęłam na te cztery lata. Cały czas tu byłam - a w każdym razie ktoś taki jak ja. Następnego dnia Rose Franklin przyszła do pracy. Mnóstwo działała przez ten czas. Jakoś tak się złożyło, że zajęła się badaniami nad gigantyczną metalową dłonią, do której wpadłam jako dziecko. Nabrała przekonania, że w różnych miejscach spoczywają ukryte inne elementy kolosa i wymyśliła sposób, który umożliwił ich odnalezienie. Poskładała w całość potężnego robota, którego nazwano Temidą. A potem zginęła w katastrofie.

To były pracowite cztery lata.

Oczywiście nic z tego nie pamiętam. Nie brałam w tym udziału. Kimkolwiek była osoba, która dokonała tego wszystkiego, już nie żyje. Wiem ponad wszelką wątpliwość, że nie byłam to ja. Rose Franklin miała dwadzieścia osiem lat, kiedy zaczęła kierować zespołem, który badał dłoń. Zginęła w wieku trzydziestu lat. Mnie znaleziono rok później. Miałam wtedy dwadzieścia siedem lat.

Temidą zajęła się ONZ. Utworzono specjalną agendę do spraw obrony kosmicznej, czyli KOZ, a jej głównym atutem stał się ten gigantyczny robot. Przy tym też mnie nie było. Jedno z moich ja już nie żyło, a drugie nie zostało jeszcze odnalezione. Jakiś miesiąc po moim powrocie powierzono mi kierownictwo sekcji naukowej KOZ. Tamta druga Rose musiała mieć imponujące kwalifikacje, bo ja sama byłam chyba ostatnią osobą, która nadawała się na to stanowisko.

W życiu nawet nie widziałam Temidy. Ostatni raz miałam styczność zaledwie z jej częścią w moje jedenaste urodziny. Nikomu to nie przeszkadzało. Mnie również. Zależało mi na tej pracy. Zajmuję się tym od dziewięciu lat. Dziewięć lat. Mogłoby się wydawać, że to wystarczająco dużo czasu, żebym

doszła do siebie po tym, co mi się przydarzyło. Ale tak nie jest. Musiałam nadgonić cztery lata i przez jakiś czas tylko to zaprzętało moją uwagę. Ale kiedy przywykłam do swego rodzaju rutyny, oswoiłam się trochę z moją nową pracą i nowym życiem, z coraz większą uporczywością nachodziło mnie pytanie, kim jestem.

Zdaję sobie sprawę, że jeśli podróżowałam w czasie, przypuszczalnie moja wiedza jest zbyt uboga, żebym mogła to pojąć, ale tak czy inaczej nie mogłam się rozdzielić. Kiedy jakiś przedmiot przemieszcza się z punktu A do punktu B, zgodnie z logiką w punkcie A już go nie ma. Czyżbym była klonem? Duplikatem? Mogę jakoś z tym żyć, nie mając pojęcia, co się ze mną stało, ale muszę wiedzieć, czy... ja to ja. Wątpliwości w tej kwestii są nie do zniesienia.

Wiem, że teraz nie jestem na swoim miejscu. Nie pasuję tutaj. To wcale nie jest takie obce uczucie, gdyby się nad tym zastanowić. Dawniej ten niepokój ogarniał mnie tylko od czasu do czasu, może dwa albo trzy razy w roku. Zazwyczaj kiedy byłam bardzo zmęczona albo wypiałam za dużo kawy, zaczynałam odnosić wrażenie... Nigdy nie wiedziałam, jak to opisać. Tak jakby każdą sekundę wypełniał przeraźliwy zgrzyt paznokci po tablicy. Wszystko to mija po minucie czy dwóch, ale czuję się wtedy, jakbym troszeczkę - o ułamek sekundy - wybiła się z rytmu wszechświata. Nigdy nie potrafiłam tego wyjaśnić, więc nie wiem, czy tylko ja doświadczam czegoś takiego. Podejrzewam, że nie, ale teraz czuję się tak przez cały czas, tylko ten ułamek sekundy coraz bardziej się wydłuża.

Tak naprawdę nie mam przyjaciół i z nikim nie jestem blisko związana. Moje obecne relacje z otoczeniem opierają się na czymś, czego nie doświadczyłam, tak samo jak nie uczestniczyłam w wydarzeniach, które

doprowadziły do zerwania kontaktów z niektórymi ludźmi. Moja matka wciąż dzwoni do mnie co drugi dzień. Nie wie, że nie rozmawiałyśmy przez ponad rok do mojego powrotu. Bo skąd ma wiedzieć? Dzwoni do tej drugiej osoby; do tej, która nie boryka się wciąż ze stratą ojca i którą wszyscy lubili. Nie odzywam się do żadnej z moich szkolnych przyjaciółek. Były na moim pogrzebie. Jest to tak definitywna forma zerwania więzi, że nie chciałabym tego zepsuć.

W tej chwili coś najbardziej zbliżonego do przyjaźni łączy mnie z Karą i Vincentem, ale nawet po dziewięciu latach czuję się tym trochę zawstydzona. Podaję się za kogoś innego. Uczucia, jakie do mnie żywią, opierają się na kłamstwie. Opowiedzieli mi, przez co niby razem przeszliśmy, i teraz udajemy, że mamy te same wspomnienia, jak gdyby wszystko potoczyło się inaczej. Wciąż podtrzymujemy iluzję, że jestem tamtą osobą, i tym zaskarbiam sobie ich sympatię.

Nie wiem, kim jestem, ale nie mam wątpliwości, że nie jestem... nią. Próbuję nią być. Rozpaczliwie próbuję. Wiem, że gdyby mi się to udało, wszystko byłoby w porządku. Setki razy studiowałam każdą stronę jej dziennika, ale wciąż nie umiem spojrzeć na świat jej oczami. W niektórych wpisach dostrzegam okruchy siebie, ale to za mało, abym zdołała się do niej zbliżyć. Była niezwykle inteligentna i wątpię, czy zdołałabym dokonać tego co ona, gdybyśmy teraz szukali tych gigantycznych części ciała. Musiała natrafić na jakieś odkrycie, o którym nie wiem, przypuszczalnie na coś, co zostało opublikowane, kiedy byłam „gdzie indziej”. Może jestem niedoskonałą kopią. A może ona była po prostu bystrzejsza ode mnie.

Z pewnością miała więcej optymizmu. Wierzyła - była o tym święcie przekonana - że Temida trafiła tu jako

dar, który mieliśmy odnaleźć w odpowiednim czasie, swoisty prezent z okazji wkroczenia w wiek dojrzały, ofiarowany ludzkości przez jakieś uosobienie dobrotliwego ojca. Mimo to wszystkie elementy spoczywały w różnych miejscach, najbardziej odległych zakątkach planety, niektóre nawet pod lodem. Nie dziwi mnie atmosfera podniecenia towarzysząca poszukiwaniu skarbów, ale nie rozumiem, po co te wszystkie utrudnienia. Intuicja podpowiada mi, że te artefakty zostały ukryte... No i tyle. Jakby komuś zależało, żeby nikt ich nie odnalazł.

Ale przede wszystkim nie potrafię pojąć, po co jakaś cywilizacja, choćby nie wiem jak zaawansowana, miałaby nam zostawiać robota, którego, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie bylibyśmy w stanie używać. Dla kogoś, kto dysponuje technologią pozwalającą na skonstruowanie czegoś takiego i dostarczenie nam tego z prędkością światła, nie stanowiłoby problemu dostosowanie układu sterowania do naszej anatomii. Mogliby wysłać mechanika, który dokonałby przeróbek albo przynajmniej prowizorycznie usunął drobne niedogodności. Tak naprawdę wystarczyłoby sięgnąć po ich odpowiednik śrubokrętu i przełożyć klamry na szynach nożnych, żebyśmy mogli z nich korzystać. Nasz ofiarodawca nie mógł przecież oczekiwać, że wyłamiemy sobie stawy, żeby móc sterować robotem.

Jestem naukowcem i nie mam dowodów na potwierdzenie tego wszystkiego, ale kiedy tamta druga Rose doszła do odwrotnych wniosków, też nie potrafiła ich uzasadnić. Bez dowodów nawet brzytwa Ockhama nigdzie by mnie nie doprowadziła.

Jak na ironię to właśnie w oparciu o moje odkrycia stworzono cały ten program. Gdybym im powiedziała, jak bardzo się boję tego, co nastąpi, nie pozwoliliby mi zajmować się tym, czym się teraz zajmuję.

Laboratorium jest jedynym miejscem, w którym znajduję pokrzepienie, i jestem im za to wdzięczna. Jestem im wdzięczna za Temidę i za każdy dzień spędzony w jej towarzystwie. Coś mnie do niej przyciąga. Ona też nie jest z tego świata. Jest tu obca, nie bardziej niż ja. Obie nie pasujemy do tego miejsca i do tych czasów, a im więcej dowiaduję się o niej, tym silniejsze odnoszę wrażenie, że zaczynam rozumieć, co się naprawdę ze mną stało.

Wiem, że wszyscy się o mnie martwią. Matka powiedziała mi, że modli się za mnie. Nie robiłaby tego, gdyby uważała, że świetnie sobie radzę. Nie chciałam sprawiać jej przykrości, więc podziękowałam. Nigdy nie miałam w sobie silnej wiaty, ale nawet gdyby było inaczej, nie łudziłabym się, że Bóg przyjdzie mi z pomocą. Nie ma odkupienia za to, co zrobiłam. Powinnam umrzeć. Umarłam. Znalazłam się z powrotem wśród żywych za sprawą, jak przypuszczam, jakiejś zaawansowanej technologii, ale równie dobrze można by to nazwać magią. Jeszcze nie tak dawno temu Kościół spaliłby na stosie kogoś takiego jak ja.

Może i wierzę w Boga, ale toczę z nim wojnę. Jako naukowiec próbuję systematycznie odpowiadać na pytania, więc Jego rola w tej materii jest trochę ograniczona. Krok po kroku zajmuję Jego królestwo, zatykając swoją flagę. To dziwne, ale nigdy dotąd nie zdarzyło mi się nic takiego. Nigdy nawet nie dostrzegałam poważnej sprzeczności między nauką i religią. A teraz ją widzę, jasno i wyraźnie.

Przekroczyłam tę granicę, której nikt nie powinien przekraczać. Umarłam. I nadal żyję. Oszukałam śmierć. Zdobyłam bożą moc.

Zabiłam Boga i czuję się pusta w środku.

DOKUMENT NR 1408

**ZAPIS ROZMOWY GENERALA BRYGADY EUGENE
GOVENDER, DOWÓDCA,
KORPUS OBRONY ZIEMI**

Miejsce: hotel Waldorf Astoria, Nowy Jork

Zostało już niewiele czasu, Eugene.

Jak długo się znamy?

We wrześniu tego roku minie czternaście lat.

Czternaście lat. Czy w tym czasie zaproponowałem kiedykolwiek, żeby zwracał się pan do mnie po imieniu?

**Forma „panie generale” wydaje się...
niestosowna po tym, co razem przeszliśmy.**

Owszem, niestosowna. Więc proszę sobie wyobrazić, jakie to uczucie, kiedy nie wiem, jak mam się zwracać do pana.

Nie żebym nie lubił słuchać, jak pan ciągle utyskuje na moją anonimowość, ale za niecałą godzinę będzie pan przemawiał przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ. Wiem, jak pan nie znosi takich wystąpień, więc gdybym mógł w czymś pomóc, jest to dobry moment.

Czemu pan sam nie wygłosi tego przemówienia? To przez pana wdepnąłem w cały ten bajzel.

Chciałbym usłyszeć pański wstęp.

Gdzie ta cholerna kartka? O, tu jest. Widział pan moje...

Na stoliku przy łóżku.

Dziękuję. No więc powiem tak: Wiem, że wielu z was się boi. Wiem, że oczekujecie wyjaśnień.

Chodziło mi o początek przemówienia.

To jest właśnie początek tego cholernego przemówienia.

Eugene, nie przemawia pan do kadetów w akademii wojskowej. To jest Zgromadzenie Ogólne ONZ. Obowiązuje ścisły protokół. Zwykle na początku należy się zwrócić do wszystkich słuchaczy. Panie prezydencie, panie sekretarzu generalny, szanowni członkowie Zgromadzenia Ogólnego, panie i panowie.

W porządku. Zacznę od tego, a potem powiem: Wiem, że wielu z was się boi. Wiem, że oczekujecie wyjaśnień.

Nie, najpierw musi pan powiedzieć coś głębszego, coś inspirującego.

Coś inspirującego? W samym środku Londynu stoi gigantyczny robot, a ludzie chcą, żebym się go pozbył.

Nie ma w tym żadnej głębi.

Więc niech to będzie coś niezwiązanego z tematem, ale głębokiego. Ostatnie przemówienie, jakiego słuchałem na żywo, wygłosił poprzedni prezydent. Powiedział coś takiego: „Stoimy na rozdrożu między wojną i pokojem, między chaosem i wspólnotą, między strachem i nadzieją”.

No dobrze. Panie prezydencie, panie sekretarzu generalny, szanowni członkowie Zgromadzenia Ogólnego, panie i panowie. Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że jestem oszczędny w słowach. Ci, którzy znają mnie dobrze, wiedzą również, jak bardzo nie cierpię przemawiać. Dlatego pozwolę sobie zapożyczyć słowa wstępu od byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który powiedział: „Stoimy na rozdrożu między wojną i pokojem, między chaosem i wspólnotą, między strachem i nadzieją”.

To jest...

Żartowałem. Ale mam w zanadrzu słowa pewnego faceta, który był bardziej elokwentny ode mnie, i nimi się posłużę. Potem będziecie państwo musieli zadowolić się tym, co sam mam do powiedzenia. Ten facet to Thomas Henry Huxley, jeden z pionierów nowoczesnej biologii, który stwierdził: „Poznane jest skończone, nieznanie jest nieskończone; intelektualnie stoimy na wysepce pośród bezgranicznego, niewyjaśnionego oceanu. Zadaniem kolejnych pokoleń jest osuszanie następnych kawałków lądu”. Dziesięć lat temu, kiedy świat odkrył Temidę, uświadomiliśmy sobie, że otaczający nas ocean jest dużo większy, niż się nam wydawało. A po tym, co wydarzyło się dziś

rano w Londynie, nasza wysepka niezachwianej wiedzy wydaje się tak mała, że moglibyśmy nabrać obaw, czy w ogóle zdołamy się na niej pomieścić.

Teraz mogę to powiedzieć?

Wiem, że wielu z was się boi.

Proszę sobie ze mnie nie kpić.

Wiem, że wielu z was się boi. Wiem, że oczekujecie wyjaśnień. Pozwólcie, że będę szczery. Nie mam odpowiedzi na żadne z waszych pytań. Nie dzisiaj. Co więcej, muszę wam coś wyznać. Ja... też się boję. Boję się, bo nie wiem, co to za intruz i czego chce. Nie wiem, czy pojawi się ich więcej, a jeżeli tak, to naprawdę nie wiem, czy zdołamy coś na to zaradzić. Wielu rzeczy nie wiemy. Odrobina strachu nie jest niczym niezwykłym, jeśli chcecie znać moje zdanie.

Jakie to pokrzepiające. Od razu mi lepiej.

Nie możemy dopuścić, aby strach powstrzymał nas przed wypełnianiem naszych obowiązków. Nie możemy także dopuścić, aby strach kierował naszymi poczynaniami. Musimy uzbroić się w cierpliwość. W obecnej sytuacji...

Do czego pan zmierza?

Chcę powiedzieć, że wszyscy powinni się wstrzymać, zanim ktoś zrobi coś naprawdę głupiego.

Na przykład co?

Wszystkim nam wiadomo, że w Anglii nie brakuje takich, którzy chcą urządzić demonstrację siły. Wiem również, że NATO bierze pod uwagę własną

interwencję zbrojną. Chcę, aby wszyscy zebrani w tej sali użyli swoich wpływów. Niech wykorzystają wszystkie środki, jakimi dysponują, aby nie dopuścić do takiego rozwiązania.

Dlaczego?

Wie pan dlaczego! Ten drugi robot prawdopodobnie jest potężniejszy od Temidy. Wątpię, aby brytyjskie siły lądowe zdołały go choćby drasnąć. A to jest Londyn. Prowadząc atak naziemny w terenie miejskim, po prostu nie mamy szans na skoncentrowanie wystarczającej siły ognia. Zmasowany atak z powietrza ma większy potencjał, ale musielibyśmy przeprowadzić wspólną operację przy użyciu naszych najsilniejszych formacji lotnictwa taktycznego. Przy okazji zrównalibyśmy z ziemią centrum Londynu. Jeżeli w ten sposób nie zniszczymy robota, najlepszym i ostatecznym wyjściem jest użycie głowicy nuklearnej, chociaż to oznacza przesiedlenie większości mieszkańców Anglii. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Jeżeli takie ma być przesłanie, powinien pan im to powiedzieć właśnie w taki sposób, tymi słowami. Trzeba im uzmysłwić, że jeśli zaatakują, nie mają co liczyć na pomyślnie zbiegi okoliczności i nie będą mogli się z tego wyłgać.

Nie sądzi pan, że to trochę szorstkie? Prosił pan o coś głębokiego i inspirującego.

Trzeba rzucić coś takiego na wstępie, żeby za dwadzieścia lat ktoś mógł się poczuć mądry, cytując pana przy obiedzie. Ale jeśli chce pan dzisiaj przekonać do czegoś tych ludzi, proszę to

ująć tak, jakby się pan zwracał do swoich wnuków. Do połowy zebranych pańskie przemówienie dotrze za pośrednictwem tłumaczy, a większość z nich nie potrafi skupić uwagi dłużej niż przeciętny pięciolatek. Kiedy pan skończy, wyjdą z sali, żeby zadzwonić. Najpewniej będą rozmawiali ze swoimi ministrami obrony, czterogwiazdkowymi generałami i szefami sztabów, słowem: z ludźmi, którzy sprawują kontrolę nad siłami zbrojnymi i mają wielką ochotę ich użyć. Prosi ich pan, żeby zaufali grupie naukowców, a nie swoim doradcom wojskowym. Dlatego pańskie argumenty, które za tym przemawiają, muszą być jednoznaczne.

Mam tu jeszcze jeden akapit, który powinien ich przekonać, że moje stanowisko jest rozsądne.

Chciałbym to usłyszeć.

Nie rozmawiamy tutaj o problemie Londynu. To nie jest problem Brytyjczyków ani Europejczyków. Z pewnością nie jest to problem NATO. Mamy tutaj do czynienia z problemem całej planety. To jest problem nas wszystkich, wszystkich narodów, których przedstawiciele zasiadają w tej sali, i wspólnie musimy go rozwiązać. Ta organizacja została powołana do życia po zakończeniu najbardziej niszczycielskiej wojny w historii ludzkości, żeby wspierać pokój, umożliwiając narodom rozwiązywanie sporów tutaj, w tym gmachu, a nie na polu bitwy. Powstała również po to, abyśmy mogli dzielić się swoją wiedzą i zasobami, co pozwala nam osiągać wielkie sukcesy, na które nikt nie miałby szans w pojedynkę. Dziś mamy okazję dokonać jednego i drugiego: zapobiec wojnie na niewyobrażalną skalę i otworzyć przed ludzkością

całkiem nowe perspektywy. Właśnie nadszedł ten moment, w którym Organizacja Narodów Zjednoczonych może pokazać, na co ją stać. To jest ten moment, w którym Korpus Obrony Ziemi może udowodnić, że nie utworzono go na próżno.

To proszę zostawić na koniec, kiedy nie będą już uważać. Teraz powinien pan opowiedzieć o swojej karierze wojskowej, żeby mieli jakieś wyobrażenie.

Gdzieś o tym wspomniałem... Tutaj... Wiem również, że wielu z was ma wątpliwości. Decyzja o utworzeniu KOZ nie była jednogłośnie. Czemu mielibyście zaufać nam, a nie własnym sztabowcom? Prawdopodobnie jest to jedyne pytanie, na które dziś mogę udzielić odpowiedzi. Sam jestem żołnierzem, służę od przeszło czterdziestu lat. I powiem wam jedno: wojsko potrzebuje informacji...

To nie wystarczy. Proszę im powiedzieć, w ilu wojnach pan walczył, ilu ludzi pan zabił. Niech poczują krew. Niech zobaczą w panu podżegacza wojennego, który tylko czeka na pretekst, żeby rzucić bombę na Londyn.

W przeciwnym razie nie uwierzą, kiedy im pan powie, że nie należy tego robić.

Cóż mogę dodać? Jestem generałem brygady w armii południowoafrykańskiej i głównodowodzącym sił pokojowych ONZ. W RPA dowodziłem korpusem pancernym wojsk lądowych, jak mówi się tam na tę masę czołgów. Walczyłem w białym regimencie podczas wojny granicznej, brałem udział w misjach pokojowych w Sudanie i stałem na czele kontyngentu, który wchodził w skład brygady interwencyjnej ONZ w

Demokratycznej Republice Konga. Przez całe moje dorosłe życie służyłem w armii, takiej czy innej...

Doskonale.

...i powiem wam jedno: wojsko - czyli tacy jak ja - potrzebuje informacji wywiadowczych. Musimy wiedzieć, co się dzieje. Nie chcecie oddać swojego losu w ręce wojskowych, którzy działają po omacku. Nie możemy sobie pozwolić na improwizację. Jesteśmy niczym słoń w składzie porcelany - możemy narobić wielkiego bałaganu, jeśli każecie nam gonić własny ogon.

Dowodzę również Korpusem Obrony Ziemi, który formalnie jest kolejną jednostką taktyczną wyposażoną w pojedynczy egzemplarz potężnej broni. Pod swoją komendą mam dwóch żołnierzy, choć w zasadzie jeden z nich jest kanadyjskim doradcą do spraw wywiadowczych. Podlega mi również sześćdziesięcioro ośmiu naukowców, aczkolwiek oni zupełnie inaczej określili naszą relację, kiedy zaproponowali mi współpracę, ponieważ wiedzą, że nie przepadam za naukowcami. Oni są jak dzieci. Zawsze chcą wszystko wiedzieć, zadają zbyt dużo pytań i nigdy nie wypełniają rozkazów co do joty.

Tak, proszę państwa, wygląda KOZ. Gigantyczny robot, jeden żołnierz, jeden lingwista i całe mnóstwo nieposłusznych bachorów. Ale w tej chwili to właśnie od nich, od tej mojej krnąbrnej dzieciarni, zależą losy całego świata. Ci ludzie wiedzą więcej na temat obcych technologii niż ktokolwiek inny i codziennie dowiadują się nowych rzeczy. Tym właśnie się zajmują - nieustannym zdobywaniem informacji. Osuszają następne kawałki lądu, żebyśmy mogli się pomieścić na naszej wysepce wiedzy.

Wzruszające.

To nic w porównaniu z mową, którą pan wygłosił, próbując zwerbować mnie do współpracy za pierwszym razem.

Wtedy pan odmówił.

Owszem, ale mowa była przednia. Potem zamierzam powiedzieć kilka słów o naszym obecnym stanie wiedzy, czyli głównie o tym, czego nie wiemy.

A co wiemy?

Niewiele. Ująłem to tak.

Mieliśmy zaledwie kilka godzin na zapoznanie się z dostępnymi informacjami, a nasi ludzie nie dotarli jeszcze na miejsce, więc teraz powiem, co już zdążyliśmy ustalić. Metalowy kolos, który pojawił się w Londynie, jest około trzy metry wyższy od Temidy i około dziesięć procent masywniejszy. Nazywamy go Kronosem. To wszystko, co wiemy na pewno. Cała reszta to domysły.

Niewykluczone, że w jego wnętrzu nikogo nie ma. Może jest zdalnie sterowany, a nawet może nie być robotem, bo odkąd tam stoi, ani razu się nie poruszył. Sądzymy, że to raczej mało prawdopodobne, ale nie możemy zbyt pochopnie wykluczyć takiej ewentualności. Równie dobrze w środku mogą znajdować się ludzie. To by oznaczało, że gdzieś został ukryty drugi robot i odnalazło go jedno z państw, których przedstawiciele są tu dziś obecni. To również wydaje się nieprawdopodobne, co nie znaczy, że niemożliwe.

Zważywszy na nasz obecny stan wiedzy, przypuszczalnie na pokładzie kolosa znajduje się jeden

albo dwóch obcych, a ponieważ jego podobieństwo do Temidy jest uderzające, w tej chwili przyjmujemy założenie, że oba roboty stanowią wytwór tej samej cywilizacji. Niekoniecznie musi to oznaczać, że mamy teraz do czynienia z obcymi, którzy skonstruowali Temidę. Skoro zostawili jednego gigantycznego robota na Ziemi, jest całkiem logiczne, że mogli zrobić to samo na innej zamieszkaną planecie i to właśnie z niej ktoś do nas przybywa, jak już powiedziałem, niewiele wiemy.

Zakładając, że faktycznie mamy do czynienia z obcymi, nasi goście mogą być przyjaźnie nastawieni. Nie zaczęli do nas strzelać - to zawsze jest dobry znak - a zgodnie zobowiązującą teorią ktoś podarował nam Temidę, żebyśmy mogli się bronić. Ale mogą też mieć wrogie zamiary. Może wydawać się dziwne, że nieprzyjaciel daje nam tyle czasu na przygotowanie, ale pojawienie się gigantycznego robota może stanowić preludium do totalnej inwazji albo ataku. Jednak całkiem możliwe, że obcy nadal próbują wy badać nasze intencje, i jest to bardzo rozsądne wytłumaczenie, do którego się skłaniamy. Bo skąd mieliby się dowiedzieć, czy nie mamy wobec nich złych zamiarów albo jak zareagujemy na ich wizytę?

Ale dosyć spekulacji. Na razie mogę wam zaoferować jedynie mnóstwo pytań i przypuszczeń. Poproszono mnie, abym zabrał głos i zalecił jakieś postępowanie. W tej chwili moje zalecenie jest bardzo proste: należy wysłać Temidę do Anglii, co zajmie siedem do ośmiu dni. Dajcie moim dzieciakom kolejny tydzień, aby mogły zająć się swoją pracą, a potem znów się spotkamy. Proszę, błagam was wszystkich, abyście zachowali spokój i pozwolili sprawom toczyć się własnym torem. To nie jest odpowiedni czas na pochopne działania, nawet gdyby wydawały się niezwykle kuszące.

To wszystko. Całe moje przemówienie. Nie za krótkie?

W zupełności wystarczy.

Co nie zmienia faktu, że byłem zmuszony napisać całkiem nowe oświadczenie dla prasy po tym, jak Rose postradała zmysły.

Co takiego zrobiła?

Nie słyszał pan? Wystąpiła w telewizji i oznajmiła całemu światu, że nie powinniśmy się w to mieszać.

Kogo miała na myśli?

KOZ. Powiedziała, że wysłanie Temidy do Europy będzie naszym największym błędem. Wiem, że czuje pan do niej sympatię, ale ona nie myśli trzeźwo. Ta dziewczyna balansuje na krawędzi załamania.

Ma za sobą dosyć... ciężkie przeżycia.

Rozumiem. Ale nie mogę pojąć, dlaczego mianował ją pan szefem sekcji naukowej. Mogłaby pracować w zespole, ale nie kierować badaniami. Rose nie przepada za mną, bo jestem wielkim, złym trepem, ale jej postępowanie naprawdę nie działa na naszą korzyść. Wysłanie Temidy do Londynu to jedyne wyjście, które pozwoli nam zyskać na czasie. W przeciwnym razie jutro rano wojsko wkroczy do Regent's Park i obaj wiemy, jak to się skończy.

Chciałbym to usłyszeć.

Co?

To, co przygotował pan dla dziennikarzy.

Jasne.

Zapewne słyszeli państwo, że kierująca naszą sekcją naukową doktor Rose Franklin wydała dziś rano oświadczenie dla prasy. Miała wiele do powiedzenia, ale ujmując to w skrócie, doktor Franklin jest zdania, że nie powinniśmy nic robić, nikogo nie angażować, nawet KOZ, i żywić nadzieję, że robot w końcu sam zniknie. Doktor Franklin jest znakomitym naukowcem i niewątpliwie ma prawo do takiej opinii, nawet jeżeli nie wypowiada się w imieniu KOZ. Jak państwu zapewne wiadomo, doktor Franklin omal nie przypłaciła życiem eksperymentu z Temidą w Kolorado i sądzę, że po tym wypadku stała się nadmiernie ostrożna. Chociaż nie zgadzam się z jej konkluzją, powiedziała znacznie więcej niż tylko to, że „nie powinniśmy nic robić”. W swoim dzisiejszym oświadczeniu zawarła kilka trafnych uwag.

Po raz pierwszy nawiązujemy kontakt z obcą cywilizacją. Bez względu na to, jak potoczą się wypadki, będzie to przełomowy moment w historii ludzkości. Powinniśmy wszyscy zatrzymać się na chwilę i uświadomić sobie, jak doniosłe jest to wydarzenie.

Mając to na uwadze, doktor Franklin zaznaczyła, że komitet powitalny w postaci dywizji pancерnej i kilku tysięcy żołnierzy nie jest najlepszym sposobem na zrobienie dobrego wrażenia. Trudno się z tym nie zgodzić.

Zasugerowała również, że wysłanie Temidy do Europy będzie jeszcze większym błędem. Czołgi i piechota mogłyby zostać odebrane jako oznaka agresji, ale najprawdopodobniej nie stanowiłyby poważnego zagrożenia dla robota, jeżeli jest on

podobny do naszego. Za to Temida pozwoliłaby nam wyrównać szanse. Moim zdaniem pokazanie obcym znajomej twarzy to dobry sposób na rozpoczęcie dialogu, chociaż ktoś może nam zarzucić, że wykorzystywanie w tym celu robota, który jest naszą jedyną skuteczną bronią w ewentualnej konfrontacji, to nie najlepszy pomysł.

Związłe. Stanowcze, a zarazem pokrzepiające. Podoba mi się. Proszę się ubierać. Musimy już iść.

Pamięta pan, co mi pan obiecał, namawiając mnie po raz drugi do objęcia tej posady?

Pamiętam.

Powiedział pan: „Znalazłem dla pana stanowisko, na którym nie będzie pan już musiał nikogo zabijać”.

Wiem. I nadal zamierzam dotrzymać słowa.

DOKUMENT NR 1416

**ZAPIS ROZMOWY KAPITAN KARA RESNIK,
KORPUS OBRONY ZIEMI**

Miejsce: gdzieś na Atlantyku

Dzień dobry, panno Resnik. Mam nadzieję, że pani nie obudziłem.

O cholera! Nie! Właśnie wyszłam spod prysznic. Biegałam sobie po pokładzie. Czemu odnoszę wrażenie, że nie słyszałam pana od wieków?

Od naszej ostatniej wymiany zdań mięło osiem lat. Może pani rozmawiać?

Chodzi o to, czy ktoś mnie słyszy? Wątpię. Vincent jeszcze śpi w swojej koi.

Miałem na myśli to, czy nie jest pani zajęta.

Brakowało mi tego.

Czego?

Tego!

...

Nie, nie jestem zajęta. Mogę rozmawiać.

Gdzie pani jest?

Na środku Atlantyku, ale to już pan wie.

Pytałem o miejsce na pokładzie.

W naszej kwaterze. Mamy tu małą... To wygląda jak bardzo małe mieszkanie. Z kanapą, telewizorem i aneksem kuchennym.

Miło mi słyszeć, że jest pani wygodnie. Kazałem zadbać o odpowiednie wyposażenie, kiedy ONZ kupiła ten statek. Wiem, jak bardzo nie podobał się pani tamten poprzedni.

To niebo a ziemia. Statek, którym pływaliśmy wcześniej, służył do transportu zboża i czuliśmy się jak pasażerowie na gapę. Ten został przebudowany specjalnie dla nas. Nie przewozi niczego innego. Chociaż nie wiem, dlaczego tu też musimy spać na piętrowych kojach. A co u pana słyhać? Założę się, że bez nas umierał pan z nudów.

Może mi pani wierzyć albo nie, ale są na tym świecie rzeczy, które nie kręcą się wokół was. Nie ma ich zbyt wiele, ale wystarczy, żeby wypełnić mój czas.

Ja tylko pytałam, jak się pan miewa. Nie rozmawialiśmy przez osiem lat.

Chodzi pani o moje życie osobiste?

Boże, stęskniłam się. Czemu nie odzywał się pan tak długo? Wiem, że z doktor Franklin kontaktował się pan wiele razy.

Nie widziałem potrzeby. Pani i pan Couture całkiem nieźle sobie radziliście.

Mógł pan chociaż zagadnąć.

Luźne pogawędki wymagają pewnej formy wzajemności, a tego nie jestem w stanie zagwarantować. Ale, jak już wspomniałem, kazałem zadbać o odpowiednie wyposażenie, kiedy ONZ kupiła wasz statek.

Czyli pomyślał pan o mnie... ten jeden raz. Kilka lat temu.

Otóż to. A o co chodziło, kiedy zadzwoniła pani do mnie w Portoryko? Co to za sentymentalne bzdury? Lepiej proszę mi powiedzieć, jak sobie radzi doktor Franklin.

Cóż, sam pan wie, rozmawialiście przecież. Jest trochę bardziej posępna niż dawniej. Spodziewałam się, że szybko jej przejdzie, ale to już prawie dziesięć lat, więc myślę, że ta nowa ona już taka jest. Ale nadal świetnie się dogadujemy, znaczy ja i ona. Vincenta też lubi. Całej reszty nie tak bardzo.

Przeszła traumę. Należy się spodziewać takich reakcji.

Chodzi panu o to, że zginęła? Wiem, byłam przy tym. To ja ją zabiłam. A potem ona wróciła, młodsza o cztery lata. Ale nigdy mi nie wyjaśniła, jak to się stało. Czy ona w ogóle to wie?

Nie.

A pan?

Też nie.

Zapewne i tak nie powiedziała by mi pan, gdyby było inaczej.

Prawdopodobnie nie, ale naprawdę nie mam pojęcia. Gwoli ścisłości wypadły jej tylko trzy lata życia. Przez czwarty rok była martwa.

W razie czego proszę mi przypomnieć, żebym nigdy nie szukała u pana otuchy. Nic dziwnego, że Rose kiepsko to znosi. Jestem przerażona, chociaż to nie ja wróciłam z zaświatów.

Przed jej śmiercią Vincent i ja spędzaliśmy z nią po kilka godzin dziennie. Kto był z nami przez cały ten czas?

Doktor Rose Franklin.

No cóż, tamta doktor Franklin nie żyje. A Rose Franklin, z którą pracujemy teraz, nic z tego nie pamięta.

Zdaję sobie sprawę, jakie to pogmatwane. Jestem zdumiony całą tą sytuacją tak samo jak wy. Udzielę wam wyjaśnień, kiedy tylko czegoś się dowiem. Mogę zadać pytanie o charakter pani związku z panem Couture?

Czy przez te lata przyglądał się pan, co robimy?

Z tego, co mi wiadomo, żadne z was nie jest objęte obserwacją.

Jakże miło to słyszeć. Miałam na myśli telewizję. W ogóle pan wie, czym się zajmujemy? Nie żartował pan, mówiąc, że czekają nas głównie parady i sesje zdjęciowe. Kilka godzin dziennie spędzamy w laboratorium, próbując się dowiedzieć czegoś więcej o Temidzie. To daje dziesięć, góra piętnaście godzin tygodniowo, kiedy jesteśmy w Nowym Jorku. W trasie nie prowadzimy żadnych eksperymentów. Reszta naszego czasu wygląda tak, jak pan zapowiadał. Pokazy odbywają się rzadko, bo logistyka to czysty obłęd, a ten robot niszczy wszystko, na czym stanie, nawet nawierzchnię dróg. Niewiele jest miast chętnych na takie wydatki i zapewnienie środków bezpieczeństwa, ale często pozujemy do zdjęć. Głównie reporterom. Odwiedzamy szkoły i szpitale, ale szpitale dziecięce są najlepsze. Vincent świetnie sobie radzi z dziećmi. Robi tę sztuczkę z kolanami, to zawsze pomaga, ale naprawdę ma do nich podejście. Jesteśmy cyrkowcami.

Pewnie pani tego nienawidzi z całego serca.

Tak pan uważa? Ale nie. To przyjemny tryb życia. Dobrze się odżywiamy, pokoje hotelowe są świetne, a Jenny bardzo się o nas troszczy.

Kim jest Jenny?

Menadżerem trasy. Rezerwuje hotele i spełnia nasze zachcianki. Jak już powiedziałam, jesteśmy trupą cyrkową. Kiedy zaczynaliśmy, myślałam, że nie wytrzymam dłużej niż miesiąc, ale jakoś sprawia mi to przyjemność. Chociaż kompletnie się do tego nie nadaję. Wywiady ze mną muszą nagrywać z wyprzedzeniem albo ktoś czuwa, żeby zagłuszać

połowę tego, co mówię. Teraz głównie Vincent rozmawia z dziennikarzami. Z dziećmi też nie wychodzi mi najlepiej. One w ogóle nie wyczuwają ironii. Kiedyś doprowadziłam chorą dziewczynkę do łez. Chyba miała białaczkę i przeze mnie się popłakała.

Nie rozumiem, co przyjemnego pani w tym widzi.

Sama strona propagandowa jest okropna. Gdyby na tym wszystko się kończyło, to... Chodzi o całą otoczkę. Pracujemy po kilka godzin dziennie. Jenny myśli, że nas przemęcza, ale nie ma pojęcia, że w Denver ciągnęliśmy zmiany po szesnaście godzin. Jak to ująć? Wspólnie podróżujemy, mamy mnóstwo czasu dla siebie i jeszcze nie próbowaliśmy nawzajem się pozabijać. Sama nie wiem. To się wydaje takie...

Normalne?

No właśnie.

I udawało się pani przez cały ten czas powstrzymywać pana Couture'a przed oświadczeniami?

Chyba tak. Choć szczerze mówiąc, przez ostatnie dwa lata nawet specjalnie się nie starałam.

Co sprawiło, że zmieniła pani nastawienie?

Och, nic z tych rzeczy. Po prostu nie widziałam już takiej potrzeby. Myślę, że dał sobie ze mną spokój.

Czy to panią martwi?

Może odrobinę. Chyba wgłębi duszy miałam nadzieję, że moje nastawienie faktycznie się zmieni. Wiem, jakie to dla niego ważne. Vincent powinien związać się z kobietą, która chce mieć dzieci tak samo jak on. Chyba w końcu zdał sobie sprawę, że ja taka nie jestem. Zresztą teraz to nie ma znaczenia.

Co pani chce przez to powiedzieć?

Nie wiem. Płyniemy tam, żeby zmierzyć się z robotem obcych. Znow jesteśmy na swoim miejscu. W każdym razie ja czuję, że wróciłam do rzeczywistości. Czy jestem odrażająca, bo tak się czuję?

Niewykluczone, że czeka panią szybka śmierć z rąk przeciwnika, który nad nami góruje, i to w jakiś sposób panią uszczęśliwia. Według mnie „odrażająca” nie jest najtrafniejszym określeniem.

Może nie uszczęśliwia mnie to, ale... czuję, że żyję. Mam na myśli, że właśnie w tej chwili czuję się bardziej sobą. Może nie jestem stworzona do normalności. Może przez te lata próbowałam być kimś innym, niż jestem.

Nie zamierzam pani przeszkadzać w odkrywaniu samej siebie, aczkolwiek jestem przekonany, że istnieje wiele innych sposobów na samospelnienie, które mogą się obyć bez globalnego kryzysu. A może po prostu odstrasza panią perspektywa założenia rodziny? Brała pani pod uwagę taką możliwość?

Hm. Niech się zastanowię... Nie. Tego nie brałam pod

uwagę. Ale dosyć o mnie. Porozmawiajmy o panu... No dobra. A może pan mi powiedziec coś nowego o tym wielkim przybyszu z kosmosu? Rose mówiła, że jest większy od naszej dziewczynki, ale poza tym nic o nim nie wiemy.

Właśnie wyszedłem z odprawy w KOZ. Doktor Franklin i jej zespół wciąż gromadzą dane. Na razie nie mamy nic nowego.

Poruszył się?

Nie. Jego emisja światła też pozostaje bez zmian. Nic nie wskazuje na to, aby odbierał albo wysyłał jakieś sygnały.

W takim razie co mamy robić? Podejść do niego i uścisnąć jego wielką metalową dłoń?

Może się okazać, że to wystarczy. Póki co, zawiniecie do portu London Gateway i przygotujecie sprzęt na placu za terminalem. Tam będziecie czekać na dalsze instrukcje. Mam nadzieję, że do tego czasu dowiemy się czegoś więcej. Nie chciałbym wyjść na pesymistę, ale czy może mi pani powiedzieć, jakim dysponujecie potencjałem bojowym, gdyby doszło do konfliktu? Doktor Franklin poinformowała mnie, że odkryliście, jak spowodować wyładowanie i nakierować strumień energii.

Tak, przekonaliśmy się, że to możliwe. Właśnie w ten sposób zniszczyliśmy laboratorium w Denver. Musieliśmy tylko ustalić, na które z przycisków upadł Vincent. Resztę odkryliśmy przez przypadek. Okazuje się, że kiedy wyzwalamy impuls, a miecz jest

wysunięty, promienie wydobywają się z jego końcówki. Im większy miecz, tym bardziej skupiona wiązka. W Nowym Jorku ćwiczymy na wybrzeżu niedaleko New Rochelle i strzelamy w ocean. Po wystrzale powstaje dziura, w której zmieściłoby się kilka kamienic, i zaraz z powrotem napelnia się wodą. Całkiem niezły widok. Próbowaliśmy również z czymś twardszym i dosyć spory gładz po prostu wyparował. Nie wiem, czy nasza broń poradzi sobie z tamtym robotem, ale zmiecie wszystko, co pochodzi z tego świata.

Wie pan, że zdaniem doktor Franklin wyprawa do Londynu to zły pomysł.

Wiem.

Cóż... Jej opinia przemawia do mnie bardziej niż wszystkie inne argumenty, które słyszałam. Sądzymy, że komuś zależało, abyśmy odnaleźli Temidę, ale założmy, że miało być inaczej. Założmy, że obcy zjawili się teraz, żeby nam ją odebrać, zniszczyć albo... sama już nie wiem. Co więcej, nie możemy przeciwstawić im niczego, co mogłoby się zmierzyć z ich robotem, no, może z wyjątkiem nas. Czy naprawdę chcemy nawiązać pierwszy kontakt z obcą cywilizacją, prezentując nasz jedyny atut - w zasadzie nawet nie nasz - który może zostać odebrany jako zagrożenie? ja tylko pytam. Jestem żołnierzem i jeżeli mi każą zejść go od tyłu i kopnąć w tyłek, to tak zrobię. Ale gdyby dało się uniknąć posyłania mnie i Vincenta na pewną zgubę, wie pan... byłoby miło.

Podzielam to zdanie. Ale musi pani zrozumieć, że władze nie będą długo czekać z założonymi rękami, podczas gdy w samym środku najgęściej zaludnionego miasta w Wielkiej Brytanii stoi

robot z kosmosu. W pewnym momencie weźmie w nich górę ludzka natura i wyślą jakiś komitet powitalny. Jeżeli to nie będzie Temida, która swoją drogą z perspektywy naszych gości może być nie tylko jedynym godnym przeciwnikiem, ale również jedynym swojskim akcentem na tej planecie, będą to Siły Zbrojne Jego Królewskiej Mości. Gdybym miał wybierać, wolałbym posiać tam was.

Przecież mogliśmy ich powitać, nie trzymając broni gotowej do strzału. Pokazać im coś miłutkiego i puszystego. Posłać tam dinozaura Barneya albo stadko kociaków. Oglądał pan *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*? Może by tak zagrać im coś na organach, urządzić pokaz laserowy albo nauczyć ich języka migowego?

Pani pomysły są bardzo podobne to tych, na które wpadli Brytyjczycy. Zastosowali coś, co nazywają procedurą pierwszego kontaktu.

Czy coś mnie jeszcze zaskoczy?

Rozstawili w parku wielkie ekrany i wyświetlają na nich zdjęcia zabytków, różnych gatunków zwierząt i miast. Puszczają też fragmenty starych filmów i piosenki z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Czemu takie starocie? Co jest złego w dzisiejszej muzyce?

Przypuszczalnie wyszli z założenia, że jeśli jakiś sygnał dotarł na tyle daleko, żeby przechwycić go obca cywilizacja, to musiał opuścić Ziemię

dawno temu.

To nie będą rozczarowani, jeśli przylecieli tutaj po Elvisa?

Najwyraźniej chodzi o stworzenie zażyłej atmosfery. Wydaje się to trochę nieporadne, ale musi pani wiedzieć, że naukowcy nie tak wyobrażali sobie odkrycie pozaziemskiej formy życia. Spodziewali się raczej mikrobow albo regularnych sygnałów radiowych, a nie czegoś takiego, z czym teraz mamy do czynienia. Zdają sobie sprawę, jak daremne może się to wszystko wydawać, ale przynajmniej nie utrudnia nam działania i stwarza pozory, że władze coś robią.

No więc jaki jest najbardziej optymistyczny scenariusz? Obcym spodoba się pokaz laserów, wyjdą z wnętrza robota i dadzą się zaprosić na kolację?

Moim zdaniem wszyscy żywią nadzieję, jawnie lub skrycie, że nasi goście po prostu znikną. A jeżeli nie, to liczymy, że to oni zapoczątkują dialog i narzucą warunki wzajemnego zapoznania. Zważywszy na ich niewątpliwą przewagę technologiczną, byłby to najbardziej sensowny i najbezpieczniejszy rozwój wypadków.

Pokonaliby taki kawał drogi tylko po to, żeby zniknąć po paru dniach?

Co ciekawe, prawdopodobnie sami byśmy tak postąpili. W każdym razie pół wieku temu. Może to miejska legenda, ale słyszałem, że w latach pięćdziesiątych amerykańscy wojskowi zaczęli się zastanawiać, co by to było, gdybyśmy natrafili na

rozumne formy życia pozaziemskiego. Opracowali siedmiostopniową procedurę, która zaczynała się od zdalnej obserwacji. Kolejnym krokiem byłaby potajemna wizyta w świecie obcych, a gdyby się okazało, że górujemy nad nimi pod względem uzbrojenia i technologii, rozpoczęlibyśmy serię krótkich ekspedycji, żeby pobrać próbki fauny i flory, a przy okazji wprowadzić jednego czy dwóch przedstawicieli lokalnej cywilizacji. Potem mielibyśmy ujawnić swoje istnienie, a gdyby reakcja obcych okazała się zadowalająca, nawiązać z nimi kontakt.

A gdybyśmy odkryli, że to oni nas przewyższają? Co zakładał plan w takim wypadku?

Modlić się, żeby nie uznali nas za pożywienie.

DOKUMENT NR 1422

DZIENNIK OSOBISTY DOKTOR ROSE FRANKLIN, SZEF SEKCJI NAUKOWEJ, KORPUS OBRONY ZIEMI

Właśnie tego się bałam. To dlatego żałuję, że w ogóle ją znaleźliśmy... A właściwie ja ją znalazłam. Teraz oni tu są. Jej krewniacy. Może przybyli, żeby zabrać ją do domu? Chciałabym, żeby tak było. Chciałabym, żeby zabrali mnie ze sobą. Żeby ten świat pozostał taki, jaki powinien być. Nawet gdybym miała tu zostać, mam nadzieję, że po prostu znikną, bo jakkolwiek podejmą decyzję, w żaden sposób nie zdołamy ich powstrzymać.

Tamten robot - nazwaliśmy go Kronosem - może być nowocześniejszy od Temidy o jakieś sześć tysięcy lat. Zakładając, że nasze cywilizacje podążały podobnymi ścieżkami ewolucji, ich możliwości technologiczne musiały również wzrosnąć w postępie geometrycznym. Przez ostatnie sto lat wynaleźliśmy więcej rzeczy niż w całym tysiącleciu i prawdopodobnie kolejna dekada przyniesie nam jeszcze więcej wynalazków. W pewnym momencie technologia może osiągnąć stały poziom i rozwijać się wolniej, ale nie potrafię nawet sobie wyobrazić, co oznacza sześć tysięcy lat postępu dla tak zaawansowanej cywilizacji. Poważnie - nie potrafię sobie tego wyobrazić. Stwierdzenie, że Temida jest przestarzała, to w tej sytuacji grube niedopowiedzenie. Dla Kronosa może być odpowiednikiem drewnianej lalki. Chciałabym jak

najdłużej utrzymać ją tak daleko od niego, jak to tylko możliwe. Niestety może to być niezbyt długo. Zasugerowałam ewakuację wszystkich mieszkańców Londynu i odczekanie sześciu miesięcy przed podjęciem jakichkolwiek działań. Jeżeli ci obcy chcą nawiązać kontakt, pozwólmy im na to. Co ważniejsze, nie zmuszajmy ich do tego, jeśli przybyli tu w innym celu. Eugene - chyba by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że nazywam go po imieniu - dał mi jasno do zrozumienia, że rząd brytyjski nie jest aż tak cierpliwy. Lubię Eugene'a. Cechuje go otwartość umysłu, jakiej można się spodziewać po zadufanym w sobie sześćdziesięcioletnim generale, ale nienawidzi wojny. Dostyc napatrzył się na zabijanie i wierzę, że podejmie słuszną decyzję.

Użycie Temidy może być faktycznie rozsądnym posunięciem, jeżeli alternatywą jest użycie wojska. Obcy mogą nie znać żadnego z naszych języków, ale jestem pewna, że rozumieją, co oznacza dziesięć tysięcy uzbrojonych po zęby ludzi. Jeżeli któraś z kwestii ujętych w naszym raporcie nie powinna pozostawiać najmniejszych wątpliwości, jest to nasz potencjał obronny. Nie mogę pojąć, dlaczego oni w ogóle rozważają operację zbrojną, skoro jedyną rzeczą, której w jakimś stopniu możemy być pewni, jest to, że nasza broń nie stanowi większego lub nawet żadnego zagrożenia dla tego robota. A ponieważ należy się spodziewać, że Kronos dysponuje co najmniej taką siłą rażenia jak Temida, jest w stanie unicestwić każdą armię w ciągu kilku sekund. Czemu ktokolwiek chce walczyć z tym robotem? W najlepszym wypadku po prostu zostanie zignorowany, a w najgorszym zginie bezsensowną śmiercią, zanim zrozumie, co się dzieje.

Ciekawi mnie jednak, jak ten robot trafił do Londynu. Świadkowie mówią, że to się odbyło bezszelestnie. Po

prostu pojawił się znikąd. Od kilku lat szukamy jakiegoś napędu odrzutowego, ponieważ zdaniem Alyssy powinien znajdować się na wyposażeniu, przede wszystkim dlatego, że byłoby to naprawdę wygodne. Początkowo zakładaliśmy, że Temida ma coś w rodzaju plecaka raketowego, który umożliwi jej latanie. Nie znaleźliśmy niczego takiego, więc zaczęliśmy szukać komend, które mogłyby służyć do sterowania przepustnicą, w nadziei, że spod jej stóp buchną płomienie. Ale jeśli to nie działa na tej zasadzie? Jeśli Temida rzeczywiście jest zdolna do pokonywania długich dystansów, być może przemieszcza się w taki sam sposób, w jaki tamten robot dostał się do Londynu. Jeśli po prostu może się „przerzucić” w dowolnie wybrane miejsce, służące do tego komendy wyglądają zupełnie inaczej. Prawdopodobnie wszystko ogranicza się do wprowadzenia współrzędnych i aktywacji. Oczywiście nie mam pojęcia, jak taki system miałby działać, ale z pewnością Vincent będzie podekscytowany, kiedy mu powiem, żeby spróbował to rozgryźć.

Nie sądzę, aby Kara i Vincent zdołali długo stawiać opór tamtej maszynie, a kiedy Temida ulegnie zniszczeniu, będzie to niewątpliwie oznaczało początek końca dla nas wszystkich.

Mam szczerą nadzieję, że się mylę. Mam nadzieję, że otworzy się właz i z wnętrza tamtego robota wyskoczą pogodni kosmici na dziwnych nogach, którzy będą chcieli nas tylko przytulić. Wszyscy w KOZ są tak podekscytowani nawiązaniem pierwszego kontaktu, że staram się z całych sił nie okazywać pesymizmu. I tak już uważają, że jestem na skraju załamania nerwowego, więc gdybym im powiedziała, jak naprawdę się czuję, zaczęliby podawać mi leki.

Ale nie mogę pozbyć się przeczucia, że wydarzy się coś strasznego.

Któż to wie? Może faktycznie powinnam jak najszybciej coś zażyć? Przekonanie, że jest się jedyną normalną osobą, zazwyczaj niezbyt dobrze świadczy o stanie zdrowia psychicznego. Objawy typowe dla zespołu stresu pourazowego. Ich zdaniem właśnie na to powinnam zwrócić uwagę. Chciałabym, żeby mieli rację. Coś takiego można leczyć. Ale obawiam się, że na to, co mi dolega, jest tylko jedno lekarstwo.

DOKUMENT NR 1427

POSIEDZENIE IZBY GMIN PARLAMENT ZJEDNOCZONEGO KRÓLESTWA WIELKIEJ BRYTANII I IRLANDII PÓŁNOCNEJ

Środa, 6 grudnia

Posiedzenie rozpoczęło się o godzinie 11.30

Modlitwy

[Marszałek Izby Gmin zajmuje miejsce]

Kwestie formalne

6 grudnia: Rozdział nr 1325

Daniel Stewart (Liberalni Demokraci, okręg Rutland i Melton): W kwestii formalnej, panie Marszałku.

W poniedziałek, zwracając się do premiera z pytaniami odnośnie do reakcji władz miasta na zajęcie Regent's Park przez obcych, użyłem w stosunku do pewnego londyńskiego urzędnika bardzo nieprzychylnych określeń i pozwoliłem sobie na oskarżycielskie uwagi pod jego adresem, które znacznie wykraczały poza moje intencje. Urzędnik ten oraz mój wielce szanowny przyjaciel sir Charles Duncan, deputowany z okręgu Ealing Southall, w którym urzęduje ów dżentelmen, gorliwie domagają

się cofnięcia tych słów. Starając się wyrazić, jak bardzo jestem zaniepokojony i przejęty, niewątpliwie użyłem sformułowań, które były krzywdzące i niestosowne. Pragnę za to przeprosić i oficjalnie odwołać tamte uwagi.

Marszałek Izby Gmin: Dziękuję szanownemu deputowanemu za ten przejaw dobrych manier. Czujemy się usatysfakcjonowani.

Sir Charles Duncan (Partia Pracy, okręg Ealing Southland): Nawiązując jeszcze do tej kwestii, panie Marszałku, jestem również wdzięczny szanownemu deputowanemu z Rutland i Melton (Danielowi Stewartowi) za jego wielce uniżone sprostowanie.

Marszałek Izby Gmin: Godności stało się zadość.

6 grudnia: Rozdział nr 1326

Sir Robert Johnson (Partia Konserwatywna, okręg North East Hertfordshire): W kwestii formalnej, panie Marszałku. Poproszę pana o radę. Wczoraj we wniosku nr 654, którego treść jest dostępna w „Hansardzie”, zwróciłem się do ministra obrony (Alexa Dunne'a), prosząc go o potwierdzenie stanowiska NATO w sprawie naszej kłopotliwej sytuacji w Londynie. Minister Dunne zapewnił nas, że NATO popiera naszą politykę nieinterwencji. Mimo to w Paryżu tego samego popołudnia jego francuski odpowiednik, minister Poupart, oznajmił:

Si Londres ne tient pas tête à cet envahisseur, la France, l'OTAN, ou le monde devra s'en charger.

Co w luźnym tłumaczeniu znaczy: „Jeżeli Londyn nie zrobi nic, aby stawić czoło temu intruzowi, zajmą się

tym Francja, NATO albo cały świat". Czy minister obrony chciałby skorygować swoją poprzednią odpowiedź, żeby wszystko się zgadzało?

Marszałek Izby Gmin: Jestem wdzięczny wielce szanownemu i uczonemu panu za jego przekład i przyznaję, że jego biegłość w posługiwaniu się językiem Moliere'a zrobiła na mnie wrażenie. Nie wątpię, iż wielce szanowny i uczony pan ma na względzie dobro tego kraju, jednak zwrócił się pan do mnie z pytaniem, czy minister Dunne chciałby skorygować swoją odpowiedź w oparciu o słowa ministra Pouparta. Udzielanie wyjaśnień za pana ministra byłoby z mojej strony przejawem arogancji, jednak mogę powiedzieć z niejaką pewnością, że minister Poupart nie wypowiada się w imieniu Paktu Północnoatlantyckiego, a jeszcze bardziej pewne jest, że nie piastuje żadnego oficjalnego urzędu jako przedstawiciel świata. Co do Francji, *Premier ministre* - co w luźnym przekładzie znaczy premier - oświadczył dziś rano, że wypowiedź ministra Pouparta była figurą retoryczną, która miała wyrazić jego zaniepokojenie, i że rząd francuski ma wzgląd na niezależność Wielkiej Brytanii w tej kwestii. Dlatego minister obrony nie musi czuć się zobowiązany do korygowania swojej odpowiedzi, ponieważ wszystko idealnie się zgadza. Przejdźmy do spraw bieżących.

Godz. 12.14

Sprawy bieżące (dzień dzisiejszy)

6 grudnia: Rozdział nr 1327

Evakuacja Londynu i środki bezpieczeństwa

Wniosek o zgodę na przedłożenie projektu ustawy
(Rozporządzenie nr 23)

Deborah Horsbrugh (Partia Konserwatywna, okręg Lewisham Deptford): Proszę o udzielenie zgody na przedłożenie projektu ustawy, na mocy której minister obrony będzie miał obowiązek zarządzenia ewakuacji terenów otaczających Regent's Park oraz rozlokowanie Przybocznego Pułku Kawalerii Pancерnej.

Jutro przypada rocznica ataku sił japońskich na Pearl Harbor. Był to atak zarówno niesprowokowany, jak i niezapowiedziany, dlatego prezydent Roosevelt stwierdził, że siódmy grudnia „przejdzie do historii jako dzień niesławy”.

Niezapowiedziany. Atak rzadko bywa poprzedzony ostrzeżeniem, gdyż napastnik chce wykorzystać element zaskoczenia.

W Londynie nikt nie będzie zaskoczony. Gigant, z którym mamy dziś do czynienia, który stoi zaledwie kilka kilometrów od tej sali, nie oddał salwy z ukrycia. Nie zakradł się do nas pod osłoną nocy. Pojawił się o świcie w centrum naszego miasta i stoi tam, nieruchomy i lekceważący, od dwóch dni. Gdyby jutro dokonał agresji na Londyn, byłby to najszerzej nagłośniony i najlepiej zapowiedziany atak w dziejach ludzkości. A mimo to jesteśmy zupełnie nieprzygotowani na to, co może się wydarzyć. Do dziś nie zrobiliśmy absolutnie nic, żeby zabezpieczyć się przed ewentualną agresją. Ludzie mieszkający kilka ulic od miejsca, w którym stoi intruz, wciąż przebywają w swoich domach, wystawieni na niebezpieczeństwo. Ten gmach, który przez blisko tysiąc lat przeobrażał się z pałacu królewskiego w siedzibę nowoczesnej demokracji, jest całkowicie bezbronny. Jeżeli jutro padniemy ofiarą ataku, siódmy grudnia przejdzie do historii jako dzień głupoty, bo nie mogliśmy liczyć na wyraźniejsze ostrzeżenie.

Londyńczycy w większości nie uciekli z miasta, co

dawno powinni uczynić. Zostali w swoich domach, po części z lekkomyślności, ale głównie dlatego, że dziesięć lat temu ulegli propagandzie KOZ. Są przekonani, że żyjemy w bezpiecznym i spokojnym wszechświecie pełnym przyjaznych istot, gdyż uwierzyli instytucji zaabsorbowanej bardziej usprawiedliwianiem własnego istnienia niż bezpieczeństwem ludzi, których powinna chronić. Nasz rząd nie tylko przymykał oko na tę propagandę, ale brał udział w jej szerzeniu.

Przedkładam projekt tej ustawy, dzięki której rząd będzie mógł podjąć słuszne decyzje. Ewakuować centrum Londynu. Wysłać na pozycje bojowe Przyboczny Pułk Kawalerii Pancерnej, żeby londyńczycy, obywatele Wielkiej Brytanii i ludzie na całym świecie, a także obcy, którzy zagnieździli się w samym środku naszego wspaniałego miasta, mogli się przekonać, że naruszanie naszej suwerenności nikomu nie ujdzie bezkarnie. Niech wszyscy wiedzą, że wciąż jesteśmy wielkim i dumnym narodem. Bezczynność po prostu nie leży w naturze Brytyjczyków.

Godz. 12.37

Philip Davies (Partia Pracy, okręg Shipley): Wnoszę sprzeciw wobec projektu ustawy, choćby tylko dlatego, że wielce szanowna deputowana z okręgu Lewisham Deptford przedkłada go w oparciu o nieprawdziwe informacje. Po pierwsze ten gmach nie jest bezbronny, podobnie jak cały Londyn, którego ulice patroluje blisko sześć tysięcy żołnierzy. Kiedy ostatnio się upewniałem, baza Combermere Barracks wciąż była na swoim miejscu, czyli około czterdziestu kilometrów stąd. Przyboczny Pułk Kawalerii Pancерnej

jest w stanie gotowości bojowej i może tu dotrzeć w niespełna czterdzieści minut. Po drugie nie mogę milczeć, kiedy oskarża się londyńczyków o lekkomyślność, ponieważ nie porzucili swoich domów. O ile mi wiadomo, moja wielce szanowna przedmówczyni nadal mieszka w Londynie, co oznacza, że sama jest lekkomyślna albo jest hipokrytką. Będę... [Gwar].

Marszałek Izby Gmin: Spokój. Ma... [Gwar] Ma być spokoj.

Minister obrony (Alex Dunne): Panie Marszałku, jeśli mogę dodać kilka słów do wypowiedzi mojego szanownego kolegi, chciałbym odnieść się do tej groteskowej analogii do Pearl Harbor. Był to atak zarówno niesprokowany, jak i niezapowiedziany. Byłoby miło, gdyby wielce szanowna deputowana z okręgu Lewisham Deptford przysłuchała się własnym słowom. Słowo „niesprokowany” wydaje się kluczowe w tym zdaniu. Historia potraktowałaby ten atak zupełnie inaczej, gdyby dzień wcześniej amerykańska Flota Pacyfiku zajęła pozycje w pobliżu Zatoki Tokijskiej. Nie jestem przeciwny podejmowaniu działań, ale nie zamierzam prowokować istot, o których wiemy bardzo mało albo nie wiemy nic, tylko po to, żeby zachować twarz. Nie wyślę żołnierzy na heroiczną misję, żeby walczyli z przeciwnikiem, którego nie zdołają pokonać. Nie rozpocznę wojny. To byłoby sprzeczne z brytyjską naturą.

Wniosek został złożony (Rozporządzenie nr 23) i przyjęty.

Zarządzono, aby Deborah Horsbrugh i Harry Gilbert przedłożyli projekt ustawy.

Deborah Horsbrugh odczytała projekt.

Odbyło się pierwsze czytanie; drugie odbędzie się 12

grudnia, a następnie projekt zostanie ogłoszony drukiem (Projekt ustawy nr 116).

Ustne odpowiedzi na pytania skierowane do premiera:

Daniel Stewart (Liberalni Demokraci, okręg Rutland i Melton): „Sunday Telegraph” przeprowadził w całym kraju badanie opinii publicznej, z którego wynika, że zdaniem sześćdziesięciu dwóch procent Brytyjczyków działania rządu są niewystarczające. Czy pan premier powie nam, w jaki sposób zamierza rozwiązać obawy społeczeństwa? Czy stanie przed tym zgromadzeniem i oznajmi wprost, że najzwyczajniej zignoruje dwie trzecie obywateli?

Premier (Frederick Canning): To nie jest czas na zabieganie o popularność. W tej chwili musimy podjąć właściwą decyzję, a czasami oznacza to uzbrojenie się w cierpliwość. Musimy zmierzyć się z realiami tej sytuacji. A częścią tych realiów jest fakt, że Wielka Brytania należy do ogólnoświatowej organizacji znanej jako Organizacja Narodów Zjednoczonych. Powołała ona agendę, której jedynym celem jest zażegnywanie kryzysów takich jak ten.

Jesteśmy zobowiązani wobec reszty świata, aby nie podejmować żadnych pochopnych działań, które naraziłyby całą planetę na niebezpieczeństwo. Nie możemy popełnić błędu, gdyż ta sytuacja dotyczy nas wszystkich, nie tylko mieszkańców Londynu. Od tego, jak teraz postąpimy, zależą relacje Ziemi z całym wszechświatem. Nie zamierzam tego bagatelizować i nie zaryzykuję losów ludzkości, ulegając presji.

Daniel Stewart (Liberalni Demokraci, okręg

Rutland i Melton): Chciałbym przypomnieć, że obecny rząd utrzymuje się dzięki poparciu Liberalnych Demokratów. Jeżeli premierowi mniejszościowego rządu zależy na utrzymaniu władzy, nieroztropnie z jego strony jest tak nas zbywać. Panu premierowi się wydaje, że może ignorować obywateli do czasu kolejnych wyborów, ale nie może zignorować nas, w przeciwnym razie do wyborów dojdzie znacznie wcześniej. Partia Liberalnych Demokratów nie da się uciszyć. Jeśli chodzi o mnie, poważnie przemyślę tę kwestię, zanim oddam swój głos w przyszłym tygodniu.

DOKUMENT NR 1429

**ZAPIS ROZMOWY PAN BURNS,
ZAWÓD NIEZNANY**

**Miejsce: restauracja chińska New Dynasty,
Dupont Circle, Waszyngton**

Witam, panie Burns. Pozwoliłem sobie zamówić coś dla pana.

Wziął pan ryż po indonezyjsku?

Kurczaka kung pao. W końcu minęło dziewięć lat.

A jeżeli wczoraj też tu byłem? Wie pan, ludzie jedzą, nawet kiedy pana nie ma w pobliżu.

Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem być protekcyjny. Sądziłem, że pan wyjechał, bo przez cały ten czas nie udało mi się na pana trafić. Kazałem również obserwować tę restaurację i wiem, że nie jadał pan tutaj od czasu naszego ostatniego spotkania.

Obserwować? Przez dziewięć lat? Bardzo mi to schlebia.

Tylko w godzinach pracy.

Nie chciałbym, żeby ktoś wyrabiał nadgodziny z mojego powodu. Tym razem nie ma tu nigdzie snajpera?

Nie. Tym razem nie.

Och, czuję się wzruszony. Jak się pan miewa?

Jestem zajęty. Mógłbym się dowiedzieć, dlaczego pan zniknął?

Nie zniknąłem! Byłem... zajęty. I właśnie wróciłem!

Wrócił pan, akurat w tym samym czasie, kiedy w centrum Londynu zmaterializował się robot z kosmosu. To wygląda na... szczęśliwy zbieg okoliczności.

Wiem! Uwierzy pan, że omal go nie przegapiłem?!

Czy to również dzieło twórców Temidy?

Ach, tak, to ci sami.

Może mi pan powiedzieć, jakie mają zamiary?

Nie mam pojęcia. W tej chwili...

Na razie robot się nie rusza.

Nie musi się ruszać, żeby coś robić. W tej chwili skanuje wszystko i wszystkich dookoła.

W jakim celu?

Może tamci są ciekawscy.

Co powinniśmy zrobić?

Teraz? Jeść!

Proszę... Jesteśmy w przełomowym momencie naszej historii, który może zapoczątkować epokę nowych odkryć albo położyć kres naszej egzystencji. Jeśli jakieś osobiste przekonania sprawiają, że nie chce pan nam pomóc, proszę mieć na uwadze, o jaką stawkę toczy się gra.

Pan naprawdę nie słuchał tego, co mówiłem, jeśli sądzi pan, że coś przed wami ukrywam, kierując się jakimiś poronionymi zasadami. Bez względu na to, co go tutaj sprowadza, robot wykona swoje zadanie, a wy nie możecie nic na to poradzić. Na razie was obserwuje, więc dajcie się obserwować.

Czy on tu jest z powodu Temidy?

Możliwe. Czy to naprawdę ma znaczenie? Jest tu i już.

Moja wiedza na temat podróży kosmicznych jest bardzo ograniczona, ale jeśli przybycie na Ziemię zajęło naszym gościom kilkanaście albo kilkadziesiąt lat, mogą nie zdawać sobie sprawy z tego, co tu się ostatnio wydarzyło, a mianowicie, że znaleźliśmy robota, którego ukryli. Może się to wydać panu głupie...

Nie! Absolutnie. Trochę się pan pomylił. Podróż stamtąd zajmuje im około dziesięciu dni. Ale ma pan całkowitą rację co do tego, że prawdopodobnie nie mają pojęcia, co się wydarzyło w tym czasie. Jeśli w zeszłym tygodniu przeszkrobał pan coś naprawdę

poważnego, może to panu ujść na sucho.

Drwiny z mojej niewiedzy nie powstrzymają mnie przed zadawaniem pytań. Nie może mi pan powiedzieć niczego, co zwiększyłoby szanse na pokojowe rozwiązanie?

Lubi pan wiewiórki?

Proszę pana o pomoc w ratowaniu świata przed konfliktem na apokaliptyczną skalę, a pan mnie pyta o wiewiórki?

Owszem. Mogę panu opowiedzieć o nich coś ciekawego.

Oczywiście. Zamieniam się w słuch.

Wiewiórka co roku potrafi ukryć tysiące orzechów. Jest...

Który gatunek?

Czy to ważne?

Jest wiele gatunków wiewiórek. Niektóre zakopują pojedyncze orzechy w różnych miejscach, a inne gromadzą je nad powierzchnią ziemi.

Nie wiem. Mam na myśli te szare z puszystymi ogonami. Te, które żyją w parkach. Każdej jesieni zakopują tysiące orzechów i szukają ich w zimie, kiedy zgłodnieją. Ale wiewiórki mają maleńkie mózdzki i nie pamiętają dokładnie, gdzie ukryły całe swoje zapasy, więc...

Z badań wynika, że odzyskują jedną czwartą

orzechów, które same zakopały, ale...

Właśnie do tego zmierzam. Dlatego węszą po całej okolicy i znajdują mnóstwo orzechów ukrytych przez inne wiewiórki.

Chciałem powiedzieć, że potrafią zapamiętać położenie bardzo wielu swoich kryjówek. Okazuje się, że w środowisku kontrolowanym wiewiórki nawet w dwóch trzecich przypadków odnajdują własne zapasy po upływie czterech do dwunastu dni.

Czy musi pan ciągle mi przerywać? Ja tu opowiadam historię. I pojawi się w niej wróżka. Uprzedzam, że nie wiem, jakiego gatunku.

Przepraszam.

...

Niech pan mówi dalej.

Za późno. Teraz to ja jestem zaintrygowany. Skąd pan tyle wie o wiewiórkach?

Taka praca. Wiewiórki nie tylko ukrywają orzechy i odkopują je, kiedy zgłodnieją. Sprawdzają swoje kryjówki, żeby się upewnić, czy nie zostały splądrowane, a często... zmieniają rozmieszczenie zapasów. Gdy podczas takich porządków wiewiórka zauważy innego osobnika, który szuka jedzenia, stosuje różne techniki - zagląda w puste miejsca albo udaje, że coś zakopuje - żeby zmylić przeciwnika i nie dopuścić do ujawnienia cennych informacji. Przez krótki

czas przyglądałem się pewnemu programowi badawczemu w nadziei, że uda się odtworzyć te podstępne zachowania wiewiórek w pracy robotów albo automatycznych dronów. Na przykład robot przeznaczony do ochrony magazynów wojskowych mógłby zmienić trasę swojego patrolu, żeby odciągnąć zbliżającego się nieprzyjaciela od miejsca, którego ma strzec.

Taktyka wiewiórki.

W rzeczy samej. A teraz proszę opowiadać dalej.

Na czym to ja skończyłem. Aha, zatem wiewiórki zapominają, gdzie ukryły większość swoich zapasów. Pewnego dnia w jakimś parku zjawia się dobra wróżka i widzi młodą wiewiórkę, która nadaremnie kopie w śniegu. Serce jej się kraje na widok tego wychudzonego biedactwa, poturbowanego przez inne wiewiórki i przymierającego głodem, więc posypuje zwierzątko odrobiną magicznego proszku i odlatuje z uśmiechem na twarzy.

Mały gryzoń kicha, bo proszek wierci go w nosie, i nagle przypomina sobie, że zakopał żołądź pod pobliskim drzewem. Och, a inny tam! I tam! I jeszcze tam! Wróżka obdarzyła go pamięcią fotograficzną, aby mógł odnaleźć całe swoje zapasy, które tak skrupulatnie ukrył jesienią.

Na wiosnę wróżka, wciąż dumna ze swojego dobrego uczynku, znów zjawia się w parku, licząc, że zastanie swoją wiewiórkę w dobrym zdrowiu. Podchodzi do pierwszej, którą zauważa na ławce, ale przypomina sobie, że tamta miała wystrzępiony ogon. Inna wspina się właśnie na drzewo, ale to też nie ta. Tego dnia jeszcze ze sto razy wróżka przeżywa podobny zawód i robi sobie wyrzuty, że nie zabarwiła swojej wiewiórki

na różowo ani nie zaznaczyła jej w jakiś inny sposób, żeby móc ją odróżnić od tysięcy innych. Kiedy nadchodzi wieczór, wróżka opada już z sił i zaczyna się martwić. Sięga po swój magiczny proszek i pierwszą napotkaną wiewiórkę obdarza zdolnością mówienia. „Cześć, wiewióreczko” - zagaduje do niej. „O kurde... Co jest? Ja umiem mówić!” - odpowiada zwierzątko. Wróżka wyjaśnia, że zimą spotkała pewnego młodego, wygłodzonego gryzonia, któremu wyczarowała idealną pamięć, i teraz bardzo chciałaby go znaleźć. „Pewnie masz na myśli Larry’ego” - odpowiada wiewiórka z zakłopotaniem. „Niestety nie przeżył”.

Starając się ocalić słabowitą wiewiórkę, wróżka nie pomyślała o wszystkich innych ogoniastych głodomorach, które żyją w parku. Zwykle wiewiórki zapomniały już po około dwudziestu minutach, gdzie ukryły swoje pożywienie. Kiedy poczuły głód, zaczęły przeszukiwać cały park, rozkopując wszystkie dostępne miejsca, żeby zdobyć coś do jedzenia. Natrafiły na część własnych zapasów, ale w większości przypadków ich pamięć okazała się zawodna i zjadły całe mnóstwo orzechów, które zmagazynowały na zimę inne wiewiórki, w tym nieszczęsny Lany.

Dzięki swojej idealnej pamięci Lany bezbłędnie odnalazł drogę do każdego drzewa, kamienia, krzewu, pagórka, kosza na śmieci czy latarni, pod którą zakamuflował bezcenne żołądźcie. Na jego nieszczęście inne wiewiórki przekopały cały park i świadomie lub nie zjadły większość jego zapasów.

Gdyby Larry był tak samo głupkowaty jak jego pobratymcy, natrafiłby przy okazji na część ich prowiantu, on jednak był mądrzejszy i odwiedził po kolei wszystkie trzy tysiące sześćset osiemdziesiąt trzy swoje kryjówki, ale garstka żołądździ, które odzyskał, nie wystarczyła, żeby zapewnić mu przetrwanie. Lany

zmarł kilka tygodni później.

Wróżka jest zdruzgotana tą wiadomością i odlatuje z płaczem. Zapomina o gadającej wiewiórce, której życie zamieniło się w koszmar, gdyż jako jedyne zwierzę w parku posiadające zdolności przemawiania ludzkim głosem, napędma wszystkim stracha.

To już koniec?

Tak! I jak się panu podoba?

Cóż... Lubię opowieści o wiewiórkach, a pańska była niezwykle interesująca. Doskonale opisał pan rozpacz biednego Larry'ego i zasmuciłem się na wieść o jego śmierci. Mam nadzieję, że nie osądzi mnie pan zbyt surowo za brak przenikliwości, ale co to wszystko ma wspólnego z wizytą obcych w Londynie?

Och, z nimi nie ma to absolutnie nic wspólnego. Chodzi o pana.

To ja jestem tą wiewiórką?

Owszem, jest pan tym biednym, wygłodniałym Larrym. Mógłbym powiedzieć panu wiele rzeczy, napełnić pańską głowę wszelkiego rodzaju informacjami, których pan szuka, żeby obrać jak najlepszy kierunek działania. Niestety oni nie przybyli tutaj do pana. Interesuje ich w tej chwili cały rodzaj ludzki, ale nie pan. Gdybym uchylił rąbka tajemnicy, starałby się pan ze wszystkich sił przejąć kontrolę nad sytuacją, a do tego nie mogę dopuścić. To by się skończyło nieuchronną porażką, ponieważ nie jest pan jedyną wiewiórką w parku. Być może zdołałby pan powstrzymać NATO i Brytyjczyków, ale nie potrwaloby

to dłużej niż kilka dni. Potem ludzie zrobiliby swoje, a pan czułby się nieszczęśliwy, obwiniając się o coś, na co tak naprawdę nie miał pan wpływu. Polubiłem pana. Nie chcę, żeby czuł się pan nieszczęśliwy.

Skąd pan może wiedzieć, co planuje NATO?

Obiło mi się o uszy. Różne rzeczy można usłyszeć tu i tam. Chodzi mi o to, że nie jest pan w stanie zapanować nad każdym mieszkańcem tej planety, choćby nie wiadomo jak bardzo panu zależało.

Co w takim razie powinienem zrobić? Nie mogę przecież usiąść z założonymi rękami i biernie się przyglądać.

Ależ ma pan obsesję na punkcie kontroli! Proszę tylko robić to, co do tej pory, a inni ludzie zajmą się resztą.

A co potem?

Skąd mam wiedzieć? *Que sera, sera...*

...

Nie wygląda pan na zadowolonego z mojej odpowiedzi.

Bo nie jestem.

Wspominałem już, jak bardzo podoba mi się ten garnitur? Szałowo pan dziś wygląda.

Dobra, poddaję się. Chciałbym jednak poprosić pana o pomoc w innej sprawie, o której, mam

nadzieję, zechce pan porozmawiać bez oporów. Doktor Franklin jest bardzo niespokojna. Zmaga się z natrętną myślą, że nie jest sobą. Na ile to możliwe, chciałbym jej pomóc zrozumieć, co ją spotkało. Nie potrafię tego wyjaśnić i w ogóle jest dla mnie niewyobrażalne, przez co teraz przechodzi.

Jak to nie jest sobą? Doktor Franklin to doktor Franklin. Gdyby nie była sobą, byłaby kimś innym.

Czy jest klonem?

Klonem? Oczywiście że nie. Czy ona wygląda na dziesięcioletnią dziewczynkę? Musiałaby być niemowlęciem, kiedy ją znaleźliście. Naprawdę pan sądzi, że porzuciłbym noworodka na poboczu drogi?

Miałem na myśli dorosłego klona.

Ach, filmowego klona! Nie robimy takich. Klony się rodzą. Nie da się od razu wyhodować w pełni dojrzałej osoby.

To by oznaczało, że odbyła podróż w czasie, co jest dla mnie tak samo nieprawdopodobne. Szczerze mówiąc, nie potrafię znaleźć wyjaśnienia, które nie podpadałoby pod fantastykę naukową.

Podróż w czasie! Tak, podjechałem po nią deloreanem z powrotu do przeszłości i zapytałem, czy chce się przejechać z prędkością osiemdziesięciu ośmiu mil na godzinę.

Może pan sobie ze mnie kpić do woli, ale ja

wiem, że coś się z nią stało. Jeśli nie przerzucił jej pan z przeszłości, to co w takim razie?

Proszę wybaczyć, nie powinienem był. Swoją drogą mówiono mi, że to możliwe, wie pan, podróże w czasie. Ale nie można przesyłać materii, tylko informacje o przedmiotach i ludziach, żeby dokonać ich rekonstrukcji w innym czasie. Nie dysponujemy technologią pozwalającą na przeniesienie kogoś w inny wymiar. Po prostu wzięliśmy to, z czego się składała, i stworzyliśmy ją od nowa.

Cztery lata młodszą?

Cztery lata przed tym, jak znów się pojawiła, miała wypadek samochodowy w drodze do domu. Uderzyła w tył pewnej furgonetki. W tej furgonetce znajdowało się urządzenie o potężnej mocy, które służy do... przenoszenia. Zapisuje ogromną ilość danych obiektu, który chcemy przenieść; wystarczająco dużo, by zrekonstruować go w innym miejscu. Kiedy doktor Franklin była nieprzytomna, moi współpracownicy wciągnęli ją do furgonetki i zeskanowali. Nigdzie jej nie przenieśli, a tylko zachowali dane na wypadek, gdyby stało się z nią coś takiego jak teraz. To coś w rodzaju kopii zapasowej. Fakt, jej kopia była cztery lata starsza, kiedy jej użyliśmy.

Czemu ją śledziliście?

W zasadzie to ona śledziła nas. Wjechała w tył naszej furgonetki.

Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Odpowiedziałem. Chcieliśmy mieć jej dane na

wypadek, gdyby coś się z nią stało.

Ale dlaczego jej dane, a nie na przykład...

Pańskie? Może dlatego, że nie zadawała tylu pytań. Cóż mogę panu powiedzieć? Podoba się nam. Jest... wyjątkowa.

Więc osoba, z którą rozmawiałem dziś rano, jest kopią.

Jest tym, kim jest. To ta sama osoba, ni mniej, ni więcej.

Przed chwilą powiedział mi pan, że odtworzyliście ją, z... kopii zapasowej. To oznacza, że sama jest kopią.

Naprawdę powinniśmy na tym zakończyć tę dyskusję, w przeciwnym razie może pan się poczuć niezręcznie.

Muszę przyznać, że nie jestem do końca pewien, czy chcę wiedzieć więcej. Ale jestem absolutnie przekonany, że doktor Franklin chce się tego dowiedzieć.

Chodźmy zatem dalej w głąb króliczej nory. Najpierw podstawowy kurs wiedzy o wszechświecie. Wszystko we wszechświecie, dosłownie wszystko, jest zrobione z tej samej masy. Weźmy coś na tyle konkretnego, żeby łatwiej było panu to pojąć. Atomy. Zgodzi się pan, że człowiek jest zbudowany z atomów?

Chodziłem do szkoły.

Nie to miałem na myśli. Zgadza się pan, że składamy

się z atomów i niczego więcej? Nie z atomów i jakiejś cudownej mocy, która sprawia, że jesteśmy ważniejsi od całej reszty wszechświata.

Zdaję sobie sprawę, że moje ciało składa się z atomów.

Myli się pan. Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. Chodzi mi o pańskie wspomnienia, smak dzisiejszego śniadania albo rzeczy, do których nigdy nie przyznał się pan rodzicom, czyli to wszystko, co pana tworzy. Jak pan myśli, z czego jest pan złożony?

Czy odpowiedź to słowo zaczynające się na „A”?

Proszę nie zgrywać cwaniaka. Wydaje się panu, że pan to rozumie. Wiem, że chce pan to zrozumieć. Proszę pomyśleć o tym, jak się pan czuł, przeżywając pierwszą miłość, albo o tym wątpieniu, które czuje pan teraz. Oczywiście wszystko to można opisać naukowo, ale trudno panu uwierzyć, że z tego się składa pańskie jestestwo, bo wydaje się to zbyt pospolite, a pan chce być wyjątkowy. Każdy chce. Ja też!

Chce pan przez to powiedzieć, że nie mam duszy?

Nie chciałbym być niegrzeczny, ale jeśli istnieją niebiosa, to wątpię, aby wydali tam fetę na pańską cześć.

Źle mnie pan zrozumiał. Nie jestem religijny i nie wierzę, że będę istniał wiecznie. Nawet bym tego nie chciał.

Zatem domyślam się, że to zależy od pańskiej definicji duszy. Widzę, że niewiele się pan nad tym zastanawiał.

Co pan chce przez to powiedzieć?

Czy pan wie, co się dzieje w pańskim mózgu, kiedy pan myśli?

Neurony wysyłają impulsy elektryczne.

Doskonale. Każda myśl jest zjawiskiem fizycznym. Wiemy to ponad wszelką wątpliwość i możemy obserwować ten proces. Wiemy również, że emocje można opisać w podobny sposób. Oczywiście wszystkie nasze doznania wzrokowe, słuchowe, dotykowe, smakowe i węchowe są powiązane z ciałem.

Do czego pan zmierza?

Że naprawdę nie pojmuję, czego pan tak kurczowo się trzyma, skoro nie chodzi o życie wieczne. Dusza, gdyby posiadał pan takową, byłaby tym elementem pańskiej osoby, którego nie da się sprowadzić do zlepek atomów, nie miałyby fizycznego wymiaru, nie mogłaby niczego usłyszeć, poczuć ani zobaczyć. Nie byłaby zdolna do myślenia. A bez myśli nie ma poczucia tożsamości. Nie mogłaby też niczego przeżywać. Pańska dusza byłaby... wyrwą... pustką. W czymś takim nie ma nic wyjątkowego.

Wybacz pan, ale pozostanę przy swoich przekonaniach... Jeśli w coś wierzę, jestem czymś więcej niż tylko zbiorem elementów.

Ależ jest pan czymś więcej! Dużo więcej! Jak

większość rzeczy na tym świecie. Jak zauważył Wittgenstein, kiedy mówimy o miotle, nie jest to wypowiedź na temat trzonka i szczotki. Wszechświat to cudowne miejsce, w którym prawie wszystko jest czymś więcej niż tylko sumą swoich składników. Weźmy dwa atomy wodoru - wszędzie ich pełno - dodajmy atom tlenu i bum! Otrzymujemy wodę! Czy woda to tylko związek tlenu i wodoru? Nie sądzę. To jest woda! Czy woda ma duszę?

Czy możemy na razie porzucić sferę mojej duchowości i porozmawiać o doktor Franklin?

Nie ma sprawy. A więc z czego pan się składa?

...z atomów.

Świetnie. Z atomów, które składają się z cząstek elementarnych, a te z kolei są zbudowane z jeszcze czegoś innego. Materia. Jest pan niezwykle złożoną, godną podziwu kompozycją materii zachowującą spójność w temperaturze pokojowej.

Nie chciałbym przerywać, ale w temperaturze pokojowej?

W przybliżeniu. Wszechświat dąży do równowagi. To dlatego nie rozpada się pan na miliardy maleńkich cząsteczek, zamieniając się w kałużę bezkształtnej mazi. Ale jest to możliwe tylko w tej temperaturze. Wystarczy ją podnieść albo obniżyć o sto stopni, a zacznie się pan rozpadać.

Pokrzepiające.

Nie wątpię. Pozwolę sobie o coś zapytać. Czy sądzi

pan, że pańskie atomy różnią się czymś od tych, z których są zbudowane te krzesła, Słońce albo kurczak kung pao?

Proszę mnie oświecić.

Oczywiście nie. Ma pan w sobie wiele z tego, co pan zjadł. Po części jest pan zbudowany z tej samej materii co banan. A więc gdybym wziął dwa atomy wodoru z tej solniczki i włożył na miejsce dwóch atomów wodoru w pańskim ciele, czy stałby się pan kimś innym?

Nie. Nie sądzę, aby to zmieniło moją istotę.

A gdybym podmienił więcej niż dwa? Powiedzmy wszystkie? Rozumie pan, do czego zmierzam. Jeżeli w jakimkolwiek innym miejscu wezmę garść materii i ukształtuję ją w identyczny sposób, otrzymam... pana. Jest pan, mój przyjacielu, niezwykle złożoną, godną podziwu kompozycją materii. Nie ma żadnego znaczenia, z czego jest pan zbudowany. Wszystko we wszechświecie ma taki sam skład. Pan jest tylko kompozycją. Pańska istota, jak pan to ujął, jest zbiorem informacji. Nie ma znaczenia, skąd pochodzi materia. Czy sądzi pan, że jest to ważne?

Nie, nie sądzę.

A zatem, jak już powiedziałem, doktor Franklin to doktor Franklin. Gdyby nie była sobą, byłaby kimś innym.

Muszę stwierdzić, że jest pan dzisiaj wyjątkowo nieuczynny. Dołożę starań, aby jak najdokładniej streścić doktor Franklin naszą rozmowę, ale

przyznam szczerze, że byłbym zdumiony, gdyby odnalazła trwałą pociechę, słuchając o atomach i bananach.

Jeżeli to poprawi panu samopoczucie, porozmawiam z nią i opowiem jej dokładnie, co z nią zrobiliśmy. Chętnie pomogę, jeśli pan sobie życzy.

Dlaczego ja nie mógłbym jej tego przekazać?

Nie powiedział pan jej o mnie, prawda?

Nie.

Naprawdę powinien pan z kimś porozmawiać o swojej obsesji na punkcie kontroli.

Chcę pana o coś spytać, zanim zaczniemy jeść.

Mówię poważnie!

Ja też. Mam jedno pytanie.

Beznadziejny przypadek z pana, nieuleczalny i całkowicie beznadziejny... Co pan chce wiedzieć?

Dlaczego zabraliście ją akurat do Irlandii?

Aparatura znajdowała się w pobliżu. Jak już wspomniałem, jest to urządzenie służące do przenoszenia obiektów, a im bliżej się je przenosi, tym łatwiej wyznaczyć miejsce, w którym się pojawiają. Nie chcieliśmy, żeby zmaterializowała się na środku jeziora albo na ruchliwej autostradzie. To nie jest takie łatwe, jak mogłoby się wydawać.

To się wydaje niewiarygodne i naciągane, ale na pewno nie jest łatwe.

W takim razie jest tak trudne, jak się wydaje. Może nawet trudniejsze.

Może będę tego żałował, ale zapytam, czym to się różni od podróży w czasie.

Trafne pytanie. Doktor Franklin mogła odnieść wrażenie, że wszystko to odbyło się błyskawicznie, więc dla niej nie ma żadnej różnicy. Za to z naszej perspektywy, no cóż, chyba można by to nazwać powolną, bardzo powolną podróżą w czasie.

Nie rozumiem.

Nie możemy przesyłać informacji w przyszłość, ponieważ, jak pan zauważył, nie wiemy, dokąd trafią. Jak by to ująć? Wszystko we wszechświecie się porusza i to naprawdę szybko. Ziemia wiruje wokół własnej osi z prędkością tysiąca mil na godzinę i pędzi sześćdziesiąt sześć razy szybciej po swojej orbicie wokół Słońca. Słońce zaś rozwija prędkość około pół miliona mil na godzinę, krążąc po naszej Galaktyce. Oczywiście Droga Mleczna również się porusza w zbiorze innych galaktyk, które tak samo się poruszają, i to niewyobrażalnie szybko. I wszystko to dzieje się we wszechświecie, który nieustannie się rozszerza. Nie sposób ogarnąć tej przestrzeni, jaką przebywamy w ciągu czterech lat. Z pewnością istnieje jakaś trafna analogia, ale w tej chwili nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby odzwierciedlić tę sytuację. Tak czy inaczej, nie jesteśmy w stanie tego dokonać.

Jednak informacje o doktor Franklin przemieściły się w czasie. Przeleżały w szufladzie cztery lata i

dokładnie tyle zajęła im podróż do przyszłości.

Zatem pomiędzy swoją śmiercią a ponowną materializacją doktor Franklin nie istniała, ale istniały dotyczące jej informacje, ukryte w jakiejś szufladzie.

Mówiłem panu, że ta rozmowa to zły pomysł. Och, dzięki Bogu! Nasze jedzenie jest już gotowe.

DOKUMENT NR 1433

DZIENNIK OBSERWACJI - STANOWISKO NR 3

Miejsce: Kwatera główna Korpusu Obrony Ziemi, Nowy Jork

[01:01] Jest szósta rano czasu londyńskiego. Na stanowisku numer trzy Jamie McKinnon. Dalszy ciąg zdalnej obserwacji Regent's Park. Monitorowanie przy pomocy kamer od jeden do pięć rozmieszczonych na południowym wschodzie.

[01:03] Wybieram kamerę numer jeden. Nakładam obraz z godziny... piątej zero zero. Idealnie pasuje. Brak ruchu.

[01:08] Zmiana trybu obserwacji. Przejście na podczerwień. Brak zmian we wskazaniach czujników termicznych. Odczyt cieplny jest równomierny. Temperatura powietrza w Londynie wynosi... osiem stopni Celsjusza, czyli czterdzieści siedem stopni Fahrenheita. Robot ma temperaturę dziesięć stopni Celsjusza, czyli dwa stopnie wyższą od otoczenia.

[01:21] Powrót do trybu obserwacji optycznej. Lea, czy ktoś sprawdzał poziom promieniowania elektromagnetycznego?

[Nadal żadnych zmian. On jest jak z kamienia.]

Czemu mnie to nie dziwi?

[01:31] Przełączam na kamerę numer dwa. Jak to się stało, że znów trafiliśmy na nocną zmianę?

[Przydział według stażu]

Och, daj spokój! Obydwoje jesteśmy tu dłużej od Nathana, a jakoś nigdzie go nie widzę. Myślę, że nasza mroczna pani doktor po prostu mnie nie cierpi.

[Ciiicho! Usłyszysz cię!]

Jeszcze tu jest? Czy ta kobieta w ogóle kiedyś sypia?

[Wracaj lepiej do pracy.]

[01:43] Co to jest, psiakrew? Lea, podejdź tu na chwilę. Powiedz mi, co widzisz...

[To tylko jakiś ptak wpadł na robotę. Bardzo często się to zdarza.]

Nie, zaczekaj. Spróbuję to powiększyć. A co teraz widzisz?

[O w mordę!]

Wołaj doktor Franklin!

[01:49] *[O co chodzi, Jamie?]*

Dzień dobry, doktor Franklin. Przepraszam, że niepokoję panią o tej porze, ale proszę się temu przyjrzeć. To jest zapis z kamery numer dwa sprzed około dziesięciu minut.

[Widzę tu tylko ptaka.]

Chwileczkę. Teraz cofnę nagranie i niech pani spojrzy na to z bliska.

[Wygląda, jakby uderzył w...]

No właśnie.

[Ile to jest na oko? Około stopy? Ale to może być tylko złudzenie optyczne. Czy kamera numer cztery zarejestrowała to samo?]

Oczywiście. Cofam do szóstej... czterdzieści dwie. To powinno być jakoś w tym miejscu.

[Jest! Cholera! Odtwórz to jeszcze raz...]

Mamy obudzić generała?

[Wolałabym mieć coś więcej oprócz tego ptaka... Niech się zastanowię.]

Deszcz.

[Co?]

W nocy padał deszcz.

[Aha. Dobrze się składa, Jamie. Możemy to zobaczyć?]

Jasne. Proszę chwilkę poczekać. Czas nagrania...

Spróbujmy o trzeciej. Nie ma.

[Wcześniej. Sprawdź o wpół do drugiej.]

Jest. Pada.

[Mc tu nie widać. Przełącz na podczerwień.]

O cholera!

[Na robota nie spada ani jedna kropla. Nieźle to wykombinowałeś, Jamie.]

Jak mogliśmy tego nie zauważyć?

[Niczego nie udało nam się wykryć, więc zapomnieliśmy, że trzeba używać oczu. Możesz zmierzyć grubość pola wokół robota?]

Już się robi... Dwadzieścia osiem centymetrów. To teraz zadzwonimy do generała?

[Muszę zadzwonić do Kary. Oni nie będą wstanie się bronić. Są jak barany idące na rzeź.]

DOKUMENT NR 1439

ZAPIS ROZMOWY VINCENT COUTURE,
KONSULTANT,
KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: gdzieś na Atlantyku

Ile jeszcze zostało wam do celu, panie Couture?

Rano będziemy na miejscu. No i dobrze, bo zaczynam cierpieć na chorobę morską. Przez ostatnie dwa dni porządnie nami kołysze.

Doskonale to rozumiem. Też nie czuję się najlepiej na morzu.

Cieszę się, że pan zadzwonił. Kara właśnie skończyła rozmawiać z doktor Franklin. O co chodzi z tym polem siłowym? Powiedziano nam, że nie udało się wykryć niczego wokół robota.

Bo to prawda. I nadal nie potrafimy niczego wykryć. Ale widziałem nagranie i może mi pan wierzyć na słowo, że nic nie jest w stanie zbliżyć się do tego robota na odległość mniejszą niż jedenaście cali. Doktor Franklin sądzi również, że jeśli dojdzie do walki, wasza broń nie dosięgnie Kronosa i nie zdoła zrobić z nim tego, co ze zwykłą materią.

Na to sam już wpadłem.

Jak?

To logiczne. Strumień wydobywający się z miecza jest po prostu ukierunkowaną wersją rozproszonego impulsu, który wyzwala Temida, kiedy jest naładowana energią. Gdyby ten impuls był dla niej groźny, nie przeżylibyśmy incydentu na lotnisku w Denver. Dlatego wiem, że Kronos nie wyparuje, kiedy do niego wygarniemy, ale czy nasza broń cokolwiek mu zrobi?

Być może wasza broń nie jest całkowicie bezużyteczna. Zdaniem doktor Franklin wiązka energii może jakoś zadziałać na robota obcych, o ile go dosięgnie, ale najprawdopodobniej nie wyrządzi mu większej szkody.

Chce pan powiedzieć, że marnowaliśmy czas, ćwicząc strzelanie? Kara wyrobiła sobie całkiem niezłe oko.

Strzelaliście w wodę.

Raz zmiotliśmy skałę z powierzchni ziemi.

A czy ta skała robiła uniki i też do was strzelała?

Nie, ale była ogromna. A miecz i tarcza? One na pewno mogą go uszkodzić. Podczas ćwiczeń z tarczą zrobiliśmy wgniecenie w lewej stopie Temidy. Tylko czy zdołamy się przebić przez to pole siłowe?

Tego nie wiemy. Ale nawet jeśli to możliwe, generał Govender zwrócił uwagę na fakt, że macie zbyt słabe wyszkolenie bojowe i nie

jesteście przygotowani do walki z prawdziwym przeciwnikiem.

Jesteśmy trochę za niscy, żeby się mierzyć z olbrzymami. A pański znajomy? Czy on nie mógłby pomóc?

Nie wiem, o kim pan mówi.

Wie pan. O tym, który powiedział panu o Temidzie, ojej imieniu, o tytanach i obcych. Wie pan, o kogo chodzi.

Ja... Nie mogę...

Teraz kombinuje pan, jak mnie przekonać, że dowiedział się pan tego wszystkiego bez niczyjej pomocy, ale nie przychodzi panu do głowy nic, co nie brzmiałoby całkiem bezsensownie. Zgadłem?

Jest pan blisko. Dość powiedzieć, że gdyby taki znajomy w ogóle istniał...

Przepraszam, ale czy pański plan wyjścia z tej sytuacji opiera się na hipotezach?

Mam za sobą ciężki dzień. Jak już powiedziałem, gdyby taki znajomy istniał, niestety nie mógłbym liczyć na jego pomoc.

Przydaliby się panu bardziej uczynni znajomi. A dlaczego on nie może pomóc? Przecież nie chce, żebyśmy wszyscy zginęli.

Przypuszczalnie sam nie wie, co robić. Może również być przekonany, że wynik tej

konfrontacji jest z góry przesądzony i nie da się go uniknąć. Tak czy inaczej, uważam, że ma dobre intencje, nawet jeżeli nie potrafię do końca pojąć jego oporów.

To wszystko domysły... Wygląda na to, że ten facet zataja przed panem coś ważnego. Ale co ja mogę wiedzieć? Nawet go nie znam.

Nie mogę temu całkowicie zaprzeczyć.

Więc powiedzmy to sobie wprost. Nikt nam nie pomoże. Nasza broń dalekiego rażenia jest bezużyteczna. Miecz prawdopodobnie tak samo, a nawet gdyby było inaczej, to kiepsko się nim posługujemy. Chce mi pan powiedzieć coś miłego?

To bardzo trzeźwa ocena sytuacji. Dlatego rozumie pan, dlaczego żywię nadzieję, że wasza obecność nie zostanie odebrana jako przejaw agresji.

Nadzieję? Nie chcę wyjść na pesymistę, ale co zrobimy, jeśli nie będzie zachwycony naszym widokiem? Jak mamy z nim walczyć, skoro nawet nie jesteśmy w stanie go dotknąć?

Nie musicie walczyć. Najrozsądniejszym wyjściem byłoby odwołanie tej konfrontacji.

Mówi pan za siebie, czy za KOZ?

To moja opinia.

Tak myślałem. I jak pan to sobie wyobraża? Wciągu niecałych dwunastu godzin dopłyniemy do Londynu i

przygotujemy cały sprzęt. Nie sędzę, aby kazali nam długo czekać na wkroczenie do akcji.

Dlatego sugerowałbym, aby opóźnić wasze przybycie na miejsce.

Kapitan raczej mnie nie posłucha.

Raczej nie.

O nie, nic z tego! Nie uprowadzimy tego statku. Na pokładzie jest masa żołnierzy. Kara jest w tym dobra, ale bez przesady.

Nie docenia pan siebie, panie Couture. Pan również całkiem nieźle się sprawdził jako żołnierz. Ale nie miałem na myśli zbrojnego przejścia jednostki. Bunt na pokładzie nie byłby mile widziany w takich okolicznościach. Chodziło mi raczej o metody, jakie stosował europejski ruch robotniczy ponad sto lat temu.

O tak. Powinniśmy się zjednoczyć. Niech wiedzą, że z nami nie ma żartów.

Pod koniec dziewiętnastego wieku francuski anarchista Emile Pouget w swoim wystąpieniu na kongresie związkowym opowiedział się za spowalnianiem tempa pracy. Brytyjscy związkowcy, którzy stosowali z powodzeniem tę strategię, nazywali ją „ceregieniem”, ale nie dało się tego dosłownie przetłumaczyć na francuski. Za to Francuzi od dawna porównywali niezdarną i powolną pracę do człapania w drewnianych chodakach, czyli sabotach, dlatego Pouget w swoim wystąpieniu ukuł nowe

określenie - sabotaż.

Chce pan, żebym uszkodził statek?

Jeśli zrobi to pan, jak należy, wasze przybycie się odwlecze i zyskamy trochę cennego czasu. No i mam nadzieję, że nie żywi pan urazy.

O co?

Że udzielam lekcji francuskiego francuskojęzycznemu lingwiście.

Och, tego akurat nie wiedziałem. Nigdy nie zajmowałem się francuską etymologią.

Zdaję sobie sprawę, mimo to czuję się niezręcznie, kiedy tak kogoś pouczam na gruncie jego specjalizacji.

Może pan to odkupić, dostarczając mi trochę wiedzy technicznej. Mamy tu pomieszczenie zwane maszynownią, więc prawdopodobnie znajdę tam jakiś silnik, ale nie mam bladego pojęcia o silnikach, zwłaszcza tych okrętowych. A z całą pewnością nie potrafiłbym uszkodzić takiej maszyny „jak należy”.

Zapewnię panu wszystkie niezbędne informacje. Ale jeśli nie czuje się pan na siłach, mogę poprosić o to pannę Resnik.

Poradzę sobie. Ale w zasadzie czemu nie? Znaczy, niech pan lepiej porozmawia z Karą.

Wolałbym przeprowadzić tę operację tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Panna Resnik

jest bardziej skłonna do ulegania impulsom niż pan.

Hm. Nie byłbym tego taki pewny. Przez ostatnie dwa lata stała się... całkiem roztropna. Nie poznałby jej pan.

A pan? Pan ją poznaje?

Tak. W środku się nie zmieniła. Od czasu do czasu dostrzegam jej prawdziwą naturę. Nie żeby mi się nie podobała jej poskromiona wersja - w końcu robi to ze względu na mnie. Musiałbym być prawdziwym dupkiem, żeby mieć do niej o to pretensje, ale czasami się zastanawiam, czy zmądrzała, czy po prostu się załamała. Rzecz w tym, że nie wygląda na nieszczęśliwą. Twierdzi nawet, że jest szczęśliwa, i zazwyczaj jej wierzę.

A co pan zrobił dla niej?

Nie jestem pewien, czy zrozumiałem pytanie.

Czy pan również zmienił jakoś swoje oczekiwania?

Oczekiwania względem czego?

Życia, miłości... partnerstwa czy założenia rodziny. Może to nie moja sprawa, ale odnoszę wrażenie, że panna Resnik znacząco zmieniła swoje nastawienie do wielu kwestii, żeby dostosować się do pana. Chyba powinien pan wyjść jej naprzeciw. W każdym razie wydawała się w dobrym nastroju, kiedy ostatnio z nią rozmawiałem.

...

Śmieje się pan?

Tak. Ona *jest* w dobrym nastroju. Oto właśnie chodzi. Od dawna, bardzo dawna nie widziałem jej tak wesołej. Oczywiście jutro możemy zginąć, ale może właśnie tego Kara potrzebuje, żeby tak się poczuć. To nie tak, że kiedykolwiek chciałem, żeby się zmieniła. Nigdy tego nie oczekiwałem. Na pewno nie chciałbym jej... udomowić. Mówiłem jej to. Powtarzałem setki razy.

Rozmawiał pan z nią również o założeniu rodziny?

Tak. Chcę mieć dzieci. Kiedyś. Ale to nie oznacza, że chciałbym zmienić ukochaną osobę w kogoś, kim nie jest.

Rozumiem pański punkt widzenia, ale jeśli panna Resnik zastanawiała się nad macierzyństwem, może mieć własne wyobrażenie o tym, co to znaczy być matką, dobrą matką. Niekoniecznie musi się to pokrywać z jej poprzednim stylem życia.

Kara to bystra kobieta. Zdaje sobie sprawę, że można być dobrą matką na wiele sposobów.

Zanim panna Resnik stała się... panną Resnik, była małą dziewczynką, która miała własną matkę. Żaden związek nie jest idealny i przypuszczam, że tamta mała dziewczynka dokładnie wiedziała, czego jej matce brakuje do

ideału. Oczekiwania tamtej dziewczynki zachowały potężną siłę po dziś dzień i błędem byłoby je lekceważyć.

Pamiętam, jak kiedyś pan mi powiedział, że nie czuje się pan upoważniony do udzielania komukolwiek rad co do związków.

To prawda. Relacje międzyludzkie nie są moją mocną stroną, ale nie ujawniając zbyt wielu informacji natury osobistej, mogę panu wyznać, że sam miałem matkę i ojca.

Podoba mi się, że okazuje nam pan zainteresowanie, a pańskie spostrzeżenie było niezwykle trafne. Cóż, na tyle trafne, żebym i tak poczuł się jak dupek. Jakieś pięć lat temu ta rozmowa wiele by wniosła. Za kilka minut mamy odprawę, a poza tym muszę jeszcze zepsuć ten statek. Jeżeli prześle mi pan instrukcje dziś wieczorem, postaram się to zrobić, kiedy wszyscy będą spali.

Popracuję nad tym. Mogę uzyskać dostęp do planów konstrukcyjnych tej jednostki. Znam również mechanika, który wie, jak upozorować zwykłą awarię, żeby nikt nie podejrzewał sabotażu. Jeśli się nie mylę...

Tak?

...

Halo?

Proszę zapomnieć o wszystkim, co właśnie powiedziałem. Niech pan powie kapitanowi, żeby

zwiększył prędkość. Musicie dopłynąć do Londynu najszybciej, jak się da.

Co się dzieje?

Jest pan w swojej kajucie?

Tak.

Proszę włączyć telewizor.

Który kanał?

Obojętnie który.

DOKUMENT NR 1440

RELACJA NA ŻYWO JACOB LAWSON, BBC LONDYN

Miejsce: Regent's Park, Londyn, Anglia

Na ulice wyjechały czołgi. Z bazy w Swanton Morley sprowadzono ponad sto wozów bojowych Scimitar należących do Przybocznego Pułku Kawalerii Pancерnej i Pułku Lekkich Dragonów. W nocy przybyły również z Tidworth pięćdziesiąt dwa czołgi należące do Królewskiego Pułku Huzarów. Dołączyło do nich całe mnóstwo pojazdów transportowych oraz osiemnaście tysięcy żołnierzy, z czego połowa to rezerwiści, którzy mają za zadanie przeprowadzić ewakuację około czterystu tysięcy londyńczyków.

Jest to pierwszy taki przypadek, gdy do ochrony ludności cywilnej przydzielono tak ogromne siły. Ataki terrorystyczne w ostatnich latach sprawiły, że przywykliśmy do widoku patroli wojskowych na ulicach zachodnich miast, ale nikt nie był przygotowany na to, co mieszkańcy Londynu ujrzeli po przebudzeniu dziś rano. W kraju, który od wieków obawia się militaryzacji, dzisiejsze wydarzenia przywodzą raczej na myśl wkroczenie armii niemieckiej do Paryża aniżeli jakąkolwiek operację logistyczną, z jaką dotychczas mieliśmy do czynienia.

Około godziny czwartej trzy pułki pancerne i piechota

zebrały się na terenach przemysłowych Park Royal i ruszyły na południe wzdłuż Westway, a następnie rozlały się w różnych kierunkach, ogarniając w ciągu kilku minut centrum Londynu. Żołnierze zaczęli pukać do drzwi i eskortować mieszkańców do wojskowych pojazdów transportowych. To nie przypadek, że cała ta akcja odbywa się w weekend, kiedy urzędy państwowe i biura są puste. Niemniej jednak jest to kolosalne przedsięwzięcie i z pewnością żołnierze będą musieli przekonywać niektórych londyńczyków do opuszczenia domów. Nie wprowadzono stanu wyjątkowego, który skutkuje ograniczeniem swobód obywatelskich, zatem dopiero się okaże, do jakich środków perswazji posunie się wojsko.

Rząd Canninga przystąpił do działania, ulegając ogromnym naciskom, i stracił poparcie Liberalnych Demokratów, którzy postrzegają ten kryzys jako okazję do zamknięcia ust każdemu, kto zarzucał im zbyt dużą pobłażliwość w kwestiach terroryzmu i obronności. W poniedziałek ma się odbyć drugie czytanie przedłożonego przez konserwatystów projektu ustawy, która narzuca obowiązek przeprowadzenia ewakuacji, ale rząd nie dysponuje już wystarczającą liczbą głosów, aby ją zablokować. Nie będąc w stanie przeforsować swojego stanowiska bez poparcia jednej z partii opozycyjnych, rząd postanowił nie odwlekać nieuchronnego, a być może położyć też kres plotkom, jakie narastają wokół grożącego mu wotum nieufności. Z kolei poglądy obywateli na tę kwestię wydają się podzielone - według najnowszego badania opinii publicznej czterdzieści sześć procent Brytyjczyków domaga się interwencji wojska, czterdzieści dwa jest przeciwko, a dwanaście nie ma zdania.

Dziś rano premier wydał krótkie oświadczenie, ale nie pojawił się, by odpowiedzieć na pytania dziennikarzy. Amanda Webb, liderka opozycji, wyraziła uznanie dla odwagi premiera i nazwała dzisiejszy dzień momentem chwały w historii Wielkiej Brytanii. Na razie Liberalni Demokraci milczą, ale spodziewamy się usłyszeć ich komentarz w ciągu najbliższych godzin. Byłoby zaskakujące, gdyby nie przypisali sobie części zasług, słusznie zresztą, za przełamanie bierności rządu.

Reakcje po drugiej stronie Atlantyku są znacznie mniej pozytywne. Generał Eugene Govender, dowódca Korpusu Obrony Ziemi, nazwał dzisiejszą operację „nierozważnym posunięciem wynikającym z błędnych pobudek”. Dodał także, cytując: „Mam nadzieję, że nie przejdzie nam wszystkim zapłacić za to, co jest typową reakcją wstępnego dziecka, które w strachu robi coś głupiego”. Kierująca sekcją naukową doktor Rose Franklin odmówiła komentarza. Jednostronne działanie rządu brytyjskiego może oznaczać początek końca KOZ...

Za chwilę wrócimy do reakcji KOZ oraz opinii światowych przywódców. Tymczasem w Londynie coś zaczyna się dziać.

W tej chwili pojazdy pancerne zbliżają się do Regent's Park. Z naszego helikoptera możemy obserwować starannie zaplanowany manewr czołgów, które otaczają park, podjeżdżając ze wschodu, zachodu i południa. Brak piechoty i pojazdów pancernych na północnym obrzeżu parku nie może być przypadkowy. Przypuszczam, że wojsko zostawia robotowi obcych wyraźnie rzucającą się w oczy drogę odwrotu. Niewykluczone również, że dowódcy nie chcą, aby intruz poczuł się otoczony, co mogłoby

wywołać agresywną reakcję. Jedno jest pewne. Cała operacja ma na celu przekazanie jednoznacznej wiadomości: „Nie jesteś już mile widziany w Londynie”.

Dwa uzbrojone konwoje zbliżają się do parku od południa. Inny nadjeżdża z zachodu drogą A5205, a jeszcze jeden skręca właśnie w Robert Street, żeby wkroczyć od wschodu. Dosłownie już za kilka sekund czołgi znajdą się na terenie parku. Właśnie się dowiedziałem, że jeszcze przez chwilę możemy kontynuować transmisję. Pozostaniemy na naszej pozycji nad południowym skrajem parku i będziemy na bieżąco relacjonować rozwój wypadków.

Najbliżej nas, na Park Square, znajduje się rozciągnięta formacja czołgów lekkich Scimitar, które w tej chwili przecinają Outer Circle i wjeżdżają do parku. Drugi oddział jest już na południowym końcu York Bridge...

Nasi koledzy w studiu przekazali mi wiadomość, że minister obrony wydał właśnie oświadczenie... Za chwilę powinniśmy otrzymać materiał filmowy, w każdym razie minister podziękował mieszkańcom Londynu za ich współpracę podczas ewakuacji. Zadeklarował również chęć dalszej współpracy z KOZ i zapewnił kierownictwo ONZ, że wojsko nie podejmie walki, jeśli nie będzie to konieczne. Odnośnie do tej kwestii dowiedziałem się również, że generał Fitzsimmons, który kieruje tą operacją, otrzymał wyraźny rozkaz, aby trzymać się z daleka od intruza i unikać wszelkich działań, które mogłyby zostać błędnie zinterpretowane jako atak.

Dociera do nas mnóstwo informacji i w ciągu kilku

minut dowiemy się jeszcze więcej od Dany i Mike'a, którzy znajdują się w studiu. Ale na razie wciąż relacjonujemy przebieg tych historycznych wydarzeń, które rozgrywają się na naszych oczach. W tej chwili pierwszy konwój zatrzymuje się i formuje szyk tuż przy Chester Road, około pięciuset metrów od miejsca, w którym stoi robot. Druga kolumna również się zatrzymała i teraz Scimitary ustawiają się wzdłuż Inner Circle. Nie widać żadnej reakcji ze strony obcego obiektu. Robot nadal pozostaje nieruchomy.

Teraz przyszła kolej na żołnierzy z Królewskiego Pułku Huzarów, którzy wkraczają do Regent's Park od wschodu. Formacja złożona z pięćdziesięciu kilku czołgów ma bardzo ograniczone pole manewru, jeśli wojsko zamierza trzymać się z daleka od nieproszonego gościa. Tak jak można było się spodziewać, challengery zatrzymały się zaledwie kilka metrów od Outer Circle, tuż przed Promenadą. Ostatni oddział scimitarów właśnie wjeżdża na teren parku od zachodu. Porusza się znacznie szybciej niż pozostałe jednostki, zmierzając na południowy wschód w kierunku Inner Circle i omijając szerokim łukiem boisko, na którym...

Głowa robota zaczyna się obracać.

Odkąd tydzień temu pojawił się w Londynie, po raz pierwszy widzimy, jak się porusza. Teraz przesuwa stopę, powoli obracając się w prawo. Najwyraźniej jego uwaga koncentruje się na lekkich czołgach, które przemykają przez park od zachodu. Z prawej dłoni robota wydobywa się jakieś światło. Białe światło. Z każdą chwilą staje się coraz bardziej jaskrawe. Robot unosi rękę, jakby wskazywał na zachodni kraniec Regent's Park, gdzie kolumna scimitarów właśnie zastygła w bezruchu. W dłoni trzyma coś, co wygląda jak świetlisty dysk.

Nasz helikopter odlatuje trochę dalej, ale wciąż mamy dobry widok na cały... Co...? To jakby... coś, co mogę opisać jedynie jako cienką ścianę światła, wysuwa się z prawej dłoni robota na... to musi być długie na co najmniej kilometr albo dwa. Ściana ma grubość kartki i jest wysoka jak sam robot, na sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów.

Przechodzi przez jeden z czołgów, który stoi na skraju parku! Nie wiem, czy powoduje jakieś uszkodzenia. Znajdujemy się zbyt daleko, żeby dostrzec szczegóły. Nasz kamerzysta próbuje zrobić zbliżenie.

Na ziemi po obu stronach świetlistej ściany leżą przecięte kable elektryczne. Widać... Robot przesuwa rękę. Obraca się błyskawicznie w lewo i zataczając łuk, omiata promieniem centrum Londynu. Wykonuje prawie idealny półokrąg i nieruchomieje...

Wielki Boże.

Mike, możesz zadzwonić do mojej żony?

Mike! MIKE!

[To wszystko...]

Wiem. Musisz zadzwonić do Charlotte. Upewnij się, czy jest w domu. Muszę wiedzieć, że moja rodzina jest bezpieczna.

...

Potrzebuję chwili, żeby ogarnąć to, co widzę. Na całym obszarze, po którym przesunęła się świetlista ściana, nie ma teraz nic. Światło zniknęło i została

tylko połączyć gołej ziemi w kształcie półksiężyca... tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się połowa centrum miasta. Na skraju tego pustego placu widzę pałac Buckingham. Pomiędzy nim a londyńskim zoo nie ma ani jednego budynku. Sześć dzielnic zniknęło z powierzchni ziemi. Lisson Grove, Maida Vale i Paddington już nie istnieją. Nie ma już Marylebone, nie ma Mayfair ani Soho. Bloomsbury, Euston, część Camden Town... Wszystko zniknęło.

Nie widać żadnych ruin ani ognia. Tylko idealny półksiężyc gołej ziemi. Nie możemy...

[Jacob.]

Nie możemy zacząć...

[Jacob! Już nie nadajemy. Mówisz do siebie.]

Co?

[Nasze studio też było na tym terenie. Nie ma już BBC.]

Dodzwoniłeś się do mojej żony?

DOKUMENT NR 1443

ZAPIS GŁOSOWY Z MISJI KAPITAN KARA RESNIK I VINCENT COUTURE, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: London Gateway Port, Anglia

- Vincencie Couture. Przestań wreszcie dłubać przy tym kombinezonie i wskakuj!

- Jeszcze raz zwróć się do mnie po nazwisku, Karo. No już, nie daj się prosić.

- Co z tobą? Nie zachowuj się jak pięciolatek. Mógłbyś w końcu wejść do tej gondoli?

- Już idę! Dokąd ci się tak spieszy? I tak stamtąd nie wrócimy. Wiesz o tym, prawda?

- Nie, nie wiem. I ty też nie. Po prostu nie masz ochoty na przejażdżkę tym dźwigiem, zgadłam?

- Oczywiście. Nie cierpię go. Jest mizerny i chwieje się na wietrze.

- Więc nie boisz się robota z kosmosu, który właśnie zniszczył pół miasta, ale paraliżuje cię lęk wysokości?

- Och, jego też się boję. W tej chwili prawie wszystko mnie przeraża. A przed wejściem do tej idiotycznej klatki powstrzymuje mnie nie tyle lęk wysokości, co klaustrofobia. Chociaż nie pogniewałbym się, gdyby ktoś położył kawałek sklejki na podłodze, żebyśmy nie musieli patrzeć w przepaść.

- Vincent, to tylko cztery i pół metra, a ty trzęsiesz portkami, chociaż nawet nie oderwaliśmy się jeszcze od ziemi. Co byś zrobił, gdyby zmontowali ją w pionie,

a nie na leżąco?

- Postarałbym się o etat na uczelni.

- No dobra, KOZ, słyszycie nas?

[Słyszemy cię wyraźnie, Karo.]

- Świetnie. Jesteśmy w gondoli z...

- To nie jest gondola.

- Zamilcz, Vincencie. Jesteśmy w gondoli z... Jak się pan nazywa?

[Porucznik Martin Crosby, proszę pani.]

Jesteśmy w gondoli z porucznikiem Crosbym z... Jest pan z sił lądowych, zgadza się?

[Tak jest.]

...z brytyjskich sił lądowych. W porządku, poruczniku, już prawie jesteśmy na miejscu. Zaraz staniemy na plecach robota, a wtedy otworzę włącz i przypnę drabinkę sznurową do tamtego pręta. Wejdziemy do kabiny sterowniczej przez sufit. Kiedy obydwoje znajdziemy się w środku i dam panu sygnał, wciągnie pan drabinkę i zamknie za nami włącz. Zrozumiał pan wszystko?

[Tak jest, proszę pani. Mam nadzieję, że zabijecie tych sukinsynów.]

Doceniam pańską ufność w naszą siłę, ale nie jesteśmy tu po to, żeby zaczynać walkę.

[Oni już zaczęli. Wykończcie ich.]

Jesteśmy na miejscu. Proszę otworzyć drzwi.

- Karo, panie przodem.

- O nie, wiek przed urodą. [...] Jesteś już na dole? Vincent! Jesteś na dole?

- Tak! Tak!

- Mógłbyś się odsunąć, żebym... Dzięki! W porządku! Poruczniku, proszę wciągnąć drabinkę, zamknąć włącz i wynosić się stamtąd jak najszybciej!

- Czarujący facet.

- A czego się spodziewałeś? Zniszczyli jego miasto. Też byś był wkurzony, gdyby zamienili Montreal w

piaskownicę. Mógłbyś mi pomóc przy uprzęży, zanim sam się przypniesz?

- Czy kiedykolwiek ci nie pomogłem? Rozumiem, że jest wkurzony, ale powinien wiedzieć, że nie mamy szans w starciu z Kronosem.

- A niby skąd? Przez dziesięć lat zapewnialiśmy ich, że Temida jest niepokonana.

- Cóż, ale my nie potrafilibyśmy zrównać miasta z ziemią tak jak on. Gotowe. Wygodnie, nie za ciasno.

- Dziękuję. A ty czemu jeszcze nie jesteś przypięty?

- Ha. Ha.

- Do centrum dowodzenia KOZ. Jesteśmy prawie gotowi. Już skończyłeś? Vincent przytakuje, więc... podpieram się na rękach. Vincencie, kolana do przodu. No i... stoimy! Powiedzieli nam, żebyśmy szli wzdłuż autostrady... jak ona się nazywa?

- A13.

No właśnie. Ona doprowadzi nas do miejsca spustoszonego przez obcych. Możliwe, że w kilku miejscach nadepniemy na tę autostradę. Z góry przepraszam brytyjskich drogowców. KOZ, możecie nam powiedzieć, jak daleko jesteśmy od celu?

[Okolo trzydziestu mil.]

Czy to ty, Rose?

[Tak, Karo. Powinniście tam dojść w pół godziny.]

Cześć, Rose. Mam nadzieję, że Vincent utrzyma dobre tempo.

- Zdażymy w dwadzieścia minut

- Nic nie jest tak przewidywalne jak męskie ego. No to ruszamy. Rose, znamy już liczbę ofiar?

[Me. Ale zginęło mnóstwo ludzi.]

Zresztą chyba lepiej tego nie wiedzieć... A czy ktoś jeszcze się łudzi, że obcy opamiętają się na nasz widok? Nie widzę, aby ktoś podnosił rękę.

[Me będę was okłamywała, mówiąc, że kogoś tu rozpira pewność siebie. Ale może kiedy zobaczą coś

znajomego...]

Rose! Sama byłaś zdania, że nasza ekspedycja to głupi pomysł, zanim jeszcze wojsko wkroczyło do akcji. Nie sądzę, aby nasze szanse wzrosły po tym, jak ten robot zniszczył pół Londynu.

[Użycie czołgów było złym posunięciem. Nikt temu nie przeczy.]

Nie obchodzi mnie, czy ktoś temu przeczy. Chciałabym, żeby ci ważniacy w gamiturkach przyszli tutaj i zajęli nasze miejsca. Ale teraz nie ma sensu tego roztrząsać. Ten spacer trochę potrwa, a nie sądzę, abyśmy mieli o czym rozmawiać przez pół godziny, więc za chwilę puścimy wam muzykę. Vincent, czego posłuchamy podczas naszej wycieczki?

- Kima Mitchella.

- Kim, do cholery, jest Kim Mitchell?

- Nie znasz *Patio Lanterns*? Moja mama bardzo go lubiła. A ja puszczałem jego kawałki, kiedy zapraszałem jakąś dziewczynę na kolację. Dawno, dawno temu.

- O Boże. No więc, Rose, posłuchasz z nami kiepskiej muzyki z lat osiemdziesiątych dzięki uprzejmości pewnego niedojrzałego Kanadyjczyka. Ech... Wyobrażam sobie, jak wyglądałaś jako nastolatek. Nosiałaś wąsy, prawda?

- Dzięki, Karo...

DOKUMENT NR 1443 (CIAĞ DALSZY)

ZAPIS GŁOSOWY Z MISJI KAPITAN KARA RESNIK I VINCENT COUTURE, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: Londyn, Anglia

- Kurwa! Nic nie widzę. Vincent, nic ci nie jest?
- Wszystko w porządku. Jestem tylko... oszołomiony.

A co z tobą?

- Chyba mam wybity bark. Co to było, do cholery?

- Nie mam pojęcia. Musiał nas zobaczyć zza tych drapaczy chmur.

[Vincent, co się stało?]

Wygarnął do nas, Rose. Oto, co się stało. I powiem ci, że to nie było jakieś tam pacnięcie. Czymkolwiek dostaliśmy, zważyło nas z nóg i odrzuciło trzydzieści metrów do tyłu. Gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości, oni nie są zachwyceni naszym widokiem. Nie sądzę, aby doszło do przyjaznego uścisku dłoni.

[Gdzie jesteście?]

Nie wiem. Leżymy na plecach. Dookoła jest pełno wysokich budynków, jeden wygląda jak ogórek. Niedaleko stąd zaczyna się już strefa zniszczeń. Musimy być jakieś dwie albo trzy mile od niego.

[Według GPS- u jesteście w dzielnicy biznesowej, a ten budynek to Gherkin. Widzieliście, czym was trafił?]

Niczego nie widziałem. Ani robota, ani tym bardziej strzału. Widziałem tylko wielką połąć gołej ziemi

przed nami. I muszę wam powiedzieć, że nasi goście się wkurzyli. Wciąż do nas walą. Co trzy sekundy nad naszą głową przelatują jakieś błyski.

- Vincent, co byś powiedział na to, żebyśmy się podnieśli?

- I dokąd pójdziemy? Dobrze mi tu, gdzie jesteśmy.

- Leżymy w samym środku Londynu.

- No właśnie. Jak często nam się to zdarza?

- Vincent!

- W porządku! Aktywuję tarczę, jeśli dasz radę unieść rękę.

- Mogę trzymać ją w górze, tylko będzie nam trudniej wstać. Jesteś gotowy?

- Na twój znak.

- AAAARRRRHHH! Podpieram się! Stoimy! Teraz! Włączaj! Włączaj! Dawaj mi tę tarczę, już!

- Tarcza na maksimum.

- A to sukinsyn! Aach!

[Karo, co się dzieje? Nasze helikoptery zawróciły, kiedy zaczął się ostrzał, i straciliśmy kontakt wizualny. Musicie nas informować, dopóki nie przełączymy się na obserwację satelitarną.]

Znowu obrywamy. Widzę go, jest jakąś milę od nas. Musiał podejść bliżej, kiedy leżeliśmy.

[Próbowaliście do niego strzelać?]

Jeszcze nie. Byliśmy zajęci przyjmowaniem ciosów. Vincent, dawaj miecz, średni rozmiar... Psiakrew! Gotowy... Ognia! Dostał?

- Tak. Trafiłaś go prosto w...

- W co?

- Trafiłaś go w nogi. Nawet się nie zachwiał. Rose, nie jesteśmy w stanie z nim walczyć.

[Możecie..]

Karo, co ty robisz?

[Co się dzieje?]

Kara... nawiązuje stosunki dyplomatyczne.

[Co takiego?]

Pokazuje mu środkowy palec. Bardzo dojrzałe, Karo.

[To jest...]

- Biegnij, Vincent! Moje ramię już długo tego nie wytrzyma.

- Po kolei, proszę. Co powiedziałaś, Karo?

- Powiedziałam, biegnij!

- Nie obrócę się do niego plecami. Powali nas jednym strzałem.

- Nie o to mi chodziło. Biegnij na niego.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

[Nie sądzę, aby to był dobry pomysł.]

- Aaaa! Cholera, to boli! Żeby go rozpieprzyć, dlatego!

- Karo, nasz miecz nie przebije jego pola siłowego.

- Mam gdzieś ten miecz!

- Karo...

- Zaufaj mi, Vincent. Biegnij!

- Ja pierdołę... Do centrum dowodzenia, zaraz zrobimy coś naprawdę głupiego. Miło się z wami wszystkimi pracowało.

- Szybciej, Vincencie! Dawaj! Szybciej! Wal prosto na niego!

- Staram się!

- Już prawie go mamy! Wyłącz tarczę. Uuuch! Poczujesz to, co?

- No dobra, szczepiliśmy się z nim. Co teraz?

- Teraz nie może do nas strzelać, ot co. Przygotuj się do wyładowania energii.

- Nie działa.

- Co to znaczy, nie działa?

- Skąd mam, do cholery, wiedzieć? Naciskam guzik i nie działa! Może to przez jego pole siłowe. Jak długo jesteś w stanie go trzymać? Karo?

- Nie za długo.

- Czerpiemy energię z jego pola. Jeśli potrzywasz go

dostatecznie długo, Temida naładuje się i wyśle własny impuls.

- Jest zbyt silny! Nie utrzymam go! Dawaj miecz, średni.

- Jest miecz!

- Ognia!

- Karo, celujesz w ziemię!

- Zamknij się i odpal to cholerstwo!

- Odpalam! Właśnie zrobiłaś wielką dziurę pod naszymi nogami! Stoimy teraz po kolana w gigantycznym kraterze!

- Wydłuż trochę miecz! Ognia! Vincent! Ognia, mówię!

- Strzelam! Ale co ty robisz? Właśnie pogłębiłaś krater! Tu jest skaliste podłoże. Utkniemy na amen!

- Jeszcze raz!

- Zrobione! Zapadliśmy się po szyję! Jesteśmy uwięzieni! Nie mogę nawet poruszyć nogami!

- No cóż, ale on utknął w tej dziurze razem z nami. Idę o zakład, że też nie może się ruszać.

- To mi akurat nie przeszkadza.

- Lepsze to, niż robić za ruchomy cel, nie? A teraz zobaczymy, czy zdołam... trochę obrócić... lewą rękę. Cholera, ciasno tutaj. Udało się. Dawaj tarczę! Szybko!

- Co...

- Tarczę!

- Jaki rozmiar?

- Obojętnie! Największy!

- W porządku, włączyłem... Ale nie wiem, czy działa. Tu nie ma miejsca!

- Coś się dzieje. Widzę jego pole siłowe...

- Masz rację. Robi się coraz jaśniejsze... a teraz migoce! Oooh, kocham cię, Karo Resnik.

- Kochasz mnie, bo wpadłam na pomysł, jak ocalić twój tyłek.

- Zaraz! Jeszcze z nim nie skończyliśmy. Ale będę cię kochał, nawet jeżeli się nie uda. To w pięćdziesięciu procentach bezinteresowna miłość.

- Ależ ty jesteś romantyczny.

- Karo! Posłuchaj!

- Co?

- Słyszysz ten odgłos? Tarcie metalu o metal. Jego pole siłowe padło. Czy nasza tarcza wciąż działa?

- Cały czas. Czuję jej ucisk na ręce.

- Myślisz, że przetnie jego powłokę?

- Patrz!

- Taaak!

- Hurrra! Zadarłeś z niewłaściwą panienką, gnojku. Och, teraz ci się podobam, Vincent, prawda?

[Co tam się dzieje? Nic wam nie jest? Na obrazie satelitarnym nic nie widzimy.]

- Cześć, Rose! U nas wszystko w porządku. Właśnie patrzymy sobie w niebo. Kara jest szalona, tkwimy uwięzieni w głębokim kraterze, ale nic nam nie jest. Trochę jesteśmy poobijani, ale powinnaś zobaczyć tego drugiego.

[Nic nie widzimy. Jesteś pewien, że już po nim?]

Tak sędzę. Przecieliśmy go na pół. Nie chciałbym przesadzać z optymizmem, ale raczej nie mam wątpliwości, że go pokonaliśmy.

[Wjaki sposób?]

Nie mógł się poruszać. My zresztą też. Włączyliśmy tarczę, która wgryzała się w jego pole siłowe, dopóki go nie rozładowała. A potem już tylko weszła głębiej.

[Moje gratulacje! Wszyscy wojskowi są pod wrażeniem. Nikomu tutaj nie przysłoby do głowy takie rozwiązanie.]

Mnie też. Możecie podziękować tej wariatce, która kazała mi szarżować na tego robota i wziąć go za fraki.

[A ty się zgodziłeś.]

Próbowałaś odmówić czegoś Karze? Wolałem już starcie ze złym robotem.

- Czy moglibyście przestać o mnie rozmawiać, jakby mnie tu nie było? Vincent, co byś powiedział na to, żebyśmy wyleźli z tej dziury?

- Jestem za. Zechcesz mi powiedzieć, jak tego dokonamy?

- Moglibyśmy wyzwolić impuls, tak jak w Denver.

[Me, Karo! Nie róbcie tego!]

Dlaczego?

- Oni chcą dostać Kronosa w całości.

- Przecież mówiłeś, że nie jesteśmy w stanie go zdematerializować.

- Raczej nie, ale przecięliśmy go i piloci mogliby zginąć.

[Vincent ma rację. Nie zaszkodziłoby z nimi porozmawiać.]

- No dobra. W takim razie jak się wydostaniemy?

- Potrafisz unieść prawą rękę? Moglibyśmy użyć miecza, żeby powiększyć krater.

- Nic z tego. Ta ręka jest całkowicie zakleszczona. Masz jakiś inny genialny pomysł?

- Ja...

- Tak?

- Nie, nic.

- Żadnych propozycji. Rose, czy mogłabyś przysłać kogoś, kto nas uwolni?

[Ekipa jest już w drodze. To może trochę potrwać, zanim się do was dokopią.]

Domyślam się.

- Karo...

- Nie odzywaj się do mnie! Jestem wściekła. Nie mogę się stąd wydostać, bo nie chcecie zrobić krzywdy tym gnojkom, którzy jeszcze przed chwilą do nas strzelali. Dlatego będę tkwiła uwięziona w tej dziurze, Bóg jeden wie, jak długo.

- Uśmiechasz się.
- Być może. Ale jestem wściekła.
- Jesteś szczęśliwa.
- No... chyba jestem.
- Karo?
- Czego? Co tak szczerzysz zęby?
- Karo Resnik. Sprawiasz, że czuję się...
- O nie! *Teraz* będziesz mi się oświadczał?
- Ja tylko...
- Przestań. Nasze potrzeby się rozmiągają. Nie jestem gotowa na założenie rodziny i tego typu sprawy.
- Wiem.
- Żadnych dzieci.
- Wiem.
- Naprawdę chcesz się zestarzeć z taką zrzędliwą jędzą jak ja?
- Bez urazy, Karo, ale nie sądzę, żeby któóś z nas dożyło starości, zwłaszcza gdy jesteśmy razem. Pozostaje tylko jedno pytanie: Czy chcę umrzeć młodo z kimkolwiek innym?

CZEŚĆ DRUGA

WSZYSTKO W RODZINIE

DOKUMENT NR 1521

ZAPIS ROZMOWY
GENERAŁ EUGENE GOVENDER, DOWÓDCA,
KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: restauracja chińska New Dynasty,
Dupont Circle, Waszyngton

Proszę siadać, Eugene.

Co tu można zjeść dobrego?

**Powinien pan spróbować kurczaka kung pao.
Ryż po indonezyjsku też jest bardzo dobry.**

Zamówię to samo co pan. Jak było na ślubie?

**Zaskakująco okazała impreza. Nie sądziłem, że
pannie Resnik... przepraszam, pani Resnik...**

Miałby pan za swoje, gdyby usłyszała, że tak ją pan
nazywa.

...że im obojgu zależało na tradycyjnym obrzędzie, nie mówiąc o tym wystawnym przyjęciu, które odbyło się potem.

Och, na weselu państwo młodzi są najmniej ważni. On się oświadcza, ona mówi „tak”, bo obydwójce się kochają. Zaczynają sobie wyobrażać swój idealny ślub, skromną uroczystość w plenerze, kameralną, z udziałem samych tylko najbliższych osób. Ogłaszają swoje plany i mniej więcej po tygodniu dociera do nich, że oświadczyzny były jedynym etapem zawierania małżeństwa, na którym tak naprawdę się liczyli. A samo wesele? Tu chodzi tylko o matkę, o ledwie żywą ciotkę, i o to, czemu jakaś dalsza kuzynka, której nikt nie widział na oczy, nie została zaproszona. A jednak... Gdzie to się odbyło?

W hotelu w Detroit. Bardzo im pana brakowało.

Nie sądzę, aby w ogóle ktoś zauważył, że mnie nie ma.

Po ceremonii wszyscy oglądali pańskie wystąpienie w telewizji. Można by z tego wywnioskować, że byli świadomi pańskiej nieobecności.

Cóż, rozumiem, że chcieli się pobrać w rocznicę swojego zwycięstwa, ale w Londynie odbyła się inna uroczystość. Ktoś musiał się tam wybrać. Swoją drogą kto bierze ślub w grudniu?

Myślałem, że uroczystość w Londynie odbędzie się w rocznicę ataku.

Chyba chcieli położyć nacisk na pozytywną stronę.

Nie dziwię się im. Tam zginęło sto trzydzieści sześć tysięcy osób.

Może to zabrzmieć bezdusznie, ale spodziewałem się, że będzie więcej ofiar.

Sto trzydzieści sześć tysięcy to mnóstwo zabitych mężów i żon, synów i córek. Nazwałbym pana nieczułym dupkiem, gdybym nie był tego samego zdania. Bilans ofiar mógł sięgnąć nawet miliona.

Mieliśmy szczęście.

Tym razem.

Myśli pan, że tu jeszcze wrócą?

A pan nie? Nawet nie wiemy, po co się zjawili. Nie sądzę, żeby chodziło im o potyczkę z brytyjską armią. A pan?

Też nie. Mogli zaatakować w każdej chwili. Mamy wszelkie podstawy, aby przypuszczać, że rząd brytyjski sprowokował ten konflikt.

Cóż, koniec końców ich robot uległ zniszczeniu, a piloci nie żyją. Obaj byli martwi, kiedy dotarliśmy na miejsce. Nie wiadomo, czy zginęli, kiedy Kronos został przecięty na pół, czy popełnili samobójstwo, żeby uniknąć wzięcia do niewoli, ale efekt końcowy jest ten sam. Nie żyją. Ci, którzy ich tu przysłali, kiedyś wreszcie się o tym dowiedzą. Wątpię, żeby ot tak machnęli na to ręką. Tak, myślę, że jeszcze się tu zjawiają. Też tacy młodzi. Szkoda ich.

Kogo?

Tych pilotów. Widział ich pan. Ile lat mogli mieć ci chłopcy? Osiemnaście... góra dwadzieścia. Zadziwiające, jak bardzo są do nas podobni. Oczywiście ich nogi zginają się do tyłu, ale widziałem już tyle razy, jak Vincent przestawia swoje kolana, że wydaje mi się to całkiem normalne.

Dowiedzieliśmy się czegoś nowego z ich autopsji?

Niczego, co taki dinozaur jak ja mógłby zrozumieć. Musi pan porozmawiać z Rose. Wiem tylko, że ci dwaj byli zwykłymi młodzikami, których przysłano tutaj z misją, na czymkolwiek miała ona polegać. Tam, skąd przybyli, będą ich opłakiwać, a w żałobie podejmuje się pochopne decyzje. Oni jeszcze tu wrócą i myślę, że będzie ich dużo więcej. I założę się, że tym razem nie będą przez tydzień podziwiać krajobrazu, zanim zaczną demolkę.

To bardzo pesymistyczna wizja. A co z robotem? Udało się odkryć coś intrygującego?

To już jest prostsze pytanie. Dowiedzieliśmy się o nim tak niewiele, że na dobrą sprawę wszystko jest dla mnie jasne. W zasadzie niewiele różni się od naszego. Podstawowa konstrukcja jest taka sama. Ma tyle samo części - rozpadł się kilka minut po tym, jak został unieruchomiony. Kabina sterownicza jest niemal identyczna. Na konsoli jest kilka przycisków więcej, ale nic poza tym.

Można go z powrotem poskładać?

Chcielibyście mieć jeszcze jednego, tak?

No cóż...

Proszę nie robić sobie nadziei. Ta maszyna jest kompletnie zniszczona. Nic już nie działa. Tarcza Temidy przecięła kabinę sterowniczą. Z kuli zostały tylko pocięte skorupy, a biały płyn, w którym się unosiła, znikł bez śladu. Cokolwiek to było, wyparowało prawie natychmiast. Tułów jest przecięty na pół. Nie da się tego zespawać. Taśma klejąca też na nic się nie zda. A reszta robota, no cóż, tak samo jak w przypadku Temidy nie potrafimy rozgiąć zasad jego działania. Gdyby spojrzeć na przekrój poprzeczny, to poza wielką dziurą, w której mieściła się sterownia, jest to wielka bryła litego metalu. Pociuszające jest jedynie to, że przyrządy kontrolne wyglądają podobnie i możemy je wykorzystać na części zamienne, gdyby coś się nam zepsuło. A sądząc po tym, jak poczynają sobie nasi piloci, jest to wielce prawdopodobne. Moi naukowcy nie mogą się doczekać poniedziałku.

Dlaczego?

Inżynierowie zrobili już swoje, więc teraz ich miejsce zajmą prawdziwi mózgowcy. Będą mogli wreszcie pobawić się robotem.

Nie badali go wcześniej?

Mogli się przyglądać, ale nie pozwoliłem im robić nic, co mogłoby wyrządzić jeszcze większe szkody.

A to czemu?

Jak pan myśli? Też chciałem mieć jeszcze jednego robota. Ale... teraz to już oficjalnie kupa złomu. Mogą

sobie z nim robić, co im się żywnie podoba. Części zamienne i euforia naukowców. Oto, co dostaliśmy w zamian za sto trzydzieści sześć tysięcy zabitych.

Nie jest to chyba jedyna korzyść, jaka wynika z ataku w Londynie. Myślałem, że konsekwencje tamtych wydarzeń są w pewnym sensie budujące przede wszystkim dla pana.

Przed wszystkim dla mnie?

Wątpię, aby ktokolwiek jeszcze kwestionował znaczenie KOZ. W każdym razie nie za naszego życia. Temida zrobiła dokładnie to, co obiecywaliśmy i na co liczyliśmy. KOZ ocalił Londyn i prawdopodobnie całą ludzkość. Nie ma na tej planecie państwa, którego rząd odmówiłby wam funduszy. Macie zapewniony bezterminowy dostęp do wszystkich środków, jakich wam potrzeba. Jeśli chodzi o bardziej indywidualny aspekt, nikt nigdy nie zakwestionuje pańskiego kierownictwa. Zdaniem większości można było uniknąć tamtej tragedii, gdyby rząd brytyjski zrobił to, o co pan prosił. Przypuszczalnie jest pan jedynym człowiekiem w historii, który cieszy się taką wiarygodnością na skalę światową. Cokolwiek pan powie, wszyscy to kupują.

Poczekajmy jeszcze rok. Teraz wzbudzamy jeszcze silne emocje. Ludzie to przeżywają. Dzięki temu mogą lepiej się poczuć. Prasa pisze o nas w samych superlatywach, bo właśnie takie rzeczy ludzie chcą czytać. Ale jeśli ktoś codziennie je takie same lody, po jakimś czasie... W pewnym momencie wychwalanie KOZ przestanie podnosić sprzedaż gazet.

Prawie nikt już nie kupuje gazet.

Jesteśmy starzy. Bo czyż nie? Cóż, za kilka tygodni, za pół roku albo za rok, peany na naszą część już nie będą napędzać im takich obrotów jak w tej chwili. Wtedy, proszę mi wierzyć, zaczną nas szkalować. Będą podważać wyniki naszych badań i rozsiewali wątpliwości, czy aby poradzimy sobie z przeważającymi siłami wroga. Co zabawne, będą mieli rację. Nie żebyśmy się nie starali, ale w ciągu dziesięciu lat nie udało się nam wycisnąć żadnej nowej technologii z tej maszyny. Można by oczekiwać, że dorobimy się przynajmniej szybszego tostera, lepszych hamulców albo miększego papieru toaletowego, atu nic. Ni cholery. I proszę nawet mnie nie pytać, co byśmy zrobili, gdyby zaatakowało nas więcej takich robotów.

Nie podoba mi się, kiedy muszę zwracać uwagę na rzeczy oczywiste, ale wygraliśmy. To my jesteśmy zwycięzcami. Temida pokonała ich robota w bezpośrednim starciu i ocaliła Ziemię.

Pan to nazywa starciem? Oni tylko wykopali dziurę w ziemi!

Unieruchomili przeciwnika.

Wykopali dziurę! Skąd mogli mieć pewność, że ich tarcza przebije się przez to pole siłowe? Po prostu im się poszczęściło. Tak naprawdę nie mieli pojęcia, w co się pakują. Trudno mieć do nich oto pretensje, bo nie powinniśmy byli nigdy ich tam posyłać. To było jak bójka na boisku. Dostawali ciągi od silniejszego dzieciaka i wpadli w panikę. Udało im się, co niezmiernie mnie cieszy, ale to nie oznacza, że

nabrałem wysokiego mniemania o naszych możliwościach. Ta Resnik jest po prostu szalona, jeśli chce pan znać moją opinię.

Ktoś mógłby powiedzieć, że ma instynkt.

W ten sposób też można to ująć.

Nie po raz pierwszy jej porywcza natura przyniosła korzyści. Istnieje niewiele osób, których starannie przemyślane plany budzą we mnie większe zaufanie niż jej improwizacja.

Możliwe. Ale to nie ma znaczenia. Nie uda się jej zakopać kilku takich robotów naraz. Jeśli tamci przyślą więcej...

Co pańskim zdaniem możemy zrobić, żeby się lepiej przygotować?

Sam wiele razy zadawałem sobie to pytanie. Gdyby gra nie toczyła się o tak wysoką stawkę, byłoby to śmieszne. Oficjalnie stoję na czele formacji wojskowej, ale obaj jesteśmy zgodni co do tego, że wojsko się nie liczy w konfrontacji z siłami obcych. Widział pan, co się stało z trzema pułkami pancernych. Szlag trafił nie tylko czołgi, ale cały kawał miasta dookoła. Wyparowały domy, samochody, ludzie, koty, psy... Nawet karaluchy nie ocalały.

Temida też to potrafi.

W takim razie może powinniśmy im pomóc i sami zrównać z ziemią kilka miast. Za to nie potrafimy ich pokonać, dopóki się nam nie nadstawią. Resnik próbowała strzelać do tamtego robota, ale na próżno.

Równie dobrze mogłaby obrzucić go wyzwiskami.

Pokazała mu środkowy palec.

Szkoda, że helikoptery musiały się wycofać. To byłby świetny materiał na zdjęcie.

Albo na pomnik.

O! Widzę, że humor panu dopisuje! Mogliby to wykorzystać w Londynie. Widział pan, jaki pomnik tam postawili? Robota obcych klęczącego przed Temidą? Wygląda, jakby pasowała go na rycerza. Myślę, że to jest lepsze nawet od Herkulesa i Diomedesa... Och, nie zna pan tej rzeźby. Proszę sobie poszukać w sieci.

Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Moja opinia jest taka, że nie możemy nic zrobić. To, czym dysponujemy, nie wystarczy. Jedyna nadzieja w tym, że jeśli oni kiedykolwiek tu wrócą, moi naukowcy zdążą do tego czasu wynaleźć jakąś skuteczniejszą broń. Mówię to z ciężkim sercem, bo ta kobieta jest szalona, ale teraz wszystko w rękach Rose.

Przecież i tak wszystko kręci się wokół niej. Prawda?

Owszem. Dlatego to mówię.

Jako dziecko natknęła się na dłoń. Potem jakoś tak się złożyło, że stanęła na czele zespołu, który badał ten artefakt. A teraz, kiedy spodziewamy się wojny, której nie jesteśmy w stanie wygrać, w niej cała nasza nadzieja na przetrwanie.

Wiem, że nie lubi pan stwierdzać rzeczy oczywistych,

ale czy to wszystko prowadzi do jakichś wniosków?

Naturalnie. Zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego postanowili nam ją zwrócić?

DOKUMENT NR 1526

ZAPIS SESJI TERAPEUTYCZNEJ PACJENTKA EVA REYES

Doktor Benicio Muñoz Rivera, psychiatra San Juan, Portoryko

- Opowiedz mi o tych koszmarach, Evo.
- Nie chcę o tym mówić. Obiecał pan, że w coś zagramy.
- Niedawno skończyliśmy, Evo, teraz musimy porozmawiać.
- To nie były fajne gry. Chcę zagrać w coś *prawdziwego*.
- Twoja mama się o ciebie martwi.
- Nie musi się martwić. Nic mi nie jest!
- Możesz mi powiedzieć, co się wczoraj stało?
- Nic się nie stało. Kąpałam się!
- Twoja mama bardzo się wystraszyła. Powiedz mi, co się stało.
- ja... coś zobaczyłam. Chciałam sprawdzić, jak to jest... kiedy nie można złapać oddechu. Nie wiedziałam, że mama jest w łazience. Ja tylko byłam ciekawa. Próbowałam.
- Twoja mama mówi, że cały czas przesiadujesz sama i już nie chcesz rozmawiać ze swoimi koleżankami.
- Nie mam żadnych koleżanek. One myślą, że jestem stuknięta.
- Nikt tak nie myśli, Evo.
- A właśnie że myślą!

- Evo...

- Nie wie pan, o czym pan mówi! Nie ubzdurałam sobie, powtarzają to cały czas! Wszyscy myślą, że jestem wariatką. Moja matka też. To dlatego się tu znalazłam.

- To zupełnie normalne, że dziewczynka w twoim wieku miewa różne złe myśli. Nie uważam jednak, że coś takiego jakimś cudem samo przejdzie. Ale istnieją metody, które pozwolą ci zapanować nad tymi myślami. Po to właśnie tu jestem, żeby cię nauczyć z nich korzystać. Chciałbym, żebyś przestała się bać tego, co jest w twojej głowie.

- Jak mam się nie bać? Widziałam, jak oni wszyscy umierają.

- Kto umarł, Evo?

- Tamci ludzie w Londynie. Widziałam ich ciała.

- Co widziałaś?

- Wszyscy byli martwi.

- Powiedz dokładnie. Możesz opisać tę wizję?

- Były ich tysiące. Leżeli wszędzie, na chodnikach i w samochodach.

- Jakby zasnęli?

- Tak, wszyscy naraz.

- Widziałaś ciała?

- Tak!

- Ale po zeszłorocznym ataku w Londynie nie było żadnych ciał. Widziałaś przecież w telewizji. Nic nie zostało.

- Tak, ale ci ludzie zginęli, prawda?

- Po prostu przejęłaś się tą tragedią i prześladują cię koszmary. To normalne, że skojarzyłaś jedno z drugim, ale sama przyznasz, że widziałaś coś innego niż to, co się tam wydarzyło.

- To nie są koszmary! A ja nie jestem... Nieważne. Wiem, że mi pan nie wierzy. Mogę już iść?

- Jeszcze nie.

- W takim razie możemy porozmawiać o czymś innym?

- Co jeszcze widziałaś?

- Nie chcę już o tym rozmawiać.

- Evo, powiedz mi. Co jeszcze widziałaś?

- Widziałam jakiś metal... Widziałam robota wpadającego w chmury.

- Wspominałaś o tym wcześniej. Jak to możliwe? Czy on leciał do góry? A może spadał z samolotu?

- Nie mam pojęcia. Nie, na pewno nie z samolotu.

- W takim razie skąd, Evo?

- Nie wiem! Mówię panu tylko, co widziałam. Mogę iść?

- Dobra, starczy na dziś. Chciałbym tylko, żebyś... rozważyła taką możliwość, że to, co widzisz, nie jest prawdziwe. Zrobisz to dla mnie?

- Pewnie.

- Masz niezwykle bujną wyobraźnię, Evo, i jest to dobra cecha, bardzo dobra. Powinnaś to wykorzystać w jakiś sposób. Lubisz rysować?

- Tak.

- Spróbuj narysować te rzeczy, które widzisz. A potem powieś swoje rysunki na ścianie. Myślę, że to ci pomoże.

- W czym?

- Pomoże ci zdać sobie sprawę, że to wszystko jest w twojej głowie, a dzięki temu zapanujesz nad swoimi myślami. Może wtedy twoje wizje już nie będą takie straszne.

- Nie zawsze są straszne.

- Bardzo dobrze! Czy możesz powiedzieć, czym się różnią te, które nie są?

- Nie wiem, o co panu chodzi?

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego niektóre z twoich wizji nie są straszne.

- Widzę nie tylko złe rzeczy. Czasami dzieje się coś

dobrego.

- Na przykład co?

- Widziałam, jak mój tato kupuje nowy samochód. Był szczęśliwy.

- Czy twój tato kupił nowy samochód?

- Nie. Ale oszczędza na niego.

- Więc nie wszystko, co widzisz, dzieje się naprawdę, tak?

- Nie wiem. Ale wydaje się prawdziwe, kiedy to widzę.

- Oczywiście. Sny mogą być bardzo realistyczne.

- To nie są sny! Ja nie śpię, kiedy to widzę. To się dzieje cały czas! Wiem, co to jest sen. Wiem również, kiedy sobie coś wyobrażam. To nie jest to samo! Wiem, że mi pan nie wierzy, ale mówię prawdę. To jest coś zupełnie innego.

- Evo, nigdy nie powiedziałem, że nie mówisz prawdy. Ani przez chwilę tak nie myślałem. Wiem, że uważasz swoje wizje za prawdziwe. Chcę tylko, żebyś dopuściła do siebie możliwość, że jest inaczej.

- Jest już czwarta. Moja mama czeka na dole.

- Dobrze, możesz iść, Evo. Przemyśl to, co ci powiedziałem. Kiedy przytrafi ci się to następnym razem, spróbuj sobie powiedzieć, że to się nie dzieje naprawdę. Powiedz to na głos, jeśli chcesz. I zacznij rysować, co widzisz. Możesz przynieść te rysunki na następną wizytę. Chciałbym je zobaczyć. Jeśli to nie pomoże, spróbujemy czegoś innego. Możemy zastosować specjalne leki, które uwolnią cię od złych myśli.

- Nie chcę zażywać leków.

- To tylko propozycja, Evo. Twój rodzice i ja chcemy... chcemy tylko, żebyś była szczęśliwa.

DOKUMENT NR 1528

ZAPIS ROZMOWY DOKTOR ROSE FRANKLIN, SZEFEK SEKCJI NAUKOWEJ, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: Kwatera główna KOZ, Nowy Jork

Proszę odłożyć broń, doktor Franklin.

Wynocha!

Doktor Franklin...

Proszę! Chcę zostać sama! Nikomu nie robię krzywdy.

Przystawia pani sobie pistolet do skroni. Nie chciałbym wyciągać bezpodstawnych wniosków, ale w tej chwili obawiam się o pani bezpieczeństwo. Znam również powód pani wzburzenia i zdaję sobie sprawę, że mogłem się przyczynić do tego stanu.

Zaczęłam mierzyć sobie w głowę, dopiero kiedy zjawił się strażnik. A pan do niczego się nie przyczynił. Teraz proszę stąd wyjść! Obaj!

Doktor Franklin, proszę odłożyć pistolet, żeby ten dżentelmen mógł nas opuścić. Bardzo chciałbym porozmawiać z panią sam na sam.

[Niech pani odłoży broń!]

Młody człowieku, nikt tu nie jest zagrożony. Możesz schować pistolet.

[Nie mogę tego zrobić, proszę pana.]

Twoje nazwisko i stopień poproszę.

[Mat Franklin, proszę pana.]

Franklin? Jesteście ze sobą spokrewnieni?

[Nie, proszę pana.]

Skoro nie jesteś krewnym tej pani, Macie Franklin, to ona nie będzie miała nic przeciwko, kiedy wsadzę cię do paki na resztę twojego krótkiego życia. Prawdopodobnie bardzo mało o mnie wiesz, ale możesz mi wierzyć, że jeśli się postaram, mogę zamienić twoją egzystencję w piekło na ziemi. I daję ci moje słowo, że jeśli doktor Franklin spadnie włos z głowy, kiedy do niej mierzysz, będziesz błagał, żeby cię dobić... No dobrze. Teraz zostaw nas samych.

[Ale proszę pana...]

Zamknij drzwi z tamtej strony... Doktor Franklin, proszę przyjąć moje przeprosiny za brak wrażliwości, jakim się wykazał ten młody człowiek. Niestety do służby na nocnej zmianie nie przydziela się elity. Ale przede wszystkim proszę mi wybaczyć, jeżeli nasza poprzednia rozmowa doprowadziła panią do rozpacz.

To nie jest rozpacz. Po prostu chcę skończyć tę komedię. Nie powinno mnie tu być. Rose Franklin nie żyje!

Niczego takiego nie powiedziałem. Proszę oddać mi broń. Obydwoje wiemy, że nie zakończy pani dzisiaj swojego życia. Dochodzi piąta nad ranem, więc przypuszczam, że wpatruje się pani w ten pistolet od kilku godzin. Nie wątpię, że to poważna decyzja, ale pani determinacja nie nasili się jakimś cudem po śniadaniu.

To trudniejsze, niż przypuszczałam.

Nie jest łatwo stłumić wolę życia. Ze wstydem muszę przyznać, że jest to kwestia, w której mam bogate doświadczenie. Poza tym naprawdę potrzebujemy pani pomocy.

Nie jestem wam potrzebna. Ani trochę. Nie zrobiłam nic pożytecznego, odkąd... odkąd wróciłam.

To nieprawda. Nikt nie zna Temidy lepiej od pani.

Jej też tu nie powinno być, wie pan? Myliłam się. Nikomu nie zależało, żebyśmy ją znaleźli. Miała pozostać w ukryciu, pogrzebana w ziemi. A ja miałam zginąć. Powinniście rozmontować Temidę i wrzucić ją do oceanu. Zapomnieć o niej i o mnie.

Trochę na to za późno.

Chcę to powstrzymać. Nie ma pan pojęcia, jak to jest być... Zresztą nieważne. Mógłby pan wyjść?

Dla mnie to ważne. Jeśli nie chce pani oddać mi tego pistoletu, proszę go przynajmniej odłożyć... O tak... To wszystko, co wczoraj powiedziałem, miało podtrzymać panią na duchu. Teraz widzę, że nie osiągnąłem pożądanego rezultatu.

Powiedział mi pan prawdę. Nie jestem sobą! Jestem kopią!

Niczego takiego nie powiedziałem.

Powiedział pan, że wyczarowali mnie z niczego.

Odtworzyli panią na podstawie danych, które zdobyli przed pani śmiercią.

Jestem kopią!

Chciałem tylko przekazać pani informację, którą uzyskałem od jednej z osób zaangażowanych w całą tę sprawę. Teraz widzę, że moja relacja była daleka od doskonałości. Wyobrażałem sobie, że pójdzie mi dużo lepiej. Widocznie musiało mi umknąć najważniejsze, mianowicie to, że pani tożsamość, istota pani jestestwa, została całkowicie zachowana. Popeliłem...

To bez znaczenia. Jestem...

Nie skończyłem. Popeliłem straszliwy błąd, myśląc, że jestem w stanie przekonująco wyjaśnić coś, co sam ledwie pojmuję. Postąpiłem tak wiedziony nieufnością, z nieuzasadnionej chęci kontrolowania informacji, które ma pani prawo poznać. Myliłem się i proszę mi wybaczyć.

Człowiek, od którego się dowiedziałem...

Jest jednym z tych, którzy mnie... zrekonstruowali?

Tak sędę. Zaproponował, że spotka się z panią i wyjaśni dokładnie, na czym to polegało. Nie zgodziłem się. Zanim zrobi pani coś, czego nie da się cofnąć, proszę mi pozwolić skontaktować się z nim i umówić was na spotkanie. Jako naukowiec przewyższa mnie pani wiedzą i na pewno zrozumie pani z tego dużo więcej niż ja. Podejrzewam, że mój informator uprościł wiele rzeczy ze względu na mnie.

...

Wysłucha go pani?

...

Dobrze. To dla mnie pocieszające, że pani ciekawość mimo wszystko bierze górę nad rozpaczą. Odda mi pani wreszcie ten pistolet?

A jeśli to nie pomoże? Jeśli nie spodoba mi się to, co ten człowiek ma do powiedzenia?

Wtedy spróbuję czegoś innego.

Nie może mnie pan niańczyć w nieskończoność.

Chyba nie. Ale mogę to zlecić innym ludziom. Jeśli oczekuje pani, że sobie pójdę, to na próżno. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby powstrzymać panią przed odebraniem sobie życia, po części z troski o panią, ale przede

wszystkim z czystego egoizmu i wyrachowania. Niemniej jednak wiem, że mam do czynienia z niezwykle inteligentną i przedsiębiorczą osobą, zatem jeśli jest pani bardzo zdeterminowana, moje wysiłki prawdopodobnie i tak spełzną na niczym. Ale wtedy spróbuję czegoś innego.

Co pan ma na myśli?

Już raz przywrócono panią do życia. Nie ma powodu, aby sądzić, że nie da się tego zrobić ponownie.

Ja... Byłby pan do tego zdolny?

Jestem zdolny do wszystkiego, co uważam za konieczne, aby nas chronić. Bardzo chciałem uniknąć powoływania się na „dobro ogółu”, ale to jest jedna z tych sytuacji. Większość ekspertów, włącznie z panią, jeśli się nie mylę, żywi przekonanie, że kolejna wizyta naszych gości z kosmosu jest nieunikniona. Chyba jesteśmy zgodni co do tego, że w porównaniu z tym problemem pani obecne przygnębienie to błahostka. Gdyby pani Resnik miała ochotę rzucić się w przepaść, nie wątpię, że zrobiłaby pani wszystko, żeby ją powstrzymać.

Być może. Ale jej rola jest oczywista. Po prostu nie sądzę, abym jeszcze mogła na coś wam się przydać.

Czas pokaże. Czy mógłbym na chwilę zmienić temat?

O czym jeszcze chce pan rozmawiać?

Proszę mi powiedzieć, czego się pani dowiedziała o osobnikach, którzy znajdowali się we wnętrzu tamtego robota.

Po co? Nie mam nic do dodania.

Mimo to nalegam.

Przecież wszystko pan już wie. Czytał pan raporty i rozmawialiśmy o tym.

Czy są do nas podobni?

Do czego pan zmierza? Wie pan, jak wyglądają. Widział ich pan. Istoty człekokształtne, typ negroidalny, ciemnooliwkowa skóra, kolana zginające się do tyłu jak u robota. I to rzeczywiście są kolana; nie są palcochodni, jak przypuszczaliśmy. W nogach mają dodatkowy staw. Nie mają brwi. Wszystko inne jak u człowieka, na zewnątrz i w środku.

Jak bardzo są do nas zbliżeni pod względem genetycznym? Wiem, że dziewięćdziesiąt osiem procent naszego DNA jest takie samo jak u szympansa. Może mi pani powiedzieć, w jakim stopniu jesteśmy spokrewnieni z obcymi?

Czytał pan raport. Czego jeszcze pan chce?

Chcę, żeby pani mi to powiedziała.

Trzeba było pilnować Alyssy. Ona się w tym specjalizuje.

Chętnie porozmawiałbym z nią o wielu rzeczach. Ale ponieważ na razie jest to niemożliwe,

chciałabym się dowiedzieć, co pani wiadomo na ten temat.

Cóż, jeśli chodzi o szympansy, nie do końca ma pan rację. Nasze genetyczne pokrewieństwo w znacznym stopniu zależy od tego, co ze sobą zestawimy. W rzeczywistości nie jesteśmy sobie aż tak bliscy, jeśli spojrzeć na to globalnie. Co do obcych, których znaleźliśmy, powiem krótko, że nasze podobieństwo wynosi zero procent, ponieważ w ich organizmach nie występuje DNA.

Trudno mi uwierzyć, że mogą tak bardzo się od nas różnić.

Nie różnią się. Są zbudowani prawie tak samo, tylko... Wie pan, czym jest DNA?

Kwas dezoksyrybonukleinowy. O ile się orientuję, w nim są zapisane nasze genetyczne plany konstrukcyjne. Zdaję sobie sprawę, że to uproszczona odpowiedź.

Na tym polega jego istota. Jest nośnikiem informacji. W jego złożonych cząsteczkach mieszczą się niesamowite ilości danych. Cząsteczki te tworzą stabilną strukturę, a najlepsze w nich jest to, że same się powielają. W zasadzie to wszystko, czego potrzeba, żeby powstało życie. Możliwość przechowywania informacji przez pewien czas i ich przekazywania. Podał pan prawidłową nazwę. Zapytałam, czy pan wie, jaki jest jego skład.

Proszę mi powiedzieć.

DNA jest kwasem nukleinowym, jak sama nazwa

wskazuje. Składa się z prostszych substancji zwanych nukleotydami. Taki nukleotyd jest zbudowany z trzech składników. Z fosforanu, zasady azotowej i cukru.

Cukru?

A co? Trochę słodczy nie zaszkodzi. Jeśli jest to cukier zwany dezoksyrybozą, otrzymujemy kwas dezoksyrybonukleinowy, czyli DNA. Natomiast zrybozy, prostszego cukru, powstaje kwas rybonukleinowy, który również może gromadzić informacje, ale nie jest tak stabilną substancją jak DNA. Nasi goście z kosmosu mają bardzo podobną strukturę genetyczną, ale w skład ich nukleotydów wchodzi inny cukier, który nazywamy arabinozą.

Kwas arabinonukleinowy.

Otóż to.

I to jedyna różnica?

Niezupełnie. Jednym ze składników każdego nukleotydu jest zasada azotowa. W przypadku DNA... Na pewno chce pan tego słuchać?

Proszę kontynuować.

W przypadku DNA mogą to być cztery różne zasady: cytozyna, guanina, adenina i tymina, które nazywamy po prostu C, G, A i T. To jest nasz alfabet genetyczny. Za to w alfabecie obcych zamiast A występuje coś, co nazywamy diaminopuryną. To sprawia, że ich kod genetyczny jest nieco trwalszy od naszego.

Czy ta substancja jest spójna z naszym DNA?

Możliwe. Są do siebie na tyle zbliżone, że mogłyby między nimi dojść do wymiany informacji.

Więc tak naprawdę nie ma nic ciekawego w tych różnicach.

Żartuje pan? Prawdopodobnie jest to jedno z największych odkryć, jakich kiedykolwiek dokonaliśmy. Ludzie myśleli, że DNA jest jedynym źródłem życia. Zastanawialiśmy się, czy życie mogłoby się rozwinąć na bazie RNA. Dopiero od niedawna eksperymentujemy z kwasami nukleinowymi. Potrafimy w warunkach laboratoryjnych stworzyć ANA, wykorzystując szereg różnych cukrów. Jesteśmy w stanie otrzymać diaminopurynę. Ale przekonać się, że to wszystko, co potrafimy stworzyć, występuje we wszechświecie pod postacią złożonych form życia tak podobnych do nas... Teraz wiemy, że DNA tak naprawdę nie ma w sobie nic wyjątkowego. Możemy zmieniać składniki i wciąż otrzymujemy to samo. Czy pan rozumie, co mówię? Jesteśmy tak blisko odkięcia, skąd wzięło się życie. Jak martwa materia zamieniła się w żywą istotę. To jest...

Fascynujące?

Nie tylko fascynujące. To budzi wielki respekt. To... kolebka życia.

Czuje się pani wzruszona.

Tak. Jestem...

Wygląda mi to na całkowicie ludzką reakcję.

...chyba zrobili dobrą kopię. Wiem, do czego pan zmierza, ale nie sądzę, abym była robotem. Zdolność doświadczania uczuć nie oznacza, że jestem mniej sztuczna.

Czyżby? Chodziło mi nie tyle o fakt, że coś pani odczuwa, ale o to, co wywołało taką reakcję emocjonalną. Moje wrażenie może wynikać z ograniczonej wiedzy, ale według mnie wzruszyło panią to, że podstawowy budulec życia może przybierać wiele różnych form. Czyż nie taki był pani wniosek? Że w zasadzie DNA nie ma w sobie nic wyjątkowego, że to nie są czary? Powiedziała pani, że bez względu na składniki życie może zaistnieć w każdej strukturze molekularnej, która jest na tyle stabilna, żeby magazynować dane i powielać się. Udało się pani przeniknąć coś, co uchodziło za nieprzeniknione, i to tak panią wzruszyło.

Zgadza się.

Czy zatem to, co się z panią stało, nie powinno być źródłem takiego samego wzruszenia? Dlaczego świadomość, że istota tak niepowtarzalna jak pani może zostać sprowadzona do trwałej konfiguracji atomów, nie może być równie fascynująca? Nie znam się na genetyce, więc nie jestem tak wzruszony tymi odkryciami, ale uważam panią za nadzwyczajną osobę i czuję bezgraniczną pokorę na samą myśl, że tak skomplikowany i subtelny byt został odtworzony z podstawowego budulca wszechświata. Jeżeli to wiara tak panią zadręcza, powinna pani dostrzec w tym cud.

...

Proszę to przemyśleć.

Pański telefon wibruje.

To nie ma znaczenia.

Powinien pan odebrać. To może być coś ważnego.

Teraz rozmawiam z panią.

Proszę odebrać. Obiecuję, że nie zrobię nic głupiego.

No dobrze... Tak? Kiedy? Zaraz tam będę.

Co się stało?

Coś, co niestety wymaga mojej obecności.

Może pan iść.

Nie zostawię pani samej. Mogę poprosić pannę Resnik, żeby tu przyszła i dotrzymała pani towarzystwa, ale wolałbym, żeby poszła pani ze mną. Pani pomoc może okazać się przydatna.

Co się dzieje?

Temida zniknęła.

Co takiego?

Idzie pani ze mną?

Tak. Chodźmy!

Doktor Franklin... A pistolet? Proszę...

DOKUMENT NR 1529

PRZESŁUCHANIE KAPITAN KARA RESNIK, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: Kwatera główna KOZ, Nowy Jork

*[Czy hangar był zamknięty?]
(Czy coś zapamię...)*

Wszyscy cisza! Po kolei. Euge... Generale, pan pierwszy.

[Kiedy zauważyliście, że Temida zniknęła?]

Też pytanie. Jakies pięć minut temu, kiedy pana zawiadomiłam. Myśli pan, że najpierw poszłam sobie zrobić manicure?

[Nie tym tonem, kapitan Resnik...]

Staram się, ale tylko tracimy czas. Słucham cię, Rose.

(Czy wrota hangaru były zamknięte przez cały czas?)

Tak. Mówię wam, że nie wybrał się na przechadzkę. Nie dałby rady sterować robotem beze mnie.

Panno Resnik, jest pani pewna, że dziś rano Temida była w hangarze?

Tak! Była tu jeszcze przed dziesięcioma minutami. Widziałam ją. Rozmawiałam z Vincentem!

Proszę opowiedzieć nam wszystko, co pani zapamiętała.

Co zapamiętałam? Ona po prostu zniknęła! Czu ktoś mnie słucha?

Cały czas.

Dziś rano Vincent wstał wcześniej. Powiedział, że bym sobie jeszcze pospała, bo chce sam sprawdzić kilka rzeczy. Ale nie mogłam z powrotem zasnąć, więc czytałam przez chwilę, a potem tu przyszłam. Wywołałam go przez radio. Był w kabinie sterowniczej. Zapytałam go, czy jadł śniadanie. Okazało się, że nie, więc powiedziałam, że przyniosę mu bajgle, i poszłam do kuchni. Kiedy tu wróciłam, robota już nie było.

Na pewno niczego pani nie zapomniała? Najdrobniejszy szczegół może mieć znaczenie.

Na pewno! To znaczy... Powiedział, że nie jest głodny. A ja mu na to, że szkoda, żeby bajgle się zmarnowały. Przywozi je z Montrealu, kiedy się tam wybiera. Atu nie mamy lodówki... Więc w końcu uległ i poszłam zrobić mu śniadanie. Chce pan wiedzieć, z czym były te bajgle? Z twarogiem i dżemem malinowym. A potem Temida zniknęła, z moim mężem w środku. Zadowolony?

Teraz tak. Szczegóły kulinarne nie były konieczne.

To był chyba pierwszy raz, kiedy nazwałam go swoim mężem nie dla żartu... Musimy go znaleźć!

Znajdziemy. Doktor Franklin, może nam pani powiedzieć, gdzie w tej chwili znajduje się Temida?

(Nie widzę jej położenia.)

Może to usterka GPS- u?

(Wszystkie inne obiekty namierza. Tylko nie Temidę.)

Może odbiornik jest uszkodzony?

Wszystkie trzy? Rose, na pewno jej nie widzisz?

(Według tego urządzenia już jej tu nie ma.)

To bez sensu. Nie mogła tak po prostu wyparować.

Może ktoś wyłączył odbiornik, żebyśmy nie mogli jej zlokalizować.

Niemożliwe.

Próbuję tylko podsunąć jakieś wyjaśnienie.

To nie jest takie proste.

Dlaczego?

Nadajniki znajdują się w kabinie sterowniczej. Samo dotarcie tam zajmuje około dziesięciu minut. Ktoś musiałby je znaleźć i unieszkodliwić, a to wszystko, zanim Vincent sięgnąłby po radio. I co potem? Nawet z pomocą Vincenta nie byłoby tak łatwo jej stąd wyprowadzić. To jest wysoka na sześćdziesiąt metrów

górze metalu o masie siedmiu tysięcy ton, która nie mogła wymknąć się bezszelestnie, zanim zdążyłam przekroić i posmarować bajgle.

Sensowne rozumowanie. Może pani przedstawić jakąś bardziej prawdopodobną wersję?

W tej chwili nic nie przychodzi mi do głowy.

Czy obcy mogli w jakiś sposób ją przetransportować?

Ma pan na myśli coś takiego, co zrobił tamten robot, kiedy się zmaterializował w Londynie? Nie mam pojęcia. A ty, Rose?

(Nie wiemy, czy sam to zrobił, czy ktoś go zmaterializował. Tak czy inaczej, nie sądzę.)

Odrzucanie tego wyjaśnienia, bez żadnych argumentów przeciwko, nie wydaje mi się poważne.

Ona ma rację. Gdyby obcy mogli po prostu teleportować Temidę w dowolnej chwili, czemu jej nie zgarnęli, kiedy walczyliśmy z Kronosem?

A jeśli wtedy nie mieli takiej możliwości, a teraz ją mają? Może potrzebują do tego jakiegoś statku albo sprzętu, którego nie było w Londynie.

A tutaj jest? I my niczego nie wykryliśmy?

Zabrzmi to trochę przesadnie, ale mówimy o gigantycznych robotach z kosmosu.

Tak czy inaczej, to odpada.

Nie odrzucałbym tak pochopnie tej możliwości.

A ja odrzucam! Jeżeli obcy właśnie przenieśli Temidę do swojego świata, w kosmos czy dokądkolwiek, to już nic na to nie zaradzimy. Czy możemy wziąć pod uwagę scenariusz, w którym zdołamy odzyskać Temidę i Vincenta? I to w jednym kawałku?

Oczywiście. Jeśli przyjmiemy założenie, że Temida nie opuściła Ziemi, zostają nam tylko dwa wyjścia. Albo GPS uległ awarii, względnie został uszkodzony, albo robot znajduje się w miejscu, w którym nie da się go namierzyć. Na przykład we wnętrzu jakiegoś obiektu, który blokuje sygnał.

Takiego jak ten?

Tak. Wiem, że w niektórych budynkach odbiorniki GPS nie działają prawidłowo.

(W przypadku Temidy wygląda to inaczej. Trzeba by było nie lada zakłóceń, żeby odciąć jej zasięg. Taka masa metalu powinna zatrzymywać fale radiowe, a mimo to mamy łączność z kabiną. GPS w mojej komórce nie działa w tym budynku, chyba że we wnętrzu kuli, i zawsze widzimy Temidę na monitorze, kiedy tu jest.)

Dziękuję, doktor Franklin. Ale robot może się znajdować w bardziej... szczelnym budynku. Musimy wziąć pod uwagę każde nieprawdopodobne wytłumaczenie, skoro nie nasuwa się nam nic prawdopodobnego.

Dobrze. W takim razie albo Vincent został porwany w kosmos i mknie nie wiadomo dokąd, albo jest tu, na Ziemi, tylko nie potrafimy go namierzyć. Czy możemy sporządzić listę miejsc, w których dałoby się ukryć gigantycznego robota?

Oczywiście możemy. Nie chciałbym przesadzać z pesymizmem, ale przedstawiła pani bardzo przekonujące argumenty, które przemawiają za tym, że Temida nie opuściła tego miejsca w zwyczajny sposób. Jeżeli to nie obcy ją przenieśli, na pewno ktoś albo coś za tym stoi.

(Rozważałam z Vincentem taką ewentualność, że Temida może posiadać zdolność teleportacji, jeśli założymy, że właśnie w taki sposób tamten robot znalazł się w Londynie. Na razie jeszcze niczego nie próbowaliśmy, ale niewykluczone, że Vincent sam coś znalazł).

Dokąd mógł się przenieść?

(Nie mam pojęcia.)

[Nie chciałbym się wtrącać, ale dziś po południu będą tu dziennikarze. W planie jest wywiad z pilotami i pogadanka dla wycieczki licealistów.]

Obawiam się, że będzie pan musiał to przełożyć, generale. Niestety panna Resnik złapała właśnie paskudną grypę, która dziś rano zmoęła również jej męża.

A co mam robić, kiedy wyzdrowieję?

Może pani pomóc generałowi w przygotowaniu listy potencjalnych kryjówek na terenie kraju.

A pan dokąd się wybiera?

Do bazy wywiadu w Chantilly. Musimy skorzystać z rządowych satelitów wywiadowczych, żeby objąć nadzorem każdy obiekt, który mógłby pomieścić silos raketowy albo małą armię. Kim jest ta kobieta na progu?

To Amy... jakaś tam... Z personelu cywilnego.

Wolno jej tu być?

[Ma przepustkę. Pracuje w łączności.]

Niech wejdzie... Czym możemy służyć, panno... Amy?

<Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam, ale pańska komórka nie ma zasięgu w tym pomieszczeniu. Właśnie dzwonił pewien pan, który powiedział, że system rozpoznawania twarzy w Helsinkach zareagował na czerwony alert Infra- Terra... rany, co za słowo. Nie mam pojęcia, co to oznacza, ale ten człowiek mówił, że może pan być zainteresowanym>

Dziękuję bardzo, Amy. Może pani już iść.

Co się dzieje?

Zapowiada się bardzo pracowity dzień, panno Resnik.

DOKUMENT NR 1532

TRANSKRYPT PRZESŁUCHANIA FIŃSKA
SŁUŻBA CELNA

Miejsce: port lotniczy Helsinki

Po... po... powtarzałam już sto razy. Nazywam się Mar... Marina Antonoiu.

Co pani robi w Helsinkach?

No nie do wia... wiary. Nic nie robię w... Helsinkach! Mam tu prze... przesiadkę na drugi lot. Która jest godzina?

Dochodzi dziewiętnasta.

Jasny szlag! Już nie zdążę na samolot. Siedzę w tym pokoju od sze... sześciu godzin. Mogę już iść?

Jeszcze chwileczkę. Polecą pani następnym. Dokąd się pani wybiera?

Jakim następnym? Następny jest dopiero jutro. I ma pan prze... przed sobą mój bilet. Wiem, że pyta mnie pan w kółko o... to samo, żeby sprawdzić, czy nie zmie... zmienię zeznań, ale to pytanie padło już chyba po raz dziesiąty, a odpowiedź jest napisana tutaj: Nowy Jork. Moje nazwisko też. To jest bilet lotniczy. Nie mo... mogę z nim polecieć nigdzie indziej. Jeśli

zamierza pan mnie prze... przesłuchiwać w nieskończoność, proszę przynajmniej znaleźć coś, co się nie zga... zgadza.

To tylko rutynowe pytania. Zaostrzyliśmy środki bezpieczeństwa na lotnisku i pani karta pokładowa została wybrana losowo.

Może jednak pan mi powie, o co... tak naprawdę chodzi? Nie wyłapuje się losowo pasażerów, żeby cały dzień trzymać ich...

Zostało mi jeszcze tylko parę pytań... ze względów bezpieczeństwa.

Nie! Nic nie zostało. Cztery godziny temu skończyły się panu wszystkie py... pytania. Mogę dostać kawę?

Za chwilę.

Ciągle zerka pan na zegarek. Czeka pan na kogoś?

Na mnie... Nie zaproponował pani niczego do picia, bo musiałyby wyjść, a nie chciał, żeby pani złamała zakaz i opuściła to pomieszczenie.

Dziękuję, młody człowieku. Może nas pan zostawić. Chyba nie muszę wspominać, że nie powinien pan nikomu opowiadać o spotkaniu z tą kobietą. Może pan za to napomknąć swojemu przełożonemu o awansie.

Alyssa Papantoniou. Nie wygląda pani na zaskoczoną moim widokiem.

Przeczuwałam, że pan się zjawi.

Nowy paszport? Antoniou. Jestem pod

wrażeniem.

Powiedzieli mi, że kłamstwo powinno być jak naj... najbliższe prawdy.

A dlaczego Marina?

To imię mojej matki.

Trudno zapomnieć. Rosjanie dobrze panią wyszkolili.

Powiedzieli mi również, że pr... próbuje mnie pan wrobić w masakrę wSre... Srebrenicy. Nie sądzi pan, że to lekka przesada?

Czyżby?

Myśli pan, że byłabym zdolna zabijać ludzi w imię jakiejś... przestarzałej idei nacjonalistycznej?

Szczerze mówiąc, pani Papantoniou, nie mam pojęcia, co pani zdaniem jest warte tortur albo śmierci.

Tortur? Nigdy bym celowo nie sprawiła nikomu b... bólu. Pan naprawdę w ogóle mnie nie zna.

Przyznaję, to prawda. Ale nikt pani nie kazał narażać panny Resnik na, że tak powiem, bardzo nieprzyjemne zabiegi.

Nie chciałam, żeby cierpiała! Nie jestem psychopatką, która w dzieciństwie podpałała ko... koty. Nigdy nie czerpałam... przyjemności z krzywdzenia innych.

Czy to znaczy, że nie ma pani absolutnie nic wspólnego z tym, co się wydarzyło w Srebrenicy?

Jak pan może... ? Ma pan w ogóle pojęcie, co się działo podczas wojny w Bośni? Czy tylko słuchał pan, jak rep... reporterzy przekręcają wszystkie nazwy?

Nie mam osobistych doświadczeń z tej wojny. Byłem tylko w Kosowie.

Zatem wie pan, czym się różnią mieszkańcy Serbii od Serbów, mieszkańcy Bośni od Bośniaków...

...mieszkańcy Chorwacji od Chorwatów. Zdaję sobie sprawę z różnicy między obywatelstwem i narodowością. Co to ma wspólnego z pani udziałem w czystkach etnicznych?

Moi rodzice byli na... naukowcami. Poznali się na jakimś kongresie. Ojciec wywodził się z prawosławnej serbskiej rodziny, a matka była rumuńską katoliczką. Z jakiegoś powodu wszyscy wmieście uważali ją za Cho... Chorwatkę, oprócz Chorwatów, którzy nazywali ją Cyganką. Chłopak mojej siostry był mu... muzułmaninem. Ja jestem ateistką. I wszyscy mieszkaliśmy w Bośni.

Do czego pani zmierza?

Nie wiedziałabym, po której jestem stronie.

Kiedy doszło do masakry, od roku była pani bezrobotna, mimo to poziom pani życia nie uległ pogorszeniu.

Ito... to panu nie daje spokoju? Miałam zajmować się genetyką, ale wstrzymano wszystkie badania. Ludzie nie dostawali pensji. Byłam zmęczona widokiem o... o... okaleczonych ludzi, którzy umierali na moich oczach, więc odeszłam ze szpitala. Moi rodzice już wtedy nie żyli. Zostało mi po nich trochę pieniędzy.

Więc przypuszczam, że będę musiał się zadowolić oglądaniem pani procesu w Stanach Zjednoczonych. Widzę, że w Nowym Jorku miała pani przesiadkę na samolot do Portoryko. Po co pani chciała tam wrócić?

To nie pańskie zmartwienie.

Zdaję sobie sprawę, że nie znamy się zbyt dobrze, ale proszę sobie uświadomić, że w końcu powie mi pani wszystko, co chcę wiedzieć. Może warto oszczędzić sobie niepotrzebnych przykrości?

I kto tu mówi o torturach? O co pan się tak za... zawział?

Obydwoje wiemy, co pani zrobiła. Jeżeli pani nie pamięta, na pewno wiele razy usłyszysz pani o tym w sądzie.

Ja tylko zrobiłam to, co było konieczne. Ktoś musiał, nawet jeżeli był na to za mmm... miękki.

Pobranie komórek jajowych od panny Resnik wbrew jej woli było konieczne?

Byłoby lepiej, gdyby się zgodziła, ale nie chciała.

...

Tak... To było konieczne.

Nie musiało do tego dojść. Okoliczności nie wymagały tak drastycznych środków. Mogła pani poczekać, aż się zgodzi.

Nie! Nie mogłam! Nie można czekać. Nie można się przejmować cudzymi uczuciami. Nie można ryzykować, licząc na pomyślny rozwój wypadków. To może kosztować wiele istnień ludzkich.

Co tak nagle panią wzburzyło?

Widział pan kiedyś pogrom?

Nie.

Ja też nie. A... ale ojciec mi opowiadał. Wciąż jeszcze byłam w Sarajewie, kiedy zaczęło się oblężenie. Cały kraj o... oszalał. Wszyscy zwalczali się nawzajem. Serbowie bili się z Chorwatami. Wszyscy napadali muzułmanów. Cały czas dochodziło do pogromów. I pewnego dnia przyszli do naszego miasteczka.

Kto? Serbowie?

To nie ma znaczenia. Bośniacy i Chorwaci też zamordowali mnóstwo ludzi, ale tak, wtedy to była armia serbska. Wie pan, ilu potrzeba ludzi, żeby sterroryzować dziesięcioletnie miasteczko?

Mniej, niż mogłoby się wydawać.

Prawdopodobnie wystarczyłoby pięćdziesięciu. Ale

tamtego dnia było ich dużo więcej. Do miasteczka wkroczyło dwustu żołnierzy. Wiedzieliśmy, do jakich okrucieństw zdolni są Serbowie. Wszyscy o tym mówili. Mieszkańcy nie byli bezbronni. Mieli broń, du... dużo broni. Mogli walczyć. Dziesięć tysięcy przeciwko dwustu. W ciągu kilku minut byłoby po wszystkim. Ale nic nie zrobili. Włodarze miasteczka apelowali o spokój. Nie prowokujcie ich, mówili. Nie pogarszajcie sytuacji. Myśleli, że brak oporu wyjdzie im na dobre.

I wyszedł?

Być może. Tego dnia Serbowie zamordowali tylko dwadzieścia siedem osób.

Dwustu mężczyzn... Nnnawet mniej, bo kilkunastu na przemian gwałciło mo... moją siostrę, dopóki nie wyzionęła ducha. Kazali na to patrzeć moim rodzicom, a potem zabili matkę. Ojcu darowali życie... bo był Serbem. Tego dnia dopuścili się wielu gwałtów i mordów. W całym miasteczku na ulice wyszło nie więcej niż sto osób. Ludzie nic nie robili. Nawet nie próbowali się bronić. Mieli nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Tydzień później mój ojciec odebrał sobie życie.

Tak się dzieje, kiedy nie robimy tego, co konieczne. Vincent i Kara mieli po dwadzieścia kilka lat. Wydawało im się, że będą s... sprawni jeszcze przez co najmniej drugie tyle. A przecież mogli zginąć. Mogli za... zachorować. Pomyślałam, że ich dzieci mogłyby odziedziczyć po nich zdolność do kierowania robotem, ale musiałyby upłynąć wiele lat, zanim byśmy się o tym przekonali...

Czy zdaje pani sobie sprawę, że... istnieją inne sposoby na rozmnażanie? Zastanawiała się pani

w ogóle, dlaczego zachęcałem dwoje ludzi służących w jednej formacji, żeby zostali parą?

Nie sądzę, aby robił pan to z tego powodu. Myślę, że miał pan do nich słabość. Może uznał pan, że dzięki temu będzie im się lepiej razem pracowało.

Jeśli w jakiś sposób, świadomie lub nie, dałem pani do zrozumienia, że choć trochę obchodzi mnie pani opinia na mój temat, był to mój błąd. To się więcej nie powtórzy.

Nieważne, czemu pan to zrobił. Też miałam nadzieję, że ich potomstwo poczęte w klasyczny sposób będzie w stanie kierować robotem. Byłby to najbardziej pomyślny obrót sprawy. Spłodzić kilkanaścioro dzieci, z których każde mogłoby obsługiwać oba stanowiska. Ale ich dzieci miałyby tylko połowę genów każdego z rodziców, być może tę gorszą połowę. A gdyby się nie udało? Nie mogłam czekać. Musiałam również spróbować klonowania. Sprawdzić, czy uda mi się wszczepić im zwierzęce geny, żeby ich nogi zginały się w odwrotną stronę.

Jest pani szalona.

Czyżby? A co *pan* by zrobił, gdyby urodziły się im dzieci? Kazałby pan pokroić jedno z nich i przerobić mu kolana? To dopiero byłoby szalone. I wątpię, żeby ktoś poddał się temu dobrowolnie. Po prostu nie prze... przemyślał pan tego. Mój plan przynajmniej nie zakładał ooo... okaleczania nikogo.

Udało się pani?

Oczywiście że nie! Usunął mnie pan z laboratorium,

zanim w ogóle zaczęłam pracę. Obcy zjawili się wcześniej, niż przypuszczałam, ale teraz zapewne już się pan przekonał, że miałam rację, prawda?

Trzy minuty temu powiedziałem, że z wielką przyjemnością będę śledził pani proces. Większość ludzi zrozumiałaby, co chciałem zasugerować... Nie, nie sądzę, że miała pani rację.

Proszę sobie wyobrazić, że obcy przybyli kilka lat wcześniej i Kara została ranna. O ile więcej ludzi zginęłoby wtedy w Londynie? I czy na Londynie by się skończyło? Gdybym w takiej sytuacji zaproponowała wam innego pilota na jej miejsce, czy ktoś by mi odmówił?

Potrafię sobie wyobrazić świat, w którym ratuje pani ludzkość i zostaje bohaterką. W takim świecie błagałbym panią o wybaczenie i przyglądałbym się ze wzruszeniem, jak prezydent przypina pani order. Na szczęście nie żyję w takim świecie. A doświadczenie podpowiada mi, że wyrok, który pani usłyszy, będzie oparty na faktach, a nie na tym, jak mogłoby być.

Nie sądzę.

Nie sądzi pani, że będzie oparty na faktach?

Nie sądzę, że dojdzie do procesu.

Może się to wydać zaskakujące, ale większość rządów nie przeprowadza od razu egzekucji, jeśli nie ma powodu, by zrezygnować z procesu. Mogliby uznać coś takiego za... niestosowne.

Przypuszczam, że zanim wy... wyda mnie pan Amerykanom, udzieli mi pan całkowitego rozgrzeszenia.

Czy wciąż żyjemy w pani urojonym świecie?

Skoro nie lubi pan snuć przypuszczeń, przekonajmy się, jak silne okażą się pańskie prze... przekonania w konfrontacji z rzeczywistością. Nie miałam czasu nikogo sklonować. Ledwie zdążyłam zabrać próbki, zanim marines wta... wtargnęli do laboratorium. Miałam lewy paszport, który dostałam od Rosjan, ale nie... nie można podróżować z materiałem biologicznym, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Dlatego przed opuszczeniem wyspy wstąpiłam do kliniki położniczej i postarałam się, żeby wykorzystano próbki, które dostarczyłam. Zostawiłam im cztery jajeczka. Trzy się nie przyjęły. Ale jedno udało się zapłodnić.

Co pani chce przez to powiedzieć?

Chcę powiedzieć, że w Portoryko mieszka dziesięcioletnia dziewczynka o pięknych zielonych oczach, która mogłaby kierować tym waszym ro... robotem. Oczywiście nigdy jej nie znajdziecie, jeśli nie dostanę tego, czego chcę.

Mianowicie czego?

Całkowitego rozgrzeszenia. I chcę wrócić do ekipy badawczej.

Zwariowała pani? Portoryko to mała wyspa.

Jak pani myśli, ile czasu zajmie mi znalezienie

dziesięcioletniej dziewczynki?

Nie wiem. Bez... bez pomocy prawdopodobnie kilka tygodni. Wyjedzie, zanim zdąży pan ją znaleźć. Właśnie zamierzałam zabrać ją stamtąd do Rosji, żeby mogli za... zacząć ją szkolić. Dowiedzą się, że nie dotarłam na miejsce i wyślą po nią kogoś innego.

Skąd pewność, że nie każe pani zlikwidować, kiedy już pomoże nam pani ją znaleźć?

Och, u... ufam panu. Mógłby pan uznać coś takiego za niestosowne.

DOKUMENT NR 1534

ZAPIS GŁOSOWY EKSPERYMENTU VINCENT COUTURE, KONSULTANT, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: nieznane

Tutaj Vincent Couture, znajduję się w kabinie Temidy. Jestem... Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Nie widzę niczego na zewnątrz. Jest ciemno, choć oko wykol. Nie sędzę, abym był w kosmosie. Nie widać tu gwiazd. Mogę przestępować z nogi na nogę, więc nie ulega wątpliwości, że Temida stoi na twardym gruncie. Słyszę... jakiś odgłos. Bardzo niskie buczenie. Jak miecz świetlny, kiedy się nie porusza, o ile to cokolwiek znaczy. Gdybym miał zgadywać, to najprawdopodobniej stoję gdzieś na dnie oceanu, a ten odgłos wydaje woda stykająca się z powłoką.

Nie wiem dokładnie, jak się tu znalazłem, ale mam pewien całkiem sensowny pomysł. Kiedy to się stało, próbowałem dociec, czy Temida... może się teleportować. Rose i ja rozmawialiśmy o tym od czasu wyprawy do Londynu. Uważaliśmy, że taki sposób przemieszczania byłby w jej przypadku praktyczny. Cóż, na pewno bardziej niż silniki rakietowe w stopach albo skrzydła wysuwające się z pleców. Bądź co bądź waży ponad siedem tysięcy ton.

Ale tak naprawdę było to myślenie życzeniowe, bo liczyliśmy na coś zupełnie innego niż to, co widzieliśmy w Londynie. Tamten robot przybył z

kosmosu i jakiegokolwiek technologii użyli obcy, żeby go tu przysłać, musiała działać w trzech wymiarach. Korzystanie z niej tutaj, na Ziemi, byłoby prawie niemożliwe. Powierzchnia naszej planety nie jest płaska i należałoby brać pod uwagę nierówności terenu. Przenoszenie się poza zasięg wzroku, byłoby naprawdę skomplikowane. Moglibyśmy się znaleźć we wnętrzu jakiejś góry albo nad chmurami. Rose i ja liczyliśmy na coś... przyjaznego dla użytkownika. Coś, co mogłoby wyprodukować Apple - system, który pozwala ci traktować Ziemię jak idealnie gładką kulę i odwała całą robotę za ciebie. Tylko naciskasz guzik i trafiasz, dokąd chcesz, obiema stopami na powierzchni, a nie pod nią czy nad nią. W każdym razie przyszedłem do laboratorium wcześniej, żeby sprawdzić kilka opcji na konsoli, zanim dołączy do mnie Kara - chciałem jej oszczędzić nerwów, bo zawsze się irytuje, kiedy nie może w niczym pomóc. W pewnym momencie nacisnąłem jakiś klawisz. Otoczyła mnie biel i zapadła absolutna cisza. No i znalazłem się tutaj. A więc dobra wiadomość jest taka, że Temida może się teleportować!

Ale mam też złą wiadomość. Myślę, że prędzej tu umrę, nim zdążę się podzielić z kimś tym odkryciem.

Według mojego zegarka spędziłem tutaj niewiele ponad dwie doby. Zabrałem tylko butelkę wody, którą wypilem do ostatniej kropli i teraz oddałbym wszystko za cheeseburgera. Z podwójnym serem i bekonem... I do tego największe frytki... Przynajmniej z powietrzem nie ma problemu. Ta kula ma objętość prawie czterystu metrów sześciennych, więc grozi mi raczej śmierć z pragnienia niż z braku tlenu.

Jeżeli się nie mylę i stoję na dnie oceanu - najprawdopodobniej Atlantyku - nie ma szans, żeby ktokolwiek mnie tu znalazł. Może przetrwam jeszcze kilka dni, ale już teraz mam problemy z koncentracją,

więc jeśli mam zacząć coś kombinować, to nie będę odkładał tego na jutro. Szkoda, że nie mogę po prostu pójść przed siebie. Bez Kary nie zdołałbym utrzymać równowagi nawet na równej powierzchni, a poza tym nic nie widzę, więc Temida runęłaby jak długa, gdybym spróbował zrobić krok.

Przesłuchałem to, co nagrałem przedwczoraj rano, i zrobiłem kilka notatek. Wyjaśnię wszystko po kolei na wypadek, gdyby mi się nie udało... W prawym górnym rogu konsoli znajduje się przycisk, który wygląda jak przekreślona w poprzek litera „T”. Od niego właśnie zacząłem - nie udało nam się odkryć, do czego służy, ale nieodparcie przywodził na myśl... teleportację, kiedy się go połączy z różnymi ciągami liczb i przyciskiem „enter”.

Rose zastanawiała się, czy nie wprowadzić takich danych jak długość i szerokość geograficzna, ale Temida nie została wyprodukowana na Ziemi i trudno sobie wyobrazić system oparty na dwóch współrzędnych, który zadziałałby tak samo na innej planecie. Nawet gdyby założyć, że każda planeta kręci się wokół względnie stabilnej osi, daje nam to tylko naturalny punkt wyjścia dla jednej ze współrzędnych, albo na którymś z biegunów, albo na równiku, ale nie mamy takiego samego punktu w prostopadłym wymiarze. Długość geograficzna opiera się na całkowicie przypadkowym punkcie na osi wschód-zachód. Nie sądzę, aby obcy, z którymi mamy do czynienia, słyszeli kiedykolwiek o południku zerowym i strefach czasowych.

Gdyby mieli użyć systemu opartego na dwóch współrzędnych, większy sens miałoby potraktowanie samej Temidy jako punktu odniesienia. Wtedy osie układu przecinają się tam, gdzie stoi robot, i z tego miejsca możesz określać położenie innych punktów. Ale kiedy używasz czegoś takiego, problem polega na

tym, że znaczenie liczb całkowicie się zmienia w zależności od tego, na jakiej jesteś planecie. Długość i szerokość geograficzna to miara kąta, którego wierzchołek znajduje się w samym środku Ziemi, więc jeden stopień na powierzchni jakiejś potężniejszej planety oznaczałby dużo większą odległość. Im większa planeta, tym mniej dokładny byłby taki system nawigacji.

Można to także rozwiązać winny sposób. Tak naprawdę liczyłem na coś znacznie prostszego. Kierujesz tylko Temidę tam, dokąd chcesz się udać, wprowadzasz odległość i gotowe. Jedna liczba zamiast dwóch. Coś takiego nie zapewniałoby idealnej precyzji na dłuższych dystansach. Nie dałoby się przeskoczyć z Nowego Jorku do, dajmy na to, Paryża za jednym razem. Taka odległość utrudniałaby wyznaczanie kierunku, ale można by przeskoczyć Atlantyk, a potem tylko... wymierzyć z bliska w cel. Taki system miałby nikłe szanse powodzenia, ale pomyślałem, że przyjemniej jest szukać czegoś, z czego potrafiłbym korzystać.

Zacząłem skromnie - postanowiłem przenieść Temidę na odległość, którą oznaczyłem jedyneką. Nie wiedziałem dokładnie, o jaką jednostkę chodziło, ale wyobrażałem sobie, że prawdopodobnie wyląduję na pustym placu przed hangarem. Tak więc nacisnąłem guzik, który w moim mniemaniu odpowiadał za teleportację, potem jedynekę, a potem enter. Oczywiście nic się nie stało. Spróbowałem w odwrotnej kolejności. Też nic. Tak samo, kiedy wcisnąłem jedynekę, trzymając „T”, a potem go puściłem. Istniało niewiele kombinacji i myślę, że wypróbowałem wszystkie. Wtedy przyszło mi na myśl, że teleportacja nie działa, bo jedna jednostka odległości jest śmiesznie mała, jak jeden krok. Zaszalałem i spróbowałem tego samego z dwójką. Bez

efektu. Opuściłem sobie zatem proste rozwiązania i postanowiłem wprowadzić dwie cyfry zamiast jednej.

Próbowałem rozdzielać je enterem i pauzą. W pewnym momencie zrobiłem coś takiego: trzymając wciśnięty klawisz „T”, nacisnąłem dwójkę, pauzę i jeszcze raz dwójkę, a potem puściłem „T”. Nic wielkiego się nie stało, ale konsola wydała taki dźwięk jak wtedy, gdy informowała nas, że zrobiliśmy coś prawidłowo. Powtórzyłem całą operację kilka razy, ale jedynym efektem był ten dźwięk. W końcu ogarnęła mnie frustracja i od tego momentu moje nagranie jest raczej bezużyteczne. Kilka razy krzyczę „dwa”, a potem orientuję się, że jestem tu, gdzie jestem. Mówiąc krótko, nie mam pojęcia, co zrobiłem, ale zaczęło się od tej sekwencji. Wiem, że nacisnąłem co najmniej cztery cyfry, więc albo mamy do czynienia z systemem opartym na dwóch współrzędnych i niepotrzebnie wciskałem pauzy, albo to jest jakiś niesamowity wynalazek działający w czterech wymiarach i umrę uwięziony w środku skały, która krąży w przestrzeni kosmicznej cztery tysiące lat temu.

W każdym razie zamierzam odtworzyć to, co zrobiłem. Udało mi się obrócić Temidę w miejscu, więc teraz stoję skierowany w przeciwną stronę. Przy odrobinie szczęścia znów tak samo się wkurzę i trafię z powrotem tam, skąd przybyłem.

Zanim niechcący spowoduję jakiś wybuch, chciałbym przekazać wiadomość mojej żonie... Karo, kocham cię. Miałem dwa dni na rozmyślanie o tym, jak zwariowane stało się moje życie, odkąd poproszono mnie o podpisanie klauzuli poufności i wysłano do Chicago, żebym odszyfrował znaki na jakichś płytach. Poczuję... wdzięczność. Jestem wdzięczny Rose za to, że mi zaufała. I w ogóle za to, że odgrzebaliśmy tego giganta z kosmosu. Ale najbardziej jestem

wdzięczny za to, że poznałem pewną szaloną i upartą pilotkę, która z każdym musi zadrzeć. Karo, wszystko to nie byłoby takie przyjemne bez ciebie i twoich przytyków, którymi raczyłaś mnie na każdym kroku. Omal nie straciłem nóg i zrobili ze mnie cyborga... Rozwaliliśmy pół lotniska! Szkoda, że przy okazji zabiliśmy Rose, ale wszystko tak jakby dobrze się skończyło. Kurde, naparzaliśmy się z kosmitami! Kto miał okazję robić takie rzeczy? W każdym razie jeśli nie wyjdę z tego cało, nie myśl, że czegoś żałuję. Miałem życie pełne wrażeń i świetnie się bawiłem.

Nie zdążyłem ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Przykro mi, że przeze mnie musiałaś być kimś, kim nie jesteś. Wybacz mi, że z mojego powodu musiałaś przygasić swój blask, podczas gdy mnie zależało tylko na tym, żeby płonąć jaśniej. Nawet nieźle zabrzmiało.

Chcę, żebyś była szczęśliwa. Znajdź sobie kogoś. Masz moje błogosławieństwo, o ile nie wybierzesz jakiegoś ćwoka... i nie będzie za bardzo przystojny. Tylko nie bądź z nim za bardzo szczęśliwa, chociaż... no wiesz... bądź szczęśliwa. Oczywiście jeśli potrafisz być szczęśliwa bez faceta. Po prostu... sam nie wiem, co wygaduję... Nie chcę, żebyś czuła się samotna z mojego powodu. Jeśli nie przeżyję, to będę martwy. Niczym mnie nie zranisz. Zrób to, czego będziesz potrzebowała. Obiecuję, że nie będę patrzył na ciebie z nieba. Zresztą wątpię, żeby wpuszczali tam takich pretensjonalnych dupków z obcym akcentem, a poza tym wiesz, że mam lęk wysokości.

To chyba wszystko. Aha! Prawie o tym zapomniałem. Jeśli zginę, a wy znajdziecie kiedyś Temidę, posprzątaj podłogę za swoim stanowiskiem. Mówię serio, porządnie ją wyszoruj.

Dobra. No to do dzieła! Wciskam. Dwa. Dwa. Puszczam. Uwielbiam ten dźwięk. Dwa. Enter. Nic.

Wciskam. Dwa. Dwa. Puszczam. Dwa. Dwa. Enter...

Nic.

Puszczam. Dwa... Przecież już puściłem. Jeszcze raz od nowa. Weis...

Ożeż w mordę! Udało się! Znów się przeniosłem! Nadal jest ciemno, więc muszę być niedaleko miejsca, w którym przed chwilą stałem. Nie mam pojęcia, w jakim kierunku się przemieszczam, ale to działa! Udało mi się!

Karo, zapomnij wszystko, co mówiłem o innym facecie. Do diabła z nim. Wracam do domu.

Wciskam. Dwa. Dwa. Puszczam...

DOKUMENT NR 1539

**ZAPIS ROZMOWY RYAN MITCHELL,
AGENT OCHRONY**

**Miejsce: Michigan Science Center, Detroit, stan
Michigan**

Jak długo pan tu pracuje?

Około roku. A co?

Podoba się panu ta praca?

Ja... O co panu chodzi?

Wyczuwam rozdrażnienie w pańskim głosie. Czy mamy jakieś niewyjaśnione sprawy, o których musimy porozmawiać?

Ha! Żartuje pan sobie, nie?

Czy sądzi pan, że jestem w nastroju do żartów albo że było to pytanie retoryczne?

Spędziłem cztery lata w więzieniu po tym, jak uratowałem Karę i Vincenta!

A czego pan się spodziewał? Tyle panu zostało do odsiedzenia za spowodowanie wypadku, w którym ucierpiał pan Couture. Musiał pan odbyć

całą resztę zasądzonego wyroku, gdyż naruszył pan warunki zwolnienia przedterminowego, opuszczając teren stanu, żeby dołączyć do Alyssy w Portoryko.

Mógł pan mnie z tego wyciągnąć.

Rząd Stanów Zjednoczonych chciał oskarżyć pana o zdradę. W tej chwili mógłby pan rozmawiać z adwokatem o odroczeniu wyroku śmierci. A zamiast tego pilnuje pan, żeby dzieciaki nie ganiały po muzeum. Nie widzę powodu do narzekania.

Mógł pan mnie wyciągnąć!

Nie traćmy czasu na rozważania, co każdy z nas mógł zrobić inaczej, dobrze? Obaj wiemy, że ta rozmowa nie zakończy się dla pana moralnym zwycięstwem.

Wie pan, o czym rozmawiałem w Fort Carson, zanim poleciałem do Portoryko?

Mam przecucie, że zaraz się dowiem.

O niczym. Prawie z nikim nie zamieniłem słowa. Kilka razy odwiedziła mnie Rose, ale to w zasadzie jedyna osoba, z którą rozmawiałem. Spędzałem w celi tyle czasu, ile się dało. Dwa razy dziennie wyprowadzali mnie na dziedziniec, ale przeważnie trzymałem się na uboczu. Nie mogłem przestać myśleć o tym, co zrobiłem Yincantowi. Dlatego...

Naprawdę o tym pan myślał?

...No dobrze. Myślałem też o tym, co straciłem. O Karze. Nie mogłem... Wyobrażałem sobie, co musi do mnie czuć, i nie mogłem tego znieść. Znienawidziłem samego siebie. Bardzo, bardzo długo nie potrafiłem się z tego otrząsnąć. Chciałem... odzyskać jej sympatię. Ciągłe się zastanawiałem, jak mógłbym jej to wynagrodzić, co mógłbym zrobić, żeby znów zaczęła dostrzegać we mnie człowieka, a nie potwora. Wymyślałem jakieś kompletnie nedorzeczne scenariusze, wie pan - porywają ją terroryści, a ja przybywam na ratunek, takie rzeczy. Dopiero po roku przestałem się zadrećcać i spojrzałem prawdzie w oczy. Wciąż czułem do siebie wstręt, ale przynajmniej przestałem żyć w świecie iluzji. Nie chodziło już o Karę.

Czy ta historia ma jakiś morał?

Owszem. Pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, powiedzieli mi, że dostałem zwolnienie warunkowe. Tak po prostu. Droga wolna. Nie wiedziałem, co się dzieje, musieli wręcz wykopać mnie za bramę. Dzień później dostałem wiadomość, że Kara i Vincent są w Portoryko i mam tam lecieć. Potem wszystko zdrowo się popieprzyło i zanim uświadomiłem sobie, jak bardzo Alyssa postradała rozum, zdążyłem skrzywdzić ich oboje... znowu. To... to był jakiś koszmar. Nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, ale zebrałem się w sobie i zrobiłem to. Uratowałem ich. Wie pan, jakby się spełniło. To nie była fantazja. Naprawdę ich uratowałem! Nie łudziłem się, że po czymś takim wszystko będzie dobrze, ale myślałem... A wtedy pan wtrącił mnie z powrotem do więzienia. Na cztery lata. Już nikt mnie nie odwiedzał, nawet Rose.

Nie wiem, od czego zacząć. Najpierw usiłował pan zabić pana Couture. Potem, mając szansę się zrehabilitować, pomagał pan Alyssie, która więziła tamtych dwoje i poddawała pannę Resnik zabiegom medycznym wbrew jej woli. A kiedy stało się coś, co nawet pana przerosło, w końcu postanowił pan chociaż raz zachować się jak przyzwoity człowiek, co trwało około dziesięciu minut. Jeśli spodziewał się pan medalu, naprawdę bardzo mi przykro. A co się tyczy doktor Franklin, była martwa, co chyba wystarczająco tłumaczy brak wizyt.

Ale przecież wróciła.

Owszem, wróciła, jako osoba, która jeszcze pana nie poznała. Jak mógł pan oczekiwać, że będzie odwiedzała w więzieniu całkiem obcego faceta?

Wie pan, to wszystko jest bardzo zabawne, ale moja przerwa zaraz się skończy. Co tak naprawdę pana tu prowadzi?

W tym momencie oddział operacyjny sił specjalnych Delta przygotowuje się do akcji ratunkowej. Chciałbym, żeby pan do nich dołączył.

Nie mogę brać udziału w operacji Delt. Nie jestem komandosem. Musiałbym być... jednym z nich.

Mógłby pan im towarzyszyć jako doradca.

Nie jestem już żołnierzem. To też straciłem.

Słyszałem o dyscyplinarnym wydaleniu pana ze

służby.

Nie wątpię.

W takim razie ujmę to inaczej. Oddział Delty właśnie przygotowuje się do akcji ratunkowej. Chciałbym, żeby towarzyszył im pan jako doradca cywilny.

Myśli pan, że kiedy sobie popatrzę, jak grupa żołnierzy robi to, do czego ja już nie mam prawa, będzie mi łatwiej pogodzić się z tym, co się stało?

Pańskie osobiste odczucia nie są w tej chwili moim głównym zmartwieniem, aczkolwiek sądzę, że faktycznie mógłby pan przy okazji odkupić częściowo swoje winy.

O czym pan mówi?

Pamięta pan, jak skończył się pański bunt w bazie na Portoryko?

Alyssa uciekła. Wszyscy inni zostali aresztowani.

Pamięta pan, co było przyczyną wspomnianego buntu?

Tak, pamiętam. Dowiedziałem się, że Alyssa pobrała od Kary kilka...

Komórek jajowych...

No właśnie. Powiedziała, że wszczepi je innej kobiecie. Próbowwała...

Miała zamiar począć dzieci obdarzone cechami, które pozwalają pannie Resnik i panu Couture'owi sterować Temidą. Chciała wyhodować pilotów.

Ona jest szalona.

Szalona czy nie, wygląda na to, że jej się udało... począć dziecko. Jeszcze nie wiadomo, czy Temida na nią zareaguje.

A więc to dziewczynka?

Dlaczego pan się uśmiecha?

Kara jest mamą! Wie o tym?

Jeszcze nie.

Chwileczkę... Nie powiedział jej pan?

Uznałem, że nie ma potrzeby jej alarmować, dopóki...

Więc zrobi to pan! Właśnie pan to powiedział! Potraktuję to jako obietnicę!

Obiecuję, że jej powiem, kiedy przyjdzie na to czas.

Minęło dziesięć lat! Nawet więcej! Na co pan czeka? Aż zostanie babcią?

Dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj. W tej chwili nie mogę zweryfikować tej informacji ani tym bardziej potwierdzić, że jest to córka panny

Resnik i pana Couture'a. Właśnie w tym celu organizujemy tę akcję.

Po co posyłać tam Deltę? Można by po prostu zapukać do drzwi i zapytać...

Mam powody, aby sądzić, że rząd rosyjski wysłał tam swoją ekipę, która ma zabrać dziecko. Nie wiem, jakie są intencje Rosjan, ale zważywszy na to, jak daleko byli skłonni się posunąć do tej pory, wcale bym się nie zdziwił... gdyby usunęli wszelkie dowody w razie niepowodzenia swojej misji.

Mogliby zabić dziewczynkę?

Gdyby wszystko inne zawiodło. Myślę, że ich ostatecznym celem jest skompletowanie zespołu pilotów, i kiedy będą mieli już pewność, że są w stanie obsługiwać Temidę, nie cofną się przed niczym, żeby ją zdobyć.

Dlaczego?

Prawdopodobnie uważają, że lepiej się przysłużyć Mateczce Rosji, jeśli będą dysponowali taką bronią bez pytania ONZ o zgodę, najlepiej na zasadzie wyłączności.

Chcą jej użyć przeciwko nam?

Nie sądzę, aby teraz nosili się z takim zamiarem, ale z pewnością chcieliby mieć pod ręką taki atut, choćby tylko jako środek odstraszący. Wydarzenia w Londynie dowiodły, że ten, kto posiada Temidę, już nigdy nie będzie musiał się

obawiać konwencjonalnej armii. To bardzo silna motywacja.

A dlaczego ja? Co pana zdaniem mogę tam wskórać?

Jak pan zauważył, być może wystarczy tylko zapukać do drzwi. Jeśli to możliwe, chciałbym, żeby dziewczynka wyjechała stamtąd dobrowolnie.

A jej rodzice? Musi mieć jakichś rodziców.

Rząd Stanów Zjednoczonych wolałby, żeby dziecko było samo.

To nie jest misja ONZ?

Nie. Ani ONZ, ani KOZ o niczym nie wiedzą.

Czemu rząd robi coś takiego?

Prawdopodobnie też wychodzi z założenia, że lepiej mieć Temidę do dyspozycji bez pytania ONZ o zgodę.

I myśli pan, że jej rodzice tak po prostu oddadzą swoją córkę nieznanemu?

Będzie pan musiał ich przekonać.

A jeśli mi się nie uda?

Odsunąć się na bok. Delta się tym zajmie.

Odsunąć się... Ile będę miał czasu?

Nie umiem powiedzieć dokładnie. Kilka minut.

Co zrobią komandosi?

Zrobią to, co będą musieli zrobić.

A rodzice?

Nie mają dla nas znaczenia. Głównym celem misji jest bezpieczna ewakuacja dziewczynki.

Mamy ją porwać?

Widzi pan jakieś inne rozwiązanie? Przecież nie możecie poprosić jej rodziców o zgodę.

Dlaczego nie?

Bo musielibyście im wyjaśnić, dokąd zamierzacie zabrać ich dziecko, a rząd Stanów Zjednoczonych nie chce dopuścić do ujawnienia swojego udziału w tej sprawie.

Więc mam ich okłamać?

Musi pan ich przekonać w czasie krótszym niż dziesięć minut, żeby pozwolili jej z panem wyjechać. Jak pan tego dokona, nie ma większego znaczenia. Aczkolwiek uważam, że żaden rodzic nie zgodzi się dobrowolnie, aby jego dziesięcioletnia córka była szkolona do kierowania gigantyczną machiną wojenną na wypadek, gdyby podczas jakiegoś konfliktu ze złymi kosmitami straciło życie jedno z jej biologicznych rodziców, którzy nie mają pojęcia

ojej istnieniu. Sugerowałbym bardziej ujmującą historię.

Nawet jeżeli to zadziała, rodzice w końcu się zorientują, że coś nie gra, kiedy ich dziecko nie wróci.

Z pewnością. Zawiadomią policję. W pewnym momencie dojdą do wniosku, że ich córka została uprowadzona przez jakichś handlarzy żywym towarem albo kogoś w tym rodzaju. Lepiej, żeby zmienił pan trochę wygląd. Proszę założyć kapelusz. W każdym razie nie powinien pan się zbyt rozgadywać, żeby oszczędzić dziecku traumatycznych przeżyć.

To jest skończone draństwo.

Nie przeczę. Jednak lepsze to niż kilkunastu facetów z bronią maszynową, którzy wpadają do ich domu i porywają małą. Szlachetność jest luksusem, na który tym razem nie możemy sobie pozwolić. To niedoskonałe wyjście z tej dalekiej od ideału sytuacji. Podejrzewam, że czeka nas takich wiele w najbliższej przyszłości.

Nie zrobię tego.

Owszem, robi pan. Proszę zabrać rzeczy osobiste i jechać na lotnisko. Pański samolot odlatuje za półtorej godziny. W Fort Bragg spotka się pan z oddziałem Delt.

Nie mogę w tej chwili wyjechać. Co powiem mojemu szefowi?

Jestem pewien, że coś pan wymyśli. Proszę to

potraktować jako rozgrzewkę.

DOKUMENT NR 1541

TRANSKRYPT AUDYCJA NA ŻYWO, RADIO ABSOLUT

Miejsce: Londyn, Anglia

To był Jason Bajada i jego przebój *Down With the Protest*. Nadajemy na żywo z naszego nowego studia w Londynie. Mówi do was Sarah Kent, słuchacie *Nocnej Zmiany* w radiu Absolut. Tak mi miło znów się spotkać na antenie z nocnymi markami. Właśnie... dochodzi wpół do drugiej. Już czas, żebyśmy rozdali wam parę upominków! Co dziś dla was mamy? Och, będziecie zachwyceni. W ten piątek czeka nas coś bardzo ekscytującego. Wiecie, co to takiego? Na pewno wiecie. Podpowiem wam. To się dzieje dawno temu w odległej galaktyce. Tak! Na ekrany wchodzi nowa część *Gwiezdnych wojen* i mamy dwa bilety dla... powiedzmy, dla słuchacza, który dodzwoni się do nas jako jedenasty. Nasz numer to 02079460946. A kiedy będziecie gorączkowo stukać w klawiaturę, posłuchajcie muzyki. Gra dla was Muse i słuchacie radia Absolut.

[...]

Halo, jesteś na antenie.

[Halo!]

Jak masz na imię?

[Anthony.]

Czym się zajmujesz, Anthony?

[Pracuję w cukierni na Brick Lane.]

A macie w tej cukierni dobrą kawę?

[Bardzo dobrą!]

No dobra, ludziska. Sami słyszeliście. Jeżeli właśnie jesteście w pobliżu Brick Lane i macie ochotę wrzucić coś na ząb w środku nocy, idźcie do Anthony'ego. Zdradzę ci pewien sekret, Anthony. Tym, co najbardziej mi się podoba w naszym nowym studiu, jest kawa. Mamy tu najlepszy ekspres w całej Anglii, jeśli usłyszycie między piosenkami mój rozkoszny pomruk, to znak, że właśnie piję kolejną latte. No cóż, gratuluję ci, Anthony! Idziesz z osobą towarzyszącą na premierę *Gwiezdnych wojen* do kina BFI Imax.

Mam dla was jeszcze trochę świetnej muzyki... Co tam się dzieje? Prawdopodobnie tego nie słyszycie, ale na zewnątrz panuje straszny rozgardiasz. Słychać klaksony. Ludzie, jest wpół do drugiej w nocy!

[Sarah, musisz stąd wyjść.]

A teraz mam tu gościa! Prowadzę audycję, jeśli nie zauważyłeś tego podświetlonego na czerwono napisu nad drzwiami.

[Popatrz przez okno. Musisz stąd wyjść, w tej chwili.]

Na zewnątrz coś się dzieje. Prawdopodobnie zalani kibice Arsenalu wyżywają się po ostatniej

upokarzającej klęsce. Ale nie mówmy o tym teraz. Wiem, że zżera was wszystkich ciekawość, więc podejść do okna i... Ja pierdolę!

[...]

O kurwa!

[Trzaśnięcie drzwi.]

DOKUMENT NR 1543

**ZAPIS ROZMOWY DOKTOR ROSE FRANKLIN,
SZEF SEKCJI NAUKOWEJ,
KORPUS OBRONY ZIEMI**

Miejsce: Kwatera główna KOZ, Nowy Jork

Wrócili.

Temida się znalazła?

Nie. Obcy znów tu są. Proszę spojrzeć.

Kiedy się pojawili?

Dwadzieścia minut temu.

Gdzie?

W Londynie.

**W Londynie? Ciekawe, dlaczego po raz drugi
wybrali to samo miasto.**

Wybrali dokładnie ten sam punkt. Jeśli się nie mylę,
to jest zaledwie trzy metry od miejsca, w którym
pojawił się rok temu.

Ten robot wygląda inaczej...

Tak. Nie produkują ich seryjnie. Zdaje się, jakby każdy miał własną... osobowość. Na przykład ten świeci na pomarańczowo. Tu jest zdjęcie z zeszłego roku. Proszę spojrzeć na napierśnik. Jest dużo gładszy, ma mniej ornamentów. Hełm też jest trochę inny. I niech pan się przyjrzy jego twarzy. Tamten sprzed roku miał ostre rysy, wyglądał naprawdę surowo. Ten wydaje się młodszy i jakby androgeniczny. Nazwaliśmy go Hyperionem.

Być może wysłali łagodniejszy egzemplarz po tym, jak ostatnia wizyta skończyła się agresją.

Nie sądzę. Jest trochę wyższy od Kronosa i stoi na skraju pasa gołej ziemi, który zostawił po sobie jego poprzednik. Nie ma w tym nic łagodnego.

Czy to jest transmisja na żywo?

Tak. A co?

Zastanawiam się, co to za białe świecące punkciki u jego stóp.

Wiem, wszędzie ich pełno. Też mnie to ciekawi. Pięć minut temu nie było ich tak dużo.

Może pani zrobić zbliżenie?

Nie. To nie jest nasz satelita.

Sprawdźmy w telewizji. Stoi tam już na tyle długo, że media na pewno zdążyły się zjechać.

W Londynie jest środek nocy.

Ludzie musieli go zauważyć. To jedyna część miasta, która nie jest rzęsiście oświetlona. Musi być widoczny z daleka, jak latarnia morska.

Mam. Pokazuje go CNN. Z ziemi robi dużo większe wrażenie.

Nie zauważyłem tych światełek.

To było chyba nagranie z komórki. Poszukam na innych kanałach. Gdzieś musi być jakiś lepszy materiał...

Jest.

Co... To są ludzie! Ludzie ze świecami. Na oko jakiś tysiąc... Jakie to...

Pokrzepiające.

Chciałam powiedzieć, że głupie.

Kiedy obcy zjawili się tam poprzednim razem, wysłaliśmy czołgi na powitanie.

Ale nie po to, żeby ich atakować.

Nieważne, jakie były intencje. Wkroczyło wojsko i wszyscy wiemy, jak to się skończyło. Ci ludzie przyszli tam ze świecami i pokojowymi symbolami. Zamiast posłuchać najbardziej pierwotnego instynktu i brać nogi za pas, próbują nawiązać przyjazne stosunki z obcymi. Dla mnie to akt niezwykłej odwagi.

Nie wątpię w ich odwagę, ale nie bez powodu

jesteśmy obdarzeni tym pierwotnym instynktem, o którym pan wspomniał. To raczej akt desperacji. I wszystko na próżno. Ci ludzie zginą.

Zgodzę się z panią co do tej desperacji, ale to mogło zadziałać. Być może wystarczy, żeby nasi goście zobaczyli, że stać nas na coś więcej, niż pokazaliśmy podczas ostatniego spotkania.

Naprawdę pan sądzi, że to zadziała?

Nie robię sobie zbyt wielkich nadziei co do efektów tego spontanicznego porywu... ale mogę się mylić. Proszę im się dobrze przyjrzeć. Niektórzy wciąż są w piżamach. Wybiegli z domów, żeby pokazać przybyszom z kosmosu, że nie chcemy wojny.

Przyglądam się, ale nie zauważyłam nikogo w piżamie. Bardziej intryguje mnie to, że wielu z nich przyszło z dziećmi. Widzi pan to niemowlę. Ono nie jest odważne, tylko ma głupich i nieodpowiedzialnych rodziców. Przykro mi, ale nie widzę w tym nic pokrzepiającego.

Muszę przyznać, że jestem zaskoczony pani reakcją. Spodziewałem się, że kto jak kto, ale pani byłaby skłonna się do nich przyłączyć.

Posądza mnie pan o skłonności samobójcze czy obłąd? Cokolwiek pan o mnie myśli, proszę przyjąć do wiadomości, że to jest fatalny pomysł.

Niestety w tej chwili nie widzę lepszego rozwiązania.

Możemy tam wysłać Temidę. Poprzednim razem się udało.

Nie mamy Temidy. Nie wiemy, czy nie uległa zniszczeniu albo czy w ogóle znajduje się na tej planecie, więc chyba nie muszę pani tłumaczyć, że teraz jej użycie nie wchodzi w grę. Czy w związku z tym nie byłoby rozsądniej dążyć do uniknięcia konfliktu?

Nie jestem pewna, czy nam się uda po tym, co wydarzyło się poprzednim razem.

Może nie, ale musimy spróbować. Kogo by pani wysłała, żeby zademonstrować pokojowe nastawienie, jeśli nie tych nieodpowiedzialnych ludzi? Nie sądzę, aby wojsko spisało się lepiej.

To wykluczone.

W takim razie kto? W tej chwili ten tłum szaleńców ze świecami to nasza jedyna nadzieja na pokojowe rozwiązanie. W każdym razie dopóki nie odzyskamy Temidy. Również martwię się o dzieci, ale można by dowodzić, że dzięki ich obecności nasze przesłanie jest... jednoznaczne.

Rozumiem pańskie stanowisko.

Dziękuję.

Proszę mi nie dziękować. Wciąż się z panem nie zgadzam. Uważam, że to nie jest najlepsza okazja do poświęcania życia. Bezsensowna śmierć. Tylko że niczego lepszego nie mogę zaproponować. W każdym razie moje zdanie w tej chwili nie ma większego

znaczenia, ponieważ ci ludzie i tak już tam stoją ze swoimi dziećmi. Nie sądzę, aby te świece na coś się zdały, ale przecież nie wyślemy tam wojska, żeby ich ewakuować. Cokolwiek mogą zdziałać, mam szczerą nadzieję, że im się uda.

Ja również, ale nalegam, aby pomogła nam pani przygotować się na to, co może nastąpić, jeżeli robot zmiecie tych ludzi z powierzchni ziemi.

Myśli pan, że nie próbuję?

Ja...

Wprawdzie nie powinno mnie być wśród żywych, ale myśli pan, że nie zależy mi na znalezieniu jakiegoś wyjścia? Myśli pan, że nie chcę ocalić tamtych ludzi? Kary, Vincenta, pana, nas wszystkich? Staram się. Naprawdę, bardzo się staram.

Wiem, że pa...

Tylko nie mam pojęcia, jak to wszystko rozwiązać. Brakuje mi polotu.

Jeśli wolno mi dokończyć zdanie, chciałbym zapewnić, że nigdy nie wątpiłem w pani chęć pomocy. Co więcej jestem całkowicie pewien, że da pani radę, nawet jeżeli nie podziela pani mojej pewności.

Dlaczego? Skąd takie przekonanie, że zdołam czegokolwiek dokonać?

Gdyby nie pani, nie odkrylibyśmy tej gigantycznej dłoni w Black Hills. Nie

wpadlibyśmy na pomysł zastosowania argonu, który pozwolił zlokalizować pozostałe części robota. W ogóle byśmy ich nie szukali, gdyby nie pani głębokie przeświadczenie, że jest czego szukać. Gdyby nie pani, nie mielibyśmy Temidy, która rok temu ocalała prawdopodobnie miliony ludzi, pokonując tamtego robota.

To nie byłam ja. Wszystko jest zasługą...

Nie skończyłem. Jest pani, o ile mi wiadomo, jedyną osobą, która oszukała śmierć. Pewni ludzie zadali sobie wiele trudu, żeby pani była tu dziś z nami. Wprawdzie bardzo niewiele o nich wiem, ale na pewno nie należą do tych, którzy tracą czas i energię, przywracając kogoś do życia zupełnie bez wyraźnego powodu.

To zabrzmiało, jakbym była mesjaszem albo kimś w tym rodzaju. Proszę mi wierzyć, że nie jestem.

Nie uważam, że jest pani częścią jakiegoś proroctwa albo posiada pani mityczną moc, która jeszcze się nie ujawniła. Myślę, że ci, którym zawdzięcza pani swój powrót, nawet nie wierzą w takie rzeczy. I chociaż nie jest pani mesjaszem i mam co do tego absolutną pewność, nie ulega wątpliwości, że została pani wybrana. Jestem przekonany, że wybrali panią z bardzo praktycznych powodów - ze względu na to, kim pani jest. Czyli, o ile mi wiadomo, znakomitą uczoną, która posiada wyjątkowe predyspozycje, aby wybawić ludzkość z opresji.

A jeżeli się mylą?

To nic na tym nie stracimy, a ja będę mógł chwilę dłużej cieszyć się pani towarzystwem.

Powiedział pan, że mogłabym ich poznać. Tych, którzy to ze mną zrobili.

Powiedziałem, że mogłaby pani poznać jednego z nich. Znam tylko jego. Zorganizuję to spotkanie, tak jak obiecałem, ale najpierw muszę zadbać o kilka rzeczy. Czy są jakieś postępy w poszukiwaniach Temidy?

Nie. Wiemy na pewno, że nikt nie byłby w stanie przetransportować jej w konwencjonalny sposób bez naszej wiedzy. Pozostają zatem dwie możliwości. Albo ktoś przeniósł ją, korzystając z technologii, której nie znamy, albo przeniosła się sama.

Gdzie może teraz być?

Jeżeli nie opuściła naszej planety, musi być gdzieś pod ziemią, ewentualnie pod wodą. Gdyby znajdowała się na powierzchni, wiedzielibyśmy o tym. Jeżeli Vincent gdzieś utknął i nie potrafi do nas wrócić, chyba nie pozostaje nam nic innego, jak mieć nadzieję, że zdoła coś wykombinować na własną rękę. A skoro obcy znów tu są, to chyba znalazłam słaby punkt w osłonie ich robota.

Co to za punkt?

Pokażę panu... To są zdjęcia wykonane rok temu w Regent's Park. Pole siłowe jest niewidoczne, dopóki nie spadnie deszcz albo nie wleci w nie jakiś ptak, ale proszę spojrzeć... o tutaj... kiedy zrobię zbliżenie stóp. Bardziej nie da się powiększyć.

Nic nie widzę.

I o to właśnie mi chodzi. Pole siłowe ma grubość prawie trzydziestu centymetrów. Można by się spodziewać odstępu między ziemią a podeszwami i wokół stóp, ale niczego takiego tu nie widać. Trawa sterczy tuż przy krawędzi jego stopy.

Pięta Achillesa.

Właśnie. Gdziekolwiek kończy się to pole siłowe, na pewno nie sięga do samej ziemi. Nie wiem, jak moglibyśmy to wykorzystać, ale na razie to wszystko, co mam.

Proszę kontynuować badania, doktor Franklin. Przepuszczalnie zostało nam niewiele czasu.

Próbuję, ale nawet nie wiem, czego szukać.

Gdyby pan Couture tu był, znalazłby odpowiedni cytat z jakiejś postaci fikcyjnej. Ponieważ nie podzielam jego zamiłowania do fantastyki, powiem tylko, że słowo „próbuję” świadczy o braku wiary we własne możliwości. Niech pani znajdzie Temidę.

Co? Nie rozumiem? Co powiedziała by Vincent?

Proszę go znaleźć i zapytać.

Dokąd pan idzie?

Do widzenia, doktor Franklin.

DOKUMENT 1544

ZAPIS ROZMOWY GENERAL PORUCZNIK ALAN A. SIMMS, DOWÓDCA, POŁĄCZONE DOWÓDZTWO SPECJALNYCH OPERACJI

Miejsce: Fort Bragg, Karolina Północna

Uważam, że prezydent wyraził się bardzo jasno, kiedy powiedział, że jest to misja najwyższej wagi. Wiem o tym, ponieważ stałem wtedy obok niego.

Owszem. Powiedział to osiem godzin temu. Jestem pewien, że powiedziałyby to samo jeszcze trzy godziny temu. Ale dwie godziny i pięćdziesiąt pięć, nie, pięćdziesiąt sześć minut temu w Londynie znów pojawił się gigantyczny robot z kosmosu. Rok temu jego poprzednik zabił sto tysięcy ludzi, więc zgodzi się pan ze mną, że sprawy, które jeszcze niedawno były „najwyższej wagi”, w tej chwili zajmują trochę późniejsze miejsce na liście.

No więc jestem generałem porucznikiem armii Stanów Zjednoczonych, czyli grubą rybą w *moim* świecie, ale prawdopodobnie gównu pana obchodzi, co mam do powiedzenia, zatem przejdźmy do rzeczy. Wiem, że ma pan numer do kancelarii prezydenta na liście szybkiego wybierania. Poczekam.

Nie muszę dzwonić do prezydenta. Jeżeli nie

chce pan kontynuować misji, znam takich, którzy zechcą.

Myli się pan. Nie w tej chwili. Może ci wariaci z CIA są na tyle szaleni, żeby się zgodzić, ale bardzo szybko odkiyją, że żadna z formacji specjalnych nie dysponuje ani jednym wolnym oddziałem. Ani SEALs, ani Marines, ani Zielone Berety, ani jednostki rozpoznania, ani jednostki wsparcia taktycznego. Wszyscy są uziemieni. A jeśli chodzi o Deltę, może pan co najwyżej kupić bilet w Delta Airlines, ale będzie pan musiał przeprowadzić tę misję na własną rękę.

Gdzie są teraz komandosi Delty?

Tutaj. Nie opuścili bazy. Pańska grupa szturmowa była w trakcie przygotowań, kiedy to się stało. Osobiście wydałem rozkaz odwołania misji. Trzymamy na miejscu cały personel, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

A co z tym cywilem, którego wam wysłałem?

Kazaliśmy mu wracać tam, skąd przyleciał. Był wkurzony i kazał panu przekazać, że zajmie się tym sam, jeżeli pan tego nie zrobi. A teraz proszę wybaczyć, ale muszę wydostać z Syrii kilku bardzo niezadowolonych ludzi.

Będę nalegał. Ten oddział musi koniecznie wyruszyć w teren i dokończyć swoją misję. Dostanie pan tych ludzi z powrotem w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Może pan nalegać do woli. Ich misja, o ile mi wiadomo, miała polegać na sprowadzeniu dziecka,

które być może będzie wstanie sterować robotem KOZ, kiedy dorośnie. Coś mi umknęło?

To dosyć trafne, choć trochę uproszczone podsumowanie.

Zatem nic z tego. Prezydent zgodził się na to, gdyż mając swój zespół pilotów, nasz kraj zyskałby przewagę strategiczną. Ale sytuacja się zmieniła. Jeżeli stoimy na krawędzi globalnego konfliktu z obcą cywilizacją, nie ma sensu nawet myśleć o przejęciu robota za dziesięć lat. Teraz działamy zgodnie z planem i zwieramy nasze szeregi z KOZ. Nie wypuszczę teraz oddziału Delt, który może okazać się niezbędny na miejscu, i nie będę się narażał całej ONZ, bo niewykluczone, że za kilka godzin będziemy ich błagać o Temidę. Pańska kidnaperska misja jest zamrożona.

Ta operacja może być również ważna dla KOZ.

Czyżby? Więc dlaczego nie złożył pan tego wniosku za ich pośrednictwem? Dostałby pan ten oddział, gdyby to KOZ go zażądał. Cholera, przydzielilibym panu nawet cały pluton!

Czy wyraził pan zgodę na tę misję?

Najpierw proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Może innym razem.

Sprytnie. Owszem, wyraziłem zgodę, dwanaście godzin temu. Wtedy uznałem, że stoją za tym przesłanki strategiczne. Ale wtedy panował pokój. W czasie pokoju pozwalamy sobie na krętactwa, bo

wiemy, że druga strona też to robi. Teraz grozi nam wojna, a podczas wojny nikt nie próbuje oszukiwać swoich sojuszników. Z wyjątkiem pana.

Co pan chce przez to powiedzieć?

Jeśli się nie mylę, to właśnie pan założył KOZ.

Trochę mnie pan przecenia, jednak faktycznie miałem swój wkład w powstanie tej instytucji.

Więc dlaczego próbuje pan teraz zwinąć im tę dziewczynkę sprzed nosa?

Próbuję pomóc temu krajowi.

Ładnie z pańskiej strony. Mając jednego pilota, moglibyśmy wywierać naciski na KOZ, ale to nie wystarczy, żeby przejąć nad nimi kontrolę. Nie wiem, co pan przed nimi ukrywa, ale w pewnym momencie pańska tajemnica wyjdzie na jaw i przyłapią nas wszystkich ze spuszczoneymi gaciami. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym większego nabieram przekonania, że w coś nas pan wrąbią.

Ma pan bujną wyobraźnię.

Z całą pewnością. Cóż, zna pan moją odpowiedź. Nie wchodzimy w to. Jeśli Rosjanie są na tyle głupi, żeby teraz po nią tam lecieć, proszę bardzo. Z jednym pilotem i tak nic nie wskórają. Będziemy się o to martwić... Przepraszam na chwilę.

...

Co się stało?

Właśnie na wyspie Scatarie pojawił się kolejny gigantyczny robot.

Ta nazwa nic mi nie mówi.

To rezerwat przyrody niedaleko Cape Breton w Nowej Szkocji.

Przystąpił do ataku?

Tam nie ma czego atakować. Zresztą to jest nasz... to znaczy wasz robot. Zechciałby pan mi powiedzieć, co Temida robi w Kanadzie?

Muszę już iść.

Chyba jednak się nie dowiem. Miło się z panem gawędziło. Zapraszam ponownie.

DOKUMENT NR 1547

WYWIAD GENERAL BRYGADY EUGENE
GOVENDER,
DOWÓDCA, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: Kwatera główna KOZ, Nowy Jork

Te cholerne roboty są wszędzie!

Myślałem, że ten drugi jest nasz.

Tak, Temida wróciła. A właściwie jeszcze wraca. Vincent się uparł, że... „przerzuci” ją tu z powrotem, cokolwiek miałoby to oznaczać. Nic mu nie jest. Obiecał, że zjawi się tu za godzinę albo coś koło tego.

Mówił, gdzie się podziewał?

W oceanie.

Gdzie dokładnie?

To wszystko, co powiedział. Niestety nie mam nic więcej do przekazania. Zresztą nie miałem czasu na pogawędkę. Średnio co dziesięć minut pojawia się kolejny robot.

Jest ich więcej?

Tak. Już jedenaście! Nie słyszał pan? To jakaś

pieprzona inwazja! Przy ostatnim skończyły się nam imiona tytanów.

Gdzie?

O tym w Londynie już pan wie. Następny stanął na torach przy dworcu Shinjuku w Tokio około czwartej nad ranem. Jakies pięć minut później jeszcze jeden zmaterializował się w Dżakarcie. W Indiach są dwa, jeden w Delhi, drugi w Kalkucie.

Wszystkie w tym samym czasie?

W ciągu ostatniej godziny. Nasi goście całkiem nieźle się zgrali. Ten w Kairze moczy nogi w Nilu trzydzieści metrów od mostu Szóstego Października. Wie pan, od czego pochodzi nazwa tego mostu?

Od wybuchu wojny Jom Kippur.

Właśnie. Myślę, że wkrótce ktoś zacznie się poważnie zastanawiać nad zmianą tej nazwy. Do Moskwy też zawitali.

Londyn i Moskwa... Rada Bezpieczeństwa nie przyjmie tego zbyt dobrze.

No nie. Francuzi również mają swojego. Musiałby pan widzieć jego zdjęcie. Stoi na placu de Gaulle'a, dokładnie naprzeciwko Łuku Triumfalnego. Ci, którzy nim kierują, mają dobre wyczucie estetyki i nie lada talent dramatyczny.

U nas też się pojawili?

Na razie nie. Najbliższy jest w Meksyku, a drugi w

Sao Paulo. Ten pierwszy nie zadał sobie nawet trudu, żeby poszukać jakiegoś skrawka otwartej przestrzeni i stanął na małym muzeum sztuki, zamieniając je w rumowisko. Może ci piloci nie są aż tak dobrzy. Po drugiej stronie ulicy jest duży park miejski.

Znalezienie odpowiednich pilotów jest bardzo trudne. Wspomniał pan o Londynie, Tokio, Dżakarcie, Delhi, Kairze, Moskwie...

Zapomniał pan o Kalkucie.

Dzięki... Plus Paryż, Meksyk i Sao Paulo. To dziesięć. A mówił pan o jedenastu.

Johannesburg.

...

Wiem...

Czy pańscy krewni są w niebezpieczeństwie?

Mieszkają kilka kilometrów od miejsca, w którym pojawił się robot. Próbuje wydostać się z miasta i jest z nimi kilku moich byłych podwładnych. Właśnie rozmawiałem z siostrą. Mówi, że drogi są jeszcze przejezdne, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Będzie naprawdę nieciekawie. Najgorzej jest teraz w Delhi i w Kalkucie. W ciągu pięciu minut powstały ogromne korki i ludzie muszą ewakuować się na piechotę. W Tokio też bym nie chciał być.

Moglibyśmy...

Co byśmy mogli? Ocalić Johannesburg? Od kiedy to

Afryka jest na czyjejs liście priorytetów? Doceniam pańską wrażliwość, ale obaj wiemy, że do tego nie dojdzie.

Prawdopodobnie nie. Przykro mi.

Czy zauważył pan coś szczególnego w tym, gdzie się pojawili?

Wybrali niektóre z najbardziej zaludnionych miast na tej planecie.

No właśnie. Jaki z tego wniosek?

Że doskonale się znają na optymalizacji wykorzystania zasobów. Koszt eksterminacji jest, ogólnie rzecz biorąc, odwrotnie proporcjonalny do gęstości zaludnienia.

Ładnie pan to ujął. Łatwiej jest wyplenić szczury, kiedy wszystkie są w jednym miejscu...

To z pewnością mniej czasochłonne niż zabijanie nas pojedynczo. Jeżeli taki mają zamiar, mogą w bardzo krótkim czasie unicestwić jedną czwartą całej ludzkości przy pomocy garstki robotów. Jeżeli wszystkie wielkie miasta ulegną zniszczeniu, przestanie istnieć władza i nie będzie mowy o dostawach żywności i leków. Znaczna część ocalonych umrze w ciągu kilku miesięcy wskutek chorób i głodu. Ci, którym uda się przeżyć, nie będą stawiać większego oporu. Musi pan przyznać, że to godne podziwu, czego są w stanie dokonać, przysyłając tu dwudziestu dwóch pilotów.

[Przepraszam, że przeszkadzam, panie generale, ale powinien pan to przeczytać].

Dziękuję, Jamie... Dwudziestu czterech...

Następny? Gdzie?

W Pekinie.

Musi być jakieś inne wytłumaczenie. Przecież nas nie zaatakowali.

Jeszcze nie.

Całkiem możliwe, że stosują taką taktykę, żeby nas zastraszyć i zmusić do uległości.

W takim razie to działa.

Poddałby się pan, mając taką możliwość?

A pan? Bo mnie żywcem nie wezmą. Uważam, że oni mają w dupie, czy się poddamy, czy nie. Ale wie pan, że Temida nie pokona ich wszystkich. W tej chwili nie jest w stanie walczyć z żadnym z nich.

Byłem pod wrażeniem, kiedy pan powiedział, że wróciła nietknięta.

Och, z Temidą wszystko w porządku, ale nie może walczyć z tymi dwunastoma.

Mogłaby chociaż spróbować.

Bez jednego z pilotów to niemożliwe.

Niecałe pięć minut temu słyszałem, że pan

Couture właśnie wraca.

Tak, Vincent zaraz tu będzie. Ale Kara zniknęła.

Panna Resnik? Przecież wczoraj tu była.

Była. A dzisiaj jej nie ma. Może pan mi powie, gdzie się podziała?

Jeszcze przed chwilą nie miałem o tym zielonego pojęcia. Czemu pan sądzi, że mógłbym wiedzieć, gdzie jest?

Zostawiła kartkę na moim biurku. Napisała: „Nie wiem, kiedy wrócę. Proszę mu to przekazać”. Zakładam, że chodziło jej o pana.

Mogę to zobaczyć?

Nauczyłem się na pamięć. Zacytuję panu.

Otworzył pan ten list?

Jasne, cholera, że otworzyłem! Ludzkość stoi w obliczu zagłady, a mnie zaginał jeden z pilotów. Gównu mnie obchodzi pańska prywatność. Mam panu powiedzieć, co napisała, czy nie?

Proszę.

Pierdol się!

...

Taka jest treść listu.

Coś poza tym?

Nic. Tylko „pierdol się”. Jeden wykrzyknik. Powie mi pan sam, czy muszę zapytać?

O co zapytać?

Co pan jej zrobił, chytry sukinsynu?

DOKUMENT NR 1550

E- MAIL

**OD: RYAN MITCHELL DO: KAPITAN KARA
RESNIK,
KORPUS OBRONY ZIEMI**

Droga Karo!

Prawdopodobnie jestem ostatnią osobą, od której oczekujesz teraz wiadomości, i zdaję sobie sprawę, że ten mail pisany po pijaku to nie najlepszy sposób na uzdrowienie relacji. Powinienem napisać do ciebie prawdziwy list, ale nie ma na to czasu. Znów wyślę ciebie i Vincenta na misję bojową, ale uważam, że przedtem powinnaś o czymś się dowiedzieć.

A co do picia, no cóż, byłem już pijany. Powinienem najpierw trochę wytrzeźwieć, ale jak już wspomniałem, mam niewiele czasu.

Masz córkę w Portoryko. Myślę, że ma jakieś dziesięć albo jedenaście lat. Mieszka w San Juan przy Concepción 559. Alyssa pobrała kilka twoich jajeczek (chyba tak się to nazywa, kiedy byłaś nieprzytomna, i wszczepiła je jakiejś kobiecie. Użyła plemników Vincenta, więc to również jego dziecko.

Czuję się podle, bo to ja pomogłem jej cię uśpić, ale przysięgam na grób mojego brata, że nie zdawałem sobie sprawy, co zamierza zrobić. Myślałem, że to tylko jakieś badania. Kiedy się dowiedziałem, o co naprawdę jej chodzi, zabrałem stamtąd ciebie i Vincenta najszybciej, jak się dało. Nie wiedziałem, że

twoje dziecko urodzi jakaś inna kobieta. Wprawdzie Alyssa mówiła, że będzie się o to starała, ale zrobiłem wszystko, żeby ją powstrzymać. Myślałem, że mi się udało. Do dziś nie zdawałem sobie sprawy, że jednak to zrobiła.

Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Miałem dzisiaj lecieć do San Juan z oddziałem Delty, żeby sprowadzić tutaj twoją córkę, ale misja została odwołana. Podobną akcję organizują Rosjanie, którzy też chcą ją przejąć. Nie wiem, czy po tym, co stało się dziś w nocy, nadal się tam wybierają. Jeżeli tak, twoja córka jest w niebezpieczeństwie. Miałem za zadanie zapukać do jej drzwi i przekonać ją, żeby ze mną wyjechała, w przeciwnym razie komandosi Delty zabraliby ją siłą. Ale uważam, że jeśli ktoś miałby się zjawić w jej domu, powinnaś to być ty, a nie ktoś obcy, jak ja czy jakiś rosyjski agent. Oczywiście ciebie też nie zna i ma swoich rodziców, ale jesteś jej matką, więc powinna poznać ciebie, a nie mnie.

Wszystko sobie zaplanowałem. Ułożyłem sobie świetną historię. Wyjechałaby ze mną i w samolocie poznałybyśmy się bliżej. A potem mógłbym ci ją przedstawić. Myślę, że byłoby lepiej dla niej, gdyby już kogoś poznała przed spotkaniem z tobą. Chciałbym zobaczyć ten uśmiech na twojej twarzy, kiedy byś się dowiedziała, że jest twoim dzieckiem. Nie wiem, może nie uśmiechnęłabyś się do razu, bo coś takiego trudno przyjąć od razu, ale i tak chciałbym przy tym być.

Myślę, że byłabyś wspaniałą matką. To znaczy już jesteś matką, ale myślę, że byłabyś wspaniałą dla tej dziewczynki. Czasami bywasz trochę szorstka i nie zawsze dobrze reagujesz na zmiany, więc musi upłynąć trochę czasu, zanim się z nią oswoisz, ale to normalne. Ona też będzie potrzebowała czasu, bo jeżeli się tu przeprowadzi, straci jedyne rodziców, jakich w życiu miała. Ale kiedy już obie przywykniecie

do nowego życia, będzie wam wspaniale.

Wiem, co teraz myślisz - że dawno powinienem był ci to powiedzieć. Ale sam nie miałem pojęcia o dziecku. Wiedziałem tylko o komórkach jajowych. Nasz bezimienny znajomy zamierzał cię zawiadomić, ale najpierw chciał dopaść Alysse. Powiedział, że zasługujesz na to, ale uparł się, żeby czekać, więc to nie moja wina. Ja bym ci powiedział. Z perspektywy czasu to chyba dobrze, że o niczym nie wiedziałaś. Zamartwiałyś się niepotrzebnie przez cały ten czas. Dziesięć lat to dużo czasu na rozmyślanie, czy gdzieś w jakimś laboratorium nie powstają twoje dzieci.

Chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem złym człowiekiem, nawet jeżeli za takiego mnie uważasz. Popełniłem błąd. Kilka błędów tak naprawdę. To, co zrobiłem Vincentowi, jest potworne. Ale potem już tylko starałem się wam pomóc. Uratowałem go. To powinno coś znaczyć. Ciebie też uratowałem. Nie mówię, że powinniśmy być serdecznymi przyjaciółmi, ale mogłoby się nam udać.

Kiedy razem ćwiczyliśmy, nie potrafiłem myśleć o niczym innym jak tylko o tobie. Chciałem, żebyś otworzyła się przede mną. Kiedy się tego nie doczekałem, nabrałem przekonania, że problem leży po mojej stronie, tak jakbym nie zasługiwał na ciebie. Teraz wiem, że nie miało to ze mną nic wspólnego, tylko po prostu ty nie byłaś gotowa. Żałuję, że wtedy na to nie wpadłem. Gdyby tak było, nigdy bym nie skrzywdził Vincenta. Ale byłem tak nachalny, że wręcz popchnąłem cię w jego ramiona. Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, że jest już za późno, abyśmy byli razem, zwłaszcza kiedy odnalazło się wasze dziecko, ale moglibyśmy utrzymywać dobre stosunki, a nawet się przyjaźnić.

Rodzicielstwo wymaga wielkiego zaangażowania, a teraz, kiedy tyle się dzieje, naprawdę będziesz miała

mało czasu. Na pewno przyda ci się każda pomoc. Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć. Twoja córka nie jest już małym dzieckiem, więc nie proponuję ci usług niańki, ale mógłbym być dla niej jak starszy brat. Gdybyś poczuła taką potrzebę, mogłabyś również wypłakać mi się w rękaw. Wiesz, po prostu chciałbym być przy tobie.

W każdym razie właśnie to miałem ci do powiedzenia. Chyba już wszystko z siebie wyrzuciłem. Chciałem, żebyś o tym wiedziała, zanim znów wyślą cię na akcję, no bo, cóż, możesz nie wrócić stamtąd żywa. Wiem, że jesteś na to przygotowana, ale pomyślałem, że chciałabyś przedtem zobaczyć swoją córkę.

To by było na tyle. Życzę ci wszystkiego najlepszego i mam nadzieję, że dasz mi znać, jak potoczą się sprawy.

Twój przyjaciel Ryan

CZĘŚĆ TRZECIA

CIAŁO I KREW

DOKUMENT NR 1554

**ZAPIS ROZMOWY VINCENT COUTURE,
KONSULTANT,
KORPUS OBRONY ZIEMI**

Miejsce: Kwatera główna KOZ, Nowy Jork

Gdzie jest Kara?

Za chwilę przejdziemy do tej kwestii. Mamy dzisiaj wiele do omówienia, panie Couture. Najpierw chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób Temida trafiła do Kanady.

Cóż, trudno jest się obracać, kiedy dookoła nic nie widać. Byłem przekonany, że wykonałem pełny obrót, ale pomyliłem się o jakieś trzydzieści stopni. To dlatego znalazłem się w Kanadzie. Ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, myślę, że i tak dobrze się spisałem.

Nie zamierzałem pana ganić. Po prostu jestem ciekaw, czy celowo wybrał pan to miejsce.

Nie miałem pojęcia, gdzie jestem ani dokąd zmierzam. Kierowałem się naprzód, dopóki Temida nie wynurzyła się na tyle, żebym mógł coś zobaczyć. Nie wiedziałem również, co to za wyspa, i dopiero kiedy włączyłem komórkę, udało mi się ją zlokalizować na mapie Google. Potem w drodze do Nowego Jorku trzymałem się już płycizny blisko brzegu. Dzięki temu miałem trochę czasu, żeby rozgryźć, jak to naprawdę działa.

Dowiedziałem się od doktor Franklin, że zastanawiał się pan, czy Temida może się teleportować. Jej zdaniem nasze szanse na opanowanie technologii, która na to pozwala, są bardzo nikłe. Czy mam rozumieć, że skoro udało się panu wrócić w jednym kawałku, nasze szanse wzrosły?

O tak! jest nawet lepiej, niż przypuszczałem. Kiedy udało mi się ruszyć z dna oceanu, byłem przekonany, że mamy do czynienia z jakimś systemem opartym na dwóch współrzędnych. To byłby dla nas koszmar. Ale okazuje się, że działanie jest dużo prostsze. Mniej więcej na zasadzie... cel i pał. Obracam Temidę w odpowiednim kierunku i wstukuję na konsoli, o ile jednostek chcę się przenieść. Zmyliło mnie to, że najpierw trzeba określić wielkość tych jednostek. Najmniejsza odległość, na jaką można się przenieść, wynosi około piętnastu metrów. Dla Temidy to bardzo mały krok, więc przemieszczając się na krótkich dystansach można go przyjąć jako jednostkę, a potem wybrać wielokrotność. Na konsoli mieszczą się trzy cyfry, więc największa liczba, jaką można wprowadzić, to 777. Oczywiście w systemie ósemkowym. W systemie dziesiętnym to oznacza 511.

Jeśli dobrze rozumiem, największa odległość, na jaką może się przenieść Temida, wynosi 511 razy 15 metrów, co daje... w przybliżeniu siedem i pół kilometra.

Ponad siedem sześćset. Gdybym chciał przenieść się dalej za jednym razem, muszę zwiększyć jednostkę. Do tego też służą trzy cyfry.

Zatem maksymalny dystans, jaki można osiągnąć, to... 511 razy 15 metrów...

Razy 511. Czyli prawie 4 tysiące kilometrów. Ale nie zalecałbym tak dużych skoków, żeby znów nie wylądować pod wodą albo na środku pustyni. Ten system jest łatwy w użyciu, kiedy cel znajduje się w zasięgu wzroku. Do dalszych podróży będą nam potrzebne mapy albo coś w tym rodzaju. Musiałbym pogadać z chłopakami na dole. Zaprogramowanie czegoś takiego nie powinno im zająć wiele czasu.

Czy to jest bezpieczne?

Dla nas tak. System odwala za nas całą robotę i przenosimy się na taką odległość, jaką wprowadzimy. Gorzej dla tych, którzy znajdują się w punkcie docelowym. Ludzie, samochody, budynki, słowem: wszystko, co nie jest w stanie utrzymać masy robota, zostanie zmiażdżone. Musimy być ostrożni, ale to o wiele szybszy sposób niż rozkładanie jej na części i ładowanie na statek. No i nie powiem, że będzie mi brakowało tygodniowego rejsu. Kara też się ucieszy. Gdzie ona jest?

Wkrótce porozmawiamy o pańskiej żonie. Czy

generał Govender poinformował pana, jak wygląda obecna sytuacja?

Powiedział, że w Londynie znów pojawili się obcy. To nie wróży nic dobrego.

Niestety na tym nie koniec. Od tamtego czasu kilkanaście kolejnych robotów pojawiło się w gęsto zaludnionych miastach na czterech kontynentach. Ten ostatni zmaterializował się w Rio de Janeiro dziewięć minut temu. W tej chwili na Ziemi znajduje się trzynaście obcych robotów, wszystkie zbliżone rozmiarami i kształtem do tego, którego pokonaliście w zeszłym roku.

Generał mówił, że tamten w Londynie jeszcze nie wykonał żadnego ruchu.

Na razie wszystkie stoją nieruchomo. Jednak mając w pamięci zeszłoroczną konfrontację, nie możemy wykluczyć ewentualnej agresji. Gęstość zaludnienia we wszystkich tych miejscach jest tak duża, że jednoczesny atak może przynieść niewyobrażalne straty.

Zapewniam, że jeśli tylko zaczną wszystkich unicestwiać, ruszam do akcji. Kara też, ale musi pan zdać sobie sprawę, że nie zdołamy ich wszystkich pokonać.

Jesteście naszą jedyną nadzieją.

Płonna nadzieja. Nie zaniżam naszych możliwości, to tylko prosta kalkulacja. Może nam się poszczęścić raz, może dwa razy, ale nie trzynaście razy z rzędu. Nie sądzę, aby nam się udało zniszczyć połowę z nich, ale

powiedzmy, że mamy na to szansę. Nie można oczekiwać, rzucając monetą, że tyle razy wypadnie orzeł. Będziemy walczyć, bo to lepsze niż siedzieć i biernie się przyglądać, ale nie wygramy z nimi. Potrzebny wam jakiś lepszy plan.

NATO zamierza przeprowadzić atak nuklearny, jeżeli zostaniecie pokonani. Ale nawet jeżeli taka strategia okaże się skuteczna, opad radioaktywny po trzynastu potężnych eksplozjach, do których dojdzie w różnych częściach globu, przyniesie ogromne spustoszenie i jego skutki będą odczuwalne przez dziesiątki lat. Taka opcja wchodzi w grę tylko w ostateczności. Czuję się zobowiązany oznajmić panu, że w przypadku agresji ze strony obcych zostanie wydany rozkaz wprowadzenia Temidy do akcji, jeżeli będzie zdolna do działania.

O czym pan mówi? Przecież sprowadziłem ją z powrotem w jednym kawałku.

To chyba odpowiedni moment, aby porozmawiać o pańskiej żonie. Temida wróciła nieuszkodzona, ale nie jest zdolna do działania, ponieważ brakuje nam jednego z pilotów. Panna Resnik opuściła bazę bez zezwolenia.

Czy coś jej grozi?

Zważywszy na obecną sytuację, naruszenie dyscypliny wojskowej stanowi najmniejszy problem. Martwi mnie nie to, że złamała regulamin, ale sama jej nieobecność. Bez niej KOZ i prawdopodobnie cały świat są całkowicie bezsilne w obliczu tego, co może być zapowiedzią

szeroko zakrojonej inwazji obcych.

Gdzie ona może być?

Sądzę, że zamierza odwiedzić Portoryko.

Porto... Po co?

Proszę to przeczytać.

Co to jest?

To jest list - przesłany w formie elektronicznej - od Ryana Mitchella do panny Resnik. Ten list skłonił pańską żonę do podjęcia czegoś, co, jak mogę jedyne domniemywać, jest akcją ratunkową, której cel stanie się dla pana jasny w trakcie lektury. Muszę również zaznaczyć, że zawartość tego listu, jakkolwiek wstrząsająca i drastyczna, odzwierciedla tylko jeden z aspektów o wiele bardziej złożonej historii. Powinien pan...

Skończyłem. Czy on kłamie?

Już?

Szybko czytam. Czy to jest stek parszywych kłamstw?

Nie. Pan Mitchell nie zna wszystkich faktów, zachowuje się nieodpowiedzialnie, całkowicie lekceważy konsekwencje swoich czynów i najwyraźniej jest na skraju załamania nerwowego, ale nie kłamie.

Więc to prawda? Ja mam dziecko?

Szczerze mówiąc, tego nie wiem. Natomiast faktem jest, że pani Papantoniou pobrała od was obojga materiał biologiczny i nosiła się z zamiarem dokonania zapłodnienia in vitro, o czym świadczą dowody zabezpieczone w laboratorium. Jednak pan Mitchell nie wspomniał w swoim liście o jednym - a mogłoby to okazać się bardzo pomocne dla panny Resnik - mianowicie o tym, że wszystkie informacje, którymi tak skwapliwie się podzielił, począwszy od istnienia dziecka po kwestię rodzicielstwa, że nie wspomnę o groźbie porwania przez Rosjan, również pochodzą bezpośrednio od pani Papantoniou. Nie muszę tłumaczyć, dlaczego nie biorę za pewnik wszystkiego, co mówi ta kobieta.

Znalazł pan Alysę?

Nie namierzyłem jej osobiście, ale obecnie jest w naszych rękach.

Myśli pan, że ona kłamie?

Jest oskarżona o rzeczy, za które normalnie można dostać wyrok śmierci albo wielokrotne dożywocie. Ze względu na okoliczności, w jakich dopuściła się swoich zbrodni, nie może stanąć przed sądem, jednak dobrze wie, że rząd Stanów Zjednoczonych najchętniej by się jej pozbył. Zdaje sobie sprawę, że jeśli nie będzie miała jakiejś karty przetargowej, najprawdopodobniej zaginie w niewyjaśnionych okolicznościach, ewentualnie przytrafi jej się coś bardziej prozaicznego, na przykład utonie w morzu albo zapadnie na jakąś tajemniczą chorobę. Dlatego ma wszelkie powody, aby kłamać. Mimo to jestem

skłonny jej uwierzyć. Wodząc nas za nos, zyskałaby tylko parę dni zwłoki.

Gdzie ona teraz jest?

W bezpiecznym domu pod całodobową obserwacją.

...

O czym pan myśli?

A więc... dziecko?

Tak, dziewczynka.

Teraz?

Urodziła się jakieś dziesięć lat temu. Dopiero co się o niej dowiedzieliśmy.

...

Panie Couture?

Co?

Nie wygląda pan na rozgniewanego?

Niby że na pana?

Tak. Nie powiedziałem panu, jakie plany miała Alyssa Papantoniou przed dziesięciu laty. Gdybym jeszcze raz miał wybierać, też zataiłbym tę informację, ale i tak ma pan prawo być na mnie wściekły.

No pewnie, że jestem wściekły. Tylko... nie potrafię sobie wyobrazić, co musi przeżywać Kara.

Jestem święcie przekonany, że panna Resnik nie zareagowała tak spokojnie na rewelacje zawarte w tym liście.

Z całą pewnością. Musiała się wściec, kiedy to przeczytała. Ale tu chodzi o coś więcej. Kara nie chciała... Naprawdę bardzo się starałem ją nakłonić, żeby zmieniła zdanie, ale ona nie chciała mieć dzieci. Za to ja tak, więc ciągle nalegałem.

A teraz?

Teraz? Teraz zbliża się koniec świata. Kto w takich czasach zdecydowałby się na dziecko? Dzisiaj?

Jak już wspomniałem, ta dziewczynka urodziła się kilka lat temu.

Jak znajdziemy Karę?

Twierdzi pan, że nie chciała słyszeć o macierzyństwie. Czy będzie próbowała nawiązać kontakt z córką?

Tak, poleci tam i nie wróci, dopóki jej nie znajdzie. Będzie szukała do skutku. Nie bez powodu nie chciała dzieci. Pewnie obawiała się, że to ją pochłonie. Ale kiedy się okazało, że już...

Równie dobrze to może nie być jej...

Nie ma znaczenia. Teraz, kiedy nabrała przekonania,

że jest matką, nic jej nie powstrzyma.

Martwi się pan?

Tak. Boję się, że zrobi coś głupiego.

Naprawdę bardzo mi przykro, jeśli to ja...

Mam to gdzieś. Panem się zajmę, kiedy już będzie po wszystkim. Co pan zamierzał zrobić z informacją od Alyssy? No i jak, do kurwy nędzy, dowiedział się o tym Ryan?

Nie chciałem tego ujawniać nikomu z KOZ, dopóki nie zyskam potwierdzenia, że to prawda. Zwróciłem się o pomoc do rządu Stanów Zjednoczonych.

Co im pan obiecał w zamian? Pilota?

Tylko dałem do zrozumienia, że biore pod uwagę taką możliwość. Dostałem do dyspozycji oddział Deltę, żeby sprowadzić tu dziecko. Gdyby się okazało, że mała rzeczywiście mieszka pod adresem, który podała pani Papantoniou, pan Mitchell miał spróbować ją nakłonić do wyjazdu i tym samym oszczędzić jej traumatycznych przeżyć. Istniało również spore prawdopodobieństwo, że faktycznie zastaniemy tam jakąś dziewczynkę, ale później się okaże, że nie jest ona córką pana i pani Resnik. Akcję odwołano, kiedy w Londynie pojawił się robot.

Żałujemy, że tam polecieli i ją znaleźli. I żałujemy, że jest to faktycznie nasza córka, jak mówiła Alyssa. Powiedziałyby nam pan?

Oczywiście.

Skąd mogę mieć taką pewność?

Rozumiem, że bezpowrotnie stracił pan do mnie zaufanie. Jednak w tym przypadku zaufanie nie jest konieczne. Wystarczy zwykła logika. Jedynym powodem, dla którego mógłbym - ja albo ktoś inny - zataić przed wami ten fakt, byłaby chęć wykorzystania w przyszłości waszej córki jako pilota. Jednak najpierw musiałbym się upewnić, że dziewczynka jest w stanie uruchomić przynajmniej jeden hełm w kabine sterowniczej Temidy. To dałoby się jeszcze zrobić bez waszej wiedzy. Ale przecież musielibyśmy ją wyszkolić. Do sterowania robotem trzeba dwóch pilotów, więc jej szkolenie wymagałoby obecności kogoś z was. Najprawdopodobniej wybór padłby na pana, jako jedyną osobę, której budowa pozwala na korzystanie z szynnożnych. Jednak podejrzewani, że zważywszy na jej zdolność obsługi przyrządów sterowniczych, a także fizyczne podobieństwo do jednego lub obojga rodziców, ani ja, ani ktokolwiek inny nie byłby w stanie zataić jej pochodzenia przed kimś tak inteligentnym jak pan.

Naprawdę? Schlebia mi pan? I co pańskim zdaniem powinniśmy teraz zrobić?

Czekać. Ponieważ informacja, którą starałem się utrzymać w tajemnicy, wyszła na jaw, ponowię moją prośbę o przydzielenie oddziału Delt, tym razem za pośrednictwem KOZ i z wykluczeniem pana Mitchella.

DOKUMENT NR 1556

RELACJA NA ŻYWO JACOB LAWSON, BBC LONDYN

Miejsce: Londyn, Anglia

[Trzydzieści sekund, Jacob.]

Nie! Nie! Nie puszczaj mnie na antenę. Wycofujemy się.

[Co to znaczy, wycofujemy się?]

To znaczy, że ja i moja operatorka wracamy. Za pięć minut będziemy w samochodzie.

[Ale dlaczego? Wchodzisz za... dwadzieścia sekund. Co się dzieje, Jacob?]

Wstrzymaj to. Ten przeklęty gigant się poruszył. Wynoszę się stamtąd w cholerę.

[Rusza się? Widzę go na drugim kanale. Nic nie robi.]

Mówię ci, Jack, że się poruszył. Przystąpił z nogi na nogę i poruszył rękami.

[Z nogi na nogę... Nie możesz mi tego zrobić, Jacob. Czym ja zapełnię te trzy minuty na antenie?]

Prognozą pogody. Albo pokaż jakieś zdjęcia z rana. Gówno mnie to obchodzi. Kiedy ostatnio to coś zaczęło się ruszać, zginęło sto tysięcy ludzi. To się stało - och, zaraz - dokładnie w tym miejscu.

[Popadasz w paranoję. W tej chwili wszyscy na niego patrzą i zapewniam cię, że stoi nieruchomo.]

W paranoję? Właśnie idziemy przez pustkowia, Jack! Dociera do ciebie, co mówię? Stąpamy po gołej ziemi, bo rok temu jeden z tych zasnanych robotów zmiotł wszystko, co tutaj stało. Zresztą i tak jesteśmy zbyt blisko. Kiedy odejdziemy dalej, będę miał lepszy widok.

[Dokąd chcecie iść?]

Tam, gdzie są jakieś zabudowania. Dotrzemy do samochodu i pojedziemy do jednego z budynków na skraju strefy zniszczeń. Tam mogę ci nagrać jakiś materiał.

[Ile wam to zajmie?]

Nie wiem. Daj nam... dwadzieścia minut.

[Jacob, do końca strefy macie dwa kilometry. Dojazd zajmie wam dwie minuty.]

Tu jest pięćdziesiąt tysięcy ludzi, Jack. Wszędzie kręcą się dzieci i stoi tyle namiotów, że nie sposób ich zliczyć. Przed nami widzę kuchnię połową, a w niej - no nie wiem - z pięćdziesiąt rusztów. Setki ludzi w kolejce po hamburgery, oni tutaj zbudowali małą osadę. Ledwie udaje nam się przejść przez ten tłum. Będziemy musieli sobie torować drogę dla furgonetki.

[A ten tłum... czy oni też się ewakuują?]

Nie, nikt się nie ewakuuje. Ludzie przychodzą i odchodzą, ale nie sądzę, aby ktokolwiek uciekał.

[Więc ty też powinieneś tam zostać. Jesteś reporterem, na litość boską. Nawet dzieci mają więcej odwagi od ciebie.]

Idź w cholerę, Jack. Wynosimy się stąd.

[A co na to twoja operatorka?]

Janet, chcesz tu zostać?

[Idź w cholerę, Jack!]

[Dobrze, już dobrze! Jakoś zapełnię wasz czas.]

I co pójdzie na antenie?

[Każę im improwizować przez trzy minuty. Nie będą zadowoleni. Możesz przez to stracić pracę, Jacob. Obydwoje możecie wylecieć.]

Przecież mnie znasz, Jack. Zaliczyłem dla ciebie kilkanaście wojen. Oberwałem nawet kulkę.

[Twoja torba oberwała. Ty nie zostałeś ranny.]

Piętnaście centymetrów wyżej i teraz byśmy nie rozmawiali. Chodzi mi o to, że nie tak łatwo mnie wystraszyć, ale mówię ci, mam złe przeczucia.

[Mam nadzieję, że się nie mylisz, w przeciwnym razie]

drogo cię to będzie kosztowało.]

Bardzo chciałbym nie mieć racji. Jesteśmy już w samochodzie. Zadzwoń do ciebie, kiedy dojedziemy na miejsce.

[Nie, zaczekaj. Nie rozłączaj się. Puszczę cię na antenę przed pogodą, ale musicie być gotowi za pięć minut.]

Janet, Jack daje nam pięć minut.

[Co ona na to?]

Uśmiecha się.

[To już bardziej mi się podoba.]

Janet, spójrz w lusterko. Widzisz to?

[Tak. Co to jest?]

[Co tam się dzieje, Jacob?]

Powietrze... Trudno to opisać, ale powietrze wokół robota staje się... gęstsze, tak jakby...

[Jak mgła?]

Niezupełnie. Jakby powoli obrastał w chmurę. Cokolwiek to jest, nie wygląda jak zjawisko naturalne. Widzę uciekających ludzi.

[Czy to sprawa robota?]

Tak myślę. Nie widzę, skąd się to wydobywa. Teraz

powietrze mętnieje i robi się białe. Już nie widać nóg robota. To nie jest mgła. Wygląda raczej jak... opary suchego lodu. Wszędzie tego pełno. Janet, możesz dodać gazu. To dociera do nas.

[Czy to jest niebezpieczne?]

Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Rozchodzi się o wiele szybciej, niż ludzie są w stanie biec. Zostało nam jeszcze około stu metrów do zjazdu, ale to jest tuż za nami.

Do dechy, Janet! Dwaj! Tędy! Jesteśmy w śródmieściu. Skręć w Golden Lane. To cholera jest już wszędzie dookoła nas. Dalej niż na trzy metry nic nie widać.

O psia krew! To się dostaje do środka przez tylne drzwi. I przez podłogę. Janet, hamuj!

[Jacob?]

...

[Jacob!]

Jestem. Kurwa! Walnęliśmy w zaparkowane auto. Krew... to z mojej głowy. Janet! Janet jest nieprzytomna. Muszę ją wyciągnąć. No, dawaj, dziewczyno. Wynosimy się stąd.

[Przyślę wam pomoc. Powiedz, gdzie jesteście.]

Zabieram ją do Cromwell Tower. Jack, lepiej się pośpiesz. Ona... jej żyły pociemniały, są prawie czarne. Jest biała jak ściana.

[Czy ona nie żyje?]

Nie wiem! Trzymam ją na rękach, nie mogę zbadać pulsu. Ten dym dostaje się do wnętrza budynku nawet przez zamknięte drzwi. Muszę ją stąd zabrać. Może windą...

[Jacob, czy ona nie żyje?]

Wchodzę do windy. Zabiorę Janet na samą górę. Mam nadzieję, że to, co jej zaszkodziło, nie dosięgnie nas tam.

[Policja się nie zgłasza.]

...

[Słyszałeś, co powiedziałem?]

...

[Jacob!]

Nie żyje. Janet nie żyje. Te sukinsyny ją zabiły. Jest... sztywna, jej skóra... Jakby ktoś wypompał z niej całą krew...

[Jezu...]

Oni znów to robią, Jack. Chcą nas wszystkich zabić.

[Zorganizuję jakąś pomoc. A jeżeli się nie uda, sam cię stamtąd wyciągnę.]

Martw się o własną skórę, Jack! W tej chwili mgła już na pewno jest po drugiej stronie rzeki. Zaraz dojdzie do ciebie.

[Myślisz, że dosięgnie tak daleko?]

Właśnie wyglądam przez okno. To jest wszędzie, jak okiem sięgnąć. Wszystko, co ma mniej niż dwadzieścia pięć czy trzydzieści pięter, zniknęło w chmurze. Dosłownie morze bieli, z którego wystają szczyty kilku wieżowców. Zbierz wszystkich ze studia i uciekajcie na samą górę. Tam powinniście być bezpieczni.

[A ty?]

Nawdychałem się tego tyle samo co Janet. Nie wiem, dlaczego ja przeżyłem, a ona nie. Nic mi nie jest. Zostanę tutaj, dopóki to nie zniknie.

[Uważaj na siebie, Jacob.]

Na razie, Jack.

DOKUMENT NR 1567

**WYWIAD DOKTOR ROSE FRANKLIN,
SZEF SEKCJI NAUKOWEJ, KORPUS OBRONY
ZIEMI**

Miejsce: Kwatera główna KOZ, Nowy Jork

Doktor Franklin

...

Doktor Franklin, co pani robi?

Ja... nic nie robię.

**Siedzi pani z zamkniętymi oczami na podłodze,
otoczona przez tysiąc trupów. Coś pani robi.**

Jest ich osiemset sześćdziesiąt jeden. To mi wygląda
na przypadek. Dlaczego nie osiemset albo tysiąc?

**Przypuszczam, że tyle udało się zmieścić na
pokładzie samolotu transportowego, którym tutaj
przyleciały.**

Też tak myślę.

Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Jak ono brzmiało?

Co pani robi?

Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądałyby cztery miliony takich worków ze zwłokami. Czy zdołałabym ogarnąć je wszystkim wzrokiem? Czy byłoby to morze martwych ciał rozpościerające się we wszystkich kierunkach?

Nie znam odpowiedzi. Ale chyba łatwo to obliczyć, jeśli pani zależy.

Po prostu trudno pojąć, co tak naprawdę znaczy cztery miliony zabitych. Wiedział pan, że gdybyśmy chcieli odczytać na głos ich nazwiska, zajęłoby nam to około trzech miesięcy?

Widzę, że sporo pani o tym rozmyślała. Powinna pani zdać sobie sprawę, że cztery miliony to tylko szacunkowa liczba ofiar, oparta na bardzo nieprecyzyjnych danych. Nie wiemy, ile osób zdołało opuścić Londyn przed atakiem, ile mieszkało na skażonym terenie, ile zebrało się w pobliżu obcego robota i tak dalej. Ostateczny bilans, jeśli kiedykolwiek uda się go ustalić, może być zupełnie inny.

To bez znaczenia. I tak jest to przygnębiające.

Śmierć czterech milionów rzeczywiście jest bardzo przygnębiająca.

Chodziło mi o coś innego. Smuci mnie to, że przez tak dużą liczbę ofiar ich śmierć straciła na znaczeniu.

Nie rozumiem, co tu ma do rzeczy rozmiar

tragedii.

Po prostu ma. Kara mi opowiadała, jak byłam... Jak tamta Rose była zdruzgotana, kiedy we Flagstaff, gdzie znaleźliśmy jedną z części robota, zginęło osiem osób. Mogę tylko sobie to wyobrazić. Niewątpliwie odczułam wagę tych stu trzydziestu tysięcy zabitych podczas pierwszego ataku w Londynie, ale na pewno nie przeżyłam tego sto trzydzieści sześć tysięcy razy mocniej. Ani teraz nie jest mi cztery miliony bardziej smutno.

To się wydaje całkowicie normalne.

Czyżby? Nie sądzi pan, że nad śmiercią każdej osoby, którą zabiłam, powinnam ubolewać tak samo?

Nikogo pani nie zabiła, doktor Franklin. To tylko ludzki odruch, że bierzemy na siebie jakąś część odpowiedzialności - ja z pewnością żałuję, że nie byłem w stanie zapobiec tej tragedii - ale pani nie ma nikogo na sumieniu. Zabili ich obcy, którzy nawet nie próbowali przedtem z nami porozmawiać.

Ja to zaczęłam, nie oni. Wpadłam do dziury i rozpętałam to wszystko. Miałam szansę zostawić to wszystko, ale nie tylko natrafiłam powtórnie na tę dłoń, lecz poskładałam całą Temidę. Ilu ludzi dostaje w życiu drugą szansę? Ja dostałam. Proszę spojrzeć, co z nią zrobiłam. Powinnam była przerwać poszukiwania.

W zasadzie to nie pani je prowadziła. To... tamta druga doktor Franklin...

Powinłam była to przerwać! Zostawić Temidę w spokoju. Ona wiedziała. Dlatego mnie zabiła.

Pan Coture i panna Resnik panią zabili, aczkolwiek niechcący.

Czy według pana to nic nie znaczy, że zabił mnie robot, którego poskładałam? Robot, którego odnalezienie naraziło całą ludzkość na niebezpieczeństwo? Dla mnie to triumf sprawiedliwości, ale proszę, niech pan przyzna, że jest w tym przynajmniej odrobina ironii.

Odnalazła pani części niezwykle potężnej maszyny bojowej. Posługiwanie się niebezpiecznymi przedmiotami zawsze niesie ze sobą ryzyko. Codziennie giną ludzie, w których ręce dostaje się broń palna, narzędzia elektryczne albo środki do udrażniania rur. A pani znalazła wysokiego na kilkadziesiąt metrów robota, który waży tysiące ton i może roznosić w pył całe armie. Pracowała pani przy nim codziennie, od rana do nocy. Gdyby dowiedział się o tym pani ubezpieczyciel, pani składki wzrosłyby o tysiąc procent. Pani śmierć była druzgocąca, ale również wielce prawdopodobna. Co więcej, nie wierzę, aby miała pani wybór. Podejrzewam, że do odnalezienia Temidy przyczyniły się jakieś siły, na które nikt z nas nie ma wpływu.

Niemniej dostała pani drugą szansę, jest pani teraz z nami. Może pani nam pomóc w ratowaniu ludzi. Nie jesteśmy w stanie pomóc wszystkim. Mogłem postawić sprawę jasno na długo przed atakiem. Ale jestem przekonany, że zdoła pani

ocalić wiele istnień. Może to nie zabrzmie budująco, ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że ocalenie części z nas towszystko, na co możemy liczyć w tych okolicznościach. Mając to na uwadze i pamiętając o pani niewspółmiernym poczuciu winy, chciałbym zapytać, czego udało się pani dowiedzieć od czasu, gdy dostarczono nam te ciała?

Ci ludzie umarli straszliwą śmiercią. Kilkunastu lekarzy sądowych pracuje na okrągło, ale w dwunastu przypadkach, które zbadali, zgon nastąpił z tego samego powodu - niezwykle ostrej sepsy. Stan zapalny szybko rozprzestrzenił się po całym organizmie. Wystąpiła bardzo wysoka gorączka, która wywołała krzepnięcie krwi, co z kolei zatamowało krążenie. Pozbawione tlenu główne narządy przestały działać. Pierwsze wysiadły nerki, wątroba i płuca, a potem nastąpiła śmierć. Konali, nie mogąc zaczerpnąć tchu, gotując się w środku.

Nadal pan uważa, że zabieranie dzieci na piknik u stóp robota było dobrym pomysłem?

Nigdy nie uważałem, że to był dobry pomysł. Stwierdziłem jedynie, że byłaby to doskonała sposobność, by pokazać obcym nasze pokojowe nastawienie. Nadal uważam, że trudno o lepszą okazję.

Tym ludziom to nie wyszło na dobre.

Racja. Dlatego nie możemy dalej się łudzić, że mamy szansę na pokój. Jak długo umierały ofiary?

To się działo szybko. Przypuszczam, że nie dłużej niż minutę. Dotarły do nas nagrania z kamer monitoringu w całym Londynie. Chmura gazu sięgała siedemdziesięciu metrów. Rozprzestrzeniła się, tworząc idealne koło o promieniu dwunastu kilometrów - czyli pokryła około czterystu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych - w ciągu niecałych osiemnastu minut. Po dwudziestu minutach wszyscy byli martwi. Wkrótce potem robot zniknął. Coś o nim wiadomo?

Niemal natychmiast zmaterializował się w Madrycie.

Zarządzono tam ewakuację?

General Govender koordynuje działania lokalnych władz w trzynastu miastach, które są bezpośrednio zagrożone.

A czy pozostałe roboty...?

Nie. Na szczęście żaden z nich do tej pory nie wypuścił żadnego gazu. Możemy założyć, że to tylko kwestia czasu. Jeżeli współczynnik przeżywalności będzie tak niski jak w Londynie, a na miejscu zostanie tylko połowa mieszkańców, w ciągu półgodziny może zginąć sto milionów ludzi.

Ile osób przetrwało atak? Słyszałam, że tylko kilkaset.

Ekipy ratunkowe przeczesują miasto i znajdują kolejnych ocalałych. Według najnowszych doniesień ich liczba wynosi prawie tysiąc

czterysta.

To i tak strasznie mało.

Owszem. Większość z nich znaleziono w odległości pięciu kilometrów od miejsca, w którym stał robot. Im dalej od tego miejsca, tym mniejsze zagęszczenie ofiar, ponieważ więcej ludzi zdołało uciec. Nie oczekiwałam, że uda się jeszcze znaleźć wielu takich, którzy weszli w kontakt z gazem i przeżyli. Zażądałem, aby przesłano do nas na badanie kilku ocalałych.

Już tu są. Przylecieli godzinę temu.

Zostali już zbadani?

Nie, ale w samolocie pobrano od wszystkich próbki krwi. Za godzinę dostaniemy wyniki. Rozmawiałam z czterema z nich. Z pozostałymi porozmawiam, kiedy wrócą. Puściłam ich, żeby coś zjedli.

Jak im się udało uniknąć tego gazu?

Nie udało im się. Z tego, co mi mówili, nie sposób było przed nim uciec. Próbowali się zamykać w jakichś pomieszczeniach i uszczelniać wszystkie otwory tym, co wpadło im w ręce, ale mgła - bo tak to nazywali - dostawała się do środka, jakby nic nie stało jej na przeszkodzie. Mówili, że przenikała przez ściany. Wiem, że wielu z nich nawet nie zdążyło się schronić. Niektórzy byli w tłumie zgromadzonym wokół robota. Byli narażeni na działanie gazu i oddychali nim przez ponad godzinę, dopóki się nie rozwiął.

Więc jak przeżyli? Czy ich objawy są

łagodniejsze?

Jakie objawy? Nie mają żadnych objawów. Wszyscy są okazami zdrowia. Chociaż niezupełnie. Jeden ma paskudną grypę, ale wątpię, żeby miało to coś wspólnego z atakiem. Twierdzi, że chorował od kilku dni. Cokolwiek ma w sobie ta mgła, ci ludzie są na to całkowicie odporni.

Domyśla się pani dlaczego?

Nie. Wszyscy bardzo się od siebie różnią pod względem fizycznym. Pochodzą z różnych części świata. Będę się starała uzyskać od nich możliwie jak najwięcej informacji, żeby sprawdzić, czy nie łączą ich jakieś nawyki żywieniowe albo tryb życia. To może być coś, z czym mają do czynienia w pracy albo w domu, rodzaj mydła albo szamponu. Ci, z którymi rozmawiałam, nie zażywają żadnych leków. Będę dalej wypytywała. Niewykluczone, że coś jeszcze odkryję, ale szczerze mówiąc, raczej w to wątpię. W tej grupie jest sześćioletnia dziewczynka i osiemdziesięcioletni starzec. Co mogą mieć ze sobą wspólnego ich codzienne zwyczaje? To nie ja powinnam się tym zajmować.

Powinna pani przestać w siebie wątpić, doktor Franklin. Jestem całkowicie przekonany, że potrafi pani rozwiązać tę zagadkę.

Traktuje mnie pan tak, jakbym była obdarzona nieprzeciętnymi zdolnościami. To jakieś nieporozumienie. Jestem dobra w swoim fachu, ale to zupełnie co innego. Swoją drogą mam jedno pytanie. Czy ten człowiek, którego chce mi pan przedstawić; ten, dzięki któremu przeniosłam się w czasie, może

być potomkiem obcych? Tych, którzy zostawili nam Temidę?

A jeśli tak?

To tylko przypuszczenie, ale jeżeli ci ludzie, ci ocaleni, są potomkami tych, którzy zbudowali Temidę - oczywiście nie wyglądają na obcych, ale przypuszczalnie mają tylko część ludzkich cech - wydaje się uzasadnione, że najeźdźcy postanowili ich oszczędzić.

Myślałem o tym samym. Jak dla mnie to wręcz niemożliwe, żeby ich przetrwanie było dziełem przypadku. Jeżeli przedstawiciele obcej rasy od wieków żyją wśród nas, jak twierdzi mój informator, muszą być jakoś uodpornieni na tę zabójczą substancję, która została użyta podczas ataku. Czy mogłaby pani popracować nad potwierdzeniem tej hipotezy?

Jak już powiedziałam, to nie moja działka. Nie mam ani wiedzy, ani odpowiedniego wykształcenia, żeby dać sobie z tym radę. Do tego potrzebny jest jakiś genetyk.

Chyba znam kogoś, kto mógłby nam pomóc.

DOKUMENT NR 1570

PRZESŁUCHANIE
DOKTOR ALYSSA PAPANTONIOU

Miejsce: Kwatera główna KOZ, Nowy Jork

Czy te kajdanki naprawdę są konieczne?

Nie. To obiekt chroniony i prawdopodobieństwo ucieczki graniczy z niemożliwością. Jednak mając na uwadze przejścia niektórych członków tego zespołu, doszedłem do wniosku, że wszyscy poczują się pewniej, jeśli zastosujemy środki bezpieczeństwa.

Naprawdę trudno się pracuje ze sku... skutymi rękami.

Ten łańcuch ma trzydzieści pięć centymetrów. Poprosiłem o taki, żeby pani zbyt nie krępować. Gdyby jakieś czynności wymagały szerszego rozłożenia rąk, przydzieliłem pani asystenta, który ma nieograniczoną swobodę ruchów.

Jesteśmy po tej samej stronie. Wie pan o tym, prawda?

Ma pani w zwyczaju zmieniać strony, gdy tylko okazuje się to korzystne.

Cztery miliony ofiar. Miałam na myśli to, że teraz już nic nas nie dzieli. Jesteśmy tylko my i oni. Wątpię, aby ze... zechcieli mnie przyjąć do swojego obozu, nawet gdybym ch... gdybym chciała.

Podczas drugiej wojny światowej zginęło sześćdziesiąt milionów ludzi. Mimo to wciąż jesteśmy podzieleni.

Ile potrzeba ofiar, żeby pan mi za... zaufał?

Zapewniam panią, że gdyby chodziło tylko o mnie, te kajdanki byłyby zbędne. Jednak jestem przekonany, że pan Couture wolałby, żeby pozostały na miejscu, nawet gdyby była pani jedną z ostatnich dwóch osób, które przetrwały. Stąd odpowiedź na pani pytanie to w przybliżeniu siedem miliardów sto dwadzieścia pięć milionów.

Co Vincent tu jeszcze robi? Nie wysłaliście Te... Temidy?

Nie powinna pani interesować się tym, co zrobiliśmy, a czego nie. Ściągnęliśmy tu panią w ściśle określonym celu.

Ja tylko starałam się po... podtrzymać rozmowę.

Porozmawiajmy zatem o ludziach, którzy zginęli w Londynie. Lekarz sądowy stwierdził, że wszyscy zmarli na sepsę.

Można tak to ująć.

Chce pani powiedzieć, że przyczyną śmierci nie

była sepsa?

Niezupełnie. Śmierć nastąpiła wskutek ogólnoustrojowej re... akcji zapalnej, ale to by sugerowało, że doszło do jakiegoś zakażenia. Tymczasem gaz nie zawierał żadnego szkodliwego patogenu, żadnego wirusa ani ba... bakterii, w każdym razie tak przypuszczam.

Przypuszcza pani? Nie przeanalizowała pani próbek gazu, które przysłano?

Nie było czego analizować. Zbio... zbiorniki były puste, kiedy je dostałam. Ale zbadałam próbki tkanek i doszłam do wniosku, że w tym gazie znajdowała się pewna bardzo inteligentna cząsteczka, która łączy długie łańcuchy DNA i sprawia, że geny wytwarzają inny związek białka, obcy dla organizmu. Układ odpornościowy traktuje wszystkie komórki jako zakażone i organizm zaczyna atakować sam siebie. Reakcja jest niezwykle gwałtowna i niemal na... natychmiastowa.

Czy zauważyła pani coś nadzwyczajnego w profilu genetycznym ofiar?

Nie sprawdzałam, ale raczej nie.

Sprowadziłem panią tutaj, bo potrzebuję pomocy eksperta. Nie rozumiem, dlaczego nie uznała pani za stosowne, aby przeprowadzić choćby najbardziej podstawową analizę DNA ofiar.

Nie liczyłam o... osobiście, ile osób zginęło w Londynie, ale z raportu, który dostałam od pana, wynika, że na działanie gazu były narażone jakieś

cztery miliony, a przeżyło około dwóch... dwóch tysięcy.

Dokładnie tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt osiem według najnowszych doniesień.

Czyli pięć osób na każde dziesięć tysięcy, a więc pięć procent z jednego procenta. To oznacza, że 99,95 procent mieszkańców, którzy mieli styczność z gazem, nie żyje. Nie muszę przeprowadzać wielu ba... badań, żeby powiedzieć panu, że w tej liczbie nie ma tak naprawdę nic nadzwyczajnego. O wiele bardziej... interesują mnie te dwa tysiące ocalałych.

Doskonale. Co pani może mi o nich powiedzieć? Zakładam, że przynajmniej zbadała pani tych, którzy do nas przylecieli.

Przeprowadziłam pełne sekwencjonowanie genomu wszystkich dwudziestu siedmiu osób. Wszyscy mają bardzo złe ge... geny.

Jak to?

Ich wspólną cechą jest mieszanina wariacji i mutacji genetycznych, z których większość jest dla nas zabójcza. Ci ludzie nie powinni w zasadzie istnieć.

Bo mają kiepskie geny?

Bo ich struktura genetyczna jest bardzo rzadka. Wszystkie te anomalie mogłyby występować u co najwyżej jednej osoby.

Proszę mi to wyjaśnić.

W ich DNA występują drobne usterki. Przeważnie jest to polimorfizm pojedynczego nukleotydu...

Wybaczy pani, ale bardzo słabo znam się na genetyce.

To różnice w tylko jednej parze za... zasad, w jednej parze liter. Jakby na miejsce AiT wstawić G i C, coś w tym ro... rodzaju. Większość zachodzi w regionach niekodujących między ge... genami i tak naprawdę nikt się nimi nie przejmuje i nic o nich nie wiadomo. Różnice występujące w genach są zazwyczaj bardziej interesujące i zaczynamy odkrywać, jak... działają niektóre z nich. Te bardziej pospolite noszą nazwę po... polimorfizmów, natomiast te, które spotyka się u mniej niż jednego procenta populacji, nazywamy mutacjami. Tak wiele mutacji nie powinno występować u tyłu ludzi.

A u tych ocalałych występują?

Całe mnóstwo. Na tyle, że cząsteczka zawarta w gazie nie ro... rozpoznaje żadnego z długich łańcuchów DNA, których szuka. Jednak tyle mutacji w tak dużej grupie... Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają.

A jednak. Jak bardzo jest to nieprawdopodobne?

Cóż, dam panu przykład. Wszyscy ludzie, których pan mi przysłał, mają zmutowany gen TREM2. Jedną z funkcji tego genu jest kontrolowanie reakcji odpornościowej mózgu na choroby i urazy. Wiele rodzajów mutacji może sprawić, że TREM2 nie będzie działał p... prawidłowo. U wszystkich tych ludzi występuje ta sama - wariant R47H - w obu kopiach

genu. To rzadka mutacja. Ma ją niewiele ponad pół procenta populacji w takich miejscach jak Islandia, a gdzie indziej jest jeszcze rzadziej spotykana. Nie mam nawet danych o częstości jej występowania.

Czy jest szkodliwa?

Dowiedziano, że potęguje ryzyko zachorowania na alzheimera, ale większość nosicieli tej mutacji nie zapada na tę cho... chorobę, a więc nie. Mamy tu również mutację genu BCR2, która zwiększa ryzyko ra... raka piersi.

Czy ona też występuje u wszystkich ocalałych?

Tak. W obu kopiach genu.

Jak rzadka jest ta mutacja?

Tru... trudno powiedzieć. Jest bardziej typowa dla pewnych grup etnicznych, ale ogólnie rzecz biorąc, występuje u mniej niż połowy procenta całej populacji. Rozumie pan, do cze... czego zmierzam. O ile obie te mutacje nie są ze sobą związane, pół procenta razy pół procenta oznacza, że na mi... milion ludzi przypada około dwudziestu pięciu osób, u których można spotkać jedną i drugą. Oczywiście nie jest to jedyna cecha, jaka łączy wszystkich ocalałych.

Czy wszystkie mutacje występujące u ludzi, których pani zbadała, zwiększają ich ryzyko zachorowalności?

Nie. Większość z nich nie ma na to żadnego wpływu. Za to jedna jest bardzo pożyteczna. Wszyscy ci ludzie mają zmutowany gen PCSK9, czego efektem jest

niższy poziom złego cho... cholesterolu. Coś takiego spotyka się u około trzech procent populacji. Wystarczy sobie policzyć. Statystycznie na te cztery miliony, które były narażone na działanie gazu w Londynie, nie powinno przypadać więcej niż trzy osoby z tylko tymi trzema mutacjami.

Tymczasem u każdego z ocalałych, których badałam, występują setki polimorfizmów i pięćdziesiąt siedem rzadkich mutacji genów. Teoretycznie to niemożliwe, aby na całej Ziemi udało się znaleźć choćby dwie osoby o identycznym zestawie tak wielu rzadkich cech. Muszę pobrać od nich próbki krwi, żeby to potwierdzić, ale jestem gotowa się założyć, że wszyscy mają te same c... cechy, nawet jeżeli to... niemożliwe.

Może oni wszyscy są ze sobą spokrewnieni? Jeśli się nie mylę, wspólne pochodzenie mogłoby zwiększyć prawdopodobieństwo zbieżności genetycznych.

Niektórzy są. Wśród tych dwu... dwudziestu siedmiu osób jest sześć takich - dwóch braci, brat i siostra oraz mmm... matka z córką. Poza tym nikt. Szesnaście osób to Brytyjczycy, jedna pochodzi z Danii, jedna z Maroka. Czworo Hindusów, jeden Ka... Kanadyjczyk, dwóch Francuzów. Matka i córka są Rosjankami. Wszyscy są ze sobą spokrewnieni tak samo jak pan i ja. Należałoby sięgnąć daleko, bardzo daleko w przeszłość, żeby znaleźć jakiegoś wspólnego przodka.

Sądzi pani, że obcy celowo oszczędzili tych ludzi?

Tak, to było zaplanowane. Cóż, chociaż wcale nie musiało być, ale takie wyjaśnienie wydaje się b... bardziej sensowne.

Jak to?

Teoretycznie mogło być tak, że obcy po prostu nie zdawali sobie sprawy z istnienia tych po... polimorfizmów i jest to tylko wada ich broni. Jednak cząsteczka, którą stworzyli, atakuje naprawdę długie la... łańcuchy DNA i jest, o ile znam się na genetyce, niezwykle skomplikowana w budowie izu... zupełnie zbędna. Mogli opracować o wiele prostszą cząsteczkę atakującą krótkie łańcuchy DNA, które występują u każdego. Mogli użyć jakiegoś gazu bojowego. Wyhodowanie jadu kiełbasianego to dziecinna igraszka w porównaniu z tym. Istnieją tysiące innych środków, równie śmiertelnych i dużo łatwiejszych w produkcji, które mogli zastosować przy pomocy tego samego systemu rozpylania. Zadali sobie mnóstwo t... trudu, żeby przeprowadzić to w taki sposób.

Przypuśćmy na chwilę, że tych ludzi rzeczywiście łączy pochodzenie. Czy obcy mogli tak zaprojektować cząsteczkę, którą pani opisała, żeby ich krewniacy pozostali przy życiu?

Interesująca koncepcja, ale nie. To by się nie udało. Nikt nie wie, jaką część genów odziedziczą po nim jego dz... dzieci.

To nie może być w całości dziełem przypadku. Czy przynajmniej do pewnego stopnia nie da się tego przewidzieć?

Do pewnego stopnia. Jeden mmm... mały fragment genotypu pochodzi wyłącznie od ojca, a inny wyłącznie od matki.

Czy ta część DNA... bo to jest DNA, tak?

Tak.

Czy ta część DNA mogła zostać wykorzystana do zaprogramowania tej cząsteczki?

Nie. To by nie zdało egzaminu na dłuższą metę. Jak to wytłumaczyć? Wyobraźmy sobie, że chcemy wziąć na cel pot... wszystkich potomków jakiegoś Johna Doe, który żył ty... tysiąc lat temu. Jedynym materiałem genetycznym, co do którego możemy mieć pewność, że pochodzi od niego, jest chromosom Y, czyli ten odpowiadający za p... płeć. Moglibyśmy wykorzystać markery z tego DNA, ale było ono przekazywane tylko w linii męskiej, czyli z ojca na syna i tak dalej. Żadnych kobiet. Gdybyśmy chcieli ocalić jakichś p... przodków Jane Doe, moglibyśmy użyć mitochondrialnego DNA, które dziedziczy się tylko po matce. Uzyskalibyśmy odwrotny wynik - tylko kobiety w linii p... prostej po kądzieli. To mało znacząca część rodowodu, gdyż takie linie zazwyczaj wygasają. Wystarczy, żeby któryś z ojców nie dochował się syna albo któraś matka nie urodziła ani jednej c... córki. Albo spójrzmy na to w inny sposób - mamy szesnaście pokoleń przodków, ale chromosom Y albo mitochondrialne DNA dziedziczymy zaledwie po czworgu z nich.

Czy nie można by obrać za cel konkretnych markerów z... normalnego DNA, które pochodzi zarówno od matki, jak i od ojca?

To się nazywa autosomalne DNA. Jak pan zauważył, otrzymujemy mniej więcej połowę genotypu od ojca i połowę do matki. Mamy dwie kopie każdego genu, ale

swoim dzie... dzieciom przekazujemy tylko połowę swoich genów i nie mamy wpływu na ich wybór. To tak zwana rekombinacja. Autosomalne DNA podlega temu procesowi w każdym pokoleniu. Oznacza to, że za każdym razem część genów dziedziczona po konkretnym przodku dzieli się na pół. Odcinki łańcucha DNA stają się coraz krótsze. Z biegiem czasu nie zostaje prawie nic, co łączyłoby wszystkich potomków danej osoby, a z pewnością nie aż tyle, ile mają ze sobą wspólnego ci ludzie.

Weźmy na przykład jakąś mutację, jedną z tych, które odkryłam u ocalałych. Musiałaby występować u obydwójga rodziców, choć prawdopodobnie tylko w jednej ko... kopii genu. Ale rodzice umarli podczas ataku. Ta mała Rosjanka patrzyła na śmierć swojego ojca. To samo dotyczy dzieci. Wielu ocalonych miało dzieci, ale oprócz tej dziewczynki żadne z nich nie przeżyło. Nie mogły odziedziczyć i... identycznego genotypu, bo połowa ich DNA pochodziła od drugiego z rodziców. Na przestrzeni długich o... okresów geny się mieszają. Jeżeli obcy starali się oszczędzić przedstawicieli jednego rodu, gaz wytrzebił większość potomków, pozostawiając przy życiu garstkę całkowicie przypadkowych jednostek.

Zatem czy może pani potwierdzić, że ocaleli jedynie potomkowie jakichś konkretnych osób, nawet jeżeli większość z nich zginęła?

Możliwe. To bardzo nieliczna, dobrana losowo grupa.

Czy struktura genetyczna takiego osobnika ma w sobie coś... nadzwyczajnego?

Słuchał pan tego, co... co mówiłam? Tak, już samo to, że łączy ich tak wiele wspólnych mutacji, jest z...

zdecydowanie nadzwyczajne. Wydawało mi się, że dałam to jasno do zrozumienia.

Jak najbardziej. Ale chodziło mi o podejście indywidualne. Jeżeli pominiemy ich wspólne cechy, czy nawet liczbę mutacji genetycznych, czy mają w sobie coś, czego nie spodziewałaby się pani spotkać u przeciętnej istoty ludzkiej?

Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam, o co panu chodzi.

Chcę wiedzieć, czy może pani stwierdzić z absolutną pewnością, że są oni w całości ludźmi.

Ludźmi? Ja... Ja nie... Niektóre z ich mutacji genetycznych są rzadkie, ale to wszystko - po prostu rzadkie. W ich genotypie nie ma tak naprawdę nic nadzwyczajnego poza f... faktem, że tak wiele identycznych cech występuje u innych osób. Nigdy nie badałam DNA obcych, więc nie mam punktu odniesienia.

Umożliwię pani dostęp do szczątków dwóch obcych pilotów, którzy zginęli rok temu podczas pierwszego ataku. Czy może pani porównać ich strukturę genetyczną z cechami ocalałych?

Czy oni w ogóle mają DNA?

Niezupełnie. Nie będę udawał, że w pełni rozumiem te różnice i ich następstwa, ale jeśli się nie mylę, cukier wchodzący w skład ich kwasu nukleinowego to... arabinoza...

To nie może być prawda.

Doktor Franklin też była wstrząśnięta.

Nie dziwię się jej. To jest... niesamowite. Czy udało się odkryć coś jeszcze?

Może pani się przekonać na własne oczy. Udostępnię pani raport genetyka, który zbadał ich pierwszy. Jak szybko może pani ustalić, czy pod względem genetycznym łączy ich coś z ocalałymi?

Nie wiem, czy potrafię. Tak naprawdę mówimy o różnicy między jabłkiem i pomarańczą, ale na pewno spróbuję. Dziękuję panu!

Proszę mi nie dziękować, jakbym wyświadczył pani jakąś przysługę. Prawdopodobnie jest pani ostatnią osobą na tej planecie, której byłbym skłonny iść na rękę i gdyby rok temu ktoś mi powiedział, że zapewnię pani dostęp do czegoś, o czym marzy każdy genetyk... Cóż, chyba odpowiedziałbym, że prędzej piekło zamarznie.

DOKUMENT NR 1571

TRANSKRYPT ROZMOWY INWIGILACJA W RAMACH PROGRAMU REYNARD POKÓJ CZATÓW

World of Warcraft - domena Aegwynn

[Eva002]: Essie! Mogę wyjść!

[Skyjumper]: Cześć, Evo! Dokąd?

[Eva002]: Do ciebie. Mogę wyjść! Mogę u ciebie spać.

[Skyjumper]: A twoja mama?

[Eva002]: Zgodziła się.

[Skyjumper]: ??

[Eva002]: Mogę robić, co chcę.

[Skyjumper]: Jak to?

[Eva002]: Mama teraz mi wierzy. Stało się to, o czym jej
mówiłam.

[Skyjumper]: Co się stało?

[Eva002]: Ci ludzie w Londynie. Ja to widziałam.

[Skyjumper]: To jest powalone.

[Eva002]: Mama myśli, że ja rozmawiam z Bogiem.

[Skyjumper]: A rozmawiasz?

[Eva002]: Nie! Mogę przyjść?

[Skyjumper]: Nie wiem. Wszyscy się boją. Moi starzy przestali jeździć do pracy, a mnie nie wolno wychodzić po zmroku.

[Eva002]: Tu jest tak samo. Ale proszę! Przyniosę ci te

kamienie, które znalazłam.

[Skyjumper]: Zapytam. Eva, ci ludzie nie żyją. Nie boisz się?

[Eva002]: Jestem przerażona. Bałam się, zanim wszyscy

zaczęli. Ale chcę się z tobą zobaczyć.

[Skyjumper]: Kiedy?

[Eva002]: Obojętnie. Możemy zrobić trochę biżuterii. Mam

nowe zawieszki. Dużo zawieszek.

[Skyjumper]: Zapytam.

[Eva002]: Muszę stąd wyjść. Proszę, zgódź się!

[Skyjumper]: Dobra. Przestań! Powiedziałam, że zapytam! Chcesz teraz grać czy nie?

[Eva002]: Tak, ale musimy zmienić serwer. Tu jest pełno

paladynów.

[Skyjumper]: Paladyni są do dupy. Ale później. Powiedziałam Miguelowi, że będziemy się tu pojedynkować.

[Eva002]: Zaraz wracam.

[Skyjumper]: Co? Nie! Zaczyna się najazd!

[Eva002]: Jakiś hałas na dole. Słyszę, jak mama krzyczy.

[Skyjumper]: ??

[Skyjumper]: ??

[Skyjumper]: ??

[Skyjumper]: ??

[Skyjumper]: ??

Koniec zapisu

DOKUMENT NR 1574

ZAPIS ROZMOWY GENERAL PORUCZNIK ALAN
A. SIMMS,
DOWÓDCA, POŁĄCZONE DOWÓDZTWO
OPERACJI
SPECJALNYCH

Miejsce: Fort Bragg, Karolina Północna

Czy komandosi są na miejscu?

Przylecieli do San Juan kilka godzin temu. Zajęli pozycje i są gotowi do akcji. Czekaliśmy na pana.

Cieszę się. I dziękuję panu za pomoc w tej sprawie.

Pańskim przyjaciołom z KOZ niczego nie odmówię. No dobra, zaczynajmy to przedstawienie, co? Możecie dać obraz z satelity na duży ekran? Dziękuję. Cel powinien znajdować się w tym domu, o tutaj. Te czerwone kropki to oddział Delta- 3. Czterech ludzi siedzi w furgonetce po drugiej stronie ulicy. Tamci czterej zaraz sforsują ogrodzenie i ukryją się za altaną przy basenie.

Jak długo będzie trwała obserwacja przed rozpoczęciem akcji?

W tej chwili wkraczamy. Wczoraj wieczorem

zaczęliśmy ich obserwować z satelity, a furgonetka stoi tam od dwóch godzin. Żadnego ruchu w budynku ani na zewnątrz. Wszystkie światła zgaszone. Poczekałbym jeszcze, ale zważywszy na okoliczności, musimy zadowolić się tym, co mamy. Poza tym wchodzimy tam w biały dzień. To spokojna dzielnica i jeśli ktoś zobaczy uzbrojonych facetów przeskakujących przez płot, zaraz się tam zjawi policja.

Demon, tu Kwoka, jaki macie status?

[Na pozycjach. Gotowi do akcji.]

Jakie mają rozkazy?

Zlokalizować i uprowadzić dziewczynkę, wiek około dziesięciu lat. Dorośli mogą zachowywać się agresywnie. Można użyć siły.

Powinni też być przygotowani na spotkanie z pewną kobietą, Amerykanką po trzydziestce.

Demon, czekajcie w pogotowiu... Co to za jedna?

Ma stopień chorążego sił powietrznych, a w KOZ jest kapitanem. Nie ma munduru. Włos nie może jej spaść z głowy.

Czy chciałby pan mi powiedzieć coś jeszcze? To nie jest najlepszy moment na niespodzianki.

To już wszystko.

Lepiej, żeby nie była uzbrojona.

Jeżeli tam jest i żyje, najprawdopodobniej ma

broń.

[Kwoka, na co czekamy?]

To są rzewne jaja. Demon, czekać na pozycjach!...
Czy ona wie, że nasi ludzie tam się zjawią?

Nie wie.

Przykro mi z powodu pani kapitan, ale oni ją rozwalą,
jeśli będzie do nich mierzyć.

Nie mogą. Musi pan im to powiedzieć.

A co ona robi, kiedy zobaczy uzbrojoną bandę w
kominiarkach?

Nie umiem tego przewidzieć.

Nie umie pan przewidzieć. Jak już powiedziałem,
przykro mi, ale nasza misja tego nie obejmuje. Jeśli nie
może pan jej ostrzec, proszę się modlić, żeby nie
weszła nam w drogę. Moi ludzie są najważniejsi.

**Będę z panem szczery. Siły obcych atakują naszą
planetę. Naszą jedyną skuteczną bronią jest
gigantyczny robot, który znajduje się w Nowym
Jorku. Ta kobieta jest jedną z dwóch osób, bez
których wspomniany robot będzie bezużyteczny.
Najmocniej przepraszam, że mówię o tym w
ostatniej chwili. Miałem nadzieję, że uda się nam
nawiązać z nią kontakt. Niestety życie pańskich
ludzi jest zdecydowanie mniej ważne od jej życia.**

Szukamy Kary Resnik?

W rzeczy samej.

Demon, tu Kwoka. Mam nowe informacje.

[Och, świetnie.]

Uważajcie na kobietę, trzydzieści kilka lat, w cywilnym ubraniu. To jedna z naszych, ale jest uzbrojona i może traktować was jak wrogów. Nie strzelajcie do niej, nawet jeśli otworzy ogień.

[Kwoka, możesz to powtórzyć?]

Słyszałeś, co powiedziałem.

[Kwoka, będę musiał...]

To jest Kara Resnik...

[...przyjąłem, Kwoka. Przekazuję rozkazy.]

Co tam się dzieje za rogiem?

Wygląda na to, że jakiś facet wyprowadza psa. Nadzór satelitarny, oznaczcie go. Możemy go zastrzelić, jeśli zajdzie taka potrzeba? Czy zaraz pan mi powie, że Vincent Couture również zaginął, razem ze swoim psem?

Pan Couture nie lubi psów. Możecie zastrzelić tego człowieka i jego zwierzaka, jeśli macie taką ochotę.

Demon, od zachodu idzie w waszą stronę mężczyzna z psem. Zaraz wyjdzie z za rogu.

[Przyjąłem. Będziemy go mieli na oku. Zbliżamy się do celu].

Jeżeli ktoś ma jakieś wątpliwości, to najlepszy moment, żeby je wyraził.

[Kwoka, tu Demon. Proszę o pozwolenie na rozpoczęcie akcji.]

Możecie zaczynać, Demon. Powtarzam, macie zielone światło.

[Przyjąłem, Kwoka. Panowie, na mój znak. Trzy, dwa...]

Co to był za błysk. Czy oni są pod ostrzałem?

Używają granatów hukowych.

[Czysto!... Czysto!...]

[Bravo Jeden, z tyłu domu czysto.]

[Czysto!]

[Garaż czysty.]

[Przyjąłem, Bravo Dwa. Z przodu czysto. Sprawdzamy piętro.]

[Osłaniamy was, Bravo Jeden. Zamknijcie drzwi i zasłońcie okna.]

[Czysto!... Czysto!... Czysto!...]

[Wszędzie czysto! Kwoka, tu Demon. Mamy dwoje]

zabitych cywili w sypialni na dole.]

Przyjąłem, Demon. A dziecko?

[Nie ma. Tylko tych dwoje dorosłych.]

Czy jest wśród nich...?

*[Jedna kobieta, Latynoska, jeden czarny mężczyzna.
Ani śladu kapitan Resnik.]*

To pewnie jej rodzice. Niech sprawdzą jeszcze w szafach i pod łózkami. Dziewczynka mogła się ukryć.

Demon, przetrząsnijcie mi ten dom.

*[Bravo Dwa, zróbcie dokładną rewizję na dole.
Szukamy małej dziewczynki.]*

[Przyjąłem.]

Panie Generale, mój hiszpański jest daleki od doskonałości, ale myślę...

Demon, tu Kwoka. Miejscowa policja jest już w drodze. Będą tam za trzy minuty.

*[Przyjąłem, Kwoka. Bravo Dwa, sypialnie czyste.
Znaleźliśmy właz na strych. Rzucę tam okiem.
Wychodzimy za dwie minuty.]*

[Na dole czysto.]

[Jasny chuj!]

[Bravo Jeden, wszystko w porządku?]

[Wporządku. To tylko spasiony szczur. Strych czysty.]

[Kwoka, tu Demon. Cały dom czysty. Ani śladu celu. Co robimy z ciałami?]

To wszystko?

Tak, to wszystko! Nie ma jej tam. Dzięki, Demon. Zostawcie ciała. Wracajcie do gniazda.

[Przyjąłem, Kwoka. Wieczorem będziemy w domu.]

Pospieszcie się. Dziś na kolację będzie pieczeń. Kwoka bez odbioru.

DOKUMENT NR 1576

NOTATKA SŁUŻBOWA - DEPARTAMENT BEZPIECZEŃSTWA KRAJOWEGO

Od: komisarz Urzędu Celnego i Ochrony Granic
Do: zastępca sekretarza Departamentu
Bezpieczeństwa Krajowego Temat: El Paso

W pobliżu mostu Paso Del Norte zgromadziło się około sześćdziesięciu tysięcy Meksykanów, a do Ciudad Juarez przybywają codziennie kolejne osoby, które szukają azylu w Stanach Zjednoczonych. Na moście doszło już do pojedynczych aktów przemocy, a ich częstotliwość gwałtownie wzrasta.

Dziś rano wkroczyły do akcji oddziały Straży Granicznej. Próby oczyszczenia mostu przy pomocy granatów z gazem łzawiącym zakończyły się niepowodzeniem.

Jesteśmy zdania, że personel Urzędu Celnego i Ochrony Granic, nawet korzystając ze wsparcia Gwardii Narodowej i lokalnych sił porządkowych, nie jest w stanie dłużej zabezpieczać przejścia granicznego przy obecnych normach stosowania środków przymusu.

Zalecamy, aby personel wszystkich przejść granicznych na południu niezwłocznie otrzymał zezwolenie na użycie broni palnej na podstawie subiektywnej oceny sytuacji.

DOKUMENT NR 1578

**ZAPIS ROZMOWY GENERAL BRYGADY EUGENE
GOVENDER, DOWÓDCA,
KORPUS OBRONY ZIEMI**

Miejsce: Kwatera główna KOZ, Nowy Jork

Cholera jasna! Oni nas wszystkich zabiją!

Czy wszystkie roboty wypuściły gaz?

Tak, jednocześnie.

Wszystkie trzynaście?

Wszystkie oprócz tego w Madrycie. Być może czekał, aż jego towarzysze nadrobią zaległości. Wkrótce się dowiemy. Jeśli to coś takiego jak w Londynie, za dwadzieścia minut będzie po wszystkim.

Jak na to reagujemy?

Reagujemy? Czego pan, do cholery, ode mnie oczekuje?

**Miałem na myśli kraje, które zostały
zaatakowane. Czy któryś z nich próbował stawiać
opór?**

W Indiach wysłano do walki oddział piechoty.

W tej chmurze gazu?

Żołnierze mieli maski. Wiem, to głupota.

Czy robot ich zlikwidował?

Nie musiał. Byli martwi, zanim w ogóle zdążyli wyskoczyć z ciężarówek. Tam panuje kompletny chaos. Zbiorowa panika. Tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy ludzi stratowanych na śmierć. Samochody taranujące tłum. Słonie... Ludzka natura czasami bywa potworna. Rosjanie i Francuzi wysłali myśliwce przeciwko swoim robotom. Nic się nie stało, jeśli nie liczyć wielkiej dziury szerokiej na kilkaset metrów. Jakieś dziesięć minut temu odbył się w Moskwie nalot bombowy.

Bezskuteczny, jak sądzę.

W tej mgle trudno cokolwiek dojrzeć, ale wiemy, że robot nadal tam stoi. Prawdopodobnie z zabudowań dookoła niego niewiele zostało. Trzeba mieć jaja, żeby bombardować własną stolicę.

Co mają do stracenia?

Hm. Wysadzili Kreml, tak sami z siebie.

I tak w środku pewnie nie było nikogo żywego.

Być może, ale mieliby przynajmniej gdzie wrócić za dwie godziny, za dwa tygodnie albo za dwa lata. A tak odbudowa potrwa z dziesięć lat, jeśli w ogóle będą chcieli znów zaludnić Moskwę.

Może chcą mieć satysfakcję, że obcy nie będą mogli korzystać z ich infrastruktury, kiedy zaczną tu ściągać masowo.

Myśli pan, że oni zamierzają skolonizować Ziemię?

A dlaczego używają gazu do wytrzebienia ludności? Przecież potrafią unicestwić wszystko w mgnieniu oka. Jedyne powód, jaki przychodzi mi na myśl, to zachowanie budynków w nienaruszonym stanie.

Nie sędzę.

Ma pan inny pomysł?

Nie. Mimo to nie zgadzam się z panem.

Chciałby pan rozwinąć temat, czy to już wszystkie pańskie argumenty?

Widział pan, gdzie mieszkam?

W hotelu.

Miałem na myśli mój dom na przedmieściach.

Tak, widziałem. Ale nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Czy istoty zdolne do tworzenia takich rzeczy - gigantycznych machin wyposażonych w mniej lub bardziej niezależne źródła energii, skondensowanych fal świetlnych, które mogą przecinać metal, i Bóg jeden wie, czego jeszcze - miałyby ochotę przeprowadzić się do takiego gównianego domu? Mam

biały płot ze sztachetek i dziką jabłoń w ogrodzie, kanalizacja ma ze sto lat, a okna są nieszczelne. Miejsce z ładnym widokiem, ale ten dom to rudera. Kto chciałby mieszkać w takich warunkach? Nie podejrzewam, aby w centrum Moskwy było dużo lepiej.

A zatem...

Chyba ma pan rację. Myślę, że istnieje jakiś powód, dla którego używają gazu, a nie równają wszystkiego z ziemią. Nie wiem, co to za powód, ale nie sądzę, aby szukali tu miejsca do zamieszkania. Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, co mogliby zyskać, usuwając nas z tej planety.

Jakiegokolwiek mają zamiary, bez wątpienia uda im się je zrealizować, jeśli nie znajdziemy jakiegoś sposobu, żeby ich powstrzymać.

Myślę, że ani ja, ani pan nic nie wskóramy. Jeżeli naukowcy niczego nie wymyślą, nie pozostanie nam nic innego, jak tylko się przyglądać.

NATO przygotowuje się do ataku jądrowego.

Co? Czy oni zwariowali?

Nie proponowałem im takiego rozwiązania, ale ponieważ nie przychodzi mi do głowy żadna sensowna alternatywa, nie widzę powodu, aby się temu sprzeciwić.

Psiakrew! A to, że zginą miliony niewinnych osób? Kiedy pojawi się robot, będzie za mało czasu na ewakuację. Zrzuca bombę na miasto pełne ludzi.

Ludzi, których i tak czeka śmierć, kiedy obcy zaatakują.

Być może, ale przynajmniej nie zrobimy tego za nich! Zresztą to nic nie da. Wie pan o tym.

Tego nie wiem.

A powinien pan. Opad radioaktywny rozprzestrzeni się w promieniu kilkuset mil. Skażeniu ulegnie woda, gleba, wszystko. Ludzie będą chorować. Będą umierać. Umrze dużo więcej ludzi niż od tego gazu, zapewniam pana. Czeka ich tak samo gówniana śmierć. To jest idiotyczny pomysł. Wręcz nie sposób tego wyrazić, jak bardzo idiotyczny.

Kiedy my tu sobie rozmawiamy, jakieś osiemdziesiąt milionów ludzi właśnie wdycha gaz, który wypuścili obcy. Za niecałe dwadzieścia minut wszyscy ci ludzie będą martwi. Musimy... coś zrobić.

Już panu mówiłem, że to Rose może coś zrobić. Wszystko w rękach naukowców. My obaj jesteśmy bezsilni i pańska w tym zasługa.

To nieprawda.

Nieżył z pana numer i mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę. Jestem dowódcą KOZ, a to oznacza, że dysponuję jedyną na tej planecie bronią, przy pomocy której możemy walczyć z najeźdźcami albo przynajmniej im przeszkodzić. Tylko że ta broń stoi teraz bezczynnie w hangarze, bo ktoś nie chciał powiedzieć moim pilotom, że mają córkę.

Nie wiedziałem, że mają córkę.

Sam pan mi o tym powiedział. To dlatego brakuje mi teraz jednego z pilotów.

Ja tylko przekazałem informację, którą otrzymałem od pani Papantoniou. Nawet nie zdążyłem jej zweryfikować.

Cóż, musi pan być przekonany, że to prawda. Zatrudnił pan tę psychopatkę w moim laboratorium.

Jej wiedza w dziedzinie genetyki jest jedynym powodem, dla którego pracuje w tym obiekcie. To bezsprzecznie znakomita specjalistka i bardzo inteligentna kobieta, jednak żadna z tych cech nie świadczy o tym, że powiedziała mi prawdę.

No więc po co robić z tego tajemnicę? Wie pan o tym od dawna.

To, czego się dowiedziałem dziesięć lat temu, oraz to, co twierdzi pani Papantoniou, to dwie zupełnie inne rzeczy. Powód mojego milczenia, wtedy i teraz, powinien być oczywisty. Panna Resnik jest gotowa przewrócić cały świat do góry nogami, żeby odnaleźć to dziecko. Dziesięć lat temu postąpiłaby tak samo.

A mimo to uznał pan, że wtajemniczenie tego durnego kryminalisty w całą sprawę to niezły pomysł.

Przyznaję, że przeliczyłem się, ujawniając panu Mitchellowi tę ważną informację. Dokładam wszelkich starań, aby naprawić ten błąd, który

popęłniłem w niefortunnym momencie.

Grozi nam wszystkim zagłada.

W bardzo niefortunnym momencie.

Trochę lepiej.

Gdybyśmy mogli skupić się na bieżącym problemie, zamiast roztrząsać moje uchybienia...

Jak najbardziej.

Kiedy powiedziałem „To nieprawda”, nie wypierałem się odpowiedzialności za naszą bezsilność. Chodziło mi o to, że możemy coś zrobić. Ma pan rację, tylko doktor Franklin i jej zespół mogą znaleźć jakieś rozwiązanie, jeśli takowe w ogóle istnieje, ale my dwaj powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby zapewnić im trochę więcej czasu.

Ale jak?

Skoro nie jesteśmy w stanie powstrzymać obcych przed zabijaniem ludzi, moglibyśmy przynajmniej się postarać, żeby stało się to dla nich bardziej czasochłonne.

W jaki sposób?

Moglibyśmy nakazać wszystkim, którzy mieszkają w dużych miastach, aby poszukali sobie schronienia w bardziej odludnym terenie.

We wszystkich miastach na świecie? Postradał pan

rozum?

Zacznijmy od tych, które liczą ponad dwa miliony mieszkańców.

Wyglądał pan ostatnio przez okno? Ulice Nowego Jorku patroluje czterdzieści pięć tysięcy żołnierzy, dwadzieścia pięć tysięcy policjantów ciągnie zmiany po szesnaście godzin. Dochodzi do grabieży, giną ludzie. Ledwie nam się udaje nad tym zapanować i kłamiemy w żywe oczy, zapewniając wszystkich, że nie ma powodów do obaw. Jak pan myśli, co się stanie, jeśli powiemy ludziom, że mają uciekać? Zresztą dokąd mieliby pójść?

Chyba na wieś.

Nikt nie jest na to przygotowany. Nie ma świecie takich obszarów wiejskich, które bez uprzedzenia mogłyby przyjąć miliony uchodźców. Dojdzie do aktów przemocy, pojawią się problemy sanitarne i będzie brakowało żywności. A nawet gdyby się to udało, czy takie zbiorowiska ludności nie stałyby się dla obcych równie łatwym celem? Skoro oni potrafią zdziesiątkować miasto w pół godziny i natychmiast przenieść się do następnego, nie sądzę, abyśmy wiele działali, przenosząc ludzi z miejsca na miejsce.

Nie mówiłem, że taki eksodus z terenów miejskich pójdzie gładko. Nie wszyscy będą zdolni do wędrówki, a wiele osób przyplaci to życiem albo odniesie rany. Nie mówiłem również, że wśród uchodźców uda się utrzymać porządek. Zapanuje kompletne bezprawie, a ci, którzy nie zginą podczas zamieszek, wkrótce padną ofiarą głodu, pragnienia i chorób. Mimo to zdołają

przeżyć kilka dni. Gdyby w tym czasie doktor Franklin i jej współpracownicy wymyślili jakiś sposób na pokonanie obcych, oznaczałoby to, że otyłe więcej ludzi ocaleje. A jeżeli wciągu tych kilku dni nie uda się znaleźć rozwiązania, i tak nie będziemy już musieli się martwić, czy komuś brakuje wody i jedzenia. Po prostu chodzi mi o to, że wytrzebienie nas wszystkich zajmie obcym więcej czasu, jeżeli rozproszymy się na mniejsze grupy.

No dobrze. W takim razie wyprowadźmy część ludzi! Zadbam, żeby ONZ wydała dyspozycje lokalnym władzom. Byłoby trochę łatwiej, gdyby zaangażowały się w to jakieś organizacje pozarządowe.

Doskonale. Zostawiam to na pańskiej głowie.

A co *pan* będzie robił?

Doktor Franklin i pani Papantoniou analizują informacje, które uzyskaliśmy od ocalałych z ataku w Londynie. Zobaczę, czy mogę im się przydać.

Co pan z nimi zrobił? Z tymi ludźmi?

Zostali poddani kwarantannie.

Kwarantannie? Przecież cała rzecz w tym, że nie są chorzy.

Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego wyszli z tego bez szwanku. Uznałem, że bezpieczniej będzie ich odizolować.

Myśli pan, że mieli coś wspólnego z atakiem?

Nie sędzę, aby byli w to bezpośrednio zamieszani, jednak jestem absolutnie przekonany, że ich ocalenie nie jest dziełem przypadku. Ci ludzie zostali w jakiś sposób wybrani, czy są tego świadomi, czy nie.

Dlaczego?

Nie wiem. Nie mam żadnych dowodów świadczących o czymś więcej prócz tego, że dopisało im niesamowite szczęście, jednak nie potrafię uwolnić się od myśli, że niekoniecznie są to w pełni ludzkie istoty.

Nie w pełni ludzkie... Jak ten pański znajomy, o którym nie chce pan rozmawiać?

Niezupełnie. Chociaż mój informator nigdy tak naprawdę się nie przyznał do swojego obcego rodowodu, jestem pewien, że doskonale zdaje sobie z niego sprawę. Tymczasem zdziwiłbym się, gdyby ci ludzie z Londynu byli czegokolwiek świadomi. Poza tym mój znajomy ma... pewne szczególne cechy fizyczne. Podejrzewam, że jego przodkami w linii prostej byli pierwsi obcy, którzy przybyli na Ziemię. Za to ocaleni - w każdym razie ci, którym miałem okazję się przyjrzeć - wydają się całkiem normalni. Nie zauważyłem u nich takich samych osobliwości. Mogą być... w najlepszym wypadku jego dalekimi kuzynami.

Nie pomyślał pan, żeby ich po prostu o to zapytać?

Niestety pomyślałem.

DOKUMENT NR 1580

**PRZESŁUCHANIE JACOB LAWSON, REPORTER
BBC
OCALAŁY Z ATAKU W LONDYNIE**

Miejsce: kryjówka FBI # 141, Nowy Jork

Dosyć! Neeeeee! AAAAAARRRRRGGGGHHH!
przeście! Proszę! Proszę!

Dlaczego?

Nazywam się Jacob Lawson. Jestem reporterem BBC.
To jest nielegalne. Nie może pan tego robić.

Najwyraźniej mogę. Dlaczego?

Proszę zawiadomić rząd brytyjski. Chcę rozmawiać z
adwokatem.

Dlaczego?

Dlaczego co? Nic z tego, kurwa, nie rozumiem! Nie!
Tylko nie to! AAAAGGGGGGGHHH!

Dlaczego?

Nazywam się Jacob Lawson. Jestem obywatelem
Wielkiej Brytanii. Na mocy Konwencji wiedeńskiej
domagam się, aby konsulat brytyjski został

powiadomiony o moim... Nie! Nie! Nie!
AAAAGGGGGGGHHHH! Dość! Przestańcie! Nie
mogę... Czemu to robicie? Ja...
AAAAGGGGGGGHHHH!

Wystarczy. Ma pan teraz chwilę, żeby dojść do siebie. Nikt nie będzie panu przeszkadzał.

Czego ode mnie chcecie? Nie zrobiłem nic złego!

Uspokoił się pan?

Nie wiem, dlaczego się tu znalazłem. Chcę rozmawiać z kimś, kto tu dowodzi.

Nie powinien pan już mieć większych wątpliwości co do tego, kto tu dowodzi. Zapytałem, czy jest pan spokojny.

Czy jestem... Tak. Jestem spokojny.

W takim razie proszę mi powiedzieć dlaczego.

Dlaczego co?

Zważywszy na naszą wzajemną relację, byłoby to naprawdę egoistyczne, gdybym wyznał, jak bardzo brzydzę się takimi przesłuchaniami, ale muszę powiedzieć, że pańska odmowa współpracy zaczyna mnie martwić. Gdyby to nie było takie oklepane, zapoznałbym pana z definicją głupoty, ale mówiąc krótko, proszę nie oczekiwać innych rezultatów, jeśli nadal będzie pan odmawiał odpowiedzi. Koniec przerwy.

Nie! Nie! Czekaście! Zaraz! Nieee...
AAAAARRRRRGHHH!

Dlaczego?

AAAAARRRRRGHHH!

Dlaczego?

...

Dlaczego?

...

Nie reaguje. Niech mu któryś przemyje twarz zimną wodą. Dziękuję. A teraz proszę mu posmarować opuszki tą maścią, tylko obficie.

...o Boże. Ach! Dzięki! Błagam, niech pan to powstrzyma.

Ten środek sparalizuje zakończenia nerwowe w pańskiej dłoni. Igły, które ci dzentelmeni wbili panu w opuszki, wywołały silne bodźce bólowe, dotykając kości. Za chwilę ból powinien całkowicie ustąpić.

Dziękuję. Przestańcie mnie torturować!

Panowie, proszę usunąć igły. Pański organizm jest teraz w szoku i powoli traci pan czucie w prawej dłoni. Proszę wziąć głęboki oddech. Nikt nie będzie pana tam już kłuł.

Dziękuję panu! Więcej bym tego nie zniósł.

Wręcz przeciwnie. Z czysto ludzkich pobudek zadaję sobie wiele trudu, aby spowodować możliwie jak najmniejsze obrażenia. Poniekąd dyskomfort, jakiego pan tutaj doświadcza, jest w głównej mierze pana własną zasługą. Ci ludzie używają cienkich igieł, jednak zakończenia nerwowe w pańskich opuszkach są bardzo wrażliwe, toteż impulsy trafiające do mózgu i rdzenia kręgowego sprawiają, że ból, który pan odczuwa, jest niewspółmierny do okaleczeń. Odpowiadając na moje pytanie, ma pan szansę bardzo szybko dojść do siebie po tej niefortunnej rozmowie, a nawet uniknąć trwałych urazów.

Ale ja nic nie wiem!

Jeszcze nie skończyłem. Gdyby pan jednak postanowił trwać w swoim uporze, minimum obrażeń oznacza również, że nasze posiedzenie może się ciągnąć w nieskończoność. Z bólu się nie umiera, ale nie można się do niego przyzwyczaić. Jego specyfika polega na tym, że nie ulega habituacji ani adaptacji sensorycznej jak wrażenia węchowe czy dotykowe.

Nie wiem, co pan chce ode mnie usłyszeć! Ja nic nie zrobiłem!

Receptory w pana prawej dłoni zostały już częściowo uszkodzone, więc dyskomfort byłby odpowiednio mniejszy, gdybyśmy znów próbowali go wywołać. Pozwolę panu odpocząć minutę lub dwie, a kiedy ból minie, zaczniemy od nowa z lewą dłonią.

Nie! Tylko nie druga dłoń! Proszę! Błagam pana.

Zdaję sobie sprawę, że znajduje się pan w nieznanym miejscu, w towarzystwie obcych ludzi, jednak wydarzenia ostatnich dwudziestu minut nie powinny pozostawiać żadnych wątpliwości co do tego, że pozostanę głuchy na takie prośby.

Powiem wszystko, co pan chce.

Od początku naszej rozmowy powtarzam jedno bardzo proste pytanie, a pan za każdym razem odmawia odpowiedzi.

Nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje. Ja nic nie wiem. Proszę mi wyjaśnić, o co chodzi, a ja wszystko powiem. Tylko niech pan przestanie. Błagam!

To nie jest moja specjalność. Jednak znam ludzi, którzy regularnie prowadzą takie przesłuchania i słyszałem od nich, że oczekiwanie na ból często bywa trudniejsze do zniesienia niż sam ból. Nie wiem, co mnie bardziej zawstydza - czy to, że zadaję się z takimi ludźmi, czy to, że odkryłem, jak bardzo się mylili. Możemy zaczynać?

Nie! Nie! Nie!

Panowie, mały palec, proszę.

Nie, nie... AAAAAARRRGH!

Jeszcze raz.

AAAAAARRRGGH!

Dlaczego?

Kaszel

Głębiej.

Nie... AAAAAARRRGHHH! AAAAAARRRGHHH!

Przerwijmy na chwilę, żeby mógł pan zastanowić się nad odpowiedzią.

Dlaczego co? Co ja niby mam wiedzieć według pana?

Nie wierzę, że nic pan nie wie.

Nie... nie robiłby pan tego... Raczej wydaje się panu, że coś wiem, coś ważnego...

Czyżby? Wydaje mi się? Kiedy my sobie tu gawędzimy, giną dziesiątki milionów ludzi. W tym momencie nie ma większego znaczenia to, co mi się wydaje. Liczy się to, co jestem w stanie udowodnić. Nie mogę już polegać na przecuciach, tak samo jak nie mogę ufać panu. Możemy kontynuować?

Zaraz! Chwileczkę! Proszę! Co pan chce wiedzieć? Dlaczego obcy wylądowali w Londynie? Dlaczego nas zaatakowali? Dlaczego ja przeżyłem, a tamci ludzie nie?

Odpowiedź na każde z tych pytań oszczędziłaby panu więcej bólu, niż potrafi pan sobie wyobrazić.

Ale ja, kurwa, nie wiem! Nie wiem, po jaką cholere

zjawili się ci obcy. Nie wiem, czego od nas chcą. Nie wiem, dlaczego wybrali akurat Londyn. Wiem tylko, że wszyscy, na których mi zależało, nie żyją.

Dlaczego?

Myśli pan, że nie powiedziałbym tego, gdybym wiedział? Mój syn nie żyje! Moja żona nie żyje! Moi przyjaciele, rodzina... Myśli pan, że chciałem ich śmierci? Że nie zamieniłbym się z każdym z nich, gdybym mógł? Ma pan pojęcie, jak bardzo żałuję, że to mój syn umarł, a nie ja?

...tak.

Wierzy mi pan?

Tak.

Wierzy mi pan!

...

Ale pan nie przestanie, prawda? Proszę mi tylko powiedzieć.

Nie przestanę.

Dlaczego?

Żeby się pozbyć wszelkich wątpliwości. Żebym nie musiał robić tego samego nikomu innemu.

...

Panowie, palec serdeczny.

Nazywam się Jacob Lawson. Jestem obywatelem
Wielkiej Brytanii. Na mocy Konwencji wiedeńskiej...
AAAAGGGGGGGHHHH!

DOKUMENT NR 1585

ZAPIS Z REJESTRATORA GŁOSU W KOKPICIE BOMBOWIEC STRATEGICZNY B- 2 SPIRIT, SIŁY POWIETRZNE STANÓW ZJEDNOCZONYCH, BAZA NATO W EUROPIE

Miejsce: gdzieś nad Portugalią

9:15:31 [HAMAL 11]: Anderson House, tutaj Chris Parker.

Zbliżamy się do hiszpańskiej przestrzeni powietrznej. Prędkość pięćset sześćdziesiąt mil na godzinę. Wysokość trzysta tysięcy stóp.

9:15:40 [AIRCOM]: Dziękuję, Chris Parker.
Rozpocznij procedury kontrolne.

9:15:45 [HAMAL 11]: Przyjąłem.

9:18:03 [HAMAL 11]: Kontrola zakończona.
Przesyłka gotowa.

9:18:10 [AIRCOM]: Przyjąłem, Chris Parker.
Dostawa za trzydzieści sekund.

9:18:14 [HAMAL 11]: Anderson House, naprawdę mamy to zrobić?

9:15:17 [AIRCOM]: Potwierdzam, Chris Parker.
Masz zgodę na dostawę. Powtarzam, zgoda na dostawę. Za dwadzieścia sekund.

9:18:24 [HAMAL 11]: Anderson House, tu Chris Parker.

Proszę o dodatkowe potwierdzenie Centrali.

9:18:28 [AIRCOM]: Masz swoje rozkazy, Chris

Parker.

Dostawa za dziesięć sekund.

9:18:31 [HAMAL 11]: Anderson House, jeszcze raz proszę o dodatkowe potwierdzenie do Matki.

9:18:33 [AIRCOM]: Tu Matka, Chris Parker, masz zgodę na dostawę. Za pięć... Cztery... Trzy... Dwa... Jeden... Już. Już. Już.

Chris Parker, tu Anderson House. Minąłeś strefę zrzutu.

...

Chris Parker, tu Anderson House. Zgłoś się.

9:18:57 [HAMAL 11]: Zgłaszam się, Anderson House. Mamy pewien... problem techniczny z pokrywą luku.

9:19:09 [AIRCOM]: Rozumiem, Chris Parker. Tutaj też nikt nie jest zachwycony, ale mamy zadanie do wykonania. Zmień kurs na dwa siedem zero do następnego podejścia.

...

To rozkaz, Chris Parker, nie sugestia.

...

Chris Parker, zgłoś się.

9:19:31 [HAMAL 11]: Zgłaszam się, Anderson House. Idę na dwa siedem zero.

9:19:35 [AIRCOM]: Przyjąłem. Trzymaj kurs.

...

Chris Parker, dostawa za pięć... Cztery... Trzy... Dwa... Jeden... Już. Już.

9:20:10: [HAMAL 11]: Anderson House, tu Chris Parker. Przesyłka doręczona.

O kur...

9:20:22 [AIRCOM]: Chris Parker, tu Anderson House. Powiedz to jeszcze raz.

Chris Parker, jaki jest twój status?

Nie mamy cię na radarze, Chris Parker. Zgłoś się.
Chris Parker, zgłoś się.

...

DOKUMENT NR 1587

ZAPIS ROZMOWY DOKTOR ROSE FRANKLIN, SZEF SEKCJI NAUKOWEJ, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: Kwatera główna KOZ, Nowy Jork

Obcy właśnie zniszczyli Madryt.

Nie, doktor Franklin. Nie zniszczyli.

Proszę spojrzeć. Nic nie zostało. Absolutnie nic.

Dobrze wiem, że stolica Hiszpanii przestała istnieć. Chciałem tylko powiedzieć, że to nie jest wina obcych. Sami to sobie zrobiliśmy.

Co to znaczy? Ze zbombardowaliśmy Madryt?

Nawet więcej. Przed około dwudziestoma minutami amerykański bombowiec strategiczny zrzucił na Madryt bombę termojądrową B83 o sile 1,2 megaton. Nie było widocznej eksplozji ani grzyba atomowego, tylko impuls elektromagnetyczny, który zniszczył prawie wszystkie urządzenia elektryczne w całej Hiszpanii, a całe miasto zalał na trzy sekundy rozbłysk białego światła o średnicy pięćdziesięciu kilometrów. Kiedy światło zgasło, nie zostało już nic. Oprócz gigantycznego robota stojącego na

dnie największego leja, jaki kiedykolwiek widziało ludzkie oko.

Nie wierzę... W wiadomościach mówią, że to obcy zaatakowali, tak jak w Londynie.

A co mieli powiedzieć? Że demokratycznie wybrany rząd Hiszpanii poprosił siły Paktu Północnoatlantyckiego o zrzucenie głowicy nuklearnej na sześciomilionowe miasto?

Ile ludzi udało się ewakuować przed zrzuceniem bomby?

Nie było ewakuacji ani żadnego ostrzeżenia. Chcieli być pewni, że trafią w cel. I trafili.

To pańska sprawka?

Nie miałem z tym nic wspólnego. Próbowałem ich powstrzymać, ale muszę pogodzić się z faktem, że zasięg tego kryzysu przerasta wszelkie wpływy, na jakie mogłem liczyć w przeszłości. Przez kilka ostatnich lat czułem, że moja... kontrola nad światem słabnie, ale całkiem możliwe, że w końcu przestałem być przydatny.

To nieprawda. Po prostu sytuacja jest... nadzwyczajna.

Obawiam się, że w przyszłości czeka nas niewiele zwyczajnych sytuacji.

Możliwe.

Doktor Franklin, czuję się odpowiedzialny za to,

aby wszyscy w moim otoczeniu koncentrowali się na swoich zadaniach, bez względu na okoliczności zewnętrzne. Nie chcę być dla nikogo ciężarem, a moje prywatne odczucia nigdy nie powinny hamować naszych postępów, jednak w tej chwili... Z czego się pani śmieje?

Oczekuje pan ode mnie słów pokrzepienia?

Poprosiłbym Alysę, gdyby tu była...

O, zażartował pan! A swoją drogą gdzie ona jest?

Wysłałem ją do Londynu, żeby zbadała więcej ocalałych osób.

A co z tymi, którzy tu byli?

Są w samolocie razem z Alyssą. Nie widziałem powodu, żeby dłużej ich tu trzymać.

Wszyscy?

Oprócz jednego. Pan Lawson niestety zmarł.

Ten dziennikarz? Co mu się stało?

Dostał zawału.

Kiedy? Jak?

Miał wadę serca, o której nie wiedziałem. Zasłabł podczas przesłuchania i nie zdołaliśmy go uratować.

Podczas przesłuszenia... Kazał go pan torturować?

Jest to, jak większość rzeczy, kwestią... Tak, kazałem go torturować.

Dlaczego?

Myślałem, że coś wie. Ale nie wiedział.

I umarł.

Tak właśnie.

Nie wiem, jak to skomentować. Chce pan, żebym powiedziała, że to nie pańska wina?

Nie. Ponoszę całkowitą odpowiedzialność za jego śmierć. Powinienem był przedtem zapoznać się z jego dokumentacją medyczną. To było zaniedbanie z mojej strony.

Więc problemem nie jest dla pana torturowanie człowieka, tylko to, że zapomniał pan poprosić o jego dokumentację medyczną?

Proszę nie osądzać mnie zbyt pochopnie. Życzliwi i inteligentni ludzie właśnie zrzucili bombę atomową na swoich bliźnich. Niecałe dwanaście godzin temu rząd Stanów Zjednoczonych kazał otworzyć ogień do tłumu na granicy z Meksykiem. Zginęło ponad sześćset osób, mężczyźni, kobiety i dzieci, całe rodziny szukające ratunku.

Właśnie tacy się staliśmy?

Wiele razy zadawałem sobie to pytanie.

Człowiek, który zaproponował pani spotkanie - prawdopodobnie potomek cywilizacji, która zbudowała Temidę - napomknął kiedyś, że jeśli nie będziemy zachowywać się odpowiedzialnie, jego krewniacy przeniosą nas z powrotem do epoki kamienia, żebyśmy jeszcze dojrzeliby przez kilka tysięcy lat. Chyba tak to ujął. Czasami się zastanawiam, czy nie tego właśnie nam trzeba.

Zacząć wszystko od nowa.

Otóż to.

Powinam być zbulwersowana tym, że torturował pan człowieka. A nie jestem. Myślę, że staję się tak samo cyniczna jak pan.

Nie jestem cyniczny, ale rzeczywiście bardzo różnimy się od siebie.

Nie tak bardzo.

A jednak. Choćby nie wiadomo jak mocno była pani przekonana o swojej przemianie, wciąż dzieli nas głęboka przepaść.

Myślę, że jest pan w błędzie.

Więc proszę mi powiedzieć, czy uważa pani, że nasz rząd przed inwazją na Irak okłamał obywateli w sprawie broni masowego rażenia.

Co to ma do rzeczy?

Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Tak. Tak uważam.

Czy pani zdaniem rząd postąpił źle?

O co panu chodzi? Oczywiście że tak.

Dlaczego?

...

Bo kłamstwo to coś złego?

Coś w tym rodzaju.

Widzi pani, a ja sądzę, że inwazja na Irak była błędem, ale z całkowicie innego powodu. Wtedy ludzie u steru władzy, przynajmniej niektórzy, byli przekonani, że obecność naszych sił na Bliskim Wschodzie ma zasadnicze znaczenie dla utrzymania naszego stylu życia. Byli przekonani, że demokracja, wolność słowa i wszystko, co sobie cenimy, zależy od naszych wojsk za granicą. Proszę sobie wyobrazić, że pani również tak myśli. Albo jeszcze prościej. Proszę sobie wyobrazić, że za sprawą jakichś czarów po prostu jest to dla pani oczywiste. Czy okłamałaby pani obywateli amerykańskich, mogąc w ten sposób zwiększyć szanse na założenie tych jakże ważnych baz wojskowych?

Nie, nie okłamałabym.

I w tym tkwi zasadnicza różnica między nami. Pani nie poświęciłaby swoich zasad w imię wyższego dobra. Ja zaś nie potrafiłbym przestać o tym myśleć. Jestem... pragmatykiem, a pani,

doktor Franklin, jest idealistką.

Czy to takie złe?

Niezupełnie. Czego tacy ludzie jak ja mieliby bronić, gdyby nie ideały?

Wygląda mi to na kryzys sumienia, próbę usprawiedliwienia motywów, którymi pan się kierował, przekraczając granice. Ale był pan przekonany o słuszności swego postępowania.

Robiłem to, co robiłem, bo liczyłem, że mam choćby nikłą szansę na ocalenie ludzkości. Ani przez chwilę nie myślałem, że moje postępowanie jest słuszne.

I co teraz? Rozumiem, że pan Lawson nie puścił farby na temat wielkiego planu obcych.

Nie. Mimo to nadal uważam za prawdopodobne, że swoją odporność na gaz zawdzięczał cechom genetycznym odziedziczonym po przybyszach z kosmosu, którzy przed wiekami odwiedzili naszą planetę. Teraz mogę stwierdzić z dużą dozą pewności, że jeśli do jego przodków zaliczali się nie tylko homo sapiens, był tego całkowicie nieświadomy.

Jeśli to cokolwiek warte, prawdopodobnie ma pan rację. Wydaje się sensowne, że obcy chcą oszczędzić tych, z którymi czują się spokrewnieni. Co na to Alyssa?

Jak dotąd nie odkryła niczego rozstrzygającego, ale pracuje na okrągło. Muszę powiedzieć, że

rzadko zdarza mi się widzieć, aby ktoś podchodził z takim entuzjazmem do swojego zadania.

Rzeczywiście jest zaangażowana, to trzeba jej przyznać.

...

Co się stało?

Kolejny robot zmaterializował się na północy Central Parku.

Tutaj?

Obawiam się, że tak. Może pani włączyć telewizor?

Mam... Już wypuszcza gaz.

Ile mamy czasu, zanim chmura dotrze do nas?

Co robimy?

Doktor Franklin, ile mamy czasu?

Przy prędkości czterdziestu kilometrów na godzinę... pięć minut, może mniej.

Musimy zabrać Temidę w bezpieczne miejsce. Nie możemy zaryzykować, że obcy robot ją zniszczy, kiedy się stąd ewakuujemy.

Zawiadomię Vincenta. Powinien wciąż być w hangarze.

Świetnie. A ja każę wszystkim biec do helikoptera.

Nie! Eugene poleciał nim dziś rano do Waszyngtonu. Niech idą do budynku ONZ. Gaz nie powinien sięgnąć powyżej dwudziestego piętra.

Vincent? Mówi Rose. W Nowym Jorku pojawił się obcy robot, jakieś pięć kilometrów stąd... Tak, Vincent. Zaczął już wypuszczać gaz, więc nie mamy wiele czasu. Weź wszystko, czego potrzebujesz, i zabierz stąd Temidę... Nie wiem, w jakieś bezpieczne miejsce. Wszędzie, byle nie tu. Tak, wiem. Wyślę tam wszystkich... Dziękuję ci, Vincent. Tobie też powodzenia.

Interkom... Gdzie ten przycisk? Mam. Uwaga, mówi doktor Rose Franklin. Jeżeli ktoś przebywa w tym budynku, musi natychmiast się ewakuować. Miasto zostało zaatakowane i śmiertelny gaz będzie tu za niecałe pięć minut. Kierujcie się do głównego budynku ONZ i wjedźcie na jedno z najwyższych pięter. To nie są ćwiczenia. Powtarzam, musicie opuścić laboratorium i szukać schronienia powyżej dwudziestego piętra w głównym gmachu. Powtarzam, to nie są.

Wystarczy, doktor Franklin. Musimy iść.

Pan jeszcze tutaj? Myślałam, że doglądał pan ewakuacji.

Wyprowadziłem wszystkich. Ale byłoby to nieeleganckie z mojej strony, gdybym wyszedł bez pani.

Proszę już iść. Dogonię pana.

Co pani robi?

Nie wyjdę stąd bez swoich notatek.

Komputer codziennie zabezpiecza wszystkie pliki.

Wiem. Ale ja zapisuję wszystko w notatnikach.

A czemu tak?

Żeby pan nie mógł tego przeczytać.

Będę pamiętał, żeby się na panią obrazić, jeśli wyjdziemy z tego cało. Dlaczego pani przystaje?

...

Doktor Franklin, co to za spojrzenie?

Obawiam się, że już nie zdążymy.

O ile nie może mi pani zaproponować innego trybu postępowania, lepiej byłoby zaryzykować, zamiast tutaj siedzieć i czekać na coś, co opisała pani jako bardzo nieprzyjemne doznanie.

Czysta strefa. Ma szklane ściany.

Jest pani pewna, że ochroni nas przed gazem?

Nie wiem. Ale ma trzeci poziom bezpieczeństwa biologicznego...

Na pewno nie zdążymy dobiec do głównego gmachu?

Nie ma szans.

W takim razie niech pani prowadzi.

Proszę za mną... Do środka. Po zamknięciu jednych i drugich drzwi wewnątrz jest całkowicie szczelne. Gaz musiałby przeniknąć przez szklane ściany, żeby dostać się do środka.

Nie ma tu systemu wentylacyjnego?

Wyłączyłam go. Po kilku godzinach zabraknie nam powietrza, ale chmura powinna zniknąć dużo wcześniej.

Zatrucie dwutlenkiem węgla jest o niebo lepsze od tego, co zrobi z nami ten gaz.

Nie ma pan nic przyjemniejszego do powiedzenia?

Obydwoje czytaliśmy te same raporty, a pani rozmawiała z ocalałymi. Próbowali robić dokładnie to, co my teraz, i nie udało im się uciec. Poza tym od świata zewnętrznego dzieli nas kilkoro drzwi. Jeśli gaz dotrze aż tutaj, nie sądzę, aby jedna szyba zdołała go zatrzymać. Co jest w niej takiego wyjątkowego?

To grube szkło. Jest... Nie mam pojęcia, ale można tu pracować z zabójczymi wirusami i nie wydostają się na zewnątrz. Musi zadziałać.

Cieszy mnie, że znów odnalazła pani wolę życia.

Sam pan zauważył, że to nieprzyjemne... Nie

zamierzam tak skończyć. Poza tym chciałabym porozmawiać z pańskim znajomym.

Mogę do niego teraz zadzwonić, jeśli pani sobie życzy.

Lepiej zaczekajmy, aż to się skończy. Oby tylko moi ludzie dotarli już w bezpieczne miejsce.

Są młodzi i mogą tam dobiec. Myślę, że zdążą.

Mam nadzieję, że zdążyli dwie minuty temu. Proszę spojrzeć na główne wejście.

Przez ściany również przenika.

Niedługo wypełni całe laboratorium.

Oby to szkło okazało się odporniejsze od ścian.

To bardzo drogie szkło...

Więc miejmy nadzieję, że pieniądze naszych podatników zostały mądrze zainwestowane. Nie chciałbym, żebyśmy zginęli, bo ktoś oszczędzał na materiale.

Wkrótce się przekonamy. Dookoła jest już pełno gazu... Niech pan zobaczy! Mówiłam, że będziemy tu bezpieczni.

Proszę spojrzeć pod nogi, doktor Franklin.

O nie! Podłoga przepuszcza gaz!

I szyba też.

Nie, to niemożliwe!

Proszę się przyjrzeć dokładnie.

Jak to się mogło...? Myślałam...

To był dobry pomysł, doktor Franklin. Usiądźmy tutaj.

To przenika bardzo wolno.

Rzeczywiście, to szkło znacznie spowalnia gaz. Było warte swojej ceny.

Chodzi mi o to, że przedostaje się tu naprawdę powoli. Może nie zdąży do nas dotrzeć. Potrzeba...

Potrzeba kilku godzin, żeby gaz się ulotnił. Nawet przy takim tempie zostało nam... dziesięć, może dwadzieścia minut, zanim wypełni całe to pomieszczenie.

Może gdybym włączyła wentylację...

Doktor Franklin...

Musi być jakieś...

Doktor Franklin...

Ja nie chcę umierać!

Wiem. Proszę tu usiąść obok mnie.

Wygląda na to, że jednak nie spotkam się z tym

pańskim... znajomym.

Chyba nie. Czy jest coś, o co chciałaby mnie pani zapytać?

...

Doktor Franklin?

Co? Tak dużo rzeczy chciałabym wiedzieć.

Mogłoby nam zabraknąć czasu na wszystko. A gdyby mogła pani zadać tylko jedno pytanie, jak by ono brzmiało?

To proste. Kim pan jest? Dla kogo pan pracuje?

Powiedziałem, że tylko jedno.

Ja...

To bez znaczenia. Odpowiedź na oba te pytania jest w zasadzie taka sama. Jestem... nikiem.

Byłem kiedyś nauczycielem. Wykładałem literaturę amerykańską w Montgomery College. Byłem... byłem zupełnie innym człowiekiem. Ożeniłem się bardzo młodo. Moja żona chciała, żebym został pisarzem, ale nigdy... Umarła na raka, kiedy nasz syn miał dwanaście lat.

Współczuję.

Miło z pani strony. To był trudny okres. Nie byłem najgorszym z ojców, ale z pewnością nie na tyle dobrym, żeby samodzielnie wychować młodego człowieka. Henry, mój syn, był dla mnie

wyrozumiały i przez pewien czas mieliśmy dobre stosunki. Rodzice czują się bardzo odpowiedzialni za to, na kogo wyrosną ich dzieci, ale są praktycznie bezsilni, jeśli muszą konkurować z ich przyjaciółmi i ukochanymi. Kiedy mój syn miał piętnaście lat, poznał pewną dziewczynę, córkę senatora. Była sympatyczna, rok starsza od niego. Myślałem, że będzie miała na niego dobry wpływ, ale okazało się, że Henry miał zły wpływ na nią. Już wcześniej próbował zażywać narkotyki, ale nie było go na to stać. Po śmierci żony postanowiłem zachować dom - chciałem zapewnić synowi trochę stabilizacji - więc spłacałem kredyt i nie przelewało się nam. Ale ona miała pieniądze, a raczej jej rodzice. Dwoje zbuntowanych i zakochanych nastolatków z portfelem, który zdawał się nie mieć dna. Kilka miesięcy później każde z nich przypominało własny cień. Chociaż myślałem, że to kokaina go wykończy, mój syn stracił życie przez alkohol. Jadąc do wypożyczalni kaset wideo on i jego dziewczyna zderzyli się czołowo z pijanym kierowcą.

Facet miał już na koncie dwa wyroki za prowadzenie w stanie nietrzeźwym. Został oskarżony o spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym, ale sąd go uniewinnił z powodu zanieczyszczonej próbki krwi.

Musiał pan być wściekły.

Byłem. Nic mi nie zostało. Mieliśmy z żoną wielu przyjaciół, ale to byli jej przyjaciele i kiedy umarła, wszyscy szybko o mnie zapomnieli. Przestałem chodzić do pracy. Straciłem dom. Tylko mój gniew mnie nie opuszczał.

Wyczyściłem do zera konto w banku - zostało mi tysiąc dolarów albo coś koło tego - i poprosiłem jednego z kumpli Henry'ego, żeby kupił mi za to tyle kokainy, na ile starczy pieniędzy. Potem dowiedziałem się, gdzie mieszka sprawca wypadku. Założyłem najlepszy garnitur i powiedziałem właścicielowi czynszówki, że pracuję dla rządu i muszę się dostać do mieszkania tego człowieka. Podrzuciłem mu narkotyki i wyszedłem, a potem zadzwoniłem na policję i złożyłem anonimowy donos.

Udało się?

Oczywiście że nie. Wiele razy nie kryłem przed policją niezadowolenia, więc bardzo szybko się zorientowali, kim był ten tajemniczy agent rządowy. Aresztowali mnie cztery godziny po zgłoszeniu. Wiedziałem, że się nie wywinę, bo nie założyłem rękawiczek i wkrótce zdejmą moje odciski palców z paczki kokainy.

I co się stało?

Wyszedłem na wolność. Dwaj mężczyźni, obaj ubrani w garnitury lepsze od mojego, zabrali mnie z aresztu i odwieźli do domu. Tydzień później senator przysłał mi zaproszenie.

Ojciec tej dziewczyny, z którą spotykał się pański syn.

No właśnie. Wtedy nie miałem o tym pojęcia, ale był on również wpływowym członkiem Senackiej Komisji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Administracji. Ktoś, kto piastuje takie stanowisko, musi znać odpowiednich ludzi.

Wystarczyło, że zadzwonił do kogoś z prośbą o przysługę i byłem wolnym człowiekiem. Popijając bardzo dobrą whisky, odbyliśmy długą rozmowę na temat rodzicielstwa i świata, w którym żyjemy.

Wspomniał o tym, co się stało?

Ani słowem. Prawie miesiąc później znów się do mnie odezwał. Spotkaliśmy się w eleganckiej restauracji w Waszyngtonie. Tym razem poruszył ten temat. Powiedział, że wykazałem się zarówno odwagą, jak i głupotą, ale z determinacją dążyłem do tego, co sobie postanowiłem...

Wymierzenia sprawiedliwości.

Nie. Nie kierowało mną poczucie sprawiedliwości, ale czysty, najzwyklejszy gniew. Zależało mi tylko na zemście. Zdaniem senatora musiałbym o wiele bardziej się zaangażować, żeby dopiąć swego. Pamiętam, jaki wstyd mnie ogarnął, kiedy mu powiedziałem, że nie byłbym zdolny zabić człowieka, który pozbawił życia nasze dzieci. Wtedy zapytał mnie, co byłbym zdolny poświęcić. Poczulem wielką ulgę. Straciłem wszystko, nawet chęć do życia, więc bez wahania udzieliłem mu takiej odpowiedzi, jakiej oczekiwał.

Po kolacji zawiózł mnie do małego mieszkania na przedmieściu, gdzie jakaś pielęgniarka pobrała ode mnie krew. Nie wiem jak dużo, ale potem musiałem leżeć przez dwa dni w łóżku. Wstałem, kiedy jakiś człowiek zostawił pod drzwiami dużą kopertę. W środku było pięćset dolarów, karta płatnicza i numer porannej

gazety. Na stronie trzeciej znalazłem nagłówek: „Mężczyzna aresztowany pod zarzutem morderstwa nauczyciela”. Sprawca wypadku, w którym zginął mój syn, został znaleziony nieprzytomny we własnym łóżku, cały we krwi - mojej krwi - a tuż obok na podłodze leżał nóż. W moim mieszkaniu, które zostało splądrowane, policja odkryła ślady walki i wielką plamę krwi na dywanie. Znaleźli się świadkowie, którzy widzieli, jak jego samochód zatrzymał się na poboczu w pobliżu Potomaku.

Niech pan nie przerywa!

Proszę wybaczyć. Rozproszył mnie widok gazu, który zbliża się do pani buta.

O mój Boże!

Moglibyśmy kontynuować naszą rozmowę, siedząc na tym biurku, jeśli uprzątniemy z niego wszystkie te... Doktor Franklin, pani się trzęsie jak osika.

My umrzemy, prawda?

Przez całe życie jesteśmy skazani na śmierć. Czy to będzie bardzo niestosowne, jeśli obejmę panią ramieniem? O tak. Więc na czym to ja skończyłem?

Został pan zamordowany.

No właśnie. Mojego ciała nigdy nie odnaleziono. Oglądałem z daleka własny pogrzeb. Kiedy zobaczyłem, jak mało ludzi przyszło, było mi o

wiele łatwiej porzucić dawne życie.

Jak to się stało, że zaczął pan pracować dla...? Właściwie nie powiedział mi pan, dla kogo.

Sam nie byłem tego pewien, ale szybko stało się jasne, że pracuję dla senatora. Założył swoją prywatną agendę, a ja miałem mu pomóc ją rozwinąć. Karta płatnicza umożliwiała mi dostęp do tajnego funduszu CIA, z którego korzystał senator. Kazał mi się zaszyć w jakimś spokojnym miejscu. Wybrałem małe miasteczko w Wirginii Północnej, w którym urodziła się moja żona. Minął prawie rok, zanim znów się do mnie odezwał. Kilka kontraktów dla spółek budowlanych, do których zawarcia przyłożył rękę po kurdyjskim powstaniu w Iraku, wzbudzało niepożądane zainteresowanie Agencji Kontroli Zamówień Departamentu Obrony. Miałem „przekonać” dyrektora agencji, żeby skierował wzrok w inną stronę. Oczywiście odmówiłem, ale senator dał mi wyraźnie do zrozumienia, że w tej kwestii nie mam nic do gadania.

I co pan zrobił?

Kupiłem lepszy garnitur. A potem spotkałem się z tym dyrektorem.

Żeby porozmawiać.

Myślałem, że zdołam go przekonać.

I co?

Moja siła perswazji nie do końca zadziałała tak,

jak się spodziewałem. Facet sięgnął po telefon i zostałem aresztowany, tym razem przez FBI.

Czy senatorowi znów się udało wybawić pana z opresji?

Naturalnie. Zjawił się sam dyrektor FBI, zabrał mnie na spacer i zapytał, czy mógłby mi w czymś pomóc. Powiedziałem mu, czego potrzebuję. Następnego dnia wyszła na jaw jakaś seksafera z udziałem tego wścibskiego dyrektora Agencji Kontroli Zamówień, który musiał złożyć rezygnację. Od tej pory ludzie z policji i wywiadu zaczęli mnie rozpoznawać. Kilka razy próbowałem odkryć, co takiego się wtedy stało, ale na próżno. Dopiero po latach dotarło do mnie, że dyrektor FBI dostał telefon z Gabinetu Ovalnego i dowiedział się, że pracuję dla „organizacji, której leży na sercu dobro Stanów Zjednoczonych”. Słyszałem to w różnych wersjach, ale ta najbardziej mi się podoba.

Rozumiem, że już pan nie pracuje dla senatora.

Och, nie. Senator zmarł wkrótce potem. Rak kości.

Więc jeśli nie dla niego, to dla kogo teraz pan pracuje?

Cóż, był to jedyny człowiek, który tak naprawdę coś o mnie wiedział. Byłem anonimowy i zdobywałem coraz większą renomę w środowisku wywiadowczym. Wciąż miałem dostęp do tamtego konta. Przez kilka miesięcy podróżowałem, a potem uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie

dysponuję wyjątkową pozycją, dzięki której mogę troszkę zmienić świat na lepsze.

To niemożliwe, że pan sam jeden... Chce mi pan powiedzieć, że nie istnieje żadna globalna organizacja, która pociąga za sznurki?

Mogę panią zapewnić, że jeśli taka organizacja w ogóle istnieje, nigdy o niej nie słyszałem. Na pewno nigdy dla takowej nie pracowałem. Z biegiem lat wyrobiłem sobie wiele koneksji na całym świecie i teraz mam do dyspozycji znacznie większe środki niż kiedyś, ale dla nikogo nie pracuję, jeśli o to pani pyta. Można powiedzieć, że działałam na własny rachunek.

Ja... To szaleństwo! Tak się w ogóle da? Ludzie panu wierzą?

Czemu mieliby nie wierzyć? Mam to, czego pragną najbardziej.

Co takiego?

Oferuję im poczucie bezpieczeństwa. Ludzie wolą wierzyć, że jestem częścią większej instytucji, bo dzięki temu mogą spać spokojnie. Świat, w którym żyjemy, jest okrutny. Wojny, globalne ocieplenie, epidemie, ubóstwo, terroryzm. Ludzie się boją. Wszyscy. Dotyczy to zwłaszcza wpływowych ludzi. Rola, jaką odgrywają w tym świecie, przytłacza ich i napawa lękiem. Paraliżuje ich odpowiedzialność i nie są zdolni do podjęcia decyzji z obawy przed błędnym wyborem. Przynoszę im rozgrzeszenie i spokój sumienia. Jestem przedstawicielem Boga pod

postać wszechwiedzącą i wszechmocną globalnej instytucji, która naprawi każde zło i będzie czuwać nad bezpieczeństwem świata.

Dlaczego wybrał pan akurat nas?

Ach! W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku moją uwagę zwrócił wypadek w pobliżu wykopalisk w Turcji. Choć znalezione na miejscu dowody nie były jednoznaczne, nabrałem przekonania, że przed tysiącami lat musiały przebywać na tych terenach jakieś zaawansowane technologicznie istoty.

Wiedział pan? Jakżeby inaczej.

Nic nie wiedziałem. Tylko podejrzewałem. Kiedy NSA przyznała fundusze na mój projekt badawczy w Chicago, dowiedziałem się o moim odkryciu z dzieciństwa i natychmiast wzbudziło to moje zainteresowanie.

Przed wszystkim postrzegałem te badania jako potencjalne dziedzictwo. Tym się właśnie zajmuję. To jest... To wymaga specjalnego nastawienia. Pod tym względem niewiele się różnię od stróża prawa. Pomyślałem, że mógłbym wykorzystać całe zło tego świata, kawałek po kawałku, aż nic by nie zostało. Niestety świat rządzi się innymi prawami. Potrzebuje jednak pewnej równowagi, żeby móc normalnie funkcjonować. Cokolwiek mną kierowało, wkrótce stało się jasne, że moje poczynania przypominają kopanie dziury w błocie. Pozbawiam złego człowieka władzy, a rok później ten, którego osadziłem na jego miejscu, okazuje się tak samo zepsuty. Jakże jest

prawdopodobieństwo, że policjant, który raz poskromił pijanego damskiego boksera, nigdy więcej nie będzie musiał ratować jego żony z opresji? Czy naprawdę jest wstanie czemuś zapobiec, czy tylko odwleka nieuniknione? Zdałem sobie sprawę, że dobro i zło są poza moim zasięgiem, a jedyne, na co mam wpływ, to czas. Mogłem zyskać na czasie, grać na zwłokę. Nie byłem wstanie naprawić całego świata, ale mogłem sprawić, że jakaś jego część przez krótką chwilę będzie lepsza. Pogodziłem się z tym. Niektórzy nie potrafią. Jak powiedziałem, to wymaga specjalnego nastawienia.

Ale z wiekiem człowiek uświadamia sobie, że przyjdzie taka chwila, w której zabraknie mu sił i nie będzie mógł już dłużej kopać. Wtedy trudniej jest mu żyć z myślą, że jego dołek znów wypełni się błotem, jak gdyby nigdy nie istniał. W mojej branży trwałość to Święty Graal. Dlatego uznałem pani przedsięwzięcie za okazję do pozostawienia śladu.

Gdyby pan mógł cofnąć się w czasie...

Chybabym mógł.

To prawda. Chciałby pan, żeby wszystko potoczyło się inaczej?

Oprócz tego, że czeka nas koniec świata?

Nie to miałam na myśli. Czy nie wolałby pan... wieść normalnego życia?

Wolałbym, żeby mój syn nie zginął. Wolałbym, żeby moja żona nadal żyła. Gdybym tego nie mógł zmienić, prawdopodobnie wybrałbym tę samą

drogę. Nie zawsze było to łatwe, ale myślę, że w sumie zrobiłem więcej dobrego niż złego.

Więcej chyba nie można oczekiwać od życia.

Ale jednego żałuję.

Czego?

Chciałem, żeby ktoś kontynuował to, co zacząłem. Nie spodziewałem się, że zabraknie mi czasu. Miałem nadzieję znaleźć następcę, wziąć kogoś... pod swoje skrzydła. Szukałem...

Syna.

Być może. Chciałem zostawić po sobie jakąś spuściznę. Przez pewien czas myślałem, że odpowiednim kandydatem jest pan Couture...

Nadal mógłby nim być.

Teraz ma rodzinę, jest ojcem. Ma zbyt wiele do stracenia. Uważałem pana Coture'a za dobrego kandydata, dopóki nie uzmysłowiłem sobie, że pani nadaje się do tego idealnie.

Ja?

Nie mogło być inaczej. Jest pani inteligentna i zaangażowana. Nie ma pani rodziny ani pragnień związanych z takim stylem życia. Kiedy się poznaliśmy, była pani zbyt naiwna, zbyt... delikatna, ale po powrocie z zaświatów stała się pani bardziej odporna, już nie tak...

Próbowałam odebrać sobie życie.

Przejęciowy zanik zdrowego rozsądku. Chciałem powiedzieć, że nie jest pani już tak... wrażliwa na to wszystko, czym świat nas raczy. Jestem pewien, że pani poprzednie ja nie wykazałoby się taką zimną krwią w ciągu ostatnich dni.

Chce pan powiedzieć, że już mi wszystko zwisa?

Powiedziałem, że mogłaby pani mnie zastąpić. To nie miało zabrzmieć jak komplement.

Nie mogłabym robić tego, co pan. Nie jestem... Jamesem Bondem.

Nie szukałem kogoś, kto mógłby szantażować głowy państw. Zależy mi na następcy, aby powierzyć mu pieczę nad Aktami Temidy, rejestrem wydarzeń, które zmieniły oblicze świata. Zgromadziłem mnóstwo poufnych informacji. Wiedząc tyle co ja, mogłaby pani zażądać, czego tylko dusza zapagnie, prawie od każdego.

Dziękuję, że pomyślał pan o mnie. Jestem...

Proszę wybaczyć, że przerywam, ale nie mamy już na co się wspiąć. Możemy wstać?

To już sięga mi do kostek. Czuje pan coś?

Na razie nie.

Co się z nimi stanie? Z pańskimi aktami?

Nie wiem. Wszystko, co zgromadziłem w mojej... karierze, o ile mogę tak to nazwać, znajduje się na twardym dysku w skrytce depozytowej. Klucz i kartę dostępu mam w kieszeni marynarki. Mogę tylko mieć nadzieję, że temu, kto znajdzie nasze ciała, nie zabraknie dociekliwości i odwagi. Najnowsze akta zapisałem na pendrivie, który też jest w mojej kieszeni. Odgadnięcie hasła nie powinno być trudne.

Jakie to hasło?

Imię mojego syna.

Proszę mi opowiedzieć coś jeszcze o sobie.

Co pani chce wiedzieć?

Nie mam pojęcia. Cokolwiek. Jak pan poznał Eugene'a. Chyba jesteście sobie bliscy.

To bardzo ciekawa historia, ale również bardzo długa. Znajomość z panią była dla mnie zaszczytem, doktor Franklin...

Proszę pana?

...

DOKUMENT NR 1588

ZAPIS GŁOSOWY Z MISJI VINCENT COUTURE, KONSULTANT, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: Kwatera główna KOZ, Nowy Jork

Mówi Vincent Couture. Jestem w dyspozytorni obok hangaru numer jeden. Wszyscy się ewakuowali. Wysłałem ich do gmachu ONZ. Na najwyższym piętrze będą bezpieczni, jeśli dotrą tam na czas. Mam nadzieję, że Rose się uratuje. Była w laboratorium, kiedy pojawił się robot. Stamtąd jest o wiele dalej do tego budynku.

Zabieram z sejfu dyski z kopiami zapasowymi. Trochę sprzętu do łączności. Nie wiem, co jeszcze powinienem wziąć. Mam nadzieję, że to zbędne, bo hangar nie ulegnie zniszczeniu.

Szkoda, że nie mogę stawić czoła obcym. Zginęło już całe mnóstwo ludzi, ale to coś zupełnie innego, kiedy takie rzeczy dzieją się na naszym podwórku. Zastanawiam się, czy przeżyli moi sąsiedzi i właściciel pralni z naprzeciwka. Chyba nie. Źle się z tym czuję, że ja mogę stąd prysnąć, a oni nie. Nie wierzę, że to mówię, ale żal mi nawet tego dupka z kawiarni, który ciągle podrywa Karę. W tej chwili idę do hangaru numer jeden. Przeniosę Temidę na północ na wypadek, gdyby załoga tamtego robota postanowiła ją zniszczyć.

Kurde! Prawie zapomniałem. Muszę jeszcze zajrzeć do naszych szafek. Kara zostawiła w swojej kilka

osobistych drobiazgów - stare zdjęcie mamy i trochę błyskotek, które dostała ode mnie. A ja mam w swojej zdjęcie Davida Prowse'a z autografem. Och, i moją obrączkę ślubną. To właśnie po nią idę. Jeśli tam zgine, powiedzcie mojej żonie, że wróciłem po obrączkę. Będzie pod wrażeniem.

- Pomyśli, że jesteś skończonym durniem.

- Kara? To ty? O mój Boże! Chodź do mnie, ty wariatko!

- Dobrze, już wystarczy! Udusisz mnie.

- Przepraszam.

- Vincent, poznaj Evę. Evo, to jest Vincent.

- Vincent, wszystko w porządku?

- Tak...

- No to powiedz coś. Czemu tak milczycie obydwoje?

- Miło cię poznać, Evo. Chciałabyś zobaczyć Temidę?

[Ono tu jest?]

- Rozumiem, że chciałabyś...

- Vincent, muszę ci coś wyjaśnić.

- Wszystko już wiem. Nasz „przyjaciel” o to zadbał.

- Ja tego gnojka kiedyś...

- Nie teraz. Naprawdę musimy się pospieszyć. Niedaleko stąd wielki robot wypuszcza trujący gaz. Tędy, Evo.

- Ile mamy czasu?

- Nie wiem. To się szybko rozprzestrzenia. Może trzy minuty. Czy ona...?

- Pewności nie mam. Ale trochę jest do mnie podobna, nie sądzisz?

- Nie tylko trochę. To jest niesamowite.

- Ciii. Bo nas usłyszy!

- Czy ona wie?

- Nie. Nie powiedziałam jej. I tak swoje już przeszła. Ona jest... trochę mroczna.

- W jakim sensie? Mroczna, bo słucha The Cure? Czy dlatego, że tak jak Rose uważa się za dziwoląga,

którego należałoby spalić żywcem?

- Jest... po prostu inna. Zachowuje się jak zwykła dziewczynka, a za chwilę zamienia się...

- W kogo?

- Opowiada o ginących ludziach, o ich uczuciach. Po prostu jest... mroczna. Widziała śmierć swoich rodziców.

- Biedne dziecko.

- To prawda. Rosjanie dotarli tam przede mną. Trzej mężczyźni włamali się do domu w środku nocy i na oczach Evy zabili jej rodziców.

- Gdzie ją znalazłaś?

- Na Haiti.

- Haiti? Jakim cudem tam trafiłaś?

- Wiedziałam, że nie mogą jej zabrać zwykłym lotem rejsowym, a nie zauważyłam żadnego prywatnego samolotu z rosyjską rejestracją. Doszłam do wniosku, że chcą przemknąć na Kubę, żeby stamtąd odlecieć. Zaczęłam krążyć od portu do portu w nadziei, że ktoś zapamiętał trzech rosyjskich mężczyzn z obcym akcentem. Poszcęściło mi się za pierwszym razem, już w San Juan. Wyczarterowali statek, którym odpłynęli do Dominikany. Kobieta, którą zagadnęłam na nabrzeżu, okazała się żoną kapitana. Dogoniłam ich w Punta Cana i śledziłam aż do Port- au- Prince.

- Jak ją odbiłaś? Tylko mi nie mów, że sama załatwiłaś trzech agentów KGB.

- Myślę, że to byli najemnicy. Ale nie, zapłaciłam miejscowym policjantom, żeby ich przymknęli. No i właśnie sobie przypomniałam, że nie mamy już nic na koncie.

- Świetnie, moja żona wydała całe nasze oszczędności na łapówki dla gliniarzy.

- Nie całe. Musiałam jeszcze wynająć samochód.

[Ojej!]

- No to jesteśmy na miejscu. Na żywo wygląda

jeszcze lepiej, prawda? Może chciałabyś wejść do środka, Evo?

[Naprawdę?]

- No jasne. Zabieramy cię na przejażdżkę.

- Jesteś pewien, że uda nam się wyprowadzić stąd Temidę niepostrzeżenie? Nie możemy walczyć z Evą na pokładzie.

- Och, w zasadzie nie będziemy stąd wychodzić... Ja też mam ci wiele do opowiedzenia. Swoją drogą jak mogłaś tak sobie wyjechać, kiedy ja zaginałem?

- Pomyślałam, że Eva jest w niebezpieczeństwie.

- A ja to co? Byłem uwięziony na dnie oceanu.

- Naprawdę?

- Tak, ale cała rzecz w tym...

- Nie wiedziałam, co robić. I tak mogłam tylko patrzeć, jak inni próbują cię znaleźć. Kiedy byłam w drodze, czułam... O kurwa!

- Co jest?

- Winda nie działa...

- Tego się obawiałem. Myślę, że zasilanie padło jakieś pięć minut temu.

- Ale lampy nadal się świecą.

- Tak. Słyszałem, jak włącza się generator, kiedy byłem w dyspozytorni. Najwyraźniej winda nie jest podłączona do zasilania awaryjnego. Wiesz, co to oznacza...

- Dasz radę?

- Zaraz się przekonamy. Za każdym razem, kiedy jechaliśmy windą, patrzyłem na tę drabinę i myślałem: „Kto byłby aż tak szalony, żeby się na to wdrapać?”.

- Evo, winda jest nieczynna, więc będziemy musieli wejść na górę po tej dużej drabinie. Vincent pójdzie pierwszy. Ty za nim.

- Dlaczego ja pierwszy?

- Zaufaj mi. Gdybyś widział tuż przed sobą czyjeś pięty, miałbyś ochotę spuścić wzrok, a ty nie chcesz

patrzeć w dół.

[Boję się.]

- No to jest nas dwoje.

- Vincent ma lęk wysokości, więc będziesz musiała dodawać mu otuchy. Idź, Vincent! Nie mamy czasu! Dobra, teraz kolej na ciebie, Evo. Tylko nie odrywaj wzroku od Vincenta. Będę tuż za tobą.

- Przypomnisz mi, jak wysoko jest ten wąż?

- Pomyśl o czymś innym. A więc mówisz, że byłeś na dnie oceanu?

- Nie wiem, czy wspomnianie chwil, w których już zegnałem się z życiem, odwróci moją uwagę od faktu, że znów patrzę śmierci w oczy.

- W takim razie nieważne. Pocą ci się ręce? Uważaj, żebyś się pośliznął na mokrym szczeblu.

- Ha! Ha! Bardzo śmieszne. Evo, jak po hiszpańsku mówi się „pierdoła”?

- Nie odpowiadaj, Evo. On tylko potrzebuje trochę uwagi. A skoro już mowa o pierdołach, Vincent, mówiłeś, że pan Tajemniczy wprowadził cię w temat.

- Tak. Chyba nie był szczególnie zachwycony, że dowiedziałaś się tego akurat od Ryana.

- Pieprzyć go.

- Powiedziałem mu, że się wściekniesz.

- Nie jestem wściekła. Po prostu nie chcę go widzieć na oczy. Nigdy.

- To dobrze. Cieszę się, że byłem w błędzie. Nie lubię, kiedy jesteś wściekła.

- A ty nie jesteś? Wiesz, że ciebie też oszukał.

- Niezupełnie... Wiesz co? Ale z nas gbury. Porozmawiajmy o czymś innym. Evo, przecież ja cię w ogóle nie znam. Opowiedz mi coś o sobie, cokolwiek.

[Ja nie wiem...]

- Nie daj się prosić. Dzięki temu nie będziesz myślała o tej drabinie. Nie mówiąc o tym, że ja też nie będę myślał o tej drabinie. Nie wiem jak ty, ale ja trzęsę

portkami jak... na prawdziwego mężczyznę przystało.
Powiedz mi coś ciekawego.

[Wiesz, na czyją cześć dostałam imię?]

- Czyżby Evy Perón?

- Eva jest z Portoryko, nie z Argentyny.

[Dostałam imię na cześć robota.]

- To rzeczywiście jest ciekawe.

- O tak. Teraz przykułaś jego uwagę.

[Urodziłam się w dniu defilady, kiedy założono KOZ. Moi rodzice byli nawiedzeni na punkcie fantastyki, prawdziwi maniacy. Temida była dla nich najwspanialszą rzeczą, jaką w życiu widzieli. Chcieli dać mi jej imię, ale doszli do wniosku, że wielu ludzi może postąpić tak samo, więc zostałam nazwana imieniem innego wielkiego robota.]

- Robota?

[Tak. Eva to popularne imię w języku hiszpańskim, ale tak się składa, że nosił je również gigantyczny robot z jakiejś starej japońskiej kreskówki, którą moi rodzice bardzo lubili. Ja nigdy jej nie widziałam.]

- Eva to zdrobnienie od Evangelion? Ale fajnie!

- Oczywiście Vincent świetnie zna tę kreskówkę.

- No pewnie! Jest niesamowita! Ale nasz robot jest większy.

- Evo, chyba właśnie zyskałaś wielbiciela.

- Mam... mamy całą serię na DVD.

- Och, naprawdę?

- Jasne.

- Świetnie! Skoro Eva nie widziała tej kreskówki, możemy obejrzeć ją razem... Czy on się uśmiecha?

[Tak. I ty też]

- Chyba tak...

- Cóż, wprawdzie nie miałem takiego szczęścia, żeby być imiennikiem gigantycznego robota, ale również dostałem imię postaci z serialu.

- Tak? Której?

- Rona Perlmana z charakteryzacją. Mania kiedyś mi powiedziała, że będąc w ciąży, lubiła oglądać **Piękną i bestię**. Oczywiście z francuskim dubbingiem i kobieta, która podkładała głos za Lindę Hamilton, miała sztuczny akcent, ale mojej mamie bardzo się podobało, kiedy ta zwracała się do Bestii po imieniu: „Och, Vincent!”. Stąd wzięła imię dla mnie.

- Jak to się stało, że nigdy mi o tym nie opowiedziałeś?

- Szczerze mówiąc, chyba zapomniałem.

- Twoi rodzice nadali ci imię Bestii. Osobliwe.

- Och, mówię tylko, jak mama wpadła na ten pomysł. Idę o zakład, że nie przyznała się ojcu, bo on nigdy by się na to nie zgodził. Choć z drugiej strony raczej go sobie nie wyobrażam, jak poświęca czas na szukanie imienia dla dziecka. W tej kwestii matka była zdana tylko na siebie.

[Hej, patrzcie! Coś białego wdziera się do hali na dole.]

O cholera!

- Tak jak myślałam. Vincent, mógłbyś trochę przyspieszyć?

- Daję z siebie wszystko. Jak szybko przybywa gazu?

- Cóż, podnosi się z każdą sekundą. Powiedziałabym, że bardzo szybko. Evo, spróbuj iść trochę...

[AAAAAAA!]

Już dobrze. Trzymam cię.

[Nic ci nie jest?]

Jestem cała. Twój but omal nie oderwał mi ucha, ale będę żyła.

- Wszystko z wami w porządku? Nie chcę patrzeć w dół.

- W porządku, Vincent! Nie zatrzymuj się! Szybciej, Evo! Szybciej! Złapię cię, jeśli spadniesz.

[Karo...]

Tak?

[Zamieńmy się miejscami. Ja pójdę za tobą.]

Jesteśmy już prawie u celu. Vincent, jeszcze dwa szczeble i gotowe.

- Stoję na szczycie. Nie dosięgnę wjazdu.

- Jest pół metra od ciebie. Musisz się przytrzymać jedną ręką.

- Nie mogę!

- Pewnie, że możesz! Złap drabinę lewą ręką i wyciągnij prawą.

- Jest za daleko.

- Musisz tam spojrzeć, Vincent. Pospiesz się! O tak! Jeszcze trochę wprawo. Udało się. Teraz zejź jeden szczebel niżej i złap się krawędzi.

- Boję się!

- Świetnie ci idzie. Teraz puść drabinę i odepchnij się nogami. Mocno! Tak! Udało ci się! Wejź do środka, aja ci podam Evę! ...Evo, oprzyj się o ten pręt. Postaw nogi tutaj, na tym szczeblu, a ja wejdem między ciebie a drabinę. Widzisz, trzymam cię. Vincent, nie mamy czasu. Teraz chwycę Evę prawą ręką i podam ci ją. Musisz ją złapać.

- Szybciej! Ta mgła zbliża się do ciebie.

- Wiem! Jesteś gotowy? Evo, gotowa? Teraz! Łap ją! Trzymasz? Trzymasz ją?

- Tak! Chodź, Evo! Do środka.

- Nie ma już czasu, Vincent. Zamykaj wjazd.

- Nie wygłupiaj się! Dawaj, Evo, wchodzi. Muszę sięgnąć nad tobą, żeby chwycić Karę. Trzymaj się, Karo! Idę po ciebie.

- jest już za późno.

- Nie, nie jest za późno! To tylko chwila!

- jesteś jej ojcem. Dbaj o nią.

- Nie... Nie!

- Kocham cię.

- Nie zamykaj wjazdu! Karo! Nie!

[Przestań.]

- Karo! Evo, zejdź mi z drogi!

[Me. *Nie rób tego*].

- Odsuń się, mówię!

[*Zginiemy, jeśli otworzysz te drzwi.*]

- Tam jest twoja matka!

[*Wiem. Ale ona już nie żyje.*]

CZEŚĆ CZWARTA

KREWNI

DOKUMENT NR 1591

**DZIENNIK OSOBISTY VINCENT COUTURE,
KONSULTANT, KORPUS OBRONY ZIEMI**

Nie wygłupiaj się.

To ostatnie, co powiedziałem Karze; ostatnie słowa, jakie usłyszała ode mnie moja żona. Nie powiedziałem jej, że ją kocham, tylko potraktowałem ją jak idiotkę. To nie ma sensu... To nie tak miało być. Ona nie powinna była umrzeć. Ja... Gdybym wszedł do środka chwilę wcześniej, gdybym wspinał się trochę szybciej... To nie tak miało się skończyć.

Przysięgałem, że nigdy nikogo nie zawiodę z powodu mojej słabości. Ale bałem się i byłem zbyt powolny, a teraz ona nie żyje. Ona to wiedziała. Wiedziała, zanim ruszyliśmy na górę. To dlatego szła ostatnia.

Przede wszystkim nie powinno mnie tam być. Powinienem być przy niej. To właśnie ja... ja powtarzałem jej tysiące razy, jak bardzo chcę mieć dzieci. Kara domyśliła się, że nie zdobędę się na to, więc sama pojechała ratować naszą córkę. A co ja zrobiłem? Nic. Kiedy się o wszystkim dowiedziałem, nie ruszyłem się z miejsca. Nie pomogłem mojej żonie.

Nie szukałem naszego dziecka. Powiedzieli, że kogoś tam posyłają, a ja na to... w porządku! Jestem tchórzem. Jestem oszustem.

Na pewno nie ojcem. Co za ironia! Jestem nikiem. Rodzice są od tego, żeby chronić swoje dzieci. Mnie na to nie stać. Nie potrafiłem ochronić mojej żony. Nigdy. Zawsze to ona mnie chroniła. To dziecko straciło obydwój rodziców w chwili, gdy Kara zamknęła włącz. Chciałem otworzyć go z powrotem, chociaż to czyste szaleństwo. Otworzyłbym go bez wahania i wszyscy troje bylibyśmy martwi. Byłem gotów oprócz mojej żony uśmiercić również moją córkę i siebie. Ale Eva mnie powstrzymała. Ma dziesięć lat, a ocaliła mi życie.

Nie wiem, jak przekonałem samego siebie, że temu podołam. W moim mniemaniu to było takie...

Chodziło o mnie. Mógłbym tulić do siebie moją dziewczynkę, dumny z tego, jak bezpieczna czuje się w moich ramionach. Dzieliłbym się z nią moją wiedzą o świecie, a ona słuchałaby mnie, uśmiechając się i otwierając szeroko oczy. Byłbym przy niej, gdyby mnie potrzebowała, i to by było cudowne, że mogłaby na mnie polegać. Nigdy bym na nią nie krzyczał, słuchałbym jej i czułbym się wspaniale, widząc, jaka jest szczęśliwa. Byłbym doskonałym ojcem. Bylibyśmy doskonałą rodziną, jak ci Tremblayowie, którzy mieszkali naprzeciwko, kiedy miałem osiem lat. Ich syn był moim rówieśnikiem, grał w baseball i nieźle mu szło. Jego rodzice nigdy się nie kłócili - przynajmniej tak uważałem - i zawsze byli uśmiechnięci. Nie przyjaźniłem się z nim, ale kiedyś podczas wakacji zaprosił mnie do siebie na kilka godzin. Miał basen w ogródku. Na obiad zjedliśmy uduka z KFC. Chciałem być nim. Chciałem mieć jego rodzinę. Może właśnie do tego dążyłem przez całe życie.

Kara wiedziała, jak to ma wyglądać. Wiedziała, co

jest do tego potrzebne i zdawała sobie sprawę, że ja nie jestem gotowy. Byłoby jej lepiej z Ryanem. Nienawidzę tego gnoja z całego serca, ale chyba właśnie z tego powodu. On nie wspinałby się tak wolno po tej drabinie i na pewno nie jako pierwszy. Gdyby było trzeba, wzięłyby je obie na plecy.

Zbliża się koniec świata, a ja doprowadziłem do tego, że jest to również mój koniec. Zginęły miliony ludzi, więc mój żal nie jest niczym wyjątkowym. Ale doprowadziłem do śmierci osobę, bez której nie ma szans na ocalenie świata. Temida nie może już walczyć. Teraz jest bezużyteczną kupą złomu. Robię wszystko, żeby uniknąć wychodzenia na zewnątrz. Nie zniósłbym jej widoku. Wzdrygam się na samą myśl, że miałbym wejść do kabiny sterowniczej i zobaczyć uprząż Kary zwisającą z sufitu. Zawsze byłem odwrócony plecami do niej, ale czułem jej obecność. Jej głos, każdy jej oddech był dla mnie sygnałem. Bez Kary to wszystko straciło sens.

Teraz nic tu po mnie. Nie mogę pomóc Rose. Nie mogę pomóc Evie. Nie wiem, co mam robić.

DOKUMENT NR 1593

MOWA PRZED ZGROMADZENIEM OGÓLNYM ONZ GENERAL BRYGADY EUGENE GOVENDER, DOWÓDCA, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: siedziba ONZ w Genewie, Szwajcaria

Panie prezydencie, panie sekretarzu generalny, szanowni członkowie Zgromadzenia Ogólnego, panie i panowie. Stoję tu dziś przed wami... Stoję tu dziś przed wami, żeby powiedzieć wam... Ech, do cholery z tymi notatkami.

Poproszono mnie, abym przedstawił wam podsumowanie naszej obecnej sytuacji, ale wszyscy już wiecie, że jesteśmy w czarnej dupie. Tkwimy po uszy w gównie. Obcy przysłali na Ziemię trzynaście robotów bojowych. Wszystkie potrafią się teleportować w ułamku sekundy w dowolne miejsce na naszej planecie. Wydzielają również jakąś lotną substancję, która zabija - niemal natychmiastowo - 99,95 procent ludzkiej populacji w promieniu dwudziestu mil, a wszystko to trwa kilkanaście minut. Powinienem zaznaczyć, że giną wyłącznie ludzie, a kotom, ptakom czy owadom nic złego się nie dzieje. W ciągu ostatnich pięciu dni każdy z robotów przeprowadził dwa ataki gazowe, z wyjątkiem tego, który pojawił się w Madrycie i nie zdążył. Londyn, Tokio, Dżakarta, Delhi, Kair, Kalkuta, Paryż, Meksyk, Sao Paulo, Johannesburg - muszę nabrać tchu - Pekin, Seul, Mumbaj, Buenos Aires, Sztambuł, Karaczi,

Bangaluru, Shenzhen, Santiago, Kinszasa, Rijad, Kuala Lumpur, Sidney i Nowy Jork są w tej chwili miastami widmami. Moskwa jest zrujnowana i całkowicie wyludniona. Madryt zamienił się w wielki krater.

Mogły do was również dotrzeć pogłoski, że straciliśmy jednego z pilotów. To prawda. Kapitan Kara Resnik nie żyje. Zginęła dwa dni temu w Nowym Jorku. Opracowujemy plan awaryjny, ale to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Oznacza to, że na razie Temida nadaje się wyłącznie do transportu. Posiada zdolność teleportacji, ale nie może chodzić ani tym bardziej walczyć. Obecnie leży ukryta wlesie pod gałęziami i siatką maskującą.

Roboty obcych są odporne na... cóż, na wszystko, czym dysponujemy. Wiecie już, jak skończył się atak sił lądowych w Indiach. Rosjanie użyli w Moskwie większej siły ognia niż podczas całej II wojny światowej. Na próżno. Atak nuklearny nic nie dał. Pozwolę sobie to powtórzyć. Atak nuklearny nic nie dał. Przez najbliższe dziesięć lat pół Europy będzie świecić w ciemnościach, ale robot z Madrytu wyszedł z tego bez szwanku. Mówiłem wam o tym, kiedy spotkaliśmy się poprzednio, ale nie chcieliście mnie słuchać. Byliście przerażeni i pod wpływem strachu zaczęliście robić głupoty. Teraz musicie to przerwać. Przestańcie walczyć. Nie pokonacie ich. Są lepsi od nas. Silniejsi. Mają nad nami przewagę.

Widzę po waszych minach, że liczyliście na coś bardziej pokrzepiającego. Nasza sytuacja bynajmniej nie wygląda obiecująco. Zginęło ponad sto milionów ludzi. Czeka nas jeszcze dużo więcej ofiar. Na całym świecie zniesiono swobody obywatelskie. Większość rządów, których przedstawiciele zasiadają w tej sali, wprowadziła w swoich krajach stan wojenny. Wciąż tracimy ludzi. Tracimy nasz styl życia. Tracimy na

całego.

Straciłem kogoś... kto był mi bardzo bliski. To on sprawił, że teraz stoję tu przed wami. Wciągnął mnie w cały ten bajzel. Nie chciałem tego stanowiska. Nie chciałem również być generałem, ale rozumiem, jak działa armia. Ale to? Jestem żołnierzem. Nie chciałem mieć z wami do czynienia. On jednak uważał, że możemy zdziałać coś dobrego i dałem mu się przekonać. Tym z was, którzy wiedzą, o kogo chodzi, nie muszę mówić, że potrafił być przekonujący. Mówiąc szczerze, naprawdę miałem nadzieję, że uda mu się wszystko naprawić. Nie uda mu się. Zginął. Podobnie jak wielu innych. Niewiele brakowało, a sam straciłbym całą rodzinę. Ale moi bliscy przeżyli. Zdaję sobie sprawę, że wielu z was nie miało takiego szczęścia. Współczuję wam z całego serca. Wielu ludzi jest dziś pogrążonych w żałobie. Cokolwiek bym powiedział, nie jest w stanie tego zmienić.

Jedyna dobra wiadomość jest taka, że na razie obcy przestali nas zabijać. Od ostatniego ataku gazowego minęło trzydzieści sześć godzin. Ich roboty się nie przemieszczają. Nie robią nic.

Dlaczego? Za cholerę nie mam pojęcia. Może czekają, żebyśmy znów użyli broni jądrowej i sami się unicestwili. Jak długo to potrwa? Tego też nie wiem.

Zatem... Co ja tu robię? Czego chcę? Zanim to wyjaśnię, musimy porozmawiać o problemie, który wszyscy usiłują zamieść pod dywan. Dlaczego powinniście mnie wysłuchać? Do czego nadaje się KOZ pozbawiony swojej jedynej broni? Cóż, nie wiem, czy do czegoś w ogóle się nadajemy! Nie wiem, czy ktokolwiek się nadaje. Ale wiem, i już wam kiedyś o tym mówiłem, że jeśli istnieje jakiś sposób na ten przeklęty bajzel, nie jest to walka i możemy liczyć tylko na naszą sekcję naukową. Nie dysponujemy już wielkim robotem, jednak mamy to, co liczy się

najbardziej - inteligentnych ludzi. Tęgie umysły! Moi naukowcy pracują w tej chwili w ukryciu, próbując ocalić ten świat. Pozwólmy im robić swoje.

Być może zdołamy powstrzymać obcych, musimy tylko się dowiedzieć, jak zneutralizować ten ich gaz. Chociaż dla nas jest zabójczy, mniej więcej jedna osoba na każde dwa tysiące może przeżyć. Mało tego, ci ludzie są całkowicie odporni na jego działanie. Nie mamy pojęcia dlaczego. Nazwałbym ich szczęściarzami, ale większość z nich patrzyła na śmierć swoich bliskich. Ale gdyby nam się udało skopiować to, co sprawia, że... oni nie umierają... Cóż, jestem pewien, że każdy z was chciałby zażyć taką pigułkę.

W garażu KOZ służy pewien strażnik, nie pamiętam jego nazwiska. Dziś rano, kiedy wyjeżdżałem, powiedział: „Wie pan, oni mogą po prostu nas zostawić”. To zabrzmiało tak naiwnie, że miałem ochotę go trzepnąć. Chyba dałem to po sobie poznać, bo się zjeżył i dodał: „Naprawdę mogą!”. I wiecie co? On ma rację. Obcy mogą po prostu odejść. Tak naprawdę nic nie wiemy o ich cywilizacji. Nie wiemy, po co tu przybywają. Nie znamy ich poglądów. Nie wiemy, w jaki sposób myślą, a nawet gdybyśmy się dowiedzieli, moglibyśmy ich nie zrozumieć. Nadal kieruję się założeniem, że nie zostawią nas w spokoju, bo odwrót w tej chwili nie miałby dla nich sensu. Ale nie musi mieć. Najwyższy czas, abyśmy sobie uzmysłowili, że nie jesteśmy najpotężniejsi w całym wszechświecie, a z pewnością nie najmądrzejsi. Wydaje się logiczne, że otacza nas mnóstwo rzeczy, których nie potrafimy pojąć.

Nie tracę nadziei. Wierzę, że znajdziemy jakieś wyjście z tej sytuacji. Zawsze jest jakieś wyjście, przynajmniej tak sądzę. Jeśli nie przeżyjemy, to dlatego, że będziemy zbyt głupi, zbyt samolubni i zbyt

chciwi, aby je znaleźć.

Zdaję sobie sprawę, że przez cały ten czas myliłem się co do jednego. Pozwoliłem, aby moje ego wzięło górę. Myślałem... wciąż myślę, że największą nadzieję na przetrwanie daje nam KOZ. Myślałem, że wy tylko wchodźcie nam w drogę. Zapomniałem, że KOZ powinien stanowić nadbudowę tej organizacji i wszyscy poniekąd jesteście jego częścią. Było to głupotą z mojej strony, że kazałem wam stać z boku i nic nie robić. Bóg mi świadkiem, że popełniłem błąd. Wiem, że wszyscy macie w tym względzie takie same uprawnienia jak my. Wiem, że chcecie pomóc.

Dziś rano poprosiłem moich ludzi, aby przekazali każdemu z waszych rządów wszystkie informacje na temat gazu obcych, jakie udało nam się zdobyć. W tej chwili powinny być już do waszej dyspozycji. Wiem, że w wielu państwach trwają już prace nad antidotum. Przydzielcie do tego swoich najlepszych ludzi, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście. A nawet tych najgorszych. Nigdy nic nie wiadomo. Podzielimy się z wami również całą naszą wiedzą na temat obcych robotów. Udostępnimy te dane wszystkim. Dziś wieczorem powinny znaleźć się na stronie internetowej KOZ. Niech pozna je cały świat. Być może gdzieś żyje jakiś naprawdę bystry dzieciak, w którego rękach spoczywa nasz los. Zadbajmy o to, aby dowiedział się jak najwięcej. Właśnie tego od was oczekuję. Pomóżcie nam. Nie wysyłajcie swoich żołnierzy, by ginęli na próżno. Nie odpalajcie więcej rakiet. Pomóżcie nam.

Nie tracę nadziei.

To wszystko, co mam do powiedzenia. Teraz wracajcie do swoich domów. Powiedzcie swoim bliskim, że ich kochacie. Powtarzajcie to dziesiątki, setki razy. Róbcie to, dopóki możecie. A jeśli jakoś zdołamy to przetrwać, nie przestawajmy im tego mówić. Ostatecznie, tak naprawdę, tylko to się liczy.

DOKUMENT NR 1594

ZAPIS ROZMOWY VINCENT COUTURE, KONSULTANT, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: schron rządowy Shadow, Lenexa,
Kansas

- Usiądź, Vincent.
- Dziękuję, Rose. Mogę nadal mówić ci po imieniu?
- A czemuż by nie?
- Nie wiem. Siedzisz w jego fotelu. Zastąpiłaś go. Czuję się nieswojo, kiedy cię widzę na jego miejscu.
- Uwierz mi, że siedząc po tej stronie biurka, czuję się o wiele bardziej nieswojo.
- Jesteś pewna, że on nie żyje?
- Byłam przy tym.
- Wiem. Pomyślałem tylko... Pomyślałem, że mógł się jakoś od tego wywinąć, zaszantażować samego Boga.
- Pod koniec był bardzo ludzki. Naprawdę cię lubił, wiesz o tym?
- Tak... Domyślałem się. Kiedy ocknąłem się w szpitalu ze zmiążdżonymi nogami, siedział przy moim łóżku. Musiał tam spędzić wiele godzin. Mógł poprosić, żeby po niego zadzwonili, ale wolał zostać. Zastanawiałem się całymi latami, co chciał dzięki temu zyskać. Zbiegiem czasu... chyba przywykłem do myśli, że po prostu się o mnie troszczył. A z drugiej strony być może sądził, że zdobycie mojego zaufania będzie ważne dla całego przedsięwzięcia. Kto wie?
- Myślę, że prawda leży pośrodku. Ale na pewno

troszczył się o ciebie. Chociaż może ci się to wydać dziwne, byłeś dla niego prawie jak rodzina.

- Nazywał mnie panem Couture'em.

- To była oznaka szacunku.

- Dziwny człowiek. Chciałbym go trochę poznać, dowiedzieć się, kim był.

- ...ja też.

- Rose, nie wiem jak...

- O co chodzi?

- Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała. Bardzo się cieszę i czuję wielką ulgę, że tu z nami jesteś, że nic ci nie grozi, ale jak...

- Jak przeżyłam? Nie wiem tego na pewno. Alyssa niedawno wróciła z Londynu i właśnie analizuje próbkę mojej krwi. Przypuszczam, że odkryje te same anomalie genetyczne, jakie występują u wszystkich ocalałych.

- Czy to znaczy, że jesteś...

- Jedną z obcych? Mieszkańcem? Nie wiem. Tak sądzę. Łamałam sobie głowę, próbując dociec, kim byłam przedtem. To jest po prostu...

- Czy oni mogli zmienić twoje DNA, kiedy... cię odtworzyli?

- Dziesięć lat temu powiedzieli mi, że mój profil genetyczny jest dokładnym odwzorowaniem... cóż, mojego, czyli jej. Powiedzieli, że jestem taka sama. Możliwe, że coś wtedy przemilczeli. Nie dowiem się tego, dopóki Alyssa nie przeprowadzi dodatkowych testów. Szczerze mówiąc, w pewnym sensie przyniosłoby mi to ulgę. Gdybym tak naprawdę nie była Rose Franklin... Wiem, jak to brzmi, ale...

- Miałabyś powód, żeby czuć się tak jak teraz. Wiedziałaabyś, że nie jesteś... szalona. Przepraszam. Nie to chciałem powiedzieć.

- Nie, nie! Dokładnie to miałam na myśli. Dziękuję ci. Z drugiej strony gdybym była jedną z nich, przede

wszystkim gdybym miała w sobie część ich genów, to by tłumaczyło, dlaczego postanowili przywrócić mnie do życia.

- Wygląda na to, że zadali sobie wiele trudu, żeby ocalić daleką kuzynkę. Ale możliwe, że się mylicie w kwestii całego tego pokrewieństwa.

- Możliwe. Niestety nie mam lepszego wyjaśnienia. Ale nie mówmy tylko o mnie. Powiedz, jak sobie radzisz?

- Jestem... Właściwie nie wiem, jak się czuję. Wciąż jestem... otumaniony.

- Wydawało mi się, że jeśli ktokolwiek potrafił oszukać śmierć, byłaby to właśnie Kara.

- No nie? Napluć śmierci w twarz i wyrznąć ją w zęby. Ale to moja wina, że Kara nie żyje, wiesz?

- Vincent, to nie...

- Nie, nie. To prawda. Gdybym wspinał się po tej drabinie trochę szybciej, gdybym nie miał lęku wysokości, gdybym dosięgnął! włązu za pierwszym razem... Tak wiele mogłem zmienić. Gdybym tylko wgramolił się tam dwie albo trzy sekundy wcześniej, Kara wciąż by żyła. Ja miałbym żonę, a Eva... kogoś, kogo mogłaby nazywać mamą. Ale nie dałem rady, a ona przypłaciła to życiem. Jest martwa. Nie istnieje. Już nie jest żywą istotą.

Jestem na tyle rozumny, żeby zdawać sobie sprawę, że jeszcze nie całkiem się z tym pogodziłem. Mogę o tym mówić, mogę to wyjaśnić, rozumiesz. Kara nie żyje. Moja żona nie żyje. Ale to jeszcze nie dzieje się naprawdę. Nie mogę uwierzyć, że ci o tym mówię, i czuję się jak skończony dupek, kiedy się nad tym zastanawiam, ale ciągle zachodzę w głowę, o czym myślała, spadając z tej drabiny. Czy miała do mnie pretensje? Nie chciałbym, żeby w ostatnich chwilach życia myślała, że ginie przez swojego męża. Okropne, nie? Jakie to samolubne! Tylko ja, ja i ja!

Kiedy zabiłem cię dziesięć lat temu...

- Vincent, przestań.

- Proszę, daj mi skończyć. Zabiłem cię, więc nie jest to dla mnie całkiem obce, ale w twoim przypadku uderzyło mnie to od razu. Poczulem to. Ból, wyrzuty sumienia. Świadomość, że już nigdy więcej nie przeżyjesz tego, co przeżywałaś. Może dlatego, że zbliża się koniec świata, wszystko to przypomina sceny z filmu. Jest takie... przytłumione.

Oczywiście wyobraźni wciąż ją widzę, jak spada, więc jestem pewien, że w pewnym momencie dotrze to wreszcie do mojej świadomości. Właż był zamknięty, ale teraz ją widzę, a obraz jest tak wyrazisty, jakbym wtedy rzeczywiście patrzył. Spada tyłem w otchłań z rozpostartymi rękami. Rozpływa się w morzu białej mgły. A potem znika. I wszystko od nowa. Spada tyłem w otchłań z rozpostartymi rękami. Rozpływa się w morzu białej mgły. I od nowa.

- Płakałaś?

- Czy płakałem? Płakałem, kiedy to się stało, w kabinie Temidy. Długo nie mogłem przestać. Ale potem już nie. Czemu pytasz?

- Ja też nie płakałam. Kara była dla mnie jak najbliższa przyjaciółka. Mogłabym ci opowiadać, jak bardzo była dla mnie ważna, ale to nie ma znaczenia. Wystarczy, że **ja** to wiem. Ale nie płakałam. Wczoraj patrzyłam, jak tuż obok mnie umiera człowiek, i myślałam, że będę następna. Ile było ofiar w Nowym Jorku? Dwa miliony? Trzy? Kara nie żyje, a ja dzisiaj instaluję laboratorium. Cały dzień w pracy. Nie zdręczaj się, Vincent. Teraz już nic nie jest rzeczywiste. Nic.

Dlaczego się uśmiechasz?

- Myślałem o Karze. To tylko... takie zwariowane wspomnienia. Mniejsza o to.

- Chcę je poznać.

- Opowiadałem ci o naszej nocy poślubnej?
- Nie, ale chętnie posłucham. No, może bez krępujących szczegółów.
- Och, mogę ci opowiedzieć wszystko. Spędziłem tę noc z pewnym komiwojażerem. Miał na imię Bob, poważnie, tak jak ten prorok z fajką z Kościoła SubGeniuszu. Po ceremonii było przyjęcie w hotelu, ale kiedy ludzie zaczęli już się zwijać, Kara wyciągnęła mnie i grupkę swoich szkolnych znajomych do baru, w którym kiedyś przesiadywali. Gówniana knajpa, ale świetnie się bawiliśmy. Tańczyłem z jej przyjaciółkami.
- Kara nie tańczy.
- Nie, nie tańczy. Ale rozgromiła wszystkich przy stole bilardowym. Naprawdę dobrze gra... grała. Uwielbiała bilard. Koleżanki stawiały jej drinki, dużo drinków. Za każdym razem coś innego. Tak to jest, kiedy dorośli, którzy mają pracę i rodziny, mogą przez kilka godzin poudawać, że są dwadzieścia lat młodszy. Bardzo szybko im odbija. Kara puściła pawia na zielone sukno po kolejnym... nie pamiętam, co wtedy piła. Jakieś świństwo. Oczywiście nas wywalili. Musiałem wykorzystać tajemniczego prowokatora, żebyśmy mogli wejść z powrotem.
- Przepraszam... tajemniczego prowokatora?
- Nie znasz tej sztuczki?
- Nigdy nie wyrzucali mnie z baru.
- Wyjaśniłem obsłudze, że bawiliśmy się w najlepsze, zajęci sobą, kiedy jakiś dzieciak w bejsbolówce zatoczył się na mnie i wymiotował. Prosto na moje buty. Poszedłem do łazienki, żeby się umyć, ale Karę przyprawiło to o takie mdłości, że sama wszystko zwróciła. Rozumiesz. Co to za porządki w tym waszym lokalu? Żeby ktoś mi narzygał na buty! Przecież to moja noc poślubna!
- Wpuścili was?
- Oczywiście. Dwadzieścia minut później Kara wdała

się w bójkę z dwoma facetami, którzy napastowali jakąś dziewczynę. Nawet jej nie znała, tylko tamci ją wkurzyli. Wyszli to załatwić na zewnątrz, więc tym razem nikt już nie musiał nas wyrzucać.

- Kto wygrał?

- A jak myślisz? Może Kara nie radzi sobie z nadmiarem alkoholu, ale zawsze potrafi dokopać... Potrafiła. Niestety upadła na rozbite szkło i paskudnie rozcięła sobie rękę.

Wróciliśmy taksówką do hotelu. Obydwoje mieliśmy już dość. Kara ledwie trzymała się na nogach i krwawiła. Musieliśmy narobić sporo hałasu, próbując otworzyć drzwi tą głupią plastikową kartą, bo obudziliśmy Boba, który spał w sąsiednim pokoju. Z początku był wkurzony, ale potem zobaczył rękę Kary. To było dosyć poważne skaleczenie. Powiedział, że trzeba to zdezynfekować i założyć porządny opatrunek

- Kara przed wyjściem z baru przyłożyła sobie do rany kilka serwetek i owinęła rękę taśmą klejącą. Usiedliśmy w korytarzu, a Bob poszedł do recepcji po apteczkę. Niczego takiego tam nie mieli, więc ułożyliśmy Karę na kanapie w pokoju Boba, który potem zabrał mnie do swojego samochodu i zaczęliśmy jeździć po mieście w poszukiwaniu jakiejś otwartej apteki. Kiedy wróciliśmy, Kara twardo spała. Próbowałem ją obudzić, ale odpłynęła już na dobre. Zdezynfekowaliśmy jej ranę i owinęliśmy czystym, białym bandażem - cóż, właściwie Bob to wszystko zrobił. Zostaliśmy u niego. Nic o nas nie wiedział, więc opróżniliśmy minibar, rozmawiając o tym, jak wygląda handel obwoźny artykułami kanalizacyjnymi na Środkowym Zachodzie. Zabawna noc.

- Przykro mi, że wasza noc poślubna nie była do końca udana.

- Nie, mówię serio. Było naprawdę zabawnie.

- Brakuje mi jej. Strasznie.

- Kochała cię jak siostrę.
- A co z Evą? Bo tak ma na imię, prawda? Jak się czuje?
- Eva... dobrze... Tak sędzę. Ona wiedziała. Wiedziała, że Kara jest jej matką.
- Skąd?
- Nie mam pojęcia. Nie rozmawiałem z nią o tym. Domyśliłem się, że wie również o mnie, znaczy, że jestem jej ojcem, a teraz nie potrafię odnaleźć się w takiej roli.
- Będziesz musiał, Vincent. Ona ma tylko ciebie.
- To jest... właśnie o tym muszę z tobą porozmawiać. Chciałbym...
- O co chodzi?
- Chciałbym, żebyś się nią zaopiekowała.
- Vincent, to nie jest...
- Tylko przez jakiś czas. Muszę się odciąć od tego wszystkiego.
- Ona cię potrzebuje.
- W tej chwili nie będzie miała ze mnie żadnego pożytku.
- Ludzie, których ta dziewczynka przez całe życie uważała za swoich rodziców, zginęli na jej oczach. Potem w jakiś sposób odkryła, że Kara jest jej biologiczną matką, i ją też straciła następnego dnia. Teraz zbliża się koniec świata, a ona siedzi samotnie w podziemnej bazie wojskowej. Evie potrzebny jest ojciec, a nie jakaś dziwna kobieta, której nigdy wcześniej nie widziała. Ona cię potrzebuje i nie sędzę, aby miała ochotę czekać, aż otrząśniesz się z rozpacz. Nie umiesz teraz być dla niej ojcem? Nie szkodzi! Na pewno ona również nie ma pojęcia, jak się odnaleźć w roli twojej córki. Po prostu będziecie musieli wspólnie poszukać jakiegoś rozwiązania.
- Nie mówię, że do końca życia nie będę się do niej odzywał. Ale dzisiaj, w tej chwili, nie jestem na to

gotowy.

- Vincent, chyba nie słuchasz tego, co mówię. Nikogo nie obchodzi, czy jesteś gotowy, czy nie. To twój problem. Jesteś jej ojcem i nie możesz tego zmienić.

- ...

- Co by powiedziała Kara?

- To nie było fair. Nie wiem, jak się zachować! Nie potrafię! Zresztą to dziecko radzi sobie lepiej niż ja.

- Powiedziałaś ci, że jeszcze jej nie znam.

- Nie poprosiłaś jej, żeby spróbowała zająć miejsce Kary w sterowni?

- Ona jest nieletnia. Potrzebowałabym do tego zgody jej rodziców. Czyli twojej.

- Ze mną też o tym nie rozmawiałaś.

- Obawiałam się, że wyrazisz zgodę.

- Nie chcesz, żeby spróbowała?

- Och, chcę. Jestem ciekawa, jak wszyscy. Z jednej strony chciałabym podjąć walkę, ale gdyby to była moja córka, nie pozwoliłabym jej nawet się zbliżyć do tego robota.

- Ja też chcę z nimi walczyć. Nie powinniśmy dawać za wygraną. Najbardziej ze wszystkiego pragnę pomścić Karę. Ale nie chcę, żeby Eva miała takie życie. Pełne przemocy.

- I co zrobisz?

- Nie mam pojęcia.

- Powiedziałeś, że musisz się odciąć od tego wszystkiego. Weź ją ze sobą.

- Dokąd?

- Dokąd tylko zechcesz.

- Mógłbym...

- Co?

- Mógłbym zabrać ją do Kanady i znaleźć jakieś spokojne miejsce, jak najdalej od miasta. Wiesz, żeby zapewnić jej coś, co przypomina normalne życie, nawet gdyby to miało trwać tylko krótką chwilę.

- Wspaniały pomysł.

- Wcale nie. To idiotyczny pomysł. Scenka jak z filmu: drewniana chatka nad strumieniem i dziewczynka, która bawi się na łące. Przecież nie kupię farmy! Nawet nie jestem farmerem. Będziemy spać w samochodzie i żebrać o jedzenie.

- Nie masz samochodu.

Ani dokumentów, żeby przekroczyć granicę z dziesięcioletnim dzieckiem.

- Nie wiem, czy ktoś jeszcze zwraca uwagę na takie rzeczy.

- Ależ owszem. Nie tylko ja jestem zdania, że w Kanadzie może być bezpieczniej. Dziesiątki tysięcy ludzi szturmują granicę. Jak dotąd udaje się ich powstrzymać przy pomocy gazu łzawiącego i gumowych pocisków. Zginęło przy tym kilkanaście osób. Nie sądzę, aby ktokolwiek zdołał się przedostać, nawet z odpowiednimi papierami.

- Możecie zostać tutaj. Wprawdzie nie mamy strumienia ani łąki, ale jest bezpiecznie, przynajmniej na razie.

- Nie wiem, na ile bezpiecznie dla Evy. Wątpię, żeby pozwolili jej wyjść.

- Kto? Eugene jest w Genewie, gdzie próbuje wszystkich powstrzymać przed bombardowaniem własnych miast. W tej chwili to ja rządę.

- Pod drzwiami pokoju Evy stoi strażnik.

- Dlaczego?

- Wiesz dlaczego. Jesteśmy tu gośćmi, Rose. Możesz zarządzać tym, co zostało z KOZ, ale to baza wojskowa pełna amerykańskich żołnierzy, którzy nie podlegają twoim rozkazom.

DOKUMENT NR 1597

ZAPIS ROZMOWY PAN BURNS, ZAWÓD NIEZNANY

Miejsce: restauracja chińska New Dynasty,
Dupont Circle, Waszyngton

- Dzień dobry, panno Franklin. Mogę nazywać panią Rose? Wiele o pani słyszałem!

- Oczywiście. A jak ja mam się do pana zwracać?

- Nazywam się Burns i na tym poprzestańmy. Wolałbym zachować anonimowość, przynajmniej połowiczną.

- Łączyło pana coś z... z naszym wspólnym znajomym.

- Łączyło nas więcej, niż pani sobie wyobraża. Szkoda go. Nie wiem komu, ale naprawdę go szkoda. Mnie z pewnością będzie brakowało jego poczucia humoru. Był zabawnym facetem.

- Nie jestem pewna, czy właśnie tak bym go opisała.

- Może brakuje pani poczucia humoru. Byłem zaskoczony, kiedy zadzwoniła pani do mnie. A jeszcze bardziej zaskoczyło mnie to, że wie pani o tym miejscu.

- Wiem z jego notatek.

- Czytała pani jego notatki? Zazdroszczę! Co napisał?

- New Dynasty, Dupont Circle, pan Burns, kurczak kung pao.

- Co tam jeszcze było? Dowiedziała się pani, kto zabił Kennedy'ego?

- Nie było nic pod „K”.

- Niedobrze. Proszę przejrzeć menu. Kelnerka zaraz do nas podejdzie.

- Domyślam się, że powinnam zamówić kurczaka kung pao.

- Może jeszcze nie być gotowy. Nigdy nie byłem tu tak wcześnie. Jestem zaskoczony, że w ogóle mają otwarte, zważywszy na to, co się dzieje.

- Przepraszam. Bardzo mi zależało na tej rozmowie.

- Jasne! Proszę mówić! Co mogę dla pani zrobić, Rose Franklin?

- Czy to ja? Rose Franklin to ja?

- Mam nadzieję. W przeciwnym razie usiadłem przy niewłaściwym stoliku i pozostaje mi tylko tamta kobieta. Ale wygląda na wredną. Proszę spojrzeć! Sprawia wrażenie, jakby chciała kogoś dziabnąć tym widelcem.

- A może jest całkiem sympatyczna. Niektórzy ludzie mają nieprzyjazny wygląd, chociaż wcale tacy nie są.

- Może ma pani rację. Często wydajemy krzywdzące osądy, kierując się pierwszym wrażeniem. Ale nie w przypadku tej kobiety. Wiem, że jest po prostu wredna. Wystarczy popatrzeć na te oczy! No! Nareszcie!

[Czy już mogę przyjąć zamówienie?]

Tak! Ta pani chciałaby kurczaka kung pao. A ja poproszę... Och, co mi tam, niech będzie to samo. I dwie zielone herbaty.

[Już podaję!]

Dziękuję bardzo.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Doprawdy? „Czy Rose Franklin to ja?” Przyleciała pani aż do Waszyngtonu, żeby mnie o to zapytać?

- Nasz wspólny znajomy mówił, że mógłby pan...

- Powiedziałem mu, że mogę z panią porozmawiać i wyjaśnić najlepiej, jak potrafię, co się stało. Tak było, zanim zginęły miliony ludzi. Ale teraz? Buuu! ja to nie

ja! Kogo tak naprawdę to obchodzi?

- Mnie.

- Okazuje się, że nasz przyjaciel był dużo większym zartownisiem! Miała pani wypadek samochodowy i odzyskała pani przytomność trochę później. Oto co się stało. Możemy zmienić temat?

- Powiedział mi, że jestem kopią.

- Cholera. Myślałem, że chociaż pani to zrozumie. Może to pani poprawi nastrój, jeśli powiem, że kilkanaście razy sam przenosiłem się za pomocą tego samego urządzenia, które przywróciło panią do świata żywych. Jakoś nie biadolę z tego powodu. Jestem kopią z kopii!

- To dla mnie ważne. Muszę wiedzieć.

- W porządku... Człowiek myśli, że ma duszę. Uważa się za wyjątkowego. Na samą myśl, że mógłby być tylko zlepkiem materii, czuje się nieważny. Cóż, ludzie nie są wyjątkowi, w każdym razie nie bardziej od wszystkich innych cudów wszechświata.

- To nie jest...

- Proszę nie przerywać. Jeszcze chwileczkę. Chcę pani coś pokazać... Proszę! Wie pani, co to jest?

- Filary Stworzenia. Gigantyczne skupisko gazu i pyłu w Mgławicy Orzeł. To zdjęcie wykonane przez teleskop Hubble'a kilkanaście lat temu.

- A więc zna je pani!

- Uwielbiam to zdjęcie. Zawsze mnie fascynowało.

- Co się pani w nim podoba najbardziej?

- To kolebka gwiazd. Obłoki gazowe w tamtym rejonie kurczą się, tworząc nowe gwiazdy.

- Jest ogromna, prawda?

- O tak.

- Jak bardzo?

- Mgławica? Nie wiem dokładnie. Prawdopodobnie tryliony mil.

- No dobrze, więc jest to bardzo duża masa pyłu. Co

pani w niej widzi takiego fascynującego?

- No właśnie to! To gigantyczna chmura, większa niż wszystko, co potrafimy sobie wyobrazić. Mimo to jest tylko małą drobką we wszechświecie. I rodzi gwiazdy. Gwiazdy, wokół których narodzą się planety.

- A niektóre z tych planet staną się kolebką życia! A niektóre z tych form życia będą rozumne!

- Tak! To jest zachwycające. To jest...

- Bóg?

- Być może.

- Ale wie pani, że już ich nie ma. Filary Stworzenia prawdopodobnie już dawno nie istniały w chwili, gdy ich światło przebyło całą tę drogę, żeby mogło powstać to zdjęcie.

- Prawdopodobnie tak.

- No więc Rose Franklin jest zbudowana dokładnie z tej samej materii co Filary Stworzenia. Nic dodać, nic ująć. Właśnie w taki sposób jest pani wyjątkowa i zarazem nieważna.

- ...

- To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Mam nadzieję, że to wystarczy, aby oswoiła się pani ze swoją pozbawioną duszy istotą. Kiedy doszło do tego wypadku, ja i paru moich współpracowników poddaliśmy panią skanowaniu w wysokiej rozdzielczości.

- Pan tam był?

- Trzymałem pani głowę, żeby nie uderzyła odrzwi. Po katastrofie w Denver wykorzystaliśmy te dane do rekonstrukcji. Nie ma najmniejszego znaczenia, czy wcześniej pani istniała, czy nie. Mogę przysiąc, że jest pani tą samą osobą co przedtem.

- Czy...

- Tak?

- Czy zawsze nosi pan w portfelu zdjęcie Mgławicy Orzeł?

- Zawsze!
- Dlaczego?
- Podobają mi się te kolory! Moglibyśmy teraz porozmawiać o czymś zabawnym? Naprawdę brakuje mi naszego przyjaciela.
- Dlaczego właśnie ja? Dlaczego stworzyliście mnie na nowo?
- Hm, niech pomyślę. Żeby była pani mniej martwa. Sądzę, że taki był zamysł.
- Ale czemu akurat ja?
- Sam się zaczynam zastanawiać. Bo jest pani ważna.
- To samo usłyszałam od niego na krótko przed jego śmiercią. Ale to nieprawda! Nie jestem mesjaszem. Przed chwilą powiedział mi pan, że wcale nie jestem wyjątkowa.
- Nie chodziło mi o powtórne przyjście zbawiciela. Chyba słowo „ważna” nie jest odpowiednie. Może użyteczna? Tak lepiej? Odpowiada pani bycie użyteczną?
- W jakim sensie? Wiem, że ma to coś wspólnego z najazdem obcych, ale... Nie jestem... nie jestem na tyle bystra, żeby podołać temu w pojedynkę.
- Cóż, może nie do tego stopnia, ale wystarczająco bystra. Tak w sam raz. To nie jest konkurs na inteligencję. Gdybyśmy potrzebowali geniusza, wybralibyśmy pani koleżankę Alysę... jak ona się nazywa?
- Wybraliście mnie?
- O rany! Rzeczywiście nie jest pani aż tak bystra! Nic dziwnego, że musieliśmy pani pomóc.
- Pomóc mi?
- Nigdy nie zaintrygowało pani, jak... pomyślnie to wszystko się złożyło? W dzieciństwie upadła pani na tę gigantyczną dłoń, by po latach zająć się badaniem tego samego artefaktu w swojej pierwszej pracy.
- Co pan chce przez to powiedzieć?

- To, że absolwentki najbardziej niedocenianych szkół w kraju, nawet z całkiem niezłą średnią ocen, rzadko dostają się na najbardziej renomowane uczelnie.

- To znaczy, że ściągnęliście mnie na Uniwersytet Chicagowski?

- Akurat to było łatwe. Nakłonienie pani do wyboru odpowiednich studiów...

- Nie wierzę panu. Odkąd pamiętam, zawsze lubiłam nauki ścisłe.

- Była pani w tym dobra. My tylko zadbaliśmy, aby miała pani okazję się o tym przekonać.

- ...

- Może pani mówić. Ja już skończyłem.

- Właśnie się dowiaduję, że nie mam duszy, że nie ma znaczenia, czy jestem kopia, czy nie, że ktoś zaplanował za mnie całe moje życie i że tak naprawdę nie zasługuję na żadną z tych rzeczy, z których jestem najbardziej dumna. Nie... nie wiem, jak powinnam zareagować.

- Ech, zasługuję, srasługuję. Ma pani prawo czuć się dumna. Osiągnęła pani to wszystko samodzielnie. Nie odrabiałem za panią zadań. I to nie ja odkopałem tego robota. Potrzebowała pani tylko niewielkiej korekty od czasu do czasu, żeby nie zboczyć z właściwego kursu.

- Ale dlaczego ja? Dlaczego to ja jestem... użyteczna?

- Och, nie zamierzałem ciągnąć tego tematu, ale teraz słyszę to pytanie po raz drugi!

- ...

- Czy nie chciałaby pani zapytać mnie o coś interesującego? O coś, co niezupełnie ma związek z panią?

- Dlaczego roboty obcych przestały się przemieszczać? Dlaczego już nie wypuszczają gazu?

- To rzeczywiście jest interesujące pytanie.

- A więc dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Należałoby ich zapytać. Może

zrobili sobie przerwę. Może oni też mają swoje związki zawodowe. A może dają wam szansę, żebyście mogli zareagować.

- Nie rozumiem. Na co zareagować?

- Skąd ja to mam wiedzieć? Ale przecież urządzili tu masową rzeź. Muszą mieć jakiś powód.

- Mogą być oburzeni tym, że wykorzystaliśmy Temidę w Korei Północnej. Nasz wspólny znajomy uważał, że oni nie chcą, żebyśmy zabijali się nawzajem ich bronią. Może rozgniewało ich samo to, że ją mamy. Może w ogóle nie chcieli, żebyśmy ją znaleźli.

- Jak już mówiłem naszemu przyjacielowi, jest im całkowicie obojętne, czy ludzie powybijają się nawzajem i czego w tym celu użyją. Zresztą, głupotą byłoby uśmiercanie milionów ludzi tylko po to, żeby powstrzymać ich przed tym samym. Oni naprawdę nie lubią się wtrącać w cudze sprawy.

- Nie lubią się wtrącać? Właśnie dziesiątkują naszą populację! To świadczy o czymś zupełnie odwrotnym.

- Może w takim razie potrzebują jakiegoś pretekstu, żeby przestać.

- Czemu odnoszę wrażenie, że chce pan nam pomóc, ale jednocześnie nie chce pan nam pomóc?

- To zdanie jest całkowicie pozbawione sensu. Czy zna pani historię o rybaku i mewie?

- Z przyjemnością posłucham.

- Och! Zaczynam panią lubić! A więc to było tak. Na Alasce żył sobie pewien rybak. Jesienią co rano wypływał swoją małą łódką w morze, żeby złowić trochę krabów. Wraz ze swoją załogą odwiedzał wszystkie miejsca, w których znajdowały się zastawione pułapki - nazywał je garnkami - wyjmował z nich odpowiednio wyrosnięte skorupiaki, wkładał przynętę i opuszczał je z powrotem na dno. Pewnego dnia, przeglądając zawartość pułapki, wśród małych krabów - tych, które zamierzał wypuścić - rybak

zauważył jakieś inne stworzenie. Była to ostryga. Otworzył ją i oto jego oczom ukazała się przepiękna perła.

Pomyślał, jak teraz zmieni się jego życie, ile rzeczy będzie mógł kupić swojej żonie i dzieciom, a potem odłożył bezcenne znalezisko do skrzynki obok koła sterowego i wrócił do pracy. Kiedy był zajęty sortowaniem krabów z innej pułapki, na pokładzie wylądowała mewa, porwała perłę ze skrzynki i zanim rybak zdążył zareagować, odfrunęła, unosząc w dziobie jego skarb. Rybak był... zdruzgotany. Jego marzenia legły w gruzach. Jego rozpacz szybko przerodziła się w gniew. Nabrał przekonania, że mewa ukradła perłę tylko po to, żeby go skrzywdzić, że mewy są wcieleniem zła, skrzydlatymi demonami, które niszczą ludzkie marzenia.

Oczywiście mewa sądziła, że jej zdobycz nadaje się do jedzenia i będzie mogła nią nakarmić swoje młode. Gdy jednak żadne z piskląt nie było w stanie zjeść perły, położyła ją w gnieździe - żeby widok błyskotki umilał małym mewom oczekiwanie na powrót mamy i taty.

Rybak sięgnął po strzelbę, ale za pierwszym razem chybił i tylko odstraszył ptaki, które nadal krążyły nad łodzią, ale trzymały się z daleka od źródła tego groźnego hałasu. Próbował zastawiać pułapki, ale kiepsko mu to szło i mewy za każdym razem uciekały z przynętą. Próbował strzelać do nich z procy, ale tylko skaleczył się w rękę. Próbował nawet trafić je fajerwerkami. O, to był naprawdę głupi pomysł.

Aż w końcu, gdy już opatrzył sobie poparzone dłonie, postanowił użyć trucizny. Zabrał jej naprawdę dużo. Do licha, miał tyle trucizny, że mógłby wytępić całe ptactwo na Alasce. Nafaszerował nią małe rybki, kulki z chleba, a nawet babeczki, które żona przygotowała mu na śniadanie - wielka szkoda, bo były naprawdę

smaczne. Wepchnął truciznę we wszystko, co miał pod ręką, a potem wyrzucił to za burtę i czekał, aż mewy przylecą się posilić. Niektóre się skusiły i przypląciły to życiem, ale większość zatrutej przynęty zatoneła i opadła na dno. Kraby nie posiadały się z radości. Popatrz, mamó, darmowe jedzenie spada z nieba! Są nawet babeczki! Zebrały cały prowiant i urządziły największą krabią imprezę, jaką widział świat. Bawiły się do świtu przy krabiej muzyce, tańcząc bokiem na długim i wąskim parkiecie.

Rankiem rybak uświadomił sobie, co się stało, ale było za późno. Wszystkie kraby były martwe, a on nie miał już czego łowić. Stracił pracę i nie mógł wyżywić rodziny. Taki sam los spotkał całą wioskę i wszyscy musieli się wyprowadzić. Oczywiście mewy zostały. Kiedy przyszła wiosna, pewnego ranka mewa zdecydowała, że najwyższy czas na porządki. Jej dzieci były już podlotkami i nigdy po sobie nie sprzątały. Czula sentyment do niektórych rupieci walających się w gnieździe, ale z pewnością już się jej opatrzyła ta bezużyteczna połyskliwa kulka. Odleciała kawałek z perłą w dziobie i zrzuciła ją na pokład jednej z opuszczonych łodzi rybackich.

- ...

- No i jak?

- Doprawdy... smutna historia.

- Smutna, prawda? Może powinna mieć lepsze zakończenie. Powiedzmy, że mewy rozzłoszczone strzelaniem zaczęły zbierać drobne kamyki i bombardować nimi ludzi. Jeden z młodych ptaków, nie mogąc znaleźć odpowiednio małego pocisku, wziął perłę i zrzucił ją prosto w ręce naszego rybaka. Tak lepiej?

- Nie jestem pewna... Czy tylko w taki sposób jest pan skłonny mi pomóc?

- Pomóc? Ja tylko pomyślałem, że spodoba się pani ta

historia! Wygląda pani na lekko spiętą.

- Kiepsko sobie radzę z przenośniami. Domyślam się, że mewy to my. Czy obcy myślą, że ukradliśmy ich skarb?

- Ach, rozumiem. Perła miałyby symbolizować Temidę. To urocze.

- Czy oni uważają, że coś im ukradliśmy?

- Nie. I nie łowią krabów, jeśli o to chciała pani zapytać. Ale jestem pewien, że zasmakowałyby im, gdyby ich kiedyś skosztowali.

- A więc mamy do czynienia z przedstawicielami obcej cywilizacji, którzy nie lubią się wtrącać, a jednak uważają to za konieczne. Z pańskiej opowieści wywnioskowałam tylko tyle, że mogą to robić, kierując się niewłaściwymi pobudkami. Chyba że jesteśmy krabami i próbują nas wybić co do nogi. Ale kim w takim razie są mewy?

- O rety! Mam nadzieję, że teraz mówi pani już tylko do siebie. Zrobiłem znacznie więcej, niż powinienem, więc dalej musi pani radzić sobie sama. Z drugiej strony pokrzepiający jest fakt, że jeśli pani się powiedzie, będzie to w pełni zasłużony sukces. Nasze jedzenie jest już gotowe.

- Mogę jeszcze o coś zapytać?

- Czy to zabawne pytanie?

- Czy my jesteśmy... rodziną?

- To jest zabawne. A wyglądamy na krewnych?

- Chcę wiedzieć, czy jestem spokrewniona z obcymi.

- O co pani właściwie chodzi?

- Czy jestem taka jak pan? Pańscy przodkowie wiele pokoleń wstecz nie pochodzili z tej planety, prawda?

- Nawet jeżeli, to jaki ma to na mnie wpływ? Jestem przez to lepszy czy gorszy?

- Ja... Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

- A powinna pani. Naprawdę pani powinna.

DOKUMENT NR 1600

DZIENNIK OSOBISTY VINCENT COUTURE, KONSULTANT, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: schron rządowy Shadow, Lenexa,
Kansas

- Naprawdę ładne, Evo. Dzisiaj to narysowałaś?
- W nocy. Nie mogłam spać.
- Czy to...
- Tak, to jesteś ty.
- Ja? Od kiedy mam taki wielki nos?
- To tylko rysunek.
- Jest niezły. Naprawdę dobrze rysujesz. Evo. A kto tu stoi obok twojego łóżka?
- To moja mama.
- Twoja...
- Moja portorykańska mama. Nie...
- Miała na imię Kara.
- Wiem.
- ...Powiedziałaś, że nie mogłaś spać. Śniło ci się coś złego?
- Yhm.
- Mnie też.
- I nie podoba mi się tutaj. To łóżko jest beznadziejne i... - Ico?
- Nic. To głupie.
- Możesz mi powiedzieć.
- ...
- No, śmiało!

- Miałam takiego...
- Tak?
- Miałam pluszowego żółwia. Mówiłam ci, że to głupie.
- Dzięki niemu mogłaś zasnąć, a teraz ci go brakuje.
- Nie pozwolili mi niczego zabrać. Ci ludzie, którzy...
- Czy sfatygowany suseł mógłby coś na to zaradzić?
- Co?
- Pluszowy suseł, mniej więcej taki duży.
- Nie! To był prezent od mamy.
- Ten w zasadzie też... Należał do Kary. Nie znam jego historii, ale trzymała go w pudełku z paroma innymi rzeczami. Nie ma oka i jest rozdarty w kilku miejscach, ale to... No cóż, suseł jak suseł. Jest twój, jeśli chcesz.
- ...
- Do dobra, przemyśl to sobie. Mogę cię o coś spytać? Wtedy w Temidzie... Skąd wiedziałaś, że Kara jest twoją... biologiczną matką?
- Nie byłam tego pewna. Myślałam, że to możliwe. Wyglądała tak... tak jak sobie wyobrażałam moją matkę.
- A skąd wiedziałaś, że ludzie, którzy wychowywali cię w Portoiyko, nie są twoimi prawdziwymi rodzicami?
- Oni byli moimi prawdziwymi rodzicami.
- Przepraszam. Twoimi biologicznymi rodzicami.
- Moja matka była Portorykanką, a ojciec pochodził z Belize. A ja jestem... biała. Ale nie wiedziałam tego. Kiedy miałam siedem lat, złamałam rękę mojej najlepszej przyjaciółce, bo mówiła złe rzeczy o mojej mamie. Zresztą nie tylko ona. Wszystkie dzieci wciąż mówiły, że moja mama się puszcza. Nawet przez jakiś czas w to wierzyłam. Kiedy posłałam moją przyjaciółkę do szpitala, rodzice wszystko mi wytłumaczyli. To było dla mnie niepojęte. Widziałam zdjęcia mojej mamy w

cięży, zdjęcia z moich narodzin. Nie wiedziałam, że można robić dzieci w taki sposób.

- ...

- Na co patrzysz?

- Masz jej oczy. Oczy Kary.

- ...

- Przepraszam, Evo. Nie chciałem, żebyś czuła się skrępowana.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Czego chcesz?

- Wpadłem tylko, żeby zobaczyć, jak się miewasz.

- Pytałam o to, czego chcesz ode mnie. Nie jesteś moim prawdziwym tatą. Nie musisz się o mnie troszczyć tylko dlatego, że dałeś próbkę swojego...

- Evo, wiem, że jesteś przygnębiona. Masz do tego pełne prawo. Straciłaś swoich rodziców, a potem poznałaś Karę, która też nie żyje, ale...

- Mam jeszcze jedną.

- O czym mówisz?

- O matce. Została mi jeszcze jedna.

- Jeszcze jedna matka? Kto taki?

- Alyssa.

- Co... Alyssa nie jest twoją matką. Kto ci to powiedział?

- Ona mnie stworzyła, prawda?

- Nie wierz w to. Kto ci to powiedział?

- Ona!

- Kiedy rozmawiałaś z Alyssą?

- Przyszła do mnie z wizytą, kiedy cię nie było. Powiedziała, że stworzyła mnie w laboratorium, żebym mogła sterować Temidą, gdyby jedno z was zginęło. Podobno próbowałaś ją powstrzymać.

- Zaraz, wyjaśnijmy coś. Alyssa przyszła do ciebie i powiedziała, że cię stworzyła?

- Tak.

- ...
- Mówiła prawdę, tak?
- To jest... To jest trochę bardziej skomplikowane.
- Powiedziałbyś mi o tym?
- Czy bym ci powiedział? Na pewno nie teraz! Może kiedyś. Tak mi przykro, że musiałas tego wszystkiego słuchać.
- A mnie nie. Alyssa jest jedyną osobą, która mnie nie okłamała.
- Posłuchaj, Evo, nie jestem pewien, co ci się wydaje...
- Wiem, że ty i Kara mnie nie chcieliście.
- Kara nie chciała, żeby Alyssa pozbawiła ją przytomności, przypięła pasami do stołu i pobrała od niej komórki jajowe bez jej zgody. To nie oznacza, że cię nie chciała. Nie miała nawet pojęcia, że istniejesz. Nikt oprócz Alyssy nie znał tej tajemnicy. Kiedy Kara dowiedziała się o tobie, natychmiast zniknęła. Złamała rozkazy, żeby cię odnaleźć. W tym czasie działo się wiele złych rzeczy, ginęli ludzie, ale ona poleciała po ciebie. Wiesz, gdzie byłem, kiedy wyjechała?
- Gdzie?
- Zaginałem. Siedziałem w sterowni Temidy uwięziony na dnie oceanu i nikt nie wiedział, gdzie jestem. Mimo to ona wyjechała, bo sądziła, że jesteś w niebezpieczeństwie. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Że nikt nie liczył się dla niej tak bardzo jak ty. Nie znała cię, nigdy w życiu cię nie widziała, ale byłaś dla niej najważniejsza na świecie.
- Nie zależało jej na mnie. Chodziło jej o rezerwowego pilota dla Temidy.
- Kara poświęciła życie, żeby cię ratować, ty niewdzięczna smarkulo! Okaż jej trochę szacunku.
- Widziałam, jak umiera.
- Ja też to widziałem.
- To znaczy wcześniej. Widziałam jej śmierć w moich

snach. Widziałam metalową kobietę, taką jak Temida, ale teraz wiem, że to była ona. Myślałam, że leci w górę i zanurza się w chmurach. To nie miało sensu. Cały czas śniło mi się to samo. Wszyscy myśleli, że coś jest ze mną nie tak. Uważali mnie za wariatkę.

- Widziałas jej twarz? Wtedy we śnie?

- Właściwie to nie. Ona była... wyglądała inaczej, ale wiem, że to ona.

- Coś ci powiem, Evo. Ja również miałem taką wizję, która powtarzała się w mojej głowie raz za razem. Ciągle ją widzę. Spada tyłem z rozłożonymi rękami i znika w morzu bieli. Coś takiego widziałas, prawda?

- Tak.

- Ja też. Tylko tę scenę, która powtarzała się w kółko. Wreszcie dziś w nocy to do mnie dotarło. Kara porzuciła wszystko, żeby cię odnaleźć. Porzuciła swoją pracę i mnie, zostawiła wszystko, kiedy cały świat najbardziej jej potrzebował, bo chciała dopilnować, żeby nic ci się nie stało.

Była gotowa na wszystko i nie zawahała się poświęcić życia dla ciebie. To było dla niej najważniejsze. Więc kiedy zamknęła ten właz i zapadała się w białą chmurę, na pewno się uśmiechała. Ja to wiem. Umarła szczęśliwa i dumna. Zamknij oczy.

- Nie chcę.

- Zamknij oczy! Chcę, żebyś ją zobaczyła. Karę. Twoją matkę. Patrz, jak spada z szerokim uśmiechem na twarzy. Zwycięska. Walczyła z rosyjskimi najemnikami i z gigantycznymi robotami. Walczyła z całym wszechświatem i wygrała. Zrobiła to, co sobie postanowiła. Twoja matka była pieprzoną twardzielką. Wiem, że nie zdążyłaś jej poznać, ale uśmiechała się najpiękniej, kiedy była dumna z siebie. Ten uśmiech był tak niewiarygodnie próżny, że chciało się jej przywalić, ale wyglądała cudownie.

- Czy ty mnie nienawidzisz?

- Dlaczego miałbym cię nienawidzić?
- Powiedziałeś, że Kara zginęła, żeby mnie ratować. Byłoby normalne, gdybyś miał do mnie pretensję.
- Nie, Evo. Kara by żyła, gdybym wspinał się szybciej. Wciąż byłaby tu z nami, gdybym był tak odważny jak wy obie. Uwierz mi, to nie twoja wina. Zresztą nie znasz Kary tak dobrze jak ja. Wróciłaby tu z zaświatów, gdyby myślała, że jestem na ciebie zły. Powstałaby z martwych, żeby przetrzepać mi skórę.
- Przykro mi, że zginęła.
- Mnie też.
- Był już pogrzeb?
- Nie. Ekipa dotarła do siedziby ONZ dopiero dziś rano. Zadzwonili do mnie godzinę temu, kiedy znaleźli jej ciało.
- Gdzie ją pochowasz?
- Nigdzie. Chciałbym to zrobić. Chciałbym mieć jakieś miejsce, w którym mógłbym ją odwiedzać, ale ona nie chciała zostać pochowana. Uważała, że to upiorne. Nie chciała również oglądać ze mną filmów o zombi.
- Możesz zachować jej prochy. Moja przyjaciółka Angie trzymała swoją siostrę w pokoju.
- Nie. To by się jej nie spodobało. Chciałaby, żebym rozrzucił jej prochy i urządził przyjęcie. Zrobisz to ze mną?
- Czy rozsypię jej prochy?
- Tak. Wynajmę kogoś, kto przeleci z nami helikopterem nad Detroit. Wydaje się w sam raz.
- Nigdy nie leciałam helikopterem.
- Ja też. Pamiętaj, że mam lęk wysokości. No to postanowione. Tylko ty i ja, nie licząc pilota oczywiście.
- ...
- Posłuchaj, tak samo jak ty nie mam pojęcia, jak się w tym odnaleźć, ale próbuję.
- ...

- Mam rozumieć, że się zgadzasz, Evo?
- No dobra.
- Świetnie. Zrobimy to przed wyjazdem.
- Dokąd się wybieramy?
- Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. W jakieś bezpieczne miejsce.
- A kiedy zacznę szkolenie?
- Jakie szkolenie?
- Kiedy zacznę się uczyć sterowania Temidą? Przecież do tego jestem wam potrzebna, prawda?
- O czym ty mówisz? Nie chcę, żebyś robiła cokolwiek!
- Nie rozumiesz mnie! Ale ja chcę to zrobić.
- Evo... Wiem, że chcesz nam pomóc, ale...
- Takie jest moje zadanie!
- Masz dopiero dziesięć lat!
- Ale w tym celu przysłałam na świat! To dlatego Alyssa mnie stworzyła, jestem... jestem narzędziem. To jest moje przeznaczenie.
- Ja... Przede wszystkim przestań mówić, że to Alyssa cię stworzyła. Poświęciła na to góra dwadzieścia minut w laboratorium. Przysłałaś na świat dzięki kobiecie, która nosiła cię w sobie przez dziewięć miesięcy. A po drugie kogo obchodzi, co Alyssa sobie uroiła? Twoja matka... Kara zginęła, żebyś ty mogła żyć. Jaki byłby ze mnie ojciec, gdybym teraz naraził cię na niebezpieczeństwo? Nie zamierzam pozwolić, żeby spotkało cię coś złego. Evo, chcę, żebyś trzymała się jak najdalej od tego robota.
- Ludzie będą umierać, jeśli nic nie zrobimy!
- Ludzie i tak będą umierać.
- Tak po prostu na to pozwolisz? Nawet nie spróbujesz temu zaradzić?
- Jeżeli w ten sposób zapewnię ci bezpieczeństwo, to tak. Pozwolę im umrzeć. Jestem twoim ojcem, Evo.
- Nie, nie jesteś! Nie możesz mi mówić, co mam

robić!

- Evo...
- Wyjdź z mojego pokoju!
- Evo, ja...
- Wynoś się!

DOKUMENT NR 1603

DZIENNIK STACJI NARODOWA AGENCJA DS. OCEANÓW I ATMOSFERY CENTRUM MONITOROWANIA POGODY KOSMICZNEJ

Miejsce: Silver Spring, Maryland

- Szefie, proszę tu podejść na chwilę. Zgubiliśmy słońce. - Co?
 - Nie widzę go.
 - Co to znaczy, że nie widzisz?
 - Właśnie to, co powiedziałem. Nie mam obrazu z teleskopu rentgenowskiego na satelicie GOES- 13.
 - Nie ma sygnału?
 - Nie.
 - Jesteś pewien, że to nie problem z odbiorem?
 - Moja aparatura jest w porządku. Po prostu satelita przerwał nadawanie. To tam coś nie gra.
 - Odsuń się. Muszę coś spraw... O co chodzi, Claro?
[Mamy problem.]
- Jestem teraz trochę zajęty. Wracaj na swoje stanowisko, a ja zaraz przyjdę zobaczyć, co się dzieje.
[Straciłam kontakt z moim satelitą.]
- Straciłaś... Którego prowadzisz?
[GOES- 15. Coś się stało.]
- Niewątpliwie coś się stało. To u nas musi tkwić problem. Niemożliwe, żeby dwa satelity uległy awarii w tym samym momencie. Sprawdź swój odbiornik.

- Szefie, z innymi to samo. Nie dociera do nas nic. Wszystkie satelity milczą, na wszystkich pasmach.

- Wszystkie? A nie mówiłem? Coś jest nie tak z naszym sprzętem.

- Niekoniecznie. Mamy odbiór. Odbieramy wszystkie zakłócenia.

- No to pięknie. Pracuję tu dopiero od miesiąca! Co powinienem teraz zrobić?

- Czekać...

- Nie wiem, co mam robić!

- Czekać! NASA chce wiedzieć, czy odbieramy dane z satelity J PSS.

Psiakrew! To nie ma sensu. Skontaktuję się z Departamentem Obrony. Ciekawe, czy oni nadal mają sygnał.

- W Europie mają ten sam problem. Stracili kontakt z satelitą MetOp. Teraz już nikt nie odbiera danych z orbity. Wszyscy do nas dzwonią.

- Może to wina rozbłysków słonecznych?

- Jeszcze przed minutą nie było żadnych anomalii.

[Niech pan to zobaczy, szefie.]

- Co tym razem, Claro?

[To przekaz na żywo z Mauna Kea.]

Z teleskopu?

[Tak. Poprosiłam ich, żeby wysłedzili mojego satelitę. Powinien być w tym miejscu.]

Niczego tu nie ma.

[Właśnie o to chodzi.]

Chcesz powiedzieć, że satelita zniknął w sensie fizycznym? *[Nie wiem.]*

A ty go widzisz, czy nie?

[Nie widzę, ale...]

Ale co?

[To nie wszystko, czego tu brakuje.]

Co masz na myśli?

- Szefie, jej chodzi o to, że znikły gwiazdy. Nie widać

gwiazd.

DOKUMENT NR 1604

ZAPIS ROZMOWY EVA REYES

Miejsce: schron rządowy Shadow, Lenexa, Kansas

- Chciałaś się ze mną zobaczyć, Evo.
- Tak, doktor Franklin.
- Jak mogę ci pomóc?
- Chcę to zrobić. Chcę sterować Temidą.
- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł. Zresztą powinnaś o tym porozmawiać ze swoim tatą, a nie ze mną. Wiem, że miałaś niewiele czasu, żeby się z tym oswoić, ale praktycznie rzecz biorąc, Vincent jest twoim ojcem. Odpowiada za ciebie.
- On się nie zgadza. Nie chce nawet, żebym spróbowała.
- To dla mnie całkiem zrozumiałe. Jesteś jeszcze dzieckiem. Ja też bym chciała cię chronić, gdybyś była moją córką.
- Nic nie rozumiesz! On mnie nie ochroni. Nikt nie może mnie ochronić. Za kilka dni będę martwa. Wy też.
- Wiem, że się boisz, Evo. Wszyscy się boimy.
- Nie boję się. Mówię ci tylko, że niedługo wszyscy zginiemy.
- Nikt nie wie, co będzie. W tej chwili sytuacja wygląda bardzo źle, ale naprawdę się staramy, żeby znaleźć jakieś wyjście.
- Ja wiem, co będzie!

- Skąd wiesz, Evo?
- Po prostu wiem. Zaufaj mi, dobrze?
- Możesz mi powiedzieć. Skąd wiesz?
- Pomyślisz, że zwariowałam.
- Evo, nie znam cię na tyle dobrze, abym mogła wydawać takie osądy. Niewiele zdążyłam zauważyć, ale myślę, że jesteś niezwykle odważną i inteligentną młodą kobietą. To, co mi powiesz, nie zmieni mojej opinii.
- Widziałam to.
- Widziałaś... Jak?
- Mam wizje. Widziałam śmieć Kary.
- Masz wi...
- Tak! Widziałam jej śmierć. Wiele miesięcy temu. I to też. Widziałam, co się stanie.
- Opowiedz mi o tym.
- To był deszcz. Widziałam czarny deszcz. Padał z nieba, nie tylko tutaj, ale wszędzie, i wszyscy umarliśmy. Ja też umarłam.
- Bardzo mi przykro, Evo. Na pewno jest...
- Mówiłam, że uznasz mnie za wariatkę.
- Niczego takiego nie powiedziałam. Ja tylko...
Widziałaś również, jak temu zapobiec?
- Nie.
- W takim razie skąd masz pewność, że coś się zmieni, jeśli pozwolę ci kierować Temidą?
- No bo... Nie wiem. Ale...
- Jak już powiedziałam, to nie zależy ode mnie. Powinnaś pomówić z...
- Nie będzie chciał tego słuchać! On nic nie rozumie!
- Jest twoim ojcem.
- Przestań mi to powtarzać! Nie pojmujesz tego, co? On też umrze!
- Evo, wróć...

DOKUMENT NR 1605

ZAPIS ROZMOWY

**GENERAL BRYGADY EUGENE GOVENDER,
DOWÓDCA, KORPUS OBRONY ZIEMI**

Miejsce: schron rządowy Shadow, Lenexa,
Kansas

- Rose, na litość boską! Jest trzecia w nocy!
- Musi pan to zobaczyć, generale.
- Jestem zmęczony. Ten lot z Europy mnie rozstroił. Proszę się streszczać.
- Nie odbieramy żadnych sygnałów z orbity. Straciliśmy kontakt ze wszystkimi satelitami. Kompletna cisza w eterze.
- Przerwały nadawanie?
- Może nadają, ale coś je blokuje.
- Coś jak sygnał zagłuszający?
- To nie jest zagłuszanie, to blokada. Nic do nas stamtąd nie dociera. Proszę na to spojrzeć.
- Co to jest?
- Zdjęcia z różnych teleskopów na całym świecie. Co pan tu widzi?
- Widzę... Co to za ciemny punkt, ten tutaj?
- No właśnie. Tu powinny być gwiazdy. Myślę, że to się bierze stamtąd. Coś, co blokuje sygnały naszych satelitów, w tym miejscu jest silniejsze. Zatrzymuje wszystko, ze światłem włącznie.
- Gdzie to jest?
- Jest... wszędzie. Na razie zauważyliśmy osiemnaście

takicli ciemnych punktów, rozmieszczonych dookoła Ziemi. Może być ich więcej.

- Jakiej mają rozmiary?

- Nie wiem. Setki mil... Może tysiące. Zależy od tego, jak daleko są.

- Domyśla się pani, co się za nimi kryje?

- Cokolwiek to jest, komuś zależy, żebyśmy tego nie zobaczyli.

- Zważywszy na to wszystko, co się dzieje, możemy założyć, że nie mamy do czynienia ze zjawiskiem naturalnym.

- A może to jest coś, co przetransportowało te roboty w pobliże Ziemi.

- W takim razie musiałyby pojawić się wcześniej. To może być... Niech to szlag!

- Co?

- Myślę, że wytoczyli ciężką artylerię.

- Dlaczego? Przecież nie stawialiśmy zbyt dużego oporu.

- Racja, doktor Franklin. Ale umieramy powoli. Wciąż się zastanawiam, czemu przysłali tylko kilkanaście robotów, jeżeli chcą wytrzebić nas wszystkich. Nie ma sensu robić tego po kawałku, kiedy trzeba opanować tak duży obszar. To, co robią, wygląda mi raczej na precyzyjny atak. Jakby czegoś szukali. Myślałem, że po prostu nie mają lepszej broni, ale każdy, kto potrafi skonstruować coś takiego, wyprodukować taki gaz... Muszą być zdolni do znacznie silniejszego uderzenia.

- Ten ich gaz jest gęstszy od powietrza. Gdyby go wypuścili w górnej warstwie atmosfery, mógłby się wymieszać...

- Dostyc szybko byłoby po wszystkim.

- No właśnie.

- Jakies pomysly?

- Nie podoba mi się to.

- Pomysly na to, co moglibyśmy zrobić? Nie mamy

nic, co moglibyśmy w nich wystrzelić.

- Do czego mamy strzelać? Nie wiemy, co się tam kryje. Nie wiemy, jak daleko to jest i jakie ma rozmiary. Myślę, że nic nie możemy zrobić.

- W takim razie sugeruję, doktor Franklin, aby wracała pani do łóżka. Bo ja mam właśnie taki plan.

- Raczej nie zostało nam wiele czasu.

- Kiedy ostatnio pani spała?

- ...

- Tak myślałem. Proszę się położyć, Rose. Rano przedstawię panią kilku ludziom z ONZ. Opracowują plan B na wypadek, gdyby wszystko trafił szlag.

- Pan nie może się z nimi spotkać? W tej chwili mam mnóstwo zajęć.

- Mógłbym... Ale z drugiej strony, jeśli do tego dojdzie, ja nie przeżyję ataku. Zależy im na kimś, kto jest odporny na gaz. Chcą zbudować globalną infrastrukturę, a ci, którzy przeżyją, mają pomóc w odnalezieniu innych ocalałych. Najpierw trzeba przygotować sieć radiostacji zasilanych prądnicami. Jeśli rozmieścimy je co kilka mil na terenie całego kraju, ocalałym będzie łatwiej łączyć się w grupy. Musimy zostawić im jakiś plan, na podstawie którego będą mogli tworzyć społeczności. Na pewno przydadzą nam się pani rady w tej kwestii.

- Jeżeli wszyscy będziemy narażeni na działanie gazu, a wskaźnik przeżywalności się nie zmienia, w Stanach Zjednoczonych pozostanie przy życiu około stu pięćdziesięciu tysięcy osób. Średnio jedna osoba na dwadzieścia pięć mil kwadratowych. Ci ludzie będą musieli się uporać z przeszło trzystoma milionami rozkładających się ciał, a także z plagą szcurków i owadów. Większość ocalałych będzie skoncentrowana na terenach miejskich, ale to samo dotyczy ofiar. Choroby będą rozprzestrzeniać się szybciej, niż możemy sobie wyobrazić. Najpierw trzeba coś zrobić

ze zwłokami i znaleźć lekarstwa. Odpowiednim miejscem na założenie społeczności będą szpitale. Tam również można znaleźć trochę żywności, przynajmniej na jakiś czas. O to będziemy się martwić później...

- Zaraz, chwileczkę. Jak już powiedziałem, ci ludzie z ONZ chętnie wykorzystają pani rady. Ale niewyspana do niczego się im pani nie przyda.

- Generale...

- Tak?

- Nie sądzę, abym... Mam już dosyć oglądania śmierci jak na dwa życia. Chyba raczej powinnam dołożyć starań, żeby to powstrzymać. Jeżeli mi się nie uda... Jeżeli zawiodę, nie jestem pewna, czy nadaję się do tego, co nastąpi potem.

- Cóż, przykro mi, że apokalipsa pani nie odpowiada. A teraz niech pani idzie spać.

DOKUMENT NR 1613

LIST

**ADRESAT: VINCENT COUTURE,
KONSULTANT KOZ**

**Znaleziony przy zwłokach kapitan Kary Resnik w
kwaterze głównej KOZ, Nowy Jork**

Cześć Vincent!

Zamierzam zniszczyć ten list, kiedy wrócę do domu, więc jeśli to czytasz, chyba coś poszło niezgodnie z planem. Jestem na Haiti. Wiem, sama się zastanawiam, jak tu trafiłam. Ale ją znalazłam. Znalazłam naszą córkę. Powinnam zacząć od początku, bo prawdopodobnie jeszcze o niej nie wiesz.

Ma na imię Eva. Ukrywali ją przed nami. Kiedy byliśmy w Portoiyko, ta psychopatka Alyssa wszczepiła nasze dziecko innej kobiecie. Nasza córka wychowywała się w obcej rodzinie. Z tego, co widziałam, to byli dobrzy ludzie, ale teraz nie żyją. Zabili ich bardzo źli ludzie, żeby porwać Evę. Rosjanie myślą, że ona jest w stanie pilotować Temidę. Nie wiem, czy rzeczywiście tak jest, ale to nie ma znaczenia. Eva jest teraz w ich rękach. Zabiorą ją daleko stąd i będą przeprowadzali na niej eksperymenty. Nawet nie chcę o tym myśleć. Muszę ich powstrzymać. Nie wiem jak, ale coś wymyślę. Bez względu na wszystko zabieram ją ze sobą. Wracam z naszą córką do domu.

Nie spodziewałam się, że tak szybko ci to wszystko

wyjaśnię. Chyba liczyłam, że mi to zajmie całą noc. Śpię - o ile tak to można nazwać - w najbardziej zdezelowanym samochodzie, jaki kiedykolwiek widziałam. Spodobałby ci się. Wszystko trzyma się wkupię dzięki taśmie klejącej. I śmierdzi! jak padlina. Przesiąknęłam tym smrodem. Cuchnę teraz truchłem i starym olejem silnikowym.

Tak mniej więcej to wygląda! Wszyscy nas okłamali. Alyssa spreparowała zarodek w laboratorium. Jakaś kobieta urodziła naszą córkę. Rosjanie ją porwali. Aja cuchnę. Chyba już wprowadziłam cię w temat.

Wiem, że trudno ogarnąć to wszystko tak od razu. Jesteśmy rodzicami! Czy mam się bać? Wiem, że ty sobie poradzisz - zawsze lubiłeś dzieci. Ale ja będę musiała trochę się dostosować. Mam przecucie, że przeprawa z rosyjskimi najemnikami będzie w tym wszystkim najłatwiejsza. W biciu i kopaniu jestem dobra. Ale kiedy Eva przedstawi nam swojego pierwszego chłopaka... Nie wiem, jak sobie z tym poradzę. Będziesz musiał mnie pilnować, żebym go nie znokautowała bez powodu. Wiesz, taka forma selekcji. Jeśli po czymś takim jeszcze się zjawi, to znaczy, że na nią zasługuje. Oczywiście za bardzo wybiegam w przyszłość. Nie jestem nawet pewna, czy możemy ją adoptować. Ale jednego jestem pewna: Nie oddam jej nikomu. Nie byłaby bezpieczna. Oni tak łatwo nie odpuszczą. Będą jej szukać na końcu świata. Musimy ją chronić, Vincent. Może teraz, kiedy tyle się dzieje, nikt nie zawraca sobie dupy prawem adopcyjnym. Ale wszystko po kolei. Najpierw muszę ją uwolnić.

Ciągle zapominam, że jeśli to czytasz, to ja prawdopodobnie nie żyję. Trudno się tak pisze z za grobu. Co mam ci powiedzieć? Cześć! Jestem martwa! Mam nadzieję, że ty nie! Uściski, Kara.

Przed moim wyjazdem zaginałeś wraz z Temidą. Mam nadzieję, że nic ci nie jest. Nie masz pojęcia, jak

bardzo pragnę, żeby nic ci się nie stało. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Wiem, że wyjechałam, ale nie miej do mnie o to żalu. Po prostu nie wiedziałam, co więcej mogłabym zrobić. Wiesz, że nie potrafię siedzieć beczynn timer. Nie mogłam ci pomóc, a pomyślałam, że mogę pomóc jej.

Szkoda, że cię tu nie ma. Czuję się pewniej, kiedy jesteś przy mnie. Ty wiesz, kiedy mam ochotę zrobić coś głupiego. Kładziesz mi wtedy dłoń na ramieniu, żeby mnie powstrzymać, albo nie i wtedy razem robimy coś jeszcze głupszego. Tak czy inaczej, wiem, że wszystko będzie dobrze. Oddałabym wszystko, żebyś teraz był tu ze mną. Ciekawe, czy próbowałbyś mnie powstrzymać, czy nie. Czułabym się o wiele lepiej, gdybyś pomógł mi to wszystko zaplanować.

Dobrze przynajmniej, że Evie póki co nic nie grozi. Mnie Rosjanie zabijają, gdy tylko nadarzy się okazja, ale jej nie zrobią krzywdy, o ile nie będą zmuszeni. Więc jeśli tego nie przeżyję, to ty będziesz musiał ją znaleźć. Znajdź ją i zabierz do domu. Poproś o pomoc. Nieważne kogo, KOZ czy rząd Stanów Zjednoczonych. Będą chcieli sprawdzić, czy hełm na nią zareaguje. Nie wiem, czy mi się to podoba, ale zapewnię jej bezpieczeństwo. I to ma sens. Musisz mi coś obiecać, Vincencie Couture. Musisz mi obiecać, że ją odnajdziesz i ochronisz.

Obiecay mi jeszcze jedno. Kiedy odnajdziesz naszą córkę - wiem, że to zrobisz - nie chciałabym, żebyś stał się kimś, kim nie jesteś. Wiem, że twój ojciec nie do końca był taki, jak byś chciał. Nie pozwól, żeby to cię zmieniło. Nie próbuj być jak on. Nie próbuj być inny niż on. Bądź sobą. Pamiętasz, jak nieszczęśliwa czułam się niedawno? Nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale tak się czułam. Bo myślałam, że powinnam być kimś innym. To nie twoja wina. Nigdy mnie nie prosiłeś o coś takiego. Myślę, że nie byłeś

zadowolony, kiedy się zmieniałam. Wiem, sama sobie jestem winna. Chyba teraz chcę ci powiedzieć: nie rób tego, co ja. Nie zamieniaj się w kogoś, kim nie jesteś, nawet jeśli uważasz, że to słuszne albo „normalne”. Eva ma dobrego ojca. Pozwól, żeby go poznała.

I nie bądź dla niej zbyt surowy, jeżeli wdała się we mnie, może być trochę nieokrzesana. Od czasu do czasu będzie próbowała cię ustawiać. I chwala jej za to. Niekiedy tego potrzebujesz. A jeżeli wdała się w ciebie... Jesteś w poważnych tarapatkach, jeśli odziedziczyła charakter po tobie. Możliwe, że nie będzie chciała twój towarzystwa. Nie bierz tego do siebie. Miała rodziców, którzy prawdopodobnie bardzo ją kochali. Dbali o nią. Byli jej najbliżsi. Niczego nie możemy od niej wymagać. Bądź zatem jej przyjacielem, jeśli nie jest jeszcze gotowa na tatę. Po prostu przy niej bądź.

Pozwól jej być taką, jaką chce być. Może już niewiele życia jej zostało. Zważywszy na obecną sytuację, nikt z nas nie powinien snuć planów na przyszłość. Niech Eva przeżyje ten czas po swojemu. Pozwól jej. To jej się należy. Zasłużyła sobie, uwierz mi.

Pora zrobić coś głupiego. Zaraz! Co ja mówię? Wszystko się uda. Ty się znajdziesz, a ja wrócę do domu, zastanę cię w laboratorium, przedstawię ci twoją córkę i będę mogła wyrzucić ten list. Łatwizna.

Wiesz, że cię kocham, prawda? Nie mówię ci tego zbyt często, żeby twoje ego nie rozrosło się jeszcze bardziej, bo mogłoby dojść do implozji i powstałaby czarna dziura. Nie chcę zniszczyć wszechświata. Ale cię kocham. Jesteś zarozumiałym i aroganckim skurwielem, a ja cię kocham. Jesteś również najodważniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Nie wiem, czy kiedyś ci to mówiłam. Dobrze się bawiliśmy, co? W każdym razie ja tak. Mam nadzieję, że nie byłam zbyt uciążliwym wrzodem na

twoim kanadyjskim tyłku.

Prawdopodobnie zauważyłeś drugą kopertę. To dla Ewy. Daj jej ten list, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Nie teraz. Na razie ma dosyć zmartwień. Będziesz wiedział, kiedy to zrobić.

Trzymaj się. Do zobaczenia po tamtej stronie.

Kara

DOKUMENT NR 1614

ZAPIS GŁOSOWY Z TRENINGU VINCENT COUTURE, KONSULTANT KOZ, I EVA REYES

Miejsce: Shawnee Mission Park, Lenexa, Kansas

[Jesteś pewna, że tego chcesz, Evo?]

- Tak, doktor Franklin.

[Mów mi Rose. Tylko nie próbuj niczego robić sama. Słuchaj Vincenta, dobra?]

- Dobra!

- Evo, to jest... to jest twoje stanowisko.

- Dobrze się czujesz, Vincent?

- Tak. Tylko to jest...

- Ty płaczesz! Zrobiłam coś?

- Nie! To nie przez ciebie, Evo. Po prostu to jest...
trudniejsze, niż się spodziewałem.

- Chcesz, żebym wyszła?

- Nie! Nic mi nie jest... Proszę! Wskakuj. Pomogę ci
zapiąć uprząż.

- Co to?

- To jest... podnóżek, żebyś mogła sięgnąć do konsoli.

- Książka telefoniczna?

- Dwie. Połączyłem je taśmą i przykleiłem do podłogi.
Znajdziemy ci coś ładniejszego, jeżeli to się sprawdzi.
Myślę, że wysokość jest odpowiednia.

- Jesteś pewien, że dam radę?

- Nie. Absolutnie nie. Właśnie po to tu jesteśmy, żeby
się przekonać. Hełm może w ogóle nie zareagować na
ciebie. Nie reaguje na nikogo innego. Proszę, załóż to,

jakbyś wkładała kurtkę. Zobacz! Idealna wysokość! Możesz tu włożyć palce? Jest za ciasno? Za luźno? Myślę, że te rękawice pasują na ciebie lepiej niż na Karę. Zapnę ci to na przedramionach. A ten szeroki pas ma otaczać klatkę piersiową. Gotowe! Jak się czujesz?

- W porządku.

- Spróbuj się trochę poruszać. Unieś ręce. Całkiem do góry. Pochyl się. Jak daleko możesz sięgnąć?... O co chodzi?

- Mogę cię o coś spytać, Vincent? Tak w ogóle mogę ci mówić po imieniu? Jeszcze nie...

- Och, tak. Ja też nie jestem na to gotowy. Bez pośpiechu. O co chcesz mnie zapytać?

[W porządku tam u was na górze?]

Tak, Rose. Daj nam jeszcze chwilę. Możesz mówić, Evo. Teraz nikt nas nie słyszy.

- Co się stanie, jeśli nie dam rady?

- Nic. No cóż, prawdopodobnie najpierw się przewrócimy, ale potem nic. To nie ma znaczenia.

- Wręcz przeciwnie! Giną ludzie.

- Evo, wątpię, żeby któreś z nas mogło coś zmienić w tej kwestii. Ale jestem z tobą, bez względu na wszystko.

- A jeśli popełnię jakiś błąd?

- Uwierz mi, dziecko, nawet gdybyś w ogóle nie miała do tego drygu, nie zdołałabyś urządzić takiej demolki jak Kara i ja w trakcie pierwszej próby. Na razie umiejętności nie mają znaczenia. Albo hełm zadziała, albo nie. Nie masz na to wpływu.

- Dziękuję, że zmieniłeś zdanie.

- Nie dziękuj. Jestem okropnym ojcem. Pozwalam mojej dziesięcioletniej córce sterować gigantyczną machiną bojową. Pójdę prosto do piekła, a może przedtem do więzienia, jeśli dowie się o tym opieka społeczna. I będę z tobą szczerzy: mam nadzieję, że

hełm nie zadziała. Wtedy będziemy mieć pewność i oznajmimy to światu, a wszyscy zostawią cię w spokoju i będziesz mogła wieść normalne życie, cokolwiek to oznacza.

- A jeśli zadziała?

- Jeśli zadziała... twoje życie stanie jeszcze bardziej skomplikowane, niż jest teraz. Prawdopodobnie o wiele bardziej.

[Hej! Co tam się u was dzieje?]

No więc jak, Evo? Gotowa na próbę?

- Tak.

- Wszystko gra, Rose! Jesteśmy gotowi. W tej chwili zakładam jej hełm. Evo, wyprostuj ręce, żeby Temida się nie poruszyła, jeśli to zadziała. Musiałbym być na moim stanowisku, żeby utrzymać ją w pionie. Gotowa? Zaczynamy.

[No i jak?]

Dzieje się coś? Evo?

- Co?

- Czy hełm jest aktywny?

- Nie wiem. Powiedziałeś, żebym się nie ruszała. Patrzę tylko na doktor Franklin.

- Patrzysz na... Widzisz wszystko na zewnątrz?

- Tak. A ty nie?

[Halo? Wszystko w porządku?]

- W porządku, Rose. Hełm reaguje na nią.

- To znaczy, że działa?

- Tak, Evo, działa. Jesteś córką swojej mamy, nie ulega wątpliwości. Nie ruszaj się! Zaczekaj, dopóki nie zajmę mojego stanowiska. Potem spróbujemy wykonać kilka prostych manewrów, dobra?

- Dobra. Ale to fajne!

- No nie? Nie ruszaj się, mówiłem! Będę latał po całej kabinie jak kulka we flipperze, jeśli nie zdążę się przypiąć, zanim upadniemy.

- Nie ruszam się.

- To się nie ruszaj! Jeszcze chwilę!
- Nie ruszam się!
- W porządku, jestem gotowy. Spróbujemy teraz wykonać krok. Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale chciałbym, żebyś pomyślała o tym, w jaki sposób się chodzi. Kiedy unosisz stopę, zaczynasz obracać ramiona w przeciwną stronę. Odrywając prawą stopę od podłoża, obracasz tułów w lewo, żeby przenieść ciężar ciała na lewą nogę. Unosząc lewą nogę, obracasz się w prawo i opierasz się całym ciężarem na prawej nodze. Wypróbuj te ruchy, tak jakbyś szła.
- Przewrócimy się?
- Prawdopodobnie później, kiedy zaczniemy chodzić naprawdę. Na razie nie poruszam nogami. Ty możesz, to nic nie zmienia. Będę balansował, żeby zachować równowagę. No, dawaj.
- W taki sposób?
- Nie czuję kołysania. Musisz wziąć trochę większy rozmach. Spróbuj poruszać się jak modelka. Udawaj, że idziesz po wybiegu.
- To nie pomaga.
- Hm. No to wyobraź sobie, że niesiesz w rękach coś naprawdę ciężkiego. Tak! Właśnie o to chodzi!
- Możemy przejść się naprawdę?
- Nie dzisiaj. Wszystko w swoim czasie.
- Proszę!
- *Proszę!*
- A niech cię... Rose? Mogłabyś się schować? Spróbujemy trochę się przejść. Nie chciałbym cię zgnieść.

[Na pewno chcesz to zrobić? Minęło parę miesięcy, zanim nauczyłeś się chodzić z Karą]

Wtedy miałem problemy z utrzymaniem ciężaru. Ale nie, tak naprawdę nie jestem pewien, dlatego proszę, żebyś się schowała. Rośnie tu sporo drzew. To powinno trochę zamortyzować upadek. A może nie.

Evo, to nie najlepszy pomysł.

- Strach cię obleciał?

- Czy ty naprawdę próbujesz mnie podejść w stylu Marty'ego McFly'a?

- Kto to jest Maity McFly?

- Pewien facet, który... Nieważne. Kiedyś obejrzymy razem ten film. Niczego bym wżyciu nie osiągnął, gdybym czekał na dobre pomysły. Jesteś gotowa na twarde lądowanie, bolesne stłuczenia i widok tryskającej krwi, kiedy rozkwaszę sobie nos o konsolę?

- Tak!

- Niech ci będzie. Zrobimy kilka kroków. Zaczniemy od jednego. Musisz obserwować moje ruchy. Patrz na moje nogi i ramiona. Patrz, jak przenoszę ciężar ciała, zanim oderwę nogę. Musisz wykonywać te ruchy razem ze mną, a nie w ślad za mną. Potem może być za późno i upadniemy.

- Rozumiem!

- No to zaczynamy.

- W taki sposób?

- Nie. Nie tak... i... lecimy. Ręce przed siebie!

- AAAAA!

- UCH! Cholera, zabolalo. Nic ci nie jest?

- Nie mogę ruszać rękami! jakby przywarły do mojej piersi!

- Nic się nie stało. Temida napiera na ciebie swoim ciężarem. Będziesz mogła rozprostować szyny, kiedy zdejmę ci hełm. Teraz stąd wyjdźmy, skoro ją położyliśmy.

- To twoja wina! Nie byłam gotowa!

- Nic nie szkodzi, Evo. Możemy spróbować jeszcze raz.

- Nie mogę się poruszyć! Wypuść mnie stąd!

- Chwileczkę. Najpierw sam muszę się uwolnić.

- Wypuść mnie stąd!

- Już jestem. Ty się cała trzęsiesz.

- Nie potrafię. Nie nadaję się do tego.
- Evo, to nie tak. Nie możesz oczekiwać, że opanujesz to za pierwszym razem. Jutro znowu spróbujemy, jeśli chcesz.
- To jest głupie.
- Twój wybór, Evo. Nie musisz tego robić, jeśli nie masz ochoty.
- Nic nie rozumiesz. Jeśli nie dam rady, to będzie znaczyło, że oni wszyscy zginęli na próżno.

DOKUMENT NR 1617

ZAPIS ROZMOWY DOKTOR ALYSSA PAPANTONIOU

Miejsce: schron rządowy Shadow, Lenexa, Kansas

- Dzień dobry, do... doktor Franklin. Myślałam, że skończyliśmy już ze stra... strażnikami.

- Nie, nie skończyliśmy. Nie będą cię odstępować na krok. Możesz chodzić stąd do swojej kwatery i z powrotem. To wszystko. Nie chcę, żebyś znowu zbliżyła się do Evy albo Yincenta. Co cię opętało, żeby rozmawiać z tym dzieckiem?

- Ma prawo wiedzieć.

- Ale ty nie miałaś prawa jej tego mówić. Dostyc już przeszła.

- Nie miałam prawa? To ja ją sss... stworzyłam! Miałam święte prawo jej o tym powiedzieć. Kiedy zamierzaliście to zrobić?

- W odpowiednim czasie.

- Kie... kiedy? Kiedy sytuacja się uuu... unormuje? Kiedy wszystko znów będzie po staremu? Nie możemy na to liczyć. Ona ma prawo wiedzieć, kim jest.

- To jeszcze dziecko. Oto kim jest.

- Jest naszą nadzieją na ocalenie świata! Nie byłoby jej, gdyby nie ja.

- Naopowiadałaś jej, że jesteś jej matką!

- Powiedziałam tylko, że ją s... stworzyłam. Nie mówiłam, że jestem jej matką. Może mnie tak na...

nazywać, jeśli ma ochotę.

- Zwariowałaś! Jesteś psychopatką, Alysso!

- Nie przekonasz mnie obelgami, że po... postąpiłam źle.

- Nie chcę nawet słyszeć, co uważasz za dobre. Interesuje mnie tylko nauka. Gdyby to zależało ode mnie, gniłabyś w celi w jakimś dusznym i gorącym miejscu.

- To do ciebie nie pasuje. Zostaw jemu takie czcze pogroźki.

- Jego już nie ma wśród nas, a ja szybko się uczę. Uwierz mi, że kiedy posuwam się do gróźb, nie rzucam słów na wiatr.

- To on mnie tu ściągnął. Powinnaś po... polegać na jego osądzie.

- Nie ufał ci! Uważał, że możesz nam pomóc, ale nigdy ci nie ufał! Tak samo ja. Przekażę cię w ręce władz, gdy będzie już po wszystkim.

- A takim razie po co mnie tu trzymasz? Czemu miałabym ci pomagać, skoro wiem, że zaraz po... potem każesz mnie zamknąć?

- Bo wiem, że twoje chore, rozdęte ego zawsze weźmie górę. Wiem, że chcesz być tą, która znajdzie rozwiązanie. Chcesz być bohaterką, która ratuje świat, ale nie zależy ci na losach ludzkości, tylko chcesz zyskać usprawiedliwienie, odpuszczenie win. Wątpię, aby miało dla ciebie znaczenie, czy resztę życia spędzisz w więzieniu.

- Jakbym słyszała jego.

- Powiedziałaś ci, że szybko się uczę. Może przestaniemy marnować czas i powiesz mi, czym się zajmowałaś przez ostatnie kilka dni?

- Kazał mi po... porównać DNA ocalałych w Londynie z materiałem genetycznym ze zwłok obcych.

- Zrobiłaś to?

- Tak i nie. Ich ge... geny tak bardzo różnią się od

naszych, że wszystkie moje testy są bezużyteczne. Nie potrafię ustalić, w jaki sposób miałyby dojść do rekombinacji naszych gatunków, jeśli... w ogóle byłoby to możliwe. Potrzebowałabym żywych o... okazów, żeby posunąć się dalej. To bez znaczenia, bo wiem, że nie znajdę tego, na czym mu zależało. On myślał, że ludzie, którzy przeżyli atak...

- Myślał, że są potomkami obcych, którzy tu przybyli trzy tysiące lat temu.

- Mylił się.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Jesteś absolutnie pewna, Alysso? Dlaczego?

- To nie ma sensu. Upłynęło z... zbyt wiele czasu. Trzy ty... siące lat temu wszyscy byli twoimi przodkami.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ludzie patrzą na drzewa genealogiczne od złej strony. Myślą, że ród zaczyna się od jakiejś osoby i rozgałęzia się z każdym następnym pokoleniem dzieci, wnuków i prawnuków. Ale to nie tak. Korona tego drzewa rozrasta się w przeciwną stronę.

- Co to ma wspólnego z ocalałymi?

- Spójrz na to w ten sposób. Masz dwoje rodziców. Masz czworo dziadków, ośmioro pradziadków, szesnaścioro prapradziadków. To około stu lat wstecz, przyjmując średnio dwadzieścia pięć, trzydzieści lat na jedno po... pokolenie. Dwieście lat wstecz masz już około dwóch tysięcy przodków. Pięćset lat wstecz... pięćdziesiąt milionów.

- Ilu ich będzie, jeśli cofniemy się o trzy tysiące lat?

- Po prostu m... mnożysz wszystko razy dwa co trzydzieści lat. Bardzo szybko dojdiesz do miliarda. Przy ty... tysiącu dwustu osiągniesz trylion. Trzy ty... tysiące lat temu... Nie ma znaczenia, jaka to liczba. Jest zbyt wielka.

- To nie ma sensu. Tysiąc dwieście lat temu nie było

na Ziemi trylionu ludzi. Nawet teraz wiele nam do tego brakuje!

- Dzieje się tak dlatego, że ci sami lu... ludzie pojawiają się w... wiele razy w twoim drzewie genealogicznym. Twój praprzodek w linii prostej sprzed dwudziestu pięciu pokoleń jest również praprzodkiem twojego dalekiego kuzyna. Większość ludzi przewija się setki, tysiące razy wśród twoich przodków. Im dalej w przeszłość, tym mniej ludzi na ziemi i tym szerzej rozrasta się twoje drzewo genealogiczne. W pewnym momencie potrzebujesz całej populacji, żeby obsadzić wszystkie ga... gałęzie.

- Nie jestem pewna, czy rozu...

- Gdybyś żyła na Ziemi w tamtych czasach, albo twój ród by wygasł i nie miałabyś za... żadnych potomków, albo byłabyś przodkiem wszystkich żyjących o... obecnie. Każdy, kto żył parę tysięcy lat temu i jego ród nie wymarł, jest twoim przodkiem, moim i wszystkich innych.

- ...

- Doktor Franklin?

- A więc o to chodzi, tak?

- To znaczy o... o co?

- Jeśli obcy przybyli na tę planetę trzy tysiące lat temu, to niemożliwe, żeby w dzisiejszych czasach żyła zaledwie garstka ich potomków. Albo ich ród wygasł - a wiemy, że tak nie jest, bo wczoraj poznałam jednego z nich - albo...

- Chcesz powiedzieć, że... ?

- Dokładnie to, co mówię. Albo są zamierzchłymi przodkami nas wszystkich. Przeżyłam nie dlatego, że mam DNA obcych. Przeżyłam dlatego, że jestem jedną z nielicznych, którzy go nie mają. Wszyscy jesteśmy obcymi, w każdym razie po części. Każdy jeden człowiek na Ziemi - aż 99,95 procent populacji - ma ich geny.

- To sza... szaleństwo.

- Dziękuję ci, Alysso. Nie będziemy już potrzebowali twojej pomocy. Ci panowie wyprowadzą cię stąd i zabiorą do... cóż, nad tym wkrótce się zastanowimy. Żegnaj, Alysso.

CZEŚĆ PIĄTA

WE KRWI

DOKUMENT NR 1619

ZAPIS ROZMOWY PAN BURNS,
ZAWÓD NIEZNANY

Miejsce: restauracja chińska New Dynasty,
Dupont Circle, Waszyngton

- To o was im chodziło, prawda?
- Co? Żadnego powitania? Żadnego: Miło znów pana widzieć?
- Oni chcą was pozabijać, nie nas!
- No dobra. W takim razie bez powitania.
- Stworzyli gaz, który miał zabić każdego, kto ma takie same geny jak oni. Zjawili się tu, żeby was wyplenić. Prawdopodobnie myśleli, że jest was tylko garstka. Ale kiedy wszyscy zaczęli umierać, zdali sobie sprawę, że cała ziemaska populacja - no, prawie cała - jest z nimi spokrewniona. To dlatego przerwali.
- Bingo! Mówiłem, że jest pani dosyć bystra! Akurat w sam raz.
- Pan nas okłamał! Wszystko, co pan nam mówił... co mówił pan jemu, było kłamstwem!
- Zaczniemy od tego, że opowiedziałem mu tylko

pewną historię. Nie zastrzegalem, że jest prawdziwa. Oprócz tego wszystko, co mówiłem, w mniejszym lub większym stopniu jest prawdą. Mogłem pominąć niektóre wątki, ale nie skłamałem. Kilka tysięcy lat temu moi przodkowie wysłali na Ziemię tuzin takich robotów, ponieważ obawiali się ataku ze strony jednego ze swoich wrogów. Agresywnej cywilizacji, przynajmniej tak mi mówiono. Upłynęły dwa tysiąclecia i nikt się nie zjawił, więc wrócili do siebie.

- Powiedział pan, że zostawili nam Temidę, żebyśmy mogli się bronić.

- Tak! Na jakiś czas. Zostawili również pilotów, w przeciwnym razie nie moglibyście z niej korzystać.

- Bo jesteśmy inaczej zbudowani.

- Z pewnością nigdy by nie pomyśleli, że jesteście na tyle szaleni, żeby wyłamywać sobie kolana, ale powód jest o wiele prostszy. Aparatura sterownicza nie reaguje na ludzi. Tak została skonstruowana. Nawet w dzisiejszych czasach nadają się do tego tylko nieliczne osoby, które mają odpowiednie DNA.

- Vincent i Kara.

- Między innymi. Skąd takie przekonanie, że przysłaliśmy ich do pani?

- A przysłaliście?

- Czy to prawda, że mają córkę?

- Prawda. Ma na imię Eva.

- Cóż za wspaniałe imię!

- Wygląda pan na uszczęśliwionego.

- A czemu miałbym nie być? Uwielbiam dzieci. Jak ona się miewa? Wszystko z nią w porządku?

- W porządku. A co pan ma na myśli?

- Po prostu zapytałem. Mniejsza o to.

- Nie, nie mniejsza o to. Co pan miał na myśli, pytając, czy wszystko z nią w porządku?

- Czy ma wizje?

- Tak. Skąd pan o tym wie?

- To tylko domysły. W porównaniu z innymi ludźmi jej rodzice mają znacznie więcej naszych genów. Ich dziecko może być... bardziej podobne do takich jak ja niż do większości ludzi. Przedstawiciele naszego gatunku mewają pewnego rodzaju... objawienia, wizje.

- Umieją przewidywać przyszłość?

- Niezupełnie. Widzą... urywki tego, co może się wydarzyć. Niektóre z tych rzeczy się spełniają, inne nie. Nie każdy z nas tego doświadcza. Mnie nigdy się to nie zdarzyło. Tym, którzy mają wizje, czasami trudno się przystosować. Bez odpowiedniego wsparcia może to być trochę... przytłaczające.

- Można tak to określić. To biedne dziecko jest śmiertelnie przerażone.

- Poradzi sobie. Dzieci są bardziej wytrzymałe, niż sobie wyobrażamy. Ale odbiegam od tematu. O czym to ja mówiłem?

- Nie pamiętam.

- Ach tak! O pilotach! Chodziło mi o to, że wtedy nie byliście w stanie kierować Temidą, więc została tu mała grupka takich, którzy to potrafili.

- Pańscy przodkowie?

- Nie! Moi przodkowie połączyli się z ludźmi. Umarli na długo przed tym, jak roboty opuściły Ziemię, ale żyły ich dzieci. Było kilkanaście takich rodzin. Pełnej krwi obcym nakazano bronić czystości rasy.

- Co to oznacza?

- Otrzymali polecenie, żeby wymordować wszystkich mieszanców, a także ich dzieci i wnuki. Potem mieli wrócić do domu.

- Razem z Temidą?

- Oczywiście. Jaki miałibyście z niej pożytek? A więc poszli wykonać zadanie, prawdopodobnie przekonani, że bez trudu rozprawią się z półludźmi. Oni jednak stawiali opór, bronili swoich rodzin. Zabili wszystkich

obcych. Potem rozmontowali Temidę i ukryli części w różnych miejscach, żeby nikt jej nie znalazł.

- A ci, którzy ją tu przysłali, nie zauważyli, że nie wróciła?

- Z pewnością zauważyli. Musieli dojść do wniosku, że coś jej się przytrafiło. Wszechświat jest ogromny. Wiele rzeczy mogło pójść nie tak. Moi przodkowie dokładali starań, aby nikt się nie zorientował, co tak naprawdę zaszło.

- Co mianowicie robili?

- Nic. Starali się nie zwracać na siebie uwagi. Wybierali sobie partnerów w obrębie własnej społeczności, żeby uniknąć... cóż, właśnie tego, co się stało. Bardzo ściśle tego przestrzegali, ale na przestrzeni wieków kilka osób uciekło. No i mamy to, co mamy!

- Dlaczego uciekli?

- Przypuszczam, że musieli się zakochać. Z miłości ludzie popełniają największe szaleństwa, czego przykładem może być odmowa poślubienia własnego kuzyna. Może ich krewniacy nie byli zbyt pociągający. Czy pani uważa swojego kuzyna za atrakcyjnego?

- Ale dół, do którego wpadłam, został specjalnie przygotowany. Mielismy go odkryć, prawda?

- W rzeczy samej. Moim zdaniem przodkowie chcieli, żebyście dowiedzieli się o Temidzie, kiedy będziecie wystarczająco zaawansowani. Ale to nie dłoń miała pani znaleźć.

- A co?

- Komunikator. Przy pomocy tego urządzenia można wysłać wiadomość do ich świata. Służy również do rekonstruowania materii, więc za jakiś czas moglibyście wybrać się do nich z wizytą. To duży, okrągły przedmiot ze światłem w środku. Taki sam jest zainstalowany w każdym robocie.

- To dzięki niemu Temida może się teleportować?

- Tak! Moi przodkowie zabrali komunikator i na jego miejscu zostawili dłoń, żeby mogła pani coś znaleźć. Użyli go do rozrzucenia części Temidy po całym globie. Przy pomocy takiego samego urządzenia odtworzyliśmy panią, żebyśmy obydwój mogli przeprowadzić tę rozmowę, kiedy przyjdzie na to czas.

- Jak obcy się dowiedzieli?

- Znaleźliście Temidę! Użyliście jej! Samo odkopanie robota to jedno, ale nie powinniście być w stanie go uruchomić. Wtedy się zorientowali, że coś jest na rzeczy. Prawdopodobnie domyślili się, jaki los spotkał ich pilotów dawno temu, i przysłali ekspedycję, żeby dokończyć misję, którą zaczęli przed trzema tysiącami lat.

- A kiedy wszyscy zaczęliśmy ginąć, zdali sobie sprawę, że ich geny są teraz wymieszane z naszymi.

- Otóż to. Dla nich to wielka tragedia. Najgorsza forma ingerencji. Nie chcą zabić was wszystkich, bo... bo to coś złego i również oznacza ingerencję. Ale w takim wypadku jedynym wyjściem jest odebranie wam przyszłości, jaka powinna was czekać! Oni wierzą, że ograbili was z przeznaczenia, chociaż zrobili to niechcący.

- A więc przestali nas zabijać. I co teraz?

- Teraz szukają powodu, żeby nie dokończyć swojego dzieła. Jak już powiedziałem, oni nie lubią się wtrącać. Ale robią to, jeśli uznają, że bez nich nie bylibyście tacy, jacy jesteście. Wtedy oczyszczą cały rodzaj ludzki ze swoich genów. Zaczniecie wszystko od zera.

- Zabiją wszystkich z wyjątkiem tych, którzy nie są z nimi spokrewnieni.

- Właśnie tak. Będziecie mogli całkiem samodzielnie odbudować swoją cywilizację, wolni od wpływów z zewnątrz.

- A co z wami?

- Och, moi rodacy muszą umrzeć bez względu na wszystko. Rodzimy się z takim wyrokiem. Samo nasze istnienie jest karygodnym przestępstwem. Nic tego nie zmienia.

- Nawet nie spróbujecie?

- Tego nie powiedziałem...

- Więc jak mamy ich powstrzymać? Powiedział pan, że szukają powodu, żeby nie dokończyć swojego dzieła.

- Udowodnijcie im, że osiągnęliście to wszystko sami.

- A osiągnęliśmy?

- Skąd mam wiedzieć? Jakie to w ogóle ma znaczenie? To jest możliwe. Nic poza tym się nie liczy. Ich DNA stanowi zaledwie niewielki ułamek waszego. Rzecz w tym, że musicie ich przekonać, dać im jakieś uzasadnienie, żeby pozwolili wam dalej podążać własną drogą. Oni uważają, że gdybyśmy nie skazili ludzkiego DNA, nie zaszlibyście tak daleko, nie osiągnęlibyście takiego poziomu zaawansowania technologicznego, nie dłubalibyście przy atomach i nie odkrylibyście, co tutaj zostawili. Musicie tylko ich przekonać, że mogą być w błędzie. Nie unicestwią całej cywilizacji, jeśli nie będą absolutnie pewni.

- Domniemanie niewinności.

- Skoro tak to pani chce nazwać...

- Jak możemy im coś udowodnić, skoro nawet nie jesteśmy pewni, czy to prawda?

- Pokażcie im, ile jesteście warci. Udowodnijcie, że nawet sobie nie wyobrażają, na co stać zwykłych ludzi.

- Ma pan na myśli mnie? To dlatego tu jestem, prawda? Przywróciliście mnie do życia, bo mimo wszystko jestem w stu procentach człowiekiem.

- Mimo wszystko? Nie jest tak dlatego, że za sprawą jakichś czarów zdołała pani uniknąć mutacji genomu, które trwały trzy tysiące lat. Pani rodzice prawdopodobnie mieli DNA obcych. Po prostu

dopisało pani szczęście. Teraz musi pani im pokazać, jaką potęgę noszą w sobie ludzie.

- Ale jak?

- Pokonać ich.

- Nie zdołam ich pokonać. Wszystkie armie świata nie dały im rady. Jak miałabym cokolwiek zdziałać w pojedynkę? Nie mamy odpowiedniej technologii.

- Nawet gdybyście mieli, ta technologia jest dziełem ludzi z genami obcych. Jest... skalana.

- Naprawdę? Więc chce mi pan powiedzieć, że muszę pokonać te gigantyczne maszyny, nie korzystając z niczego, co zostało wynalezione w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat?

- Cóż, może pani odjąć kilka stuleci, bo tyle zajęło moim przodkom rozsianie ich materiału genetycznego w obrębie waszej populacji, ale tak, takie jest ogólne założenie.

- Ale trzy tysiące lat temu nie mieliśmy nic. Nic oprócz koła i prymitywnej metalurgii. Na pewno nie dysponowaliśmy niczym, co nadaje się do zniszczenia tych robotów.

- W takim razie muszę stwierdzić, że macie problem, młoda damo.

- Nie rozumiem. Dlaczego mi pan nie powie, co mam robić? Powiedział mi pan całą resztę. Dlaczego nie chce pan nas ocalić?

- Nie wspomniałem o niczym, do czego nie potrafiłaby pani dojść samodzielnie.

- Dlaczego tak?

- Bo jeśli oni się domyślą, że wam pomogłem... że pomógł wam ktoś z nas, uśmiercą każdą żywą istotę na tej planecie, z ich genami czy bez, i wrócicie do poziomu organizmów jednokomórkowych.

- Zauważyłam jeszcze coś. Jakoś dziwnie zgadza się pan z nimi, prawda?

- W jakiej kwestii?

- Że nie mamy prawa żyć, jeżeli jesteśmy... skażeni.
- Proszę mi wybaczyć. Chyba trudno to pani zrozumieć. Wystrzeganie się ingerencji nie jest pustym sloganem. To nieodłączny element naszej kultury. Zasada, którą w ich świecie wpaja się wszystkim od urodzenia. Ten światopogląd przetrwał nawet tutaj. Jak pani widzi, niedaleko pada jabłko od jabłoni.
- Nawet po tylu latach? Nawet po tym, jak próbowali pana zabić?
- Nie chcę umierać, jeśli o to pani chodzi. Ale rozumiem, dlaczego ich zdaniem zasługuję na śmierć.
- A my? Sądzi pan, że my też powinniśmy umrzeć?
- Gdybym tak sądził, nie... naprowadzałbym pani.
- Ale rozumie pan, dlaczego nas też chcą zabić.
- Rozumiem, dlaczego uważają, że wyświadczyliby wam w ten sposób przysługę.
- Co to za różnica, czy mam geny jakiejś obcej rasy, czy nie? Czy z tego powodu jestem lepsza albo gorsza od innych?
- Teraz pojmuje pani, w czym tkwi problem. Im nie chodzi o to, czy jesteście lepsi lub gorsi. Dla nich to kwestia tego, jacy *powinniście* być. W ich mniemaniu ludzie są dalecy od tego, co było im pisane. Pani, Rose Franklin, jest inna. A to oznacza, że będą zwracali na panią uwagę.
- Czy przybycie waszych przodków czymś się różni, czy jest mniej naturalne od jakichś przypadkowych wydarzeń, które doprowadziły do powstania życia, albo od jakichś mutacji, którym zawdzięczamy to, jacy jesteśmy? Kto powiedział, że nie powinniśmy być półkrwi obcymi?
- Oni! Nie wiem, czy mają rację, czy nie, ale właśnie tak twierdzą. I lepiej proszę się pośpieszyć. Myślę, że nie ma pani wiele czasu.
- Ile mi zostało?

- Nie wiem. Dzień, może dwa. Wie pani, co krąży teraz wokół Ziemi, prawda?

- Generał Govender twierdzi, że obcy wytoczyli ciężką artylerię.

- Mądry z niego człowiek.

- Wie pan, co mi to wszystko przypomina?

- Nie, ale domyślam się, że coś złego.

- Zakaz zawierania małżeństw międzyrasowych. Zniesiono go u nas dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych.

- Wiem, mieszkałem tutaj, jeden z przejawów segregacji rasowej.

- Białym nie było wolno zawierać małżeństw ani uprawiać seksu z czarnymi. Uznawano to za przestępstwo. Prawo niektórych stanów zakazywało nawet udzielania ślubów kościelnych.

- W Luizjanie zakazane były małżeństwa między rdzennymi Amerykanami i czarnymi. W Maryland taki sam zakaz dotyczył czarnych i Filipińczyków. Rozumiem, do czego pani zmierza, ale tamte przepisy opierały się na założeniu, że jedna rasa góruje nad innymi.

- A w tym przypadku jest inaczej?

- Oni twierdzą, że życie ma zmierzać do jakiegoś celu i nikomu nie wolno w to ingerować, że wszystko powinno się toczyć ustalonym torem.

- Jestem pewna, że takich samych argumentów używano w Luizjanie i Maryland. Moim zdaniem każdy, kto rości sobie prawo do decydowania o strukturze genetycznej innych gatunków, jest przekonany, że nad nimi góruje.

- A jeśli faktycznie nad wami górują?

- To nie ma znaczenia. Nie sądzę, że mrówki powinny robić to, czego chcą od nich koty. Nie sądzę, że ryby powinny być posłuszne delfinom. Nie sądzę, że ludzie powinni narzucać swoją wolę wszystkim innym

gatunkom żyjącym na Ziemi.

- Ludzie czasami podejmują decyzje, które wpływają na inne gatunki.

- Owszem. I sam pan wie, do czego to doprowadziło.

DOKUMENT NR 1620

KOMUNIKAT RADIOWY OKRĘT PODWODNY USS „JIMMY CARTER” (SSN- 23)

Miejsce: Morze Beringa

Rozkaz 774627- 53N

SSN- 23 - kpt Demetrius Rooke 225- 48- 1627

Przerwać bieżącą misję. Wrócić niezwłocznie na wody terytorialne Stanów Zjednoczonych. Zająć pozycję 48.498682, - 125.1430043 w pobliżu wyspy Vancouver.

Stan gotowości bojowej. Przygotować się do odpalenia rakiet balistycznych do celu na terenie kraju. Czekać na rozkazy.

DOKUMENT NR 1622

ZAPIS GŁOSOWY Z TRENINGU VINCENT COUTURE, KONSULTANT KOZ, I EVA REYES

Miejsce: Shawnee Mission Park, Lenexa, Kansas

- Dajesz radę, Evo! Potrafisz!
- Idziemy!
- Tak. I zaraz będziemy leżeć.
- Co? Nie! Co robisz? Nie! Nie! Nie! AARGH! To boli!
- Mówisz tak za każdym razem.
- Co z tobą? Przecież dobrze nam szło. Nie przewróciłam nas! Pierwszy raz mi się udało.
- To prawda! A wiesz, czego jeszcze nigdy nie robiłaś?
- Czego?
- Nie wstawiałaś. Kiedy upadaliśmy, ani razu nawet nie próbowałaś się podnieść. Ato bardzo istotny manewr. Więc jeśli znowu chcesz chodzić, najpierw musimy wstać. Uprzedzam, że wstawanie jest trudne. Dasz radę?
- Spróbuję?
- Nie ma mowy.
- Jak to?
- Po prostu to zrób.
- Zrobię, jeśli przestaniesz gadać!
- Nie prowokuj mnie. Evo, bo cię tu zostawię i będziesz sobie stała z rękami przyciśniętymi do piersi jak królik.

No dobra, szybki kurs wstawania. Najpierw zegnę nogi... Nie są obciążone, więc Temida może się oprzeć na kolanach.

Ty musisz podnieść się trochę na łokciach i jednocześnie nachylić się do przodu, żeby oderwać tułów od podłoża.

- W taki sposób?

- Tak! Oto właśnie chodzi! Teraz wyprostuj ręce. Odepchnij się mocno! Mocno! Dobrze, zostań w takiej pozycji. A teraz najtrudniejsze. Wyprostuję nogi. Podniesiemy się do pionu, ale ty będziesz musiała w tej samej chwili odgiąć plecy w tył. Nie za wcześnie ani nie za późno, bo wywiniemy kozła i połamiemy jeszcze więcej drzew.

- Dobra! To na co czekasz? Ręce mnie bołą!

- No to... już! Powoli! O w mordę! Stoimy. Nie ruszaj się. Nic nie rób.

- Fajne to było.

- O, spodobało ci się, co? Może już koniec na dziś? Jutro damy sobie *prawdziwy* wycisk.

- Dobra.

- Dobra? Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Jestem głodna.

- Ja też, skoro o tym mowa. W porządku. Kładziemy ją!

- Kładziemy?

- Tak, Temida musi leżeć, jeśli chcemy wyjść.

- Znaczą jeszcze raz upadamy?

- Nie. Postaraj się zachować równowagę, kiedy będę klękał. A teraz polecimy do przodu, więc musisz się odgiąć i wyciągnąć ręce przed siebie, żebyśmy się na nich oparli. Właśnie tak. Teraz pochyl się i unieś tyłek, a ja... rozprostuję nogi. Stań prosto. No to ułożyliśmy Temidę do snu. Nie ruszaj się. Wypnę się z upręży i zdejmę ci hełm.

- Udało mi się!

- Nie, nie rób tak! Temida będzie teraz głupkowato wyglądać.

- Co? Jak to?

- Nadal nią poruszasz. Będzie leżała z rękami nad głową, jakby wrywała sobie włosy albo coś takiego. Ja się tym zajmę, oszczędźmy jej wstydu.

Gotowe. Teraz uwolnimy cię z tych okowów.

- Mogę cię o coś spytać?

- Czemu to robisz? Pytasz mnie, czy możesz mi zadać pytanie? Czy kiedykolwiek ktoś ci odmówił?

- Ja...

- Po prostu pytaj!

- Nie powiedziałaś mi, dlaczego zmieniłaś zdanie. Dlaczego się zgodziłaś?

- Na co?

- Żebym nauczyła się sterować Temidą.

- Twoja mama mnie przekonała. Znaczą Kara. Ona i Lukę.

- Jaki Lukę?

- Skywalker... Nieważne. Miałem nadzieję, że kiedyś usiądziemy i o tym pogadamy. Napijemy się... Cokolwiek piją dziesięcioletnie dziewczynki.

- Możemy pomówić o tym teraz?

- No dobrze. Kara napisała do mnie list, kiedy... chyba kilkanaście godzin przed tym, jak ją poznałaś. Nie była pewna, czy wyjdzie z tego cało, i poprosiła mnie, żebym obiecał jej kilka rzeczy na wypadek, gdyby nie przeżyła. Głupio tak wymuszać listownie obietnice, ale wiem, że i tak bym jej uległ, gdyby była przy mnie. W każdym razie chciała, żebym... pozwolił ci rozwiązać wszystko samodzielnie i żebym pozwolił ci być taką, jaką chcesz być.

Nie miałem nic przeciwko temu. Nie miałem nic przeciwko, dopóki mi nie powiedziałaś, że chcesz pilotować Temidę. To po prostu było... nie do przyjęcia pod wieloma względami. Przede wszystkim Kara

chciała, żebym zapewnił ci bezpieczeństwo. Przebywanie we wnętrzu tego robota nie ma nic wspólnego z bezpieczeństwem. To jedno z najmniej bezpiecznych miejsc na świecie. A poza tym to jej miejsce. Właśnie tutaj zbliżyłem się do niej, kiedy stała tam, gdzie teraz ty stoisz... tylko bez tych książek telefonicznych. Pozwalając komuś innemu zająć jej miejsce... nie wiem, to tak, jakbym pozwolił jej odejść w niepamięć. A tego nie chcę.

- Nie musisz tego robić.

- Jeszcze nie skończyłem. Nie podoba mi się również powód, dla którego ci na tym zależało. Powiedziałaś, że Alyssa stworzyła cię właśnie w tym celu. Że jesteś narzędziem. To mnie rozgniewało. Wydało mi się takie... bezduszne. Nie jesteś jakimś tosterem czy śrubokrętem. Nie jesteś środkiem służącym do osiągnięcia celu. Masz prawo decydować o tym, kim jesteś. Jesteś moim dzieckiem! Nie jesteś narzędziem!

Pewnego ranka biorąc prysznic, przestawiałem sobie kolana - trzeba je rozruszać od czasu do czasu, w przeciwnym razie piekielnie boli, kiedy muszę to zrobić po dłuższej przerwie. Czuję metal pod palcami, kiedy wodziłem dłońmi po łydce i uciskałem rzepkę. Całe moje nogi są z metalu. Wszystkie kości i stawy. Czuję się jak Lukę, który patrzy na mechaniczną protezę ręki, którą Darth Vader odciął mu mieczem świetlnym. Ja też jestem narzędziem. Też zostałem przez kogoś stworzony.

Nie wiem, czy tak naprawdę miałem kiedykolwiek możliwość wyboru, ale chciałbym wierzyć, że tak. Że sam to wybrałem. Że postanowiłem robić to, do czego mnie stworzono, służyć swojemu przeznaczeniu. Zamienili mnie w śrubokręt, a ja zgodziłem się wkręcać śruby. Jednak byłoby to z mojej strony hipokryzją, gdybym nie pozwolił ci dokonać takiego samego wyboru. To tak, jakbym powiedział: „Możesz

robić wszystko, na co masz ochotę, o ile będzie to coś, do czego zostałaś stworzona”.

Miałaś rację. Jesteś narzędziem. Jesteś czymś dziełem. To dlatego istniejesz. Ale to nie wszystko. Jesteś kimś więcej. Jesteś błyskotliwą dziewczynką z poważnymi problemami emocjonalnymi, które jednak można przezwyciężyć. Masz prawo wyboru. Możesz... zaciągnąć się do wojska albo grać w orkiestrze. Możesz zrobić karierę naukową, zostać szefową kuchni albo baletnicą. Zostałaś stworzona do konkretnego celu, ale możesz być, kim tylko zapragniesz. Możesz robić wszystko, włącznie z tym.

Byłoby idealnie, gdybyś mogła uporać się z tym wszystkim za dziesięć lat, ale możliwe, że nie będziemy mieli tyle czasu. Więc jeśli postanowiłaś zostać baletnicą, lepiej chodźmy poszukać lekcji tańca.

DOKUMENT NR 1623

**DZIENNIK OSOBISTY DOKTOR ROSE
FRANKLIN,
SZEFEK SEKCJI NAUKOWEJ,
KORPUS OBRONY ZIEMI**

Jestem ważna, „użyteczna”, jak to określił. To dlatego żyję. Powinnam coś zrobić. Nie wiem, co to takiego, ale zważywszy na okoliczności, musi to być związane z ratowaniem świata. Właśnie tego się dowiedziałam. Zgadza się, ktoś mi to powiedział. Takim samym tonem jak to, że chyba jest za wcześnie na kurczaka kung pao. Jak mam przyjąć taką informację? Czy musiałam to usłyszeć? Czy w przeciwnym razie nie zrobiłabym tego? A może właśnie ta świadomość powstrzyma mnie przed tym?

Bardzo chciałabym w to wierzyć. Chciałabym być wyjątkowa. Ale nie jestem. Nie jestem ważna. Nie jestem wybawicielką świata. Żałuję, ale nie. Nie odebrałam sobie życia tylko dlatego, że giną miliony ludzi. Pomyślałam, że mogę... coś zrobić. Że mogę pomóc. Nigdy nie przypuszczałam, że miałabym tego dokonać w pojedynkę, ale właśnie dlatego przeżyłam. Myślałam... miałam nadzieję, że mogę stać się ważna.

Chciałam ocalić wszystkich. Tak bardzo tego pragnęłam. Może właśnie dlatego choćbym nie wiadomo jak bardzo się starała, nie potrafię opędzić się do myśli, że oni wszyscy umierają przeze mnie. Znajdując tę dłoń, doprowadziłam świat na skraj katastrofy. Przywrócono mnie do życia, a teraz zginęło

sto milionów ludzi. Jestem aniołem śmierci.

Siedzę teraz przed komputerem. Studiuję każdą z informacji, jakie posiadamy na temat obcych robotów, i nie wiem, od czego zacząć. Nie mam pojęcia, co powinnam zrobić. Jeśli przywrócono mnie do życia z jakiegoś powodu, ma to prawdopodobnie jakiś związek z moją specjalnością. Dlatego skupiam się na metalach, analizuję ich skład i czekam, aż na monitorze pojawi się odpowiedź. Całkiem możliwe, że to, co chcę osiągnąć, nie ma nic wspólnego z fizyką. Być może marnuję tę resztkę czasu, jaka mi została, próbując przekonać samą siebie, że jestem dobrym naukowcem. Teraz zaczynam dzielić włos na czworo i tracę czas, myśląc o traceniu czasu.

A jeżeli oni mają rację? Jeżeli całkowite unicestwienie ludzkości jest słusznym posunięciem? Nie stać mnie na obiektywizm w tej kwestii. Umrą wszyscy, na których mi zależy, a ja przetrwam tylko po to, by moje życie zamieniło się w taki koszmar, jakiego nawet nie potrafię sobie wyobrazić. Ale nasi przeciwnicy są bezsprzecznie bardziej rozwinięci od nas. Dysponują o wiele bardziej zaawansowaną technologią. Jeśli chodzi o pojmowanie świata, prawdopodobnie też nie możemy się z nimi równać. Może oni wiedzą, co jest najlepsze.

Czuję się taka samotna. Nie radzę sobie zbyt dobrze w pojedynkę. Potrzebuję kogoś, kto wskazałby mi drogę. Brakuje mi... Kary. Potrzebuję kogoś, z kim mogłabym porozmawiać, o czymkolwiek, o wszystkim, byle nie o tym. Kogoś, kto nie będzie mnie osądzał, kierując się tym, czy potrafię zbawić świat. Nie podejrzewam, aby tak naprawdę ktoś osądzał mnie w taki sposób, ale tylko przy Karze czułam, że mogę po prostu... być.

Potrzebuję cię, mój bezimienny przyjacielu. Nie przeszkadzałoby ci, gdybym nazywała cię

przyjacielem? Umarłeś, obejmując mnie ramieniem, a to coś znaczy. Mimo to prawdopodobnie czułbyś się skrępowany. Kiedy o tobie piszę, uświadamiam sobie, że wciąż jestem na ciebie zła. Potrafię wybaczyć Karze, ale tobie... Ty nie miałeś prawa umierać. Nie miałeś prawa mnie tu zostawiać. I co byś na to odpowiedział? Pewnie coś zjadliwego:

Mówi pani do siebie, doktor Franklin?

Tak, mówię do siebie... Nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Wszyscy nie żyją. Co byś teraz zrobił? Co byś powiedział, żeby mnie oświecić? Nie byłeś naukowcem, ale nadawałbyś się do tego. Byłeś obiektywny i zdyscyplinowany. Potrafiłeś dostrzec istotę problemu. A ja widzę tylko... bezsens. Jak mogę sama jedna pokonać gigantyczne roboty zdolne przetrwać atak nuklearny, nie używając niczego, co zostało wynalezione w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat? Co mogę wskórać bez żadnej technologii? Nawet nie zdołam się do nich zbliżyć. Co byś na to powiedział? Prawdopodobnie byś zapytał:

Jest pani przekonana, że rozmowa ze zmarłym zapewni pani zwycięstwo?

Chyba nie. Ale... *Wolno* mi rozmawiać z wyimaginowanym przyjacielem. To zgodne z zasadami. Trzy tysiące lat temu też nie brakowało wariatów. Chociaż niczego nie mieli pod ręką. Niczego oprócz kamieni, piachu i zarazków. Na pewno nie spodobałoby mi się to, co byś teraz powiedział. Byłoby to oschłe, niemal obraźliwe, ale na swój dziwny sposób pokrzepiające.

Wiem: **Skoro tak, doktor Franklin, sugeruję, aby przestała pani rozmawiać ze zmarłym i poszukała jakiegoś sposobu na pokonanie tych robotów przy pomocy kamieni, piachu albo zarazków.**

Zaczynam wariować - **Myszę, że taka jest ogólna koncepcja, jaką chciałem przekazać.**

Dlaczego to zdanie nie daje mi spokoju? Kamienie, piach albo zarazki. Co mogłabym z nimi zrobić? Kamienie... Piach... Zarazki... Mogłabym rzucać kamieniami w ich maszyny...

Może wzbudzę ich politowanie i dojdą do wniosku, że jednak nie jesteśmy aż tak bardzo rozwinięci. Myśl, Rose. Myśl... Kamienie...

Piach...

Zarazki...

Myślę... myślę, że już wiem.

Dziękuję ci. Nie wierzę w życie pozagrobowe, ale dziękuję ci, gdziekolwiek jesteś.

DOKUMENT NR 1626

ZAPIS ROZMOWY GENERALA BRYGADY EUGENE GOVENDER, DOWÓDCA, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: schron rządowy Shadow, Lenexa, Kansas

- Proszę usiąść, doktor Franklin. Stresuje mnie pani.
- Dziękuję, generale.
- Kanadyjczyk powiedział, że ma pani jakiś plan.
- Mam. W każdym razie połowę planu.
- To i tak o połowę więcej, niż mieliśmy pół godziny temu.
- Tak sądzę.
- No więc? Na co pani czeka? Nie mamy czasu!
- Tak jest. Jak pan wie, przejrzałam wszystko, czego udało nam się dowiedzieć o metalu, z którego wykonane są te roboty. Nie licząc drobnych różnic, w zasadzie z tego samego materiału zbudowano Temidę. Jest to stop, złożony głównie z irydu, i posiada szereg właściwości, których nie potrafimy wyjaśnić, ale zaczynamy je rozgryzać. Na przykład odkryliśmy, że może magazynować energię. Nie wiemy dokładnie, na jakiej zasadzie, ale też produkujemy rzeczy, które działają podobnie. Wynaleźliśmy metal, który gromadzi energię słoneczną i uwalnia ją, kiedy tego chcemy. Z rutenu otrzymujemy fulwalen dirutenu. Ten związek gromadzi całkiem spore ilości energii słonecznej, którą możemy uwolnić przy pomocy

katalizatora.

- Ruten... Czy ten pierwiastek nie wchodzi w skład stopu, z którego wykonana jest Temida?

- Owszem, ale tylko w znikomej ilości. Nie potrafimy wyjaśnić, jakie jest jego zastosowanie. Poza tym metal, z którego zbudowano Temidę, o wiele lepiej chłonie energię jądrową. Może kumulować ogromną moc. Z tego, czym dysponujemy, najbardziej podobne właściwości ma uran. Nie potrafimy wykorzystać go w taki sam sposób, ale uran magazynuje energię i uwalnia ją wraz z upływem czasu. Jest to powolna reakcja, ale wystarczy, by utrzymać Ziemię w stanie wrzenia. Mniej więcej połowa ciepła we wnętrzu naszej planety pochodzi z rozpadu pierwiastków promieniotwórczych. Mamy niewielki wpływ na ilość tej energii i szybkość jej uwalniania, ale jeśli wywołamy reakcję łańcuchową rozszczepienia atomu - na przykład taką, jaka zachodzi w reaktorze jądrowym - możemy uwolnić o wiele więcej energii w dużo krótszym czasie.

W każdym razie postanowiłam potraktować ten stop, jakby to był uran, żeby się przekonać, dokąd mnie to zaprowadzi.

- I co?

- Nasunęło mi to pewien pomysł. Istnieje osobliwa bakteria o nazwie Geobacter. Jest pokryta drobnymi wypustkami chroniącymi ją przed toksycznym środowiskiem, w którym żyje. Te wypustki - nazywają się pili - służą do przewodzenia elektronów, które zmieniają właściwości pierwiastków radioaktywnych. Geobacter może neutralizować odpady promieniotwórcze, zamienić radioaktywny metal w minerał, przeobrażając jego strukturę cząsteczkową. Jest to jednak powolny proces, zbyt powolny. Potrzeba lat, żeby te organizmy przetrwały drobniutki kąsek uranu.

W stanie Michigan działa pewne laboratorium, którym kieruje doktor Lina Texera. Prowadzą tam eksperymenty z pewną odmianą tej bakterii, *Geobacter sulfurreducens*. Udało im się wzmocnić pili, dzięki czemu stały się bardziej wydajne. Podsumowując, można powiedzieć, że zwiększyli odporność i dozbroili bakterię, co pozwala jej o wiele szybciej mineralizować uran.

Wydało mi się to obiecujące. Co prawda nawet tym ulepszonym bakteriom skolonizowanie czegoś tak ogromnego jak roboty obcych zajęłoby całą wieczność, ale pomyślałam, że gra jest warta świeczki. W każdym razie zadzwoniłam do doktor Texery. Miła kobieta. Zwracała się do mnie po imieniu i powiedziała, że poznałyśmy się kiedyś na konferencji - to musiało być przed tym, jak zginęłam. Poprosiłam ją o wysłanie próbki helikopterem.

To jest naprawdę ohydna, zielona i kleista maź. Nie bardzo wiedziałam, jak się z nią obchodzić. W każdym razie założyłam dwie warstwy rękawiczek, wzięłam mały kawałek metalu, który kiedyś odłupaliśmy z jednego z paneli, i rozsmarowałam na nim trochę tej brei. Zamierzałam go napromieniować i sprawdzić, czy wchłonięcie i uwolnienie energii zajmie mu więcej czasu albo czy wydatek energii będzie mniejszy. Leżał na sztabce plutonu przez jakąś godzinę i nie udało mi się doprowadzić do żadnej reakcji. Kiedy próbowałam to zrobić poprzednim razem, w ciągu zaledwie dziesięciu minut zniszczyłam pół laboratorium.

Upuściłam kilka kropli mikstury na jeden z paneli. Nic się nie stało. Zbadałam bakterie pod mikroskopem i okazało się, że wszystkie są martwe. Wtedy wzięłam resztę próbki - mniej więcej objętość filiżanki - i po prostu wylałam wszystko na panel. Tak jak się spodziewałam, z początku nic się nie stało. Pomyślałam, że wrócę za kilka godzin, żeby rzucić na

to okiem. Wychodząc z laboratorium, wyłączyłam światło i wtedy zauważyłam, że turkusowa poświata wypełniająca symbole zaczyna migotać. Najpierw tylko trochę, a potem coraz bardziej. Po około pięciu minutach zgasła na dobre. To było dwie godziny temu i od tamtej pory nie zaświeciła się na nowo.

Jeśli coś wywołało taką reakcję, musi to oznaczać, że ten metal jest bardzo niestabilny. Moim zdaniem bakteria na tyle zaburzyła jego równowagę, że stracił swoje właściwości.

- Więc taki jest pani plan? Obrzucić robota tą zieloną breją...

- Tak, jednego z nich.

- Pamiętam, co mi pani powiedziała po powrocie z Waszyngtonu. Podobno obcy czekają, aż im udowodnimy, że osiągnęlibyśmy taki sam poziom rozwoju bez ich ingerencji w naszą pulę genową.

- Tak. Oczywiście mogę się mylić.

- Zatem koncepcja jest taka, żeby ich pokonać, nie używając niczego, co nie istniało trzy tysiące lat temu, kiedy przybyli na Ziemię?

- Właśnie tego się trzymam.

- Ale wspomniała pani, że ta bakteria ma jakiś wzmocniony pancerz, dzięki któremu jest bardziej wydajna. Czy to nie jest... oszustwo? To znaczy nie mam bladego pojęcia o tych sprawach, ale to brzmi jak jakaś nowoczesna sztuczka. Wydaje mi się, że gdyby nie nowoczesna nauka, nie miałaby pani tej superbakterii.

- Zwykłej odmiany też bym nie miała. Te organizmy żyją na Ziemi od milionów lat, ale odkryliśmy je dopiero niedawno. Jeżeli obcy chcą do tego podejść dosłownie, to już po nas. Ale nie mogę również wymazać z pamięci tego wszystkiego, czego się nauczyłam. Mam nadzieję, że im chodzi tylko o to, żebyśmy coś udowodnili. Coś w rodzaju...

potwierdzenia słuszności koncepcji.

- Jasne. Skoro pani myśli, że to zadziała...

- Tego nie wiem. A nawet jeżeli zadziała, nie mamy pewności, że oni rozumieją, co chcemy osiągnąć.

- Właśnie miałem to powiedzieć. Nie obawia się pani, że się wkurzą, kiedy obrzucimy ich bakteriami?

- Nie sądzę, abyśmy mieli duży wybór. Jeżeli pan Burns mówi prawdę, jutro o tej porze zostanie na tej planecie około trzech milionów ludzi. Vincent i Eva umrą pierwsi. A po nich wszyscy, którzy nie mają mojego gównianego DNA.

- Szczęściara z pani. Do czego mogę się pani przydać? W ogóle się nie znam na bakteriach.

- Potrzebuję czegoś więcej. Doktor Texera przysłał mi wszystko, co ma, ale jest tego niewiele, a nie starczy nam czasu, żeby wyhodować tutaj wystarczającą ilość. Ale w Dalian w Chinach jest laboratorium, w którym od roku hodują tę samą bakterię i prowadzą z nią eksperymenty w oczyszczalni ścieków. Chciałabym, żeby pan tam wysłał Temidę.

- Z Evą na pokładzie?

- Tak. Wrócą tu za dwie godziny. Nie chcę zmarnować całego dnia, czekając, aż materiał dotrze tu samolotem.

- Mogę wydać rozkaz Vincentowi, ale nie mogę wysłać tej dziewczynki na misję wbrew jej woli.

- Niech pan ich tylko poprosi. Myślę, że będą chcieli to zrobić. Jeżeli Vincent uważa, że ona jeszcze nie jest gotowa, powie to panu.

- Nigdy nie będzie bardziej gotowa, jeżeli wciągu najbliższej doby nastąpi koniec świata. Porozmawiam z nią.

- Dziękuję. Kilka minut temu Eva bawiła się przed budynkiem.

- Mam jeszcze jedno pytanie o pani połowę planu.

- Śmiało.

- Jak pani zamierza wysmarować tą breją naszych wrogów, skoro nawet nie da się ich dotknąć? Pokazywała mi pani ptaki, które odbijały się od niewidzialnej przeszkody. Kara i Vincent strzelali do jednego z robotów i nic nie wskórali. Pani superbakteria rozładuje się na polu siłowym, zanim zdąży wykonać swoje zadanie.

- Tak... To jest właśnie ta druga połowa planu, której jeszcze nie wymyśliłam. Nie mam pojęcia, jak obejść to pole siłowe. Myślałam o skonstruowaniu czegoś, co mogłoby przez nie przeniknąć. Nie wiem, jakiej energii mogli użyć do wytworzenia pola, które zatrzymuje ciała stałe, ale jeśli ma to coś wspólnego z indukcją magnetyczną, fale mogłyby się rozstąpić przed jakimś przedmiotem wykonanym z materiału nadprzewodzącego. Sama nie wiem. W każdym razie nadprzewodniki muszą utrzymywać niesamowicie niską temperaturę. Nie jest to coś, co mogłabym po prostu wziąć do ręki. A nawet gdybyśmy coś takiego mieli, nie mogłabym tego przetestować. Zresztą nie mamy aż tyle czasu. Stawiam na coś o wiele prostszego. Podejrzewam, że to pole siłowe nie sięga do samej ziemi. Ich stopy są odsłonięte od spodu, a może również kilkanaście centymetrów przy samym podłożu.

- Pięta Achillesa? Taki jest pani plan? To jest nawet... wygodne, nie sądzi pani?

- To by było niesamowicie wygodne, gdybym znalazła jakiś sposób, żeby dostać się do podeszwy robota. Obawiam się, że bakterie rozsmarowane na tym wąskim pasku dookoła stopy nie wystarczą do unieruchomienia tak ogromnej maszyny. Potrzebują większej przestrzeni, żeby przeżyć. Cała podeszwa byłaby w sam raz, ale wątpię, aby obcy chcieli współpracować i postawili robota na jednej nodze.

- Mogłaby pani przynieść jakiś gigantyczny smakołyk

i nauczyć go podawania łapy. Proszę mnie źle nie zrozumieć, doktor Franklin, ale to jest najgłupszy i najbardziej nieprzemyślany plan, o jakim słyszałem. A jestem żołnierzem i proszę mi wierzyć, zetknąłem się z wieloma głupimi planami.

- Gdybym zdołała go nakłonić, żeby zaczął iść... Ma pan rację. Nie wiem, jak to zrobić. Ale to musi stać się dziś, więc będę musiała improwizować, jeżeli nic nie wymyślę przed powrotem Vincenta i Ewy. Zaopatrzę się w saperkę.

- Stawką jest siedem miliardów istnień ludzkich, a pani będzie improwizować...

- Niestety nie mam nic lepszego, co...

- Doktor Franklin.

- Tak?

- Powodzenia.

DOKUMENT NR 1629

ZAPIS GŁOSOWY Z MISJI VINCENT COUTURE, KONSULTANT KOZ, I EVA REYES

Miejsce: schron rządowy Shadow, Lenexa,
Kansas

- Mówi Vincent Couture. Właśnie wróciłem z Evą Reyes do bazy. Byliśmy na uroczej wycieczce w Chinach. Powiedzieli nam, że potrzebują dwóch godzin na przygotowanie bakterii do transportu. Umieścili je w pojemniku chłodniczym, który nie przeszedłby przez nasz wąż, więc... Zapytałem Evę, co ma na swojej liście życzeń, a ona odparła, że chciałaby zobaczyć piramidy. Zatem odhaczyliśmy ten punkt. Spędziliśmy tam tylko pięć minut, ale Eva była wniebowzięta. Tak, byłaś! W każdym razie takie sprawiałaś wrażenie. Teraz się uśmiecha. Eva spisała się na medal. Ani razu nie upadliśmy i nie bała się - no, może troszeczkę - kiedy byliśmy na dnie oceanu. Przybyliśmy do Daban w samą porę. Załadowaliśmy towar i wyruszyliśmy w drogę powrotną. Cała podróż zajęła nam dwie godziny i czterdzieści siedem minut.

Mniej więcej przed godziną doktor Franklin odleciała do Nowego Jorku ze swoją kulturą bakterii. W każdym razie mam nadzieję, że zabrała bakterie. Bo przez pomyłkę mogła wziąć piwo. Sympatyczni koledzy z uniwersytetu w Daban podarowali nam trzy baryłki. Serio, najprawdziwsze baryłki, z których piją studenci, dopóki mogą utrzymać je w rękach. Więc jeśli Rose

nie zdoła ocalić ludzkości za pomocą tego, co jej dostarczyliśmy, możemy przynajmniej urządzić porządną popijawę na pożegnanie. Ty się nie załapiesz, Evo, ale znajdziemy ci jakiś sok jabłkowy z wojskowego przydziału.

- Hej!

- No dobra. Może łyczek. Już teraz chętnie bym się napił. Doktor Franklin prawdopodobnie jest już na miejscu. Generał Govender i reszta personelu siedzą w centrum dowodzenia. Mają w Nowym Jorku kilka dronów - naprawdę fajnych czterowirnikowców, ale nie pozwalają mi się nimi pobawić - więc mogą obserwować wszystko pod różnymi kątami. Jak mecz futbolowy. Eva... myślę, że Eva trochę się boi. Nie chciała tu przychodzić, ale teraz trzyma nerwy na wodzy. Myślę, że nam się...

- To się nie uda.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- To się nie uda!

- O czym ty mówisz, Evo?

- O Rose! O jej planie. Nie uda się!

- Skąd wiesz?

- Po prostu... wiem.

- Widziałaś coś, prawda?

- Tak.

- Co widziałaś?

- Rozdepczą ją. Ona zginie.

- Czemu mieliby ją rozdeptać?

- Nie wiem! Może przez przypadek. Może po prostu jej nie zauważą. Wiem tylko, że Rose zginie. Wgnieciona w ziemię. Jej ciało...

- Dobrze, to wystarczy! Rose powiedziała, że twoje wizje to... możliwa wersja przyszłości, ale wcale nie muszą się spełniać.

- Ona zginie! Nie próbuj mnie pocieszać. Mówię ci, że ona zginie.

- ...
- Vincent, proszę!
- O nie, Evo! Nawet o tym nie myśl. Nie przeżyjemy tego.
- Nikt nie przeżyje, jeśli tego nie zrobimy. Proszę, zaufaj mi.
- ...
- No powiedz coś!
- Przesrane.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że... przesrane! Zabieraj sprzęt! Przecież nie pozwolimy jej tak po prostu zginać, nie? Cholera, miałem piękne życie. A ty zobaczyłaś piramidy i Kansas i jadłaś wojskowe racje żywnościowe trzy razy dziennie. Czego więcej tak naprawdę potrzeba do szczęścia?
- Dziękuję ci.
- Ha! To może być największy błąd, jaki ktokolwiek popełnił w dziejach ludzkości. Masz szczęście, że nie ma tu nikogo dorosłego, kto by nas przywołał do porządku.
- Powinniśmy zawiadomić generała?
- Nie, o ile nie chcesz, żeby kazał cię zamknąć w twoim pokoju i postawił strażników pod drzwiami.
- Myślisz, że aż tak?
- Planował tę operację przez cały dzień wraz z całym dowództwem sił lądowych i straży przybrzeżnej. Myślę, że nie będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą, że zamierzamy wejść im w paradę, bo przewrażliwiona dziesięcioletnia dziewczynka miała wizję. Taaa, bo się naoglądała *Żywych trupów*...
- Ja tylko zapytałam. Nie musisz być niemiły.
- Tak mi przykro.
- Nie ma sprawy.
- To znaczy przykro mi, że twoje życie tak wygląda. Powinnaś bawić się lalkami albo coś w tym rodzaju.

- Nie cierpię lalek.

DOKUMENT NR 1631

ZAPIS GŁOSOWY - CENTRUM DOWODZENIA GENERAL BRYGADY EUGENE GOVENDER, DOWÓDCA, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: schron rządowy Shadow, Lenexa,
Kansas

- Kogoś nam tu brakuje. Gdzie jest Jamie?

[Wyszedł do łazienki, panie generale. O, właśnie wraca.]

Miło z twojej strony, że do nas dołączyłeś. Masz coś jeszcze do załatwienia czy możemy zaczynać?

[Przepraszam, sir. To się więcej nie powtórzy.]

W to nie wątpię. No dobra, proszę państwa. Zaczynamy to przedstawienie. Mamy dzisiaj pełną salę. Jak wam wiadomo, straciliśmy łączność satelitarną. Ci chłopcy w białych koszulach to spece od bezzałogowych systemów powietrznych, którzy są tu na występach gościnnych dzięki uprzejmości FBI. Będą naszymi oczami i uszami. Panowie, witamy w KOZ. Ile mamy dronów?

[Cztery, sir. jeden śledzi wasz samochód. Trzy czekają w pogotowiu w Riverside Park.]

Wyślijcie je w powietrze. Niech dwa zajmą pozycje nad północnymi narożnikami Central Parku, a trzeci nad 102nd Street Crossing. Chcę widzieć tego robota na wszystkich monitorach, jakie tu mamy, zanim doktor Franklin znajdzie się w odległości trzech

kilometrów od niego. Jak nam idzie na ziemi?

[Oddział specjalny zajął pozycję w Belleuve Hospital. W pogotowiu czeka również helikopter na wypadek, gdyby zaszła konieczność odwrotu.]

To mówił generał porucznik Alan A. Simms, który przyleciał do nas z Fort Bragg. Dowodzi naszą grupą ewakuacyjną. Dziękuję, że pan do nas dołączył.

[Cieszę się, że mogę pomóc, generale.]

W siłach specjalnych nie znaleźliśmy nikogo o profilu genetycznym pozwalającym na przeżycie ataku gazowego, więc ci ludzie będą się trzymać z daleka. Udało nam się znaleźć jednego funkcjonariusza policji z odpowiednim DNA. Zapomniałem, jak się nazywa. Jamie?

[Posterunkowy. ..jakiś tam.]

Dziękuję ci, Jamie... Wielkie dzięki... Posterunkowy... jakiś tam... czeka...

[Langdon!]

Psiakrew, Jamie! Posterunkowy Langdon czeka w samochodzie przy skrzyżowaniu Park Avenue i Sto Dziesiątej Ulicy. Może wywieźć stamtąd doktor Franklin, gdyby robot zaczął dymić.

Skoro już o niej mowa... Doktor Franklin odleciała dziś do bazy sił powietrznych Davidson w Wirginii. Stamtąd helikopterem udała się do Nowego Jorku i jakieś dwadzieścia minut temu wylądowała przed Belleuve Hospital. Resztę drogi ma przebyć sama. Plan jest taki: zbliży się do robota pieszo. Chcemy, żeby obcy ją zauważyli. Potem rozpyli bakterie na całej powierzchni, do jakiej uda się jej uzyskać dostęp. Jeżeli jej przypuszczenia są trafne, to powinno unieruchomić robota wciągu kilku minut. Jeżeli nie... Cóż, miejmy nadzieję, że się nie myli. Czy to ona jest na czwórce?

[Tak jest, sir.]

Dajcie ten obraz na duży ekran. Zaraz skręci z FDR

Drive w Dziewięćdziesiątą Szóstą... o, teraz... a potem zjedzie na Dziewięćdziesiątą Siódmą, która prowadzi przez park. Połączcie mnie z nią. Doktor Franklin, słyszy mnie pani?

[Tak, generale. Musiałam okrążyć kilka porzuconych samochodów, ale dam radę. Będę tam za dwie minuty.]

Świetnie. Widzimy panią na ekranie. Proszę dać mi znać, kiedy będzie pani gotowa.

Uwaga, proszę państwa. Słyszeliście, co pani powiedziała. Dwie minuty! Pamiętajcie, to jest jej występ. Jeśli czegoś sobie zażyczy, nie patrzeć na mnie, tylko wykonać. Zauważycie coś, informujcie ją.

(Generale, wjeżdżam do Central Parku.)

Przyjąłem. Możemy zaczynać, kiedy pani będzie gotowa.

Uwaga wszyscy. Bądźcie czujni. Dajcie mi znać, jeśli ten robot choćby pierdnie w jej stronę.

(Tutaj parkuję i wysiadam, generale.)

Bardzo dobrze. Ekipa ratunkowa czeka w pogotowiu. Proszę wołać, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.

(Dziękuję. Życzcie mi szczęścia.)

Szczęście to wiara, że się poszczęści. Niech im pani dokopie.

Ma kłopot z wyjęciem pojemników z samochodu. Jamie, ile to wszystko waży?

[Ponad siedemdziesiąt kilo.]

Skąd ty, do cholery, to wiesz?

[Tyle waży baryłka piwa. Zakładam, że bakterie też są w stanie ciekłym...]

Co my byśmy bez ciebie zrobili... W porządku. Doktor Franklin kieruje się w stronę robota. Dostrzegacie jakiś ruch?

[Żadnego, sir. W podczerwieni...]

Niech to jasny szlag! Co tu robi Temida? Dawaj mi radio! Couture, to ty?

<Tak jest, sir. Ja i Eva.>

Ty cholerny sukinsynu! Wynoś się stamtąd, zanim ta mała zginie przez ciebie.

<Evo! Unieś rękę! Nie mogę teraz rozmawiać, sir. Na razie...>

Nie rozłączaj się, synu! Ani mi się waź! Jamie, wywołaj go z powrotem.

[Generale, tamten robot strzela do Temidy.]

Tak, widzę! No dawaj, Vincent, tarcza! Psiakrew, włącz tę cholerną tarczę! Grzeczny chłopiec! Oni was rozniosą. Doktor Franklin? Musi pani się stamtąd wynosić!

(Wiem, generale! Właśnie to usiłuję zrobić!)

Temida zbiera cięgi. Zwalił ją z nóg. Czy to dziecko w ogóle wie, jak posługiwać się bronią?

[Nie, o ile mi wiadomo. Ćwiczyli tylko chodzenie.]

Jasny szlag, co za głupota! Co doktor Franklin tam jeszcze robi? Nie! Nie! Proszę zostawić tę cholerną beczkę!

[Właśnie zaczęła biec.]

Najwyższy czas.

[Temida już wstała.]

Co oni, do cholery, robią?

[Co oni robią, sir?]

Czy w tej sali jest echo? Oni... oni biorą się z nim za bary! Psiakrew, Couture! Nie zdołają go utrzymać, kiedy dziesięcioletnie dziecko steruje rękami.

Jamie, niech posterunkowy Langdon jak najszybciej jedzie na północ. Mam złe przeczucia.

[Zajmę się tym, sir. Zaraz będzie...]

A teraz co się dzieje?

[Straciliśmy obraz i łączność...]

Cholera! Posłuchajcie! Jesteśmy ślepi i głusi. To nie do przyjęcia. Jamie, dzwoni do doktor Franklin na komórkę. Chłopcy z FBI, możecie wypuścić więcej dronów?

[Za dziesięć minut.]

Nie mamy tyle czasu. Za dwie minuty będzie po wszystkim. Jamie! Dodzwoniłeś się?

[Odzywa się poczta głosowa. Pewnie wysiadły przekaźniki w pobliżu parku].

Próbuj dalej. Generale Simms, czy w tym waszym helikopterze jest kamera?

[Tak, ale z łączem satelitarnym.]

I tak niech startują. Ktoś z załogi musi mieć kamerę w komórce. Nie mogli zniszczyć wszystkich stacji bazowych na Manhattanie. Jamie, możesz przekierować połączenie wideo na duży ekran.

[To by trochę potrwało. Ale mogę je wyświetlić na moim laptopie. Mam go w szafce.]

To co tu jeszcze robisz, do cholery? Panowie, za dwie minuty chcę mieć obraz z parku. Dwie minuty.

Zadzwonię do prezydenta.

DOKUMENT NR 1632

ZAPIS GŁOSOWY Z MISJI VINCENT COUTURE, KONSULTANT KOZ, I EVA REYES

Miejsce: gdzieś w Missouri

- Vincent, co ty robisz?
- A jak myślisz? Przenoszę nas do Nowego Jorku, żebyśmy mogli... Bóg jeden wie, co zrobić, i ocalić Rose.
- Wciąż pojawiajemy się na tej samej autostradzie.
- No tak... Nawigacja satelitarna nie działa, więc jeśli przeniosę nas gdzieś dalej, to... cóż, znajdziemy się dalej, ale nie będziemy wiedzieli gdzie. Nie możemy przystanąć i zapytać o drogę, rozumiesz. Dlatego trzymam się tej autostrady.
- To będzie trwało całe wieki.
- Co trzy sekundy przeskakuję jakieś dwie mile. Nie stoimy w miejscu.
- Obawiam się, że mamy za mało czasu.
- Za mało... Ponad trzykrotnie przekraczamy prędkość dźwięku! Będziemy tam za pół godziny.
- Musimy się pospieszyć.
- Skąd wiesz? Czy w tych twoich wizjach pojawia się jakiś zegar albo coś takiego?
- Proszę!
- Chcesz szybciej? Co powiesz na... to?
- Aaaa! Gdzie jesteśmy?
- Na dnie Atlantyku. Odskokczyłem tysiąc dwieście mil na wschód. Jeżeli się nie mylę, wylądowaliśmy przy

brzegu, gdzieś w pobliżu Atlantic City. A jeżeli coś źle obliczyłem, to nie wiem, gdzie jesteśmy. Ale ta woda niewątpliwie świadczy o tym, że jesteśmy w oceanie.

- Nic nie widzę! Trochę...

- Trochę się boisz, co?

- Możesz nas stąd zabrać?

- Pewnie... Tak sądzę.

- Proszę! No zrób coś!

- Chwileczkę! To nie ty mnie poganiałaś? Świetnie mi szło na tej autostradzie, ale twoim zdaniem dwa i pół tysiąca mil na godzinę to... powolne człapanie.

- Zabierz nas stąd!

- Dobrze! Już! Musimy się obrócić. Gotowe. No to w drogę!

- Wciąż jesteśmy pod wodą!

- Na to wygląda! Cóż, to nie Atlantic City, ale do brzegu mamy już niedaleko. Posuwając się na północ wzdłuż wybrzeża, dotrzemy do celu naszej podróży. O proszę. Podziwiaj krajobraz. Jeszcze kilka skoków i zobaczysz Nowy Jork... Patrz! Tam, przed nami. To jest Manhattan.

- Gdzie teraz jesteśmy?

- W New Jersey. Na pogórzu. Ta wyspa przed nami to Sandy Hook.

- Byłeś tu kiedyś?

- Nie, ale w dzieciństwie oglądałem prospekty. Byłem rok, może dwa lata młodszy od ciebie. Mama zawsze chciała spędzić tu wakacje. Nigdy się nie wybraliśmy, ale lubiłem oglądać te prospekty. Zobaczymy, czy uda mi się przeskoczyć tę zatokę. Ech. Do dwóch razy sztuka. Teraz będziemy się posuwać korytem rzeki Hudson, dopóki nie znajdziemy się na wysokości Central Parku.

- Znów nic nie będzie widać!

- Bez obaw, tu jest płytko. Widzisz? Nawet nie zamoczyliśmy tyłka. Głębiej nie będzie. Zresztą już

prawie jesteśmy na miejscu.

- Nie możemy przejść tego ostatniego odcinka?

- Wolałbym nie. Bóg jeden wie, co tu leży na dnie. Po drodze mamy co najmniej dwa tunele. O, tu jest jeden. I chyba... drugi już minęliśmy. Co ty na to? Myślisz, że już wystarczy?

- Nie wiem. Dlaczego nie możemy iść po łądzie... jak normalni ludzie?

- Normalni ludzie potrafią chodzić, nie zrywając wszystkich linii elektrycznych. W mieście nie wszędzie się zmieścimy. Możemy gdzieś utknąć i narobić szkód. Spróbuję przenieść nas prosto do parku. Według mapy Google została nam niecała mila. Jeśli stoimy w odpowiednim miejscu...

- Cały czas patrzyłeś w telefon?

- A czy ty zabrałaś mapę, Evo? Nie sądzę. No to ostatni skok. Gotowa?

- Dawaj! Już!

- No i... jesteśmy. Yyy... albo i nie.

- Znowu wylądowaliśmy w rzece.

- Mniej więcej. Stoimy na czymś, co zostało z mostu. Jesteśmy w Harlemie. Musieliśmy skoczyć trochę za daleko. Obróć nas w przeciwną stronę. Jeszcze jeden skok i już naprawdę będziemy na miejscu. Jesteś gotowa?

- Nie musisz mnie pytać za każdym razem. Po prostu skacz... O ja pierniczę! Jesteśmy tuż za nim!

- W mordę! Ale on wielki!

- Cofnij się, Vincent! Cofnij się!

- Przecież to robię! Rose! Jesteś tam? To się nie uda! Musisz zawrócić!

[Vincent! Co tu robisz?]

Eva miała wizję. To ci się nie uda! Zawracaj!

[Wynoście się stąd! Oni was zabiją!]

Ja to powiedziałem pierwszy. Uciekaj! Już!

- Vincent. On się obraca! Do tyłu! Idź do tyłu!

[Couture, to ty?]

- Tak jest, sir. Ja i Eva.

[Ty cholerny sukinsynu! Wynoś się stamtąd, zanim ta mała zginie przez ciebie.]

- Vincent! On nas atakuje. Co mam robić? Vincent!

- Evo! Unieś rękę! Nie mogę teraz rozmawiać, sir. Na razie... Włączę ci tarczę. Unieś lewą rękę, Evo. Tak, jakbyś... O, właśnie tak!

- AAARRGH!

- Ten gnojek nas przewrócił. Evo, nic ci nie jest?

- To boli! Zrób coś, żeby on przestał! Możemy stąd zniknąć?

- Z włączoną tarczą nie możemy. Ale teraz pora na rewanż. Unieś prawą rękę. Wymierz ją w... Dobrze ci idzie! Strzelam! Jeszcze raz! Jeszcze!

- To nic nie daje!

- Jeszcze z nim nie skończyliśmy. Rose! Spróbujemy trochę ułatwić ci zadanie. Może jego osłona nie wytrzyma wyładowania energii, takiego jak w Denver. Zrozumiałaś mnie?

[Co...? Potrzebuję więcej czasu!]

Na to nie licz. Odejdź stąd najdalej, jak się da. Evo, trzymaj tarczę w górze! Kiedy ci powiem, odepchnij się prawą ręką od ziemi. Wtedy ja stanę na nogach.

- Co robimy?

- Powtarzamy sztuczkę, którą kiedyś zrobiłem z twoją mamą.

- Udało się wam?

- Cóż, wtedy zabiliśmy Rose. Teraz! Mocno! Dobra, stoimy. Biegnę na niego.

- Chcesz go staranować?

- Otóż to! Obejmij go i trzymaj mocno!

- W taki sposób? Boję się, Vincent!

- Po prostu go trzymaj, Evo!

- Nie mogę!

- Musisz! Jeszcze przez chwilę!

- Nie utrzymam go! Jest zbyt silny! Co ty robisz?
- Zdejmuję hełm. Idę ci pomóc. Nie puszczaj go!
- A kto będzie sterował nogami?
- Teraz nie potrzebujemy nóg. Musimy tylko mocno go trzymać. O resztę zadba Temida.
- Pośpiesz się. Ręce mi...
- Zginiemy, jeśli teraz go puścisz, Evo. Już prawie się uwolniłem. Wyobraź sobie, że jesteś na morzu podczas sztormu i nie ma pod ręką nic, czego mogłabyś się chwycić, żeby cię nie zmyło z pokładu.
- Mam za mało siły! Przepra...
- Już jestem! Jestem, Evo! Teraz docisnę twoje ręce i będziemy trzymać go razem.
- Nic nie widzę, kiedy stoisz przede mną.
- Nie szkodzi. Nie musisz go widzieć. Po prostu patrz na mnie. Patrz na mnie, Evo. O tak! Największy uścisk w dziejach świata.
- Co to za hałas?
- To Temida wpada w złość. Absorbuję energię z jego pola siłowego. Ten syk oznacza, że zaraz nastąpi wyładowanie. Rose! Przygotuj się! A ty, Evo, zamknij oczy. Zaraz się zrobi naprawdę jasno.
- Aaaaa! Co to było?
- Jego pole siłowe znikło. Przytrzymaj go jeszcze przez chwilę, a ja wrócę na moje stanowisko i skopiemy mu tyłek.
- Nie! Nie zostawiaj mnie! Nie utrzymam... On się wyrwał! Vincent! Uwolnił się! Złapał nas! Zaraz rzuci nami o ziemię! Nie dam mu rady!
- AAAAAARRRRGGHHHH!
- Vincent! Vincent, jesteś cały? Powiedz coś!
- Nie... nie jestem. Uderzyłem o ścianę, kiedy upadliśmy. Chyba... złamałem rękę. Moja prawa noga jest... wygięta. W ogóle nie mogę nią ruszać. Mogłabyś nas obrócić na plecy? Nic nie widzę.
- Jak mam to zrobić? Dobra, już wiem.

- Doczołgam się do konsoli i z powrotem aktywuję tarczę. On już do nas idzie.

- Możemy wstać?

- Nie, teraz nie wejdem w szyny. Niech no tylko założę hełm... Wygląda na to, że zaraz oberwiemy w szczękę. Zamierza się... AAARGH! Ożeż w mordę! Mogłabyś mu oddać?

- ...

- Evo, wiem, że jesteś przerażona, ale musisz się otrząsnąć. Potrafisz mu przywalić?

- Przydeptał naszą lewą rękę, ale mogę go uderzyć prawą.

- Uderz go w krocze.

- Nie dosięgnę.

- Nie szkodzi. Wystrzelę, kiedy uniesiesz rękę. Teraz! Ha! Zabolało, co?

- Strzelaj dalej, Vincent! Jeszcze!

- To moje dziecko spuszcza ci łomot! Zadarłeś z niewłaściwą dziewczynką!

- Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze!... Jeszcze! Vincent, strzelaj! On wciąż stoi!

- Już nie...

- Co?

- Już nie mamy energii. Doprowadziliśmy do wyładowania, a teraz wyczerpaliśmy wszystko, co nam zostało. Nie możemy strzelać.

- Temida już nie słucha przyrzędów.

- Wiem. Nie możemy się ruszać. Nic nie możemy zrobić.

- I co teraz?

- Teraz... chyba musimy zaczekać.

- Jak długo?

- Nie mam pojęcia. Nigdy przedtem jej tak nie rozła...

- On tu wraca! Idzie do nas! Vincent, on trzyma... to wygląda jak świetlny dysk.

- Cholera.

- Co to jest?
- Myślę, że to samo, czym zrównał z ziemią pół Londynu.
- Zrób coś!
- Nie mogę!
- On nas zabije?
- Evo...
- JA NIE CHCĘ UMIERAĆ... CHCĘ STĄD WYJŚĆ!
- Evo!
- Jak mam się uwolnić?
- Evo!
- ZDEJMIJ TO ZE MNIE!
- Evo, przestań!
- ...
- Jesteś wspaniałym dzieckiem, Evo. Cieszę się, że mogłem cię poznać.
- Mógłbyś mnie jeszcze raz objąć?
- Bardzo bym chciał. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo, ale nie mogę do ciebie podejść. Spójrz na mnie.
- Jestem przy tobie, Evo. Popatrz na mnie.
- Tatusiu...
- Tak?
- Przepraszam.
- Nie masz za...
- Popatrz. On się odwraca!
- Nie widzę go. Zdjąłem hełm.
- Teraz patrzy w stronę... Jedzie tu jakiś pick-up!
- Czy on dalej trzyma w ręce ten swój dysk?
- Nie, już nie. Ktoś wysiada z samochodu. To chyba doktor Franklin.
- Brawo, Rose!
- Jakiś biały gaz wydostaje się... skądś... zewsząd.
- Co widzisz?
- ...
- Evo! Co widzisz?

- Nic nie widzę. Wszędzie tylko biel.

DOKUMENT 1633

ZAPIS GŁOSOWY Z MISJI DOKTOR ROSE FRANKLIN, SZEFEK SEKCJI NAUKOWEJ, KORPUS OBRONY ZIEMI

Miejsce: Central Park, Nowy Jork

- Generale, wjeżdżam do Central Parku.

[Przyjąłem. Możemy zaczynać, kiedy pani będzie gotowa.]

To straszne. Na trawie leżą ludzie... wszędzie. Wyglądają, jakby spali. I ci rowerzyści na poboczu. Ktoś powinien się nimi zająć. Tu się zatrzymam. Myślę, że jestem wystarczająco blisko. Od robota dzieli mnie jakieś... trzysta metrów.

Tutaj parkuję i wysiadam, generale.

[Bardzo dobrze. Ekipa ratunkowa czeka w pogotowiu. Proszę wołać, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.]

Dziękuję. Życzcie mi szczęścia.

[Szczęście to wiara, że się poszczęści. Niech im pani dokopie.]

Poszczęści mi się. Wierzę w to. No więc... wysiadłam z samochodu. Stoję na wprost robota. Jest zwrócony przodem do mnie, ale nie wiem, czy piloci mnie widzą. Z miejsca, w którym siedzą, muszę wyglądać jak mrówka. Wyciągam bakterie z bagażnika. Punkt pierwszy... Te zbiorniki są... naprawdę... ciężkie. Będę musiała je przewieźć wózkami. Punkt drugi... Pompkę

i wąż mam w plecaku. Zabrałam również... wojskową saperkę. I to jest punkt trzeci.

Kieruję się w stronę robota. Za chwilę uruchomię mój rozpylacz. Nie wiem, jak zareagują, ale muszę się postarać, żeby mnie zauważyli. Cholera. Robot stoi na East Drive. Tylko czubek jego prawej stopy zachodzi jakieś półtora metra na trawnik. Reszta spoczywa na asfalcie. To tyle, jeśli chodzi o saperkę. Mam nadzieję, że odstęp między polem siłowym a podłożem będzie wystarczająco szeroki, żebym...

Co jest, do... ? Właśnie trzydzieści metrów za robotem obcych pojawiła się Temida.

(Rose! Jesteś tam? To się nie lida! Musisz zawrócić!)

Vincent! Co tu robisz?

(Eva miała wizję. To ci się nie uda! Zawracaj!)

Wynoście się stąd! Oni was zabijają!

(Ja to powiedziałem pierwszy. Uciekaj! Już!)

Robot obraca się plecami do mnie. Nie wiem, co robić... Strzelają! Wracam do samochodu.

[Doktor Franklin? Musi pani się stamtąd wynosić!]

Wiem, generale! Właśnie to usiłuję zrobić! Nie mogę... z tym biec... Nie utrzymam wózka. Cholera... Zgubiłam beczkę. Spadła i toczy się po trawie... Mam ją... Niosę... z powrotem.

(Rose! Spróbujemy trochę ułatwić ci zadanie. Może jego osłona nie wytrzyma wyładowania energii, takiego jak w Denver. Zrozumiałaś mnie?)

Co...? Potrzebuję więcej czasu!

(Na to nie licz. Odejdź stąd najdalej, jak się da.)

Jasny szlag! Musiałam zostawić zbiornik. Jeszcze tylko kawałek. Dobra, siedzę już w samochodzie. Gdzie ja mam...? W stacyjce. Zawracam... Kieruję się z powrotem na południe drogą, którą tu przyjechałam. Mijam teraz boisko do baseballu. Muszę się oddalić od Temidy na co najmniej pół mili, zanim nastąpi wyładowanie... Jezu Chryste! Któryś z robotów strzelił

w jezdnię tuż przede mną. Spory kawałek asfaltu...
wyparował. Omal nie wjechałam prosto w tę dziurę.
Właśnie przecięłam Dziewięćdziesiątą Siódmą i teraz
jadę East Drive na południe.

(Rose! Przygotuj się!)

Nie! Jeszcze nie! ARRRGHH!

- ...

Boże, ale mnie boli. Wszystko jest... białe. Wjechałam
w jakiś samochód. Poduszka powietrzna... Chyba...
chyba mam złamany nos. I skasowałam swojego jeepa.
Teraz muszę się stąd wydostać. Jeśli tylko sięgnę do
klamki... Udało się! Jestem wolna. O rany! Droga za
moimi plecami... przestała istnieć. Impuls przeszedł
jakieś trzydzieści metrów ode mnie.

Nie widzę Temidy. Tylko tego drugiego robota, który
stoi pochylony na brzegu krateru i wymierza cios za
ciosem. Domyślałam się, kto zbiera cięgi.

Generale, proszę im rozkazać, żeby się teleportowali.
Muszą stąd zniknąć! Generale? Słyszysz mnie pan? Czy
ktoś w ogóle mnie słyszy? Podchodzę do porzuconego
pick-upa. Ciekawe, czy w stacyjce są kluczyki. Są!
Zabiorę tylko drugi zbiornik... Położę go... z tyłu...

Vincent, słyszysz mnie? Jadę do was!

Muszę przyciągnąć uwagę obcych. Wjeżdżam do
wnętrza krateru. Włączam reflektory i mrugam
długimi. I jeszcze przeciwmgielne! O tak! Mam
nadzieję, że usłyszą klakson. Temida leży na ziemi.
Nie rusza się. Tamten robot stoi nad nią. W jego lewej
dłoni widzę jakieś światło. Coś w rodzaju dysku.
Myślę, że zamierza zrobić to, co jego poprzednik
podczas pierwszej wizyty w Londynie. Szybciej! Tutaj!
Tu jestem! No dalej! Popatrz na mnie! Już! Odwróć
się! O właśnie tak!

Teraz patrzy prosto na mnie. Otwieram drzwi i
wysiadam. Dzieli nas około pięćdziesięciu metrów.
Zdejmuję beczkę z paki. Z plecaka wyciągam wąż i...

mocuję zawór. Myślę, że tak to ma wyglądać. Teraz muszę tylko... przeciągnąć... to wszystko... pięćdziesiąt... metrów... po ziemi. Robot gapi się na mnie. Wydaje mi się... Jego poświata przybiera na sile. A teraz... teraz wypuszcza gaz. Nie wiem, skąd się wydobywa. Po prostu wokół niego rozrasta się chmura. Jakby powstawała z niczego. Dotrze do mnie za kilka sekund. Mam nadzieję, że nie różni się od tego, czym raczyli nas wcześniej. Zaraz się przekonamy... Już. Całkowicie zalała mnie mgła. Nic nie widzę. Nie widzę nawet własnych stóp.

Ten zbiornik jest taki ciężki... że będę musiała... przystanąć na chwilę... trochę odsapnąć... Czuję, jak krew ścieka mi do ust. Ten metaliczny posmak... Wszyscy... wszyscy jesteśmy zbudowani z tego samego.

Gaz zaczyna się rozpraszać. Znowu widzę niebo. Widzę poświatę robota przebijającą się przez mgłę. Widzę ziemię pod nogami. Za chwilę oni też mnie zobaczą. Pora ruszać dalej.

Jestem mniej więcej w połowie drogi. Naprawdę... jest mi ciężko... Ciekawa jestem, co oni sobie myślą. Pewnie zachodzą w głowę, kim jest ta wariatka, która wlecze po ziemi beczkę piwa. Przynajmniej mają jakiś dowód, że... nie jestem taka jak oni. Nad ziemią unosi się resztką gazu, jak opary suchego lodu wokół sceny na koncercie rockowym. Moje nogi zostawiają niewielkie fale w rzednącej mgłę, kiedy brnę w niej po łydki. Pięknie to wygląda... Beczka już nie wydaje się taka ciężka. Pewnie to dzięki adrenalinie. Uzmysławiam sobie ogrom tych stóp, kiedy stoję tuż obok. Dotarłam na miejsce. Mogę... mogę go dotknąć. Pole siłowe zniknęło. Jest... zimny. Zimny, chociaż wciąż się żarzy.

Jestem gotowa. Chwytam wąż i pompuję... Działa. Strumień sięga... ponad cztery metry wzwyż.

Opryskuję jego kostkę i całą stopę. Czuję się jak pies obsikujący latarnię. Mam nadzieję, że nie wpadną na pomysł, żeby mnie kopnąć. Tu już wystarczy. Przeciągam teraz zbiornik na drugą stronę. Stopy robota są ustawione dosyć blisko siebie. Jeśli tu stanę, chyba uda mi się... Nie, to zły pomysł. Muszę podejść bliżej. Już kończy mi się roztwór. To by było na tyle. Zużyłam wszystko. Teraz muszę poczekać minutę albo dwie.

Odchodzę powoli. Cofam się tą samą drogą, którą przyszłam, żeby mnie widzieli. Na razie nic się nie dzieje. Może tyle bakterii nie wystarczy. Ten zbiornik wydawał się wielki, dopóki nie postawiłam go tuż obok robota. To jest jak malowanie ściany wieżowca. Powinnam była zabrać też ten drugi. Zawsze mogę po niego wrócić, jeśli to nie przyniesie efektu.

Zaczynam wątpić w sens całego tego planu. Jeśli obcy oczekiwali od nas jakiegoś przesłania, obryzanie stóp kolosa zielonkawą breją wydaje się trochę... skromne. Nawet nie jestem pewna, czy właśnie o coś takiego im chodzi. Nie wiem, czy w ogóle czegoś oczekiwali. To mogła być tylko strata... Zaraz... Zaraz...

W świetle dziennym słabo to widać, ale myślę, że poświata na jego prawej stopie zaczyna migotać. A może tylko mi się wydaje. Nie... Teraz zgasła na pół sekundy. I jeszcze raz... Znowu... Już cała stopa się nie świeci. Zastanawiam się, czy to wystarczy, żeby... Teraz zgasła cała łydka. Lewa stopa zaczęła migotać. Już prawie nie miałam czym jej opryskać. Widzę, że robot stracił moc w całej prawej...

Ledwie zdążyłam odejść na bezpieczną odległość. Właśnie odpadła mu prawa łydka. Teraz stoi na jednej nodze, która też traci moc. Myślę, że zaraz się oprze na - nie wiem nawet, jak to nazwać - na górnym kolanie. Mogę uciekać tylko prosto przed siebie.

Wszędzie tu pełno drzew. Biegnę ile sił w nogach, ale nie jestem pewna, czy zdołam uciec przed wysokim na dwadzieścia pięter gigantem, który rozpada się za moimi plecami.

Robot lada chwila runie. Bakterie musiały zaburzyć jego strukturę molekularną! Widzę przed sobą jego cień, który się wydłuża. Chyba nie zdołam...
AAAAAARRRRRGHHHH!

Coś uderzyło mnie w nogę. Pewnie jakiś kamień. Nie sądzę, aby to był kawałek robota. Po lewej widzę jego głowę. To musiał być duży kamień. Moje kolano... Moja noga jest... Widzę sterczący kawałek kości. Chyba zaraz zemdleję. Oddychaj głęboko, Rose. Najgorsze już za mną. Zrobiłam to. Nie wiem, czy właśnie oto im chodziło, ale moja metoda okazała się skuteczna. Ten robot jest załatwiony. Moja noga... Czy ktoś mnie słyszy? Vincent? Vincent, słyszysz mnie? Generale? Niech ktoś mi pomoże. Potrzebuję lekarza. Halo? Czy ktoś mnie... O Boże!

Jeden. Dwa. Trzy. Cztery... Pięć. Sześć, siedem, osiem. One... one wszystkie się tu zebrały. Roboty obcych... właśnie się tu zjawily, jeden po drugim. Ach! Jeszcze jeden... Zmaterializował się przed chwilą jakieś trzydzieści metrów ode mnie. Nie mogę się ruszać... Nie mogę uciekać... Czy ktoś może mi pomóc?

To jest... niesamowite. One wszystkie patrzą teraz na mnie. Czuję się... jakbym po raz pierwszy zobaczyła Times Square. Jakbym miała przed sobą armię bogów. Każdy jarzy się innym kolorem, a ten, który stoi najbliżej mnie, jest pomarańczowy. To Hyperion. Co on robi? Klęka i kładzie dłoń na ziemi, dziesięć metrów ode mnie. Jego głowa... pochyla się nade mną. Boże, dopomóż mi. Jest tak blisko. Niemalże mogłabym jej dotknąć.

Tak mi... tak bardzo mi przykro. Proszę, wybacz mi...

Gdzie on się podział? Jeszcze przed chwilą wpatrywał się we mnie, a potem rozplynął się w powietrzu. A teraz kolejny... Wszystkie znikają, jeden po drugim. Zostałam sama... Już po wszystkim...

EPILOG

DOKUMENT NR 1641

ZAPIS GŁOSOWY - EVA REYES

Miejsce: kabina Temidy, Kwatera główna KOZ,
Nowy Jork

- Mówi Eva Reyes. Znajdujemy się na pokładzie Temidy i świętujemy. Jest tu ze mną mój tata, doktor Franklin i generał Govender. Nie wiem... nie wiem, co powinnam powiedzieć! Hej, Vincent?

[Tak, Evo?]

Dlaczego muszę nosić tę kamerę na głowie?

[Bo wszystko nagrywamy. Rose lubi wszystko nagrywać.]

Rozumiem, ale dlaczego ja? Dlaczego któreś z was nie może tego założyć?

[Popatrz na nas. Ja mam rękę w gipsie i wygiętą nogę, a Rose ma złamaną goleń.]

Ale przecież to się nosi na głowie.

[Masz większą swobodę ruchu niż my. Przestań narzekać, dobra?]

Generał mógłby to założyć.

[Generał jest lekko wstawiony.]

(Wszystko słyszę, Couture.)

[Proszę wybaczyć, sir. Chciałem powiedzieć, że jest

pan pijany jak bela.]

(To ten cholerny szampan. Czemu nie mogłem dostać normalnego drinka. I czemu tu jest tak ciemno. Prawie nie widzę kieliszka.)

O to też chciałam zapytać. Dlaczego tylko ja piję sok? [Żebyś mogła nagrywać. Och, a poza tym masz tylko dziesięć lat].

Daj spokój, Vincent! Właśnie spuściłam łomot obcym. Też chciałabym się napić szampana.

[Wzasadzie to Rose wykończyła ich robota...]

<Chodź tutaj, Evo. Dostaniesz łyczek.>

Dziękuję, doktor Franklin.

<Prosiłam cię, żebyś mówiła mi po imieniu.>

Nie wiem, czy...

<Vincent nie ma z tym problemu. Jeśli nie dasz się przekonać, będę cię nazywała panną Reyes.>

No dobrze, Rose. Jakie to uczucie?

<Szampan? Jest...>

Nie, chodziło mi o to, że miałaś rację. Twój plan wypalił. <Cóż, najwyraźniej. Co to za mina, generale? >

(Pokazaliśmy obcym, że bez ich genów też jesteśmy twardzi, obryzgując ich jakąś skażoną breją z beczki po piwie...)

O czym pan mówi, generale?

(Mówię, że... Co ja mówiłem?)

<Generał nie sądził, że mój plan ma jakiegokolwiek szanse powodzenia.>

Czy to prawda, generale?

(Za cholere, żadnych szans.)

Ha, ha! A ty, Vincent? Myślałeś, że to zadziała?

[Ja? Ja...]

<Uważałeś to za głupotę. Nie krępuj się, Vincent! Możesz to powiedzieć!>

[Nie, Rose! Nie miałem zastrzeżeń do twojego pomysłu. Po prostu nie byłem pewien, czy nawet jeśli

bakterie zrobią swoje, obcy właściwie zrozumieją przesłanie.]

<Tego nadal nie wiemy.>

Dlaczego, doktor Franklin? Przecież się wynieśli.

<Miałas mi mówić po imieniu, pamiętasz? Nie wiemy, dlaczego się wynieśli. Nie wiemy, czy tak naprawdę właśnie tego od nas oczekiwali. Tak mi powiedział pan Burns, który wie o nich więcej niż my, ale nie rozmawiał z nimi. Tak samo opierał się na domysłach.>

Więc dlaczego jeszcze mogli zniknąć?

(Bo doktor Franklin obryzgała ich jakimś cholerstwem.)

[Generale, może powinien pan spróbować trochę tego soku, który pije Eva.]

To jest sok jabłkowy.

(Milczeć, Couture! To rozkaz!)

Pytałam poważnie, Rose. Dlaczego jeszcze mogli zniknąć?

<Może twój ojciec ma jakiś pomysł, jego zapytaj.>

Vincent?

[Me wiem! Mogli się wystraszyć bakterii. Może ich roboty i statki, a może nawet domy są zbudowane przy pomocy tej samej technologii. Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby choć odrobina tych bakterii dostała się do ich świata.]

- ...

Co to było?

[Me pamiętam, co mówiłem. Czy światło stało się jaśniejsze?]

Chyba tak.

[Myślę, że Temida właśnie się włączyła.]

<Przecież żadne z was nie założyło hełmu.>

Czy to w ogóle możliwe?

(Nie wiem. Pierwszy raz siedzę w tym całym waszym robocie.)

Vincent?

[Konsola się świeci. Evo, podejdź do swojego stanowiska i załóż hełm.]

Dobra. Ale jesteśmy w hangarze. Niby co miałabym zobaczyć?

[Nie wiem. Po prostu mam jakieś przeczucie].

już zakładam. Obawiam się...

[Co jest, Evo?]

<Evo?>

(Do cholery, dziecko! Co tam widzisz?)

Słuchajcie... Obawiam się, że nie jesteśmy już na Ziemi...

PODZIĘKOWANIA

Debiutujący pisarz przekonuje się, że jego podziękowania są w gruncie rzeczy grubo nie na czasie. Pisze je co najmniej rok (półtora roku w przypadku *Śpiących gigantów*) przed tym, jak jego książka zostanie wydana i nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że będzie nad nią pracować około trzydziestu tysięcy ludzi, zanim trafi na półki.

Tak więc za tę powieść i za poprzednią. Dziękuję ci, Seth. Jesteś superbohaterem. Theo wciąż mnie prosi o twoje zdjęcia. Jestem również wdzięczny Willowi Robertsowi i Rebecce Gardner, którzy zadbali o to, aby moje powieści zostały przetłumaczone na więcej języków, niż Temida ma części, i nakłonili mnie do powiększenia mojej kolekcji whisky. Na siedemnaście języków w chwili, gdy piszę te słowa. To niesamowite! Dziękuję Markowi Tavaniemu za to, że uwierzył w tę książkę. A także mojemu nowemu wydawcy i pogromcy kosmitów, Mike'owi Braffowi - jesteś wielki. Cieszę się z naszej współpracy i mam nadzieję, że przeżyjemy jeszcze wiele wspólnych przygód, pilotując gigantyczne roboty. Tyle osób z Del Rey Books zaskarbiło sobie moją wdzięczność: Keith, David i Tricia wprawili mnie w podziw swoją niespożytą energią. Emily, Ashley, Erika i Alexandra zapewnili mi najlepszą promocję, o jakiej każdy pisarz mógłby zamarzyć. Och! No i Erich! Dzięki tobie wpasowałem się w kanon *Gwiezdných wojen*. Kanon *Gwiezdných wojen*! Dziękuję ci! Wiem, że zapominam o tysiącach ludzi, którzy pracowali nad tą powieścią - o redaktorach, grafikach itd. Nawet jeżeli nie wymienię tu waszych nazwisk, wierzcie mi, że jestem wam

wdzięczny.

Dziękuję Sheili z Random House Canada za to wszystko, co zrobiła dla mojej książki po tej stronie granicy (i za to, że wysłała mnie w kosmos). Dziękuję Emadowi, Huwowi i całej ekipie wydawnictwa Michael Joseph za kawał wspaniałej roboty w Wielkiej Brytanii. Mam nadzieję, że nie mieszkacie w żadnej z tych dzielnic, które zmiotłem z powierzchni ziemi. Dziękuję lektorom, którzy wzięli udział w nagraniu audiobooka: Andy'emu Secombe'owi, Charliemu Ansonowi, Christopherowi Raglandowi, Ericowi Meyersowi, Laurel Lefkow, Lizie Ross, Williamowi Hope'owi, Adnie Sablylich i Katharine Mangold. Brawo! Nie znam nazwisk wszystkich tych, którzy pracowali za kulisami podczas realizacji nagrania, ale stworzyliście coś wyjątkowego.

Dziękuję wszystkim recenzentom, dziennikarzom i blogerom, którzy pisali o *Spiących gigantach* i wnieśli swój wkład w promocję tej powieści. Księgarze! Kocham was wszystkich! Sprzedajecie moje książki. Fajna sprawa, co? Mam dług wdzięczności wobec każdego z was i stawiam mu piwo.

Dziękuję ludziom z mojego najbliższego otoczenia - przyjaciołom i rodzinie, za waszą miłość i wsparcie. Uściski dla was.

I wam dziękuję! Tak, wam! Od samego początku mam zaszczyt tworzyć dla najwspanialszych czytelników. Bez was to wszystko nie miałoby sensu. Naprawdę nie potrafię wyrazić tego, jak bardzo jestem wam wdzięczny za wasze zainteresowanie, wasz czas, wasze maile, tweety i listy. Była to dla mnie wielka szalona przygoda i bardzo się cieszę, że przeżyliście ją razem ze mną.

Wydawnictwo Akurat imprint MUZA SA
ul. Sienna 73 00- 833 Warszawa
tel. +4822 6211775
e- mail: info@muza.com.pl
